

**KINGA**

**WÓJ  
CIK**

Pwószczyński i S-ka

**BLAGA**

SERIA O KOMISARZ  
LENIE RUDNICKIEJ

**KINGA**  
**WÓJ**  
**CIK**  
**BLAGA**

**SERIA O KOMISARZ  
LENIE RUDNICKIEJ**

*Prószyński i S-ka*

Copyright © Kinga Wójcik, 2023

Projekt okładki  
Paweł Panczakiewicz

Zdjęcie na okładce  
© Ildiko Neer/[Arcangel.com](http://Arcangel.com)

Redaktor prowadzący  
Anna Derengowska

Redakcja  
Joanna Serocka

Korekta  
Małgorzata Denys

ISBN 978-83-8295-458-6

Warszawa 2023

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
<tel:691962519>  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

## PROLOG

Na ramiona chłopca opadały płatki śniegu. Czterolatek wprawdzie nie znał się na zegarku, ale wiedział, że zbliża się pora, gdy mama wraca do domu. Czasem się spóźniała. Zaglądała wówczas do osiedlowego sklepu i kupowała chłopcu batonika z orzeszkami ziemnymi albo czekoladę. Ukradkiem dawała synowi słodycze. Uważała, że dziecko od czasu do czasu może zjeść coś słodkiego. Ojciec był odmiennego zdania.

Elektroniczny zegarek, który chłopiec dostał w prezencie od babci, wskazywał osiemnastą trzydzieści. Malec intuicyjnie wyczuwał, że matka się spóźnia.

Przemaszerował przez dziedziniec kamienicy. Wypatrywał znajomej sylwetki w cienkim płaszczu, który mama kupiła niespełna tydzień temu, kiedy świeciło słońce, a termometr pokazywał piętnaście stopni. Całą rodziną spakowali zimowe ubrania do worków. Ojciec wyniósł je do komórki. Byli pewni, że kurtki puchowe nie będą już potrzebne, ale tegoroczna wiosna spłatała im figła. Po kilku cieplejszych dniach spadł śnieg. Mama znalazła płaszcz w sklepie z rzeczami używanymi. Nie wolno przepłacać, oznajmiła, puszczając pulchną rączkę chłopca. Przymierzyła i obróciła się przed lustrem. Chłopiec powiedział, że jest ładny, chociaż w rzeczywistości był bezbarwny, sprany i miał za duży rozmiar.

Chłopczyk zacisnął ręce w pięści i schował je do kieszeni kurtki. Furtka prowadząca na dziedziniec była otwarta. Wyszedł na główną drogę. Światła samochodów rozmywał padający śnieg. Nucił pod nosem piosenkę, której nauczyła go wychowawczyni w przedszkolu. Burczało mu w brzuchu. Nie jadł od kilku godzin i coraz bardziej się niecierpliwił.

Kopnął kamień. Okrągła bryłka potoczyła się kilka metrów dalej, pozostawiając ślad na śniegu. Chłopiec wyminął przechodniów. Żaden nie zwrócił uwagi na czterolatek. Malec schylił się po kamień i w świetle ulicznej lampy dokładnie go obejrzał. Kamień był płaski i wygładzony niczym kamienie, jakich zeszłego lata szukali z ojcem w strumieniu. Chłopiec pomyślał, że taki kamień to skarb. Tata na pewno się ucieszy, kiedy mu go pokaże. Idealny do puszczania kaczek.

W prawej kieszeni kurtki chłopiec chował wiele dziecięcych skarbów – gumkę do ścierania, złożony na cztery części rysunek wykonany w przedszkolu, plastikową figurkę psa i czerwony mazak. Wyjął ten ostatni. Otworzył go, odciągając skuwkę zębami. Przykucnął i niewprawnymi ruchami pomalował kamień na czerwono, żeby nikt z rodzeństwa go sobie nie przywłaszczył. A potem z dumą schował znalezisko do kieszeni.

Obejrzał się za siebie, ale matki nadal nie było. Przeszedł kilka kroków wzdłuż chodnika. Pomyślał, że skoro znalazł jeden, może uda mu się wypatrzeć więcej takich ciekawych kamieni.

Dziesięć minut później czterolatek Paweł Abramowski zniknął.

# Rozdział I

## Wtorek, 5 kwietnia

### 1

† Barbara Zalewska  
† Seweryn Zalewski  
† Jerzy Zalewski  
*Pokój ich duszom*

Kropła deszczu spadła na granitową tablicę. Zadrzała, zatrzymując się na gładkiej powierzchni. Popychana przez wiatr spłynęła ku dołowi. Rozpędzała się. Puchła. Robiła się większa, aż wyhamowała w wyłobionym wgłębieniu. Pozostałe krople odłączyły się od niej. Pocięły w dół, a ona się zawahała. Podmuch wiatru sprawił, że ominęła podstawę znicza i sunęła wzdłuż płyty. Dołączyła do innych kropel, tworzących mokrą plamę na powierzchni nagrobka.

Komisarz Lena Rudnicka wciągnęła do płuc chłodne powietrze. Wiatr poderwał suche liście. Zatańczyły w powietrzu i opadły miękko na płytę pomnika. Lena nachyliła się i zgarnęła je ręką. Przesunęła szklany znicz. Z kieszeni kurtki wyjęła paczkę zapalek. Przesunęła jedną z nich po ściance pudełka. Błysnęła iskra, lecz wiatr zgasił płomień. Powtórzyła czynność z kolejną zapalką, przyłożyła ją do knota i szybko nakryła znicz. Przesunęła świeczkę w odpowiednie miejsce i wyprostowała plecy. Spojrzała przed siebie. Powiodła wzrokiem po terenie cmentarza, jakby dostrzegła w oddali coś niepokojącego.

Lena stała w tym miejscu trzy lata temu, kiedy do grobu rodzinnego składano ciało Jerzego Zalewskiego, jej wuja. Pułkownik był bez wątpienia złym człowiekiem. Odpowiadał za śmierć wielu ludzi, ale przez lata był jedyną osobą, na którą Lena mogła liczyć.

Nie zdążyła z nim porozmawiać. Nie zadała mu pytań, na które chciała poznać odpowiedź. Czy zrezygnowałby z miłości do jej matki, gdyby wiedział, że doprowadzi do jej śmierci?

Lena robiła wszystko, by nikt nie łączył jej z facetem, którego zamknąć pragnęli wszyscy gliniarze z wydziału narkotykowego. Odpychała go, a on trwał przy jej boku. Była policjantką. Powinna zerwać z nim wszelkie kontakty, ale nie zrobiła tego.

Kiedy stała nad jego grobem i próbowała przywołać w pamięci jego twarz, widziała jedynie krew i oparte o ścianę ciało z bezwładnie spuszczoną głową. Pomiędzy udami Pułkownika leżał pistolet i opróżniona do połowy butelka szkockiej. Kula przebiła czaszkę i utkwiała na wysokości sześćdziesięciu centymetrów w betonowej ścianie. Kark Pułkownika był pokryty drobinkami tynku.

Koledzy z komendy zapytali, czy chciałaby go zobaczyć, zanim zabiorą ciało do prosektorium. Kiedy przyjechała na miejsce, pomyślała, że gdyby miała strzelić sobie w głowę, potrzebowałaby znacznie więcej alkoholu.

Policjanci nie brali pod uwagę udziału osób trzecich. Szybko ustalono, że Pułkownik popełnił samobójstwo. Lena wiedziała, że to prawda, lecz nie potrafiła się z tym pogodzić. Dzień przed śmiercią napisał list, który przeczytała wiele razy, ale dopiero niedawno uświadomiła sobie, co chciał jej przekazać.

– Zimno.

Lena odwróciła się i spojrzała na córkę. Trzylatka siedziała na ławce i machała nóżkami. Spod jej czapki wystawały kosmyki kręconych włosów. Dziewczynka nieudolnie usiłowała wepchnąć je z powrotem.

– Już idziemy – zapewniła Lena.

– Kto tutaj jest?

– Gdzie?

Dziewczynka wyciągnęła rękę w stronę nagrobka.

Lena się zawahała, a potem usiadła na ławce obok córki. Objęła ją ramieniem. Śmierć to jeden z wielu tematów, z jakimi będzie musiała się zmierzyć jako matka.

– Nasza rodzina – wyjaśniła.

- Tam?
- Mhm.
- Umarli?

Lena wskazała na niebo.

- Nie ma ich z nami, ale patrzą na nas z góry – powiedziała. – Dlatego powinniśmy czasem ich odwiedzać.
- Czemu?

– Będzie im miło. Bo nadal o nich pamiętamy.

Trzylatka przez krótką chwilę zastanawiała się nad słowami matki.

- Tam jest tata? – zapytała.

– Nie, kochanie. Twój tatuś jest gdzieś indziej. Tutaj został pochowany mój wujek oraz twoi dziadkowie, dziadek Seweryn i babcia Basia.

- Ja jestem Basia.

– Zgadza się. Dostałaś imię po babci, a wiesz, dlaczego?

Dziewczynka pokręciła głową.

– Babcia była dobrym człowiekiem – wyjaśniła Lena. – Kochała mnie i ciocię Marysię. Robiła wszystko, żebyśmy były szczęśliwe. Jestem pewna, że gdyby żyła, byłaby najlepszą babcią na świecie.

Dziewczynka uśmiechnęła się i zeskoczyła z ławki. Wpatrywała się przez chwilę w płytę nagrobną, a potem przeniosła wzrok na matkę.

- Szkoda, że umarli – powiedziała. – Chciałabym mieć babcię i dziadka jak inne dzieci.

– Wiem.

- I tatę. Chciałabym mieć tatę.

## 2

Lena oparła dłonie na umywalce i spojrzała w lustro. Opadające na ramiona kasztanowe włosy wymagały podcięcia. Błyszczące niegdyś oczy straciły blask. Miała szczupłe ciało z delikatnie zarysowanymi pierściami, ale za bardzo suchą. Dżinsy wisały luźno na biodrach. Na wszelki wypadek zrobiła kolejną dziurkę w skórzanym pasku.

Przeszła szerokim korytarzem i znalazła się w przestronnym salonie z oknami wychodzącymi na taras. Przystanąła przy kuchennej wyspie. Maria podała jej kubek ze świeżo zaparzoną kawą.

- Dzięki. – Lena upiła łyk i otarła usta wierzchem dłoni.

– Muszę wybrać się na cmentarz – powiedziała Maria. Z górnej szafki wyjęła garnek, napełniła go wodą i postawiła na płycie grzewczej. – Przejadę się jutro. Dzieciaki mają tydzień u ojca. Planuję wziąć kilka dni urlopu, bo przez ten zapieprz ledwo żyję.

Maria pracowała jako ginekolog w łódzkim szpitalu. Lata nauki i wyrzeczeń sprawiły, że pięła się po szczeblach kariery. Była jedną z najlepszych specjalistek w kraju. W ostatnim czasie los wywrócił jej życie do góry nogami. Mieszkała w pięknym domu na przedmieściach Łodzi, miała dwójkę utalentowanych dzieci, pracę, którą kochała, i życie, jakiego pozazdrościłaby jej niejedna kobieta. Rzecz w tym, że w małżeństwie Marii od dawna się układało. Ze względu na dzieci małżonkowie rozstali się bez awantur i podzielili opieką. Tydzień mieszkały u matki, tydzień u ojca.

- Zjesz z nami? – zapytała. – Przygotuję makaron z pesto.

– Nie zdążę.

- To zostawię ci na później. Odgrzejesz sobie?

– Okej.

W ostatnim czasie Maria była nadopiekuńcza wobec siostry. Dbała o nią, dzwoniła i wyciągała z domu. Lena nie protestowała, sądząc, że w ten sposób Maria odreagowuje rozwód. Dawało jej to poczucie stabilności i kontroli nad sytuacją.

- Zostaniesz z Baśką? – zapytała Lena.

– Oczywiście.

– Nie mam pojęcia, ile potrwa spotkanie. Mam nadzieję, że krótko.

– Nie przejmuj się. – Maria oparła dłonie o kuchenny blat. – Poradzimy sobie. Basia jest taka grzeczna. Chętnie z nią zostanie. Wiem, że przed tobą trudny okres. Powrót do pracy po urlopie macierzyńskim bywa stresujący.

– Nie nazwałabym tego...

– Każda matka powie ci to samo. Najpierw nie możesz doczekać się powrotu do pracy, a kiedy nadchodzi ten dzień, umierasz ze stresu. Martwisz się, czy dasz radę. I jak dziecko zareaguje na rozłąkę.

W słowach Marii było trochę prawdy, ale w gruncie rzeczy Lena nie przejmowała się powrotem do pracy.

Martwiła się o córkę.

Po porodzie została z dzieckiem. Maria przekonała ją, że w pierwszym okresie życia maleństwo potrzebuje bliskości matki. A teraz nadchodził dzień, którego Lena tak bardzo się obawiała. Była umówiona na rozmowę z naczelnikiem wydziału, podczas której mieli ustalić termin jej powrotu do pracy.

– Basia jest radosnym dzieckiem – zachwyciła się siostra. – W jej wieku moje dzieciaki rozniosłyby dom w dziesięć minut.

– Wrodziła się w ojca.

Maria spjrzała na Lenę spode łba. Nie podjęła drażliwego tematu. Rozmowa o ojcu Basi zazwyczaj kończyła się kłótnią.

– Zawsze chciałam dać moim dzieciom wszystko, co najlepsze – odparła Maria. – Ale nie przeczę, że są trochę rozpieszczone.

– Trochę?

– Oj, nie przesadzaj.

Dzieci Marii zawsze dostawały to, czego chciały. Po rozwodzie stały się niezdolne. Zabiegały o uwagę obojga rodziców, a Maria i Bastian ścigali się w spełnianiu ich zachcianek.

Lena spjrzała w okno balkonowe. Na ratanowym fotelu przysiadł kruk. Otrzeptał mokre od deszczu pióra i ciekawie zerkał do wnętrza domu.

– Nie mogę uwierzyć, że już trzy lata minęły od śmierci Jerzego – odezwała się Maria. Posoliła wrzącą wodę i wrzuciła makaronowe wstążki.

– Ja nie mogę uwierzyć, że strzelił sobie w łeb.

– Zrobił to, bo nie chciał iść siedzieć.

Lena była innego zdania.

– Całe życie udawało mu się uniknąć odsiadki – ciągnęła Maria. – A kiedy dotarło do niego, że najbliższe lata spędzi w więzieniu, uznał, że zrobi to, co nieuniknione.

Pół roku – tyle życia dał Pułkownikowi onkolog. Guz rozwijał się szybko i równie szybko doprowadziłby do śmierci. Jerzy widział, jak jego brat Seweryn umierał w bólu i męczarniach. Pułkownik wybrał inną drogę. Skrócił własne cierpienie. Lena nie rozumiała, dlaczego zacięty i mściwy Jerzy poddał się bez walki. Twardziele tacy jak on nie odpuszczają tak łatwo.

Lena nie powiedziała siostrze o liście Jerzego. Kiedy przed trzema laty rozerwała kopertę, wyjęła pogniecioną kartkę i przebiegła wzrokiem niezgrabne pismo, pomyślała, że Pułkownik się pomylił. Zapewniał ją, że poradziłaby sobie bez niego, ale postanowił pomóc siostrzenicy. Wypełnił ostatnie zadanie w życiu.

Dopiero niedawno Lena zrozumiała, o czym napisał Jerzy.

Gdy wystąpiła o rozwód, Krzysztof robił wszystko, by uprzykrzyć jej życie. Pozew rozwodowy odebrał jako chwilowe nieposłuszeństwo żony. Przez wiele tygodni nie zgadzał się na rozwód, aż nastał dzień, gdy zadzwonił do Leny i oznajmił, że przystaje na jej warunki. Sprzedał wspólne mieszkanie na Księżym Młynie i podzielił pieniądze. Podczas rozprawy milczał. Podpisał dokumenty i zniknął z jej życia. Do końca procesu ukrywała ciążę. Nie chciała, by wykorzystał to przeciwko niej.

Była pewna, że Krzysztof coś kombinuje, że planuje zemstę. Po rozprawie nie dzwonił, nie pisał ani nie nadchodził jej w domu. Nie dał żadnego znaku życia. Lena nie mogła uwierzyć, że poszło tak gładko.

Jakiś czas temu poznała przyczynę tej zmiany w jego zachowaniu.

Jerzy Zalewski został świadkiem koronnym. Człowiek zarządzający prężnie działającym biznesem narkotykowym poszedł na układ z policją, o czym Lena wówczas nie miała pojęcia. Pułkownik działał w przestępczym świecie wiele lat, a informacje, jakie przekazał policji, okazały się nadzwyczaj cenne. Znał sekrety wielu majątnych ludzi. Między innymi Krzysztofa Nawrockiego. Początkowo policjanci traktowali Jerzego z rezerwą. Węszyli podstęp, mieli go na oku. Dopiero kilka tygodni temu jeden z kolegów opowiedział jej o wszystkim.

Okazało się, że Krzysztof z obawy o własną posadę przystał na stawiane przez Zalewskiego warunki i pozwolił jej odejść. A potem Pułkownik jednak opowiedział policjantom o związkach prokuratora ze światem przestępczym.

Nawrocki dostał wyrok kilkuletniej odsiadki w więzieniu.

Tym sposobem Pułkownik po raz ostatni wyświadczył bratanicy przysługę. W liście wskazał miejsce, gdzie Lena znajdzie pozostawione dla niej, dla Marii i Basi pieniądze. A potem się zastrzelił.

Głos Marii wyrwał Lenę z zamyślenia.

– Co mówiłaś? – zapytała. – Wybacz. Zamyśliłam się.

Maria podparła się pod boki.

– Pytałam, czy podtrzymujesz swoją decyzję i wnioskujesz o stanowisko biurowe?

– Tak.

– Jesteś pewna?

Lena wzruszyła ramionami.

– Wszędzie potrzebni są ludzie do przerzucania papierów – odparła.

– Pytałam, czy na pewno tego chcesz?

– Nie chcę. Ale nie mam innego wyjścia.

Maria posłała siostrze wymuszony uśmiech.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Mam dla kogo żyć. Nie mogę ryzykować.

### 3

Komisarz Rudnicka zaparkowała przed budynkiem Komendy Wojewódzkiej Policji przy Lutomińskiej. Dwulitrowy silnik saaba 9-3 ucichł. Przez zamknięte szyby samochodu przebijały się odgłosy miasta. Szum toczących się po wilgotnym asfalcie samochodowych opon. Śmiech dziecka, które matka prowadzi za rękę. Ożywiona rozmowa studentów na pobliskiej ławce. Deszcz ustał. Niebo zaczęło się przejaśniać, ale w powietrzu nadal było czuć zapach deszczu.

Rudnicka wysiadła z samochodu. Zamknęła drzwi i spojrzała na dziesięciopiętrowy budynek komendy. Pomyślała, że minęły trzy lata, odkąd była tutaj ostatni raz. Barwicki przekonywał Lenę, by wróciła do pracy. Przedstawił świetną ofertę – stanowisko szefowej grupy i niezła pensja. Rudnicka odmówiła. Nad zawodową karierę przedkładała potrzeby córki.

Tęskniła za pracą. W ciągu minionych trzech lat wielokrotnie przyłapywała się na myśleniu o powrocie do służby. Tęskniła za ludźmi i adrenaliną. Tęskniła za Białymi Brzegami. W komisariacie między policjantami panowały niemal rodzinne relacje. W Łodzi liczącej ponad siedemset tysięcy mieszkańców trudno było o nawiązanie bliższych znajomości. Szczególnie w miejscu, jakim była komenda wojewódzka, gdzie pracowało mnóstwo wiecznie spieszących się funkcjonariuszy.

Przypuszczała, że jej pomysł nie spodoba się naczelnikowi, ale już podjęła decyzję. Wyjazdy w teren nie wchodziły w grę. Przyjechała tutaj, aby prosić o przydzielenie stanowiska, które nie kolidowałoby z macierzyństwem.

Czekając na windę, odetchnęła głęboko. Denerwowała się czekając ją rozmową. Winda zatrzymała się na siódmym piętrze. Lena ruszyła korytarzem. Zerknęła na numery mijanych pokoi. Szła wzdłuż ściany, aby uniknąć przypadkowego zderzenia z krzątającymi się policjantami. Przystanąła pod drzwiami pokoju 705.

– O cholera.

Usłyszała za sobą znajomy głos i obróciła głowę. Zobaczyła uśmiechniętego Tymona Milewskiego. Na widok starej znajomej aspirant rozłożył ręce.

– Mogę? – zapytał.

– Śmiało.

Objęli się na powitanie, a gdy odsunął Lenę na długość ramion, zauważyła, że schudł przynajmniej dziesięć kilogramów. Po misiwatym Tymonie nie było śladu. Skronie mu posiwiwały, na twarzy miał kilkudniowy zarost, a na jego dłoni brakowało obrączki.

Lena i Tymon poznali się kilkanaście lat wcześniej. Kiedyś byli dobrymi kumplami, ale kiedy Rudnicka została wyrzucona z komendy przy Sienkiewicza, żadne z nich nie podjęło próby kontaktu.

Z twarzy Milewskiego nie schodził uśmiech.

– Niech mnie gęś kopnie. – Zaśmiał się. – Nie do wiary!

– Mogłabym powiedzieć to samo.

– Nie mów, że przeniosłaś się do wojewódzkiej!

– A ty co tutaj robisz?

– Pracuję! Dwa lata temu odszedłem z Sienkiewicza. Myślałem, że wiesz.

– Nie miałam pojęcia.

To, że przez ostatnie trzy lata nie interesowały ją firmowe plotki, zachowała dla siebie. Nie utrzymywała kontaktu z nikim z komendy.

– Dlaczego? – zapytała.

– Hm. – Cofnął się, jakby Lena uderzyła w czułą strunę. – Tak wyszło. – Wzruszył ramionami i sposepniął, ale zaraz dodał z uśmiechem: – Mamy tyle do nadrobienia!

Lena wiedziała o tragedii, jaka spotkała Tymona. Przed narodzinami Basi córka Tymona umarła. Dziewczynka chorowała na raka. Po jej śmierci małżeństwo Milewskich się rozpadło. Do tej pory Lena nie myślała o dawnym koleźce, ale kiedy uświadomiła sobie, że Tymon został z problemami sam, poczuła wyrzuty sumienia.

– Stary wezwał na rozmowę? – domyślił się.

– Coś w tym stylu.

– Miło będzie znowu razem pracować.

W odpowiedzi się uśmiechnęła.

– Wracam po urlopie – wyjaśniła. – Naczelnik poprosił o spotkanie trochę wcześniej. Planowo mieliśmy się spotkać za miesiąc.

– Wiem.

– Wiesz?



W oczach Tymona pojawiła się skrucha.

– Pogadamy później? – zaproponował.

– O czym ty mówisz?

– Sama zobaczysz.

I odszedł bez słowa wyjaśnienia. Przez krótką chwilę Rudnicka wpatrywała się w jego plecy.

Wzięła głęboki oddech, a potem zapukała.

– Wejść!

Nieśmiało zajrzała do środka. Siedzący za biurkiem naczelnik Barwicki poderwał się z krzesła. Z wyciągniętą dłonią przemaszerował przez pokój. Poruszał się równym, wyćwiczonym krokiem starego wojskowego.

– Dzień dobry, Leno! – przywitał się. – Cieszę się, że udało nam się spotkać wcześniej. Wchodź, zapraszam!

Uściskał dłoń Rudnickiej i trzykrotnie nią potrząsnął. Mierzył nie więcej niż metr siedemdziesiąt. Biała koszula opinała wyćwiczone na sielwni ramiona, a guziki garniturowej kamizelki sprawiały wrażenie, jakby miały odpaść przy głębszym wydechu.

Wrócił za biurko i wskazał jej krzesło naprzeciwko. Gdy Lena zajęła miejsce, także usiadł.

– I jak ci się podoba? – Rozejrzał się po skromnie urządzonej gabinecie.

– Spotkałam Milewskiego.

– Ach, Tymona.

– Nie miałam pojęcia, że przeniósł się do wojewódzkiej.

– To dobry śledczy.

– Zgadzam się.

Rozejrzała się po pokoju. Solidne dębowe biurko, przy którym siedzieli, musiało kosztować majątek. Raczej nie zostało sfinansowane z państwowych funduszy. Na biurku znajdowały się dokumenty w foliowych koszulkach, opakowanie spinaczy do papieru, zszywacz, pojemnik na długopisy, laptop i zdjęcie kobiety obejmującej dwóch chłopców. Przy przeciwległej ścianie stały dwa regały z ułożonymi alfabetycznie segregatorami.

Naczelnik złożył dłonie jak do modlitwy. Na jego palcu błysnęła złota obrączka. Przyglądał się Rudnickiej z lekkim uśmiechem. Na czole miał kilka poziomych zmarszczek. Uznała, że musiał być starszy, niż początkowo zakładała.

– Bałem się, że odmówisz, kiedy zadzwoniłem – powiedział.

– Naczelnikowi się nie odmawia.

Zaśmiał się szczerze.

– Mogłaś mieć na głowie inne sprawy.

– Przecież to tylko rozmowa.

Lena dostrzegła na twarzy Barwickiego niepewność.

– Długo cię nie było – stwierdził.

– Zajmowałam się dzieckiem.

– Jak mała?

– W porządku. To bystry dzieciak.

– Rodzina jest najważniejsza. – Wzrok Barwickiego mimowolnie powędrował w kierunku stojącego na biurku zdjęcia. – Mam dwóch synów. Niezłe z nich urwisy, ale kocham ich nad życie. Teodor ma dziesięć lat, a Filip dwadzieścia. Zaczynają dorastać. Mają swoje sprawy. Najbardziej boję się chwili, kiedy jako ojciec przestanę być im potrzebny.

– Dziecko zawsze potrzebuje rodziców.

– Racja... – Zamyślił się. – Czy twoja córka ma opiekę?

– W jakim sensie?

– Masz dla niej opiekunkę? A może chodzi do przedszkola?

– Jeszcze nie.

– To jest odpowiedź na które z moich pytań?

– Na oba.

Naczelnik odchylił się na oparciu.

– Dlaczego pytasz? – Lena zmrużyła oczy. – Mieliśmy ustalić datę mojego powrotu. Sądziłam, że zdążyć znaleźć opiekunkę dla Basi.

– No tak, tak... Ale sprawy uległy pewnej modyfikacji.

Rudnicka zaczynała rozumieć, że naczelnik miał swoje powody, by poprosić ją o wcześniejsze spotkanie. Wyprostowała plecy i uniosła podbródek.

– O co chodzi? – zapytała.

– Hm, jak by to ująć... – Barwicki pomasaował sobie skronie, a potem sięgnął po teczkę leżącą na szczycie stosu.

Otworzył ją, a następnie przesunął w kierunku Leny.

Nawet na nią nie spojrzała.

– Co to jest?

– Sama zobacz.

Zerknęła na dokument. Nie musiała go czytać, aby wiedzieć, czego dotyczył. Zdjęcie uśmiechniętego chłopca sprawiło, że żołądek Rudnickiej zacisnął się w supeł.

– Nie – warknęła. – Mowy nie ma.

– Niczego jeszcze nie zaproponowałem.

– Ale domyślam się, czego dotyczy twoja propozycja. Moja odpowiedź brzmi: nie.

Barwicki westchnął.

– Miałem nadzieję, że zrozumiesz.

– Nie tak się umawialiśmy.

– Wiem. – Uniósł otwarte dłonie. – Umawialiśmy się, że wrócisz do pracy biurowej. Ale jesteś potrzebna w terenie.

– Odpada.

– Leno.

– Nie ma mowy.

Naczelnik najwyraźniej przygotował się na odmowę.

– A jeśli obiecuję, że to ostatnia sprawa? – zaproponował. – Pomożesz nam, a potem koniec z akcjami? Etat od siódmej trzydzięci do piętnastej trzydzięci i wolne weekendy.

Wyraz twarzy komisarz się zmienił, jakby rzeczywiście rozważała propozycję

– Moja prośba wynikała z tego, że mam dziecko – odparła. – Większość policjantów podjęła służbę po to, by łapać przestępców. Adrenalina jest wpisana w nasz zawód, ale odsłużyłam swoje. Brałam udział w wielu stresujących i niebezpiecznych sytuacjach. Wiesz, szefie, z czym wiąże się praca w terenie? – Umilkła na chwilę, czekając na odpowiedź, która nie nadeszła. – Wraz z każdym wyjazdem zastanawiasz się, czy wrócisz do domu, czy przypadkiem nie postarzel cię jakiś uzbrojony świr. Nie mogę sobie pozwolić na takie ryzyko.

Barwicki przyciągnął teczkę do siebie. Wyjął z niej trzy fotografie, położył na blacie i podsunął Rudnickiej.

– Wiktor Wachowiak zaginął ósmego października zeszłego roku – powiedział, wskazując palcem uśmiechniętego blondynka z kręconymi włosami. – Miał osiem lat. Jak co dzień wyszedł do szkoły około siódmej dwadzieścia. Na lekcje nigdy nie dotarł. Był urwisem, ale rodzice twierdzą, że nie odważyłby się iść sam na węgry. – Barwicki przysunął kolejną fotografię przedstawiającą dziewczynkę z kucykami po bokach głowy. – Amelia Gadomska, lat siedem. Pochodziła z dobrze sytuowanej rodziny. Chodziła do szkoły przy Dąbrówki. Dwunastego stycznia skończyła lekcje za kwadrans druga. Ojciec miał ją odebrać, ale się spóźnił. Kiedy przyjechał, córki przed szkołą nie było i nikt nie ma pojęcia, co się z nią stało. – Naczelnik wskazał zdjęcie chłopczyka ubranego w czerwone ogrodniczki. – Paweł Abramowski, cztery lata. Zaginął ósmego marca. Sąsiadka widziała go, kiedy krążył po dziedzińcu kamienicy. Czekał, aż matka wróci z pracy. On także przepadł jak kamień w wodę. Wszystkie te zdarzenia miały miejsce na terenie Łodzi.

Lena odwróciła wzrok. Znała te sprawy. Początkowo nie schodziły z pierwszych stron gazet i nagłówków serwisów internetowych. Najpierw zaginął Wiktor Wachowiak. Jakby rozplynął się w powietrzu. Policja nie znalazła porwacza. W mediach społecznościowych powstały grupy poszukiwawcze, ale ich działania nie przyniosły rezultatu.

Po zaginięciu siedmioletniej Amelii w śledztwo zaangażowali się prywatni detektywi i jasnowidze, jednak oni również nie znaleźli dziewczynki. Media spekulowały, że w Łodzi grasuje seryjny porwacz dzieci, a ich przepuszczenia potwierdziły się, gdy miesiąc temu zaginął Pawełek Abramowski.

Dziennikarze patrzyli policji na ręce. Internauci analizowali każdy ruch rodziny i organów ścigania. Policjanci musieli być ostrożniejsi w ferowaniu wyroków. Na konferencji rzecznik prasowy rozważnie dobierał słowa.

– Wiem, że spodziewałaś się czegoś innego – powiedział naczelnik.

– Tylko szalenięć podjąłby się tej sprawy z własnej woli.

Barwicki się uśmiechnął.

– Chciałbym, żebyś została szefem zespołu. Dostaniesz tylu ludzi, ilu potrzebujesz. Sprzęt i nieograniczone środki finansowe. Musimy zrobić wszystko, by odnaleźć te dzieciaki. Jedyną rzeczą, jakiej nie mogę ci dać, jest czas. Wciąż mamy go za mało.

Lena przekrzywiła głowę. Naczelnik miał do dyspozycji mnóstwo doświadczonych i czynnych policjantów. Dlaczego postanowił mianować szefem zespołu kogoś, kto od trzech lat nie miał w ręku służbowej broni?

– Dlaczego ja? – zapytała.

– Czy to oznacza, że się zgadzasz?

– Dlaczego to ja dostanę nieograniczone środki na znalezienie tych dzieci? Dlaczego nie wybrałeś kogoś, kto wcześniej zajmował się zaginięciami? Pracowałam przy morderstwach, nie jestem dobra w szukaniu ludzi.

– Bo widzisz to, czego inni nie dostrzegają. Jestem pewien, że sobie poradzisz.

– Media nas zjedzą. Nie tylko mnie, ale również ciebie.

Barwicki uśmiechnął się niemal ze smutkiem.

– Wiesz, co zobaczą dziennikarze? – ciągnęła Rudnicka. – Zobaczą, że najważniejszą sprawę w kraju dajesz policjancie, przez którą kilka lat temu zginął komendant Wolski. Media nie zapominają takich rzeczy. Pożrą nas żywcem. – Rudnicka zamilkła. Nagle uświadomiła sobie coś, czego naczelnik nie powiedział na głos. – O cholera –

mruknęła pod nosem, wstając. – Właśnie o to chodzi, prawda? W przypadku porażki macie kozła ofiarnego. Bo kto inny mógłby pokpić sprawę, jak nie komisarz, która już raz zawałała?

– Nie dopuszczam do siebie myśli, że nie uda ci się odnaleźć dzieci.

– Pieprzenie.

Rudnicka wsunęła dłonie do kieszeni dżinsów i wyjrzała przez okno.

– To pomysł Tymona – rzuciła.

– Tak.

– To nie było pytanie.

– Patrzysz na naszą propozycję z niewłaściwej perspektywy. Posłuchaj. Od kilku miesięcy usiłujemy znaleźć człowieka, który porwał te dzieci. I wiesz, co mamy?

– Myślę, że niewiele.

– Nic. Żadnych konkretów. Facet jest jak duch.

– Skąd wiecie, że to facet?

– Bo statystycznie więcej mężczyzn niż kobiet porywa dzieci.

– Nie możemy być pewni, że w tym przypadku tak właśnie jest.

– Słusznie. – Naczelnik wstał, stanął naprzeciwko Leny i spojrzał jej w oczy. – Zastanawialiśmy się, w jaki sposób działać. Wyczerpaliśmy wszystkie pomysły. Moi ludzie nie byli w stanie zrobić nic więcej. Tymon pracował przy tej sprawie. I masz rację, to on zaproponował, żeby się z tobą skontaktować.

– Od początku nie chodziło o rozmowę o terminie powrotu do pracy.

– Gdybym powiedział ci, o czym chcę rozmawiać, przysłałabyś?

– Nie.

– Właśnie. Wszyscy wiemy, że Wolski nie zginął z twojej winy. Jesteś świetną śledczą.

– Dość.

Barwicki rozłożył ręce.

Rudnicka podeszła do biurka i wzięła do ręki jedną z fotografii. Przyjrzała się uśmiechniętemu chłopcu.

– Przykro mi – powiedziała. – Nie mogę się na to zgodzić.

– Leno...

– Wybacz, że was rozczarowałam.

Naczelnik westchnął z rezygnacją, a potem zgarnął dokumenty do teczki.

– Chociaż zerknij. – Wyciągnął teczkę w jej stronę. Rudnicka się zawahała. – Weź. Nie proszę o nic więcej. Gdybyś na coś wpadła, masz mój numer. A jeśli chodzi o twój powrót do pracy, zastanów się nad terminem i daj mi znać. Zawsze jesteś mile widziana.

## 4

Droga z Łodzi do Białych Brzegów zajęła Tymonowi godzinę i dwadzieścia minut. Zaparkował samochód przed domem Marcela. Zgasił silnik i wysiadł z samochodu.

Wysypaną drobnymi kamykami ścieżką dotarł do głównych drzwi, lecz zanim zapukał, omiótł wzrokiem podwórze. Dach zabezpieczonej kłódką studni był pomalowany na niebiesko, obok stała plastikowa piaskownica z zestawem wiaderek i leżała piłka do gry w siatkówkę. Pod zachodnią ścianą domu Tymon dostrzegł oparte o ścianę rowery – jeden z dziecięcym fotelikiem z tyłu.

Milewski poczuł, że ktoś go obserwuje. Uświadomił sobie, że drzwi się uchyliły, a w progu stanął sierżant Marcel Wolski. Był ubrany w dżinsy i luźną koszulę w kratę. Miał zmierzwiłone włosy i lewą dłoń ubrudzoną czymś lepkiem.

– Czy ja śnię? – zapytał, wyciągając czystą dłoń w kierunku Tymona.

Milewski pamiętał Marcela jako młodego i niedoświadczonego chłopaka. Teraz stał przed nim facet po trzydziestce o szerokich ramionach i pierwszych zmarszczkach wokół oczu.

– Zmężniałeś. – Tymon klepnął Wolskiego w ramię. – I przypakowałeś.

Wolski puścił tę uwagę mimo uszu.

– Jak mnie znalazłeś? – zapytał.

– Żadna filozofia. Chyba pamiętasz, że mamy całkiem niezłą policyjną bazę danych.

– Gówno prawda. – Wolski się zaśmiał. – Byłeś w sklepie. Przyznaj się. Wiem, że wystarczy ładnie uśmiechnąć się do pani Steni, a opowie ci o każdym mieszkańcu wsi.

– Zapomniałem, że na wsiach sklepowa to źródło informacji.

– Żebyś wiedział. – Marcel uśmiechnął się szeroko. – Wejdiesz? – Odsunął się na bok, wpuszczając Milewskiego do środka.

Poprowadził go przez ganek prosto do kuchni połączonej z pokojem dziennym. Milewski dostrzegł drobne elementy wystroju świadczące o tym, że Marcel nie mieszka sam. Tutaj mieszkała kobieta. Żaden facet nie kupuje

ozdobnych narzut i poduszek pasujących do bieżnika na stole. Sądząc po rozrzuconych po podłodze zabawkach, z Wolskim mieszkało również dziecko.

– Wziąłem wolne, bo młody się rozchorował – wyjaśnił Marcel, myjąc pod kranem dłonie. Klej ciężko schodził. Sięgnął po drucziany zmywak do naczyń i potarł kilka razy. – Co za cholerstwo – mruknął.

– Spróbuj acetonem.

– Powoli schodzi.

Wolski wsunął dłoń pod ciepłą wodę i starł resztki kleju.

W tle grał telewizor.

– Napijesz się czegoś? – zapytał Wolski, wycierając mokre dłonie w ścierekę.

– Kawy.

– Z mlekiem?

– Poproszę.

Marcel nalał wody do czajnika i postawił go na gazie, a potem usiadł przy stole i przejechał dłonią po policzku pokrytym twardym zarostem.

– Możesz mówić – zagaił.

– Hm.

– Bo przecież nie przejechałeś tyle kilometrów, żeby wypić ze mną kawę. – Wolski odchylił się na oparcie krzesła i skrzyżował ramiona. – Oczywiście bardzo mi miło, że wpadłeś. Nie rozmawialiśmy... Ile? Jakieś trzy lata, prawda?

Tymon skinął głową.

Ich ostatnia rozmowa była krótka. Wolski skontaktował się z Tymonem, ponieważ potrzebował adresu domu rodzinnego Leny Rudnickiej. Tymon wyjaśnił mu, dokąd powinien się udać, a Marcel więcej nie zadzwonił. Ich drogi dawno się rozeszły. Przyjaźń nie przetrwała próby czasu.

– Powiedz, co u ciebie słychać? – zapytał Tymon. – Widzę, że zadamowiłeś się na wsi. Całkiem niezłe się urządziłeś.

– Lubię to miejsce.

– Nie brakuje ci miasta?

Marcel położył dłonie na stole.

– Nie bardzo – odparł. – Żaden ze mnie lokalny patriota. W gruncie rzeczy nie przepadałem za Łodzią. Nie spotkało mnie tam nic dobrego.

Milewski przekrzywił głowę, jakby nie dowierzał słowom kolegi.

– Przeniosłem się do wojewódzkiej – oznajmił.

– Gratuluję.

Nie wychwycił w głosie Marcela ironii, choć liczył na coś więcej niż obojętny ton.

– Przyjechałem zaproponować ci pracę.

Marcel uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Mam pracę – odparł.

– Wiem, ale mógłbyś mieć lepszą.

– Zależy, jak na to spojrzeć. Dla mnie ta praca jest satysfakcjonująca.

– Kogo próbujesz oszukać?

Mężczyźni mierzyli się wzrokiem.

Po śmierci ojca Wolski wziął urlop. Zaszły się w górach, a po powrocie podjął pracę w wiejskim komisariacie policji. Chciał odpocząć od głośnych śledstw, ale zdaniem Tymona nadszedł czas, by wrócił. Był potrzebny.

– Czym się tutaj zajmujesz? – zapytał.

– Różnymi sprawami.

– Jakimi?

Marcel głośno wypuścił powietrze.

– Wiem, do czego zmierzasz – mruknął. – Nie rób tego. Lubię tę wieś i ludzi, których mam wokół siebie. Nie potrzebuję niczego więcej. Nie mam pojęcia, gdzie teraz pracujesz, ale jeśli chcesz, żebym wrócił do Łodzi, odpuść. Nie zamierzam się stąd ruszać.

– Czytasz gazety?

– Mamy tutaj telewizję i internet.

– Czyli wiesz, co dzieje się w Łodzi?

Wolski zawiesił wzrok w przestrzeni ponad głowę Milewskiego. Poczuł, że krew w żyłach zaczyna mu krążyć nieco szybciej.

– Zaginęło troje dzieci – ciągnął Tymon. – Dwóch chłopców i dziewczynka. Pracujemy nad tą sprawą od początku, ale wciąż nie mamy niczego konkretnego. Zaproponowałem naczelnikowi świeże spojrzenie. Zaczniemy od początku z nowymi ludźmi. Jeszcze raz porozmawiamy ze wszystkimi świadkami. Liczę, że uda nam się dostrzec coś, co przeoczyliśmy. Przyjechałem ci zaproponować, żebyś dołączył do zespołu.

– Czyli jednorazowa akcja?

– Myślę, że gdybyś chciał, nie miałbyś żadnych problemów, żeby zostać.

– Ale nie chcę.

– Rozumiem.

Wprawdzie Marcel nie był gotów wrócić na stałe do wielkiego miasta, ale jednorazowa pomoc wydawała mu się propozycją godną rozważenia.

– Kto wchodziłby w skład zespołu? – zapytał.

– Im mniej ludzi, tym lepiej. Myślę, że maksymalnie pięć do sześciu osób.

– Ktoś, kogo znam?

– Na razie jesteśmy ty i ja.

Czajnik zagwizdał. Wolski wstał, odczekał chwilę i zalał kawy parującą wodą. Postawił kubki na stole i wsunął dłonie do kieszeni spodni.

– Zastanowię się – odparł.

– Czyli nie odmawiasz?

– Nie mogę sam podjąć takiej decyzji. Jest ktoś, z kim powinienem omówić ewentualny wyjazd.

– Pamiętaj, że mamy niewiele czasu.

Wolski usiadł naprzeciwko i zagryzł dolną wargę.

– Pytałeś, czym się tutaj zajmuję – powiedział. – Najpoważniejszą sprawą w ciągu ostatniego roku było pobicie ze skutkiem śmiertelnym. Dwóch facetów piło razem wódkę. Pokłócili się i doszło do szarpaniny. Jeden przyłożył drugiemu butelkę. Facet może by przeżył, ale upadł tak niefortunnie, że tyłem głowy uderzył w krawężnik. Kumpel uciekł, zamiast go ratować. Zniknął na dwa dni. Znaleźliśmy go w opuszczonym domu w sąsiedniej wsi.

– A więc wcale nie jest tutaj tak nudno, jak by się wydawało.

Marcel uśmiechnął się smutno.

– Czasem brakuje mi czegoś... czegoś większego.

– Dlaczego nie wróciłeś?

– Ze strachu. – Wolski potarł ramiona. – Łatwiej pozostać przy czymś, co się zna. Strach przed nieznanym to powszechna przypadłość.

– Pewnie masz rację.

– No i mam tutaj kogoś, kogo nie chciałbym zostawiać.

Z ganku dobiegł dźwięk otwieranych drzwi i tupot otrzepywanych z piachu butów. Wolski wpatrywał się nieobecny wzrokiem w czubki własnych palców, lecz szybko przywołał uśmiech na twarz, kiedy kobieta wraz z kilkuletnim chłopcem pojawili się w korytarzu.

Wstał i pocałował ją w policzek, a potem wskazał na Tymona.

– To mój stary dobry znajomy z komendy miejskiej – powiedział. – A to moja narzeczona Daria Sobczak.

## 5

Po rozwodzie Rudnicka kupiła mieszkanie przy Narutowicza 18. Siedemdziesiąt metrów kwadratowych i taras wychodzący na ruchliwą ulicę. Wieczorami siadywała na nim i obserwowała przejeżdżające samochody. Kamienica została wybudowana w 1882 roku i należała do Ferdynanda Rathego. Najpiękniejsze kamienice w mieście zostały wybudowane przez łódzkich fabrykantów. Chociaż łukowate okna i złote zdobienia nie były w stylu Leny, urzekło ją zadbane i odrestaurowane wnętrze mieszkania.

Rudnicka posadziła Basię na kanapie i włączyła kreskówkę, a sama zajęła się przygotowywaniem kurczaka z warzywami. Basia z chęcią jadła wszystko, co dostawała. Czyściła talerz z warzyw i dopominała się o dokładkę. Szybko nauczyła się chodzić. Płynnie mówiła. Zdaniem Leny codzienne czytanie książki przed snem miało duży wpływ na rozwój dziecka. Lena martwiła się jedynie o relacje Basi z innymi dziećmi. A właściwie ich brak. Wycofana i nieśmiała dziewczynka najchętniej bawiła się sama.

Postawiła talerz przed córką. Basia z całej siły wbiła plastikowy widelec w kawałek mięsa. Uśmiechnęła się do matki, a potem utkwiała wzrok w kolorowych stworkach na ekranie.

– Dobre? – zapytała Lena.

– Mhm.

– Cieszę się.

– Spać.

– Chcesz iść spać? Zaprowadzić cię do twojego pokoju?

– Nie. – Dziewczynka pokręciła głową. – Tutaj.

W ciągu dnia Basia spała na kanapie, oglądając bajkę. To był ich mały rytuał, który cieszył Lenę. Drzemka dziecka w ciągu dnia bywa dla matki błogosławieństwem.

Obserwując córkę, sięgnęła po telefon. Wpisała w wyszukiwarce hasło i przejrzała listę przedszkoli w okolicy. To nie będzie prosta sprawa, pomyślała. Zanotowała adresy i zadzwoniła do kilku z nich. Tak jak się spodziewała, w żadnym nie było miejsca dla nowego dziecka.

Basia odstawiła pusty talerz na stolik i zasnęła. Lena przykryła ją kocem i pogładziła po głowie. Kochała tę dziewczynkę całym sercem, ale nie mogła zatrzymać jej tylko dla siebie. Basia powinna nabrać samodzielności.

Zatelefonowała do siostry.

– Cześć – powiedziała. – Słuchaj, czy twoja opiekunka dzieciaków nie szuka przypadkiem pracy?

– Już dawno u mnie nie pracuje. Dzieci są przecież duże... Poczekaj. – Po drugiej stronie rozległ się dźwięk zaciąganego hamulca ręcznego. – Miałas wrócić do pracy za dwa miesiące.

– Wiem.

– I co?

– Na razie rozważam opcje. Jeśli nie będę miała z kim zostawić Basi, poczekam. Chciałam zorientować się w sytuacji. Dzwoniłam do kilku przedszkoli, ale nie ma szans, żeby ją przyjęli.

– Naczelnik chce, żebyś wróciła szybciej?

– Tak jakby.

– Kiedy dokładnie?

– Jutro.

Siostra głośno wypuściła powietrze z płuc.

– Chyba żartujesz? – mruknęła. – Przecież zanim znajdziesz dla Basi opiekę, minie kilka tygodni. Na przedszkole trzeba czekać, chyba że zatrudnisz opiekunkę, ale nie wiem, czy zostawianie dziecka z obcą osobą to dobry pomysł.

– A tamta dziewczyna, która u ciebie pracowała?

– Zuzka?

– Wspominałaś, że chciała otworzyć domowe przedszkole.

– Nie mam pojęcia, czy to zrobiła. Nie rozmawiałam z nią.

– Mogłabyś się dowiedzieć? – poprosiła Lena. – I zapytać, czy ma wolne miejsce? Wy się znacie, więc może spojrzysz na ciebie trochę inaczej.

Po drugiej stronie zapadło milczenie.

– Halo? – ponagliła siostrę.

– Jesteś pewna?

– Nie.

– Dobrze się zastanów, Lenko, zanim podejmiesz taką decyzję. Basia jest z tobą mocno związana. Nie jestem pewna, czy rzucanie jej na głęboką wodę przyniesie dobre rezultaty. Dziecko powinno przyzwyczać się do rozłąki z rodzicem, a do tej pory spędzała czas wyłącznie z tobą albo ze mną.

– Masz rację.

– Mam rację, ale i tak zrobisz po swojemu?

Lena zagryzła wargę.

– Zadzwońisz do tej dziewczyny? – zapytała.

– Jestem na parkingu przed marketem. Byłam na zakupach. Wrócę do domu i od razu do niej przedzwonię.

– Dzięki.

Rudnicka myślała o aktach sprawy, które przekazał jej naczelnik. Leżały w płóciennym torbie w korytarzu. Rozsądek podpowiadał, by nie zaglądała do środka, ale zanim się zorientowała, siedziała na łóżku z teczką na kolanach. Wyjęła dokumenty i rozłożyła na pościeli. Przez krótką chwilę przyglądała się zdjęciom dzieci. Zastanawiała się, czy po trzyletniej przerwie potrafi jeszcze rozwiązać jakąkolwiek sprawę. Kiedyś była niezłą śledczą, ale dziś nie była już pewna swoich umiejętności.

Dokumentów nie było dużo. Pomyślała, że Barwicki przekazał jej okrojoną wersję, ale uświadomiła sobie, że prawdopodobnie policja miała tylko tyle. I nic więcej.

Oparła się o zagłówek i zaczęła czytać.

Pierwszym zaginionym chłopcem był ośmioletni Wiktor Wachowiak. Chłopiec ufnie spoglądał w obiektyw. Miał roześmianą buzię i kręcone jasne włosy. Kto robił mu zdjęcie? Ojciec? A może matka? Z pewnością człowiek, którego Wiktor darzył zaufaniem. Dziecko nie patrzyłoby w podobny sposób na obcą osobę. Oczy zdradzają prawdę. Nasze usta mogą się uśmiechać, ale w oczach widać wszystko. A oczy Wiktora były radosne.

Chodził do szkoły przy Jaskrowej na Bałutach. Wyszedł z domu ósmego października o siódmej dwadzieścia. Rodzina Wachowiaków mieszkała przy tej samej ulicy, przy której znajdowała się Szkoła Podstawowa nr 12. Odległość wynosiła czterysta pięćdziesiąt metrów. Droga zajmowała maksymalnie pięć minut marszem, ale Wiktor nie dotarł na miejsce. Wychowawca dopiero na czwartej lekcji miał zajęcia z jego klasą. I zorientował się, że nieobecność Wiktora nie została usprawiedliwiona przez rodziców.

Wychowawca nazywał się Jacek Stefański. Poprosił szkolną pedagog, aby go zastąpiła, a sam udał się do sekretariatu, gdzie wyciągnął kartę ucznia wraz z danymi kontaktowymi rodziców. Telefon odebrała matka, Beata Wachowiak. Rozmowa trwała zaledwie dwie minuty i piętnaście sekund. Matka zdenerwowała się, sądząc, że syn poszedł na wagary, ale wychowawca wyjaśnił jej, że najlepszy kolega Wiktora, Marcin, jest obecny na lekcjach. Według niego Wiktor nie wybrałby się na wagary sam. Podyktował Wachowiakowej swój prywatny numer i poprosił o kontakt po rozmowie z synem.

Odzwoniła po dziesięciu minutach. Wiktor nie odbierał od niej telefonu. Kobieta zaczynała się niepokoić. Dochodziła jedenasta trzydzieści.

Wtedy nikt jeszcze nie podejrzewał, że Wiktor zaginął. Matka i wychowawca byli przekonani, że Wiktor celowo nie przyszedł na lekcje, ponieważ na ostatniej godzinie klasa miała zapowiedziany sprawdzian z matematyki. Stefański uznał, że prawdopodobnie chłopiec się nie przygotował i chciał uniknąć jedyńki. Wachowiakowa obiecała, że porozmawia z synem i wybije mu z głowy wagary. Wychowawca zeznał, że kobieta była mocno zdenerwowana zachowaniem syna. Poprosił ją nawet, żeby nie złościła się na dziecko, ponieważ większość uczniów od czasu do czasu opuszcza lekcje.

Beata Wachowiak dzwoniła do Wiktora dwadzieścia siedem razy. Jak można się było domyślić, bez skutku. Wyszła z pracy i wróciła do domu, przekonana, że syn wkrótce się zjawi, twierdząc, że był w szkole. Ale tak się nie stało.

Dopiero o czternastej poinformowała męża o sytuacji. Wcześniej nie chciała go niepotrzebnie denerwować. Miała zamiar porozmawiać z Wiktorem i wymusić na nim obietnicę, że nigdy więcej nie pójdzie na wagary. Później przyznała, że chciała zataić przed mężem wybryk syna.

Artur Wachowiak pracował jako wykładowca na wydziale politologii Uniwersytetu Łódzkiego. Tamtego dnia prowadził zajęcia do osiemnastej, z dwugodzinną przerwą pomiędzy jedenastą a trzynastą. Po telefonie żony poprosił o zastępstwo i wrócił do domu.

Wachowiakowie nie od razu zadzwonili na policję. Szukali Wiktora w okolicznych zaułkach i zaroślach, ale nie znaleźli żadnego śladu wskazującego, żeby pojawił się w tamtych miejscach. Pojechali do domu Marcina, przyjaciela syna. Zagrozili, że jeśli nie powie, dokąd poszedł Wiktor, o wszystkim opowiedzą dyrektorowi szkoły. Marcin uparcie powtarzał, że nie rozmawiali ze sobą od poprzedniego popołudnia.

O szesnastej zadzwonili na policję. W poszukiwania włączyła się część sąsiadów. Między innymi mieszkający dwa domy dalej brat Artura. Wieczorem zjawili się nauczyciele, wychowawca i dyrektor szkoły.

Okolo dwudziestej Wachowiakowie wpadli w panikę. Doszli do wniosku, że ich syna spotkało coś złego.

Twierdzili, że tego dnia Wiktor wyruszył do szkoły wcześniej niż zwykle, bo czterdzieści minut przed ósmą. Zazwyczaj wychodził z domu dziesięć minut przed dzwonkiem.

Znalazł się świadek, który zeznał, że chwilę przed ósmą rano widział Wiktora z dwoma starszymi chłopcami. Szli w kierunku przeciwnym niż szkoła. Teoria o wagarach ponownie obudziła nadzieję w rodzicach. Skoro Wiktor z własnej woli nie poszedł do szkoły, może zasiedział się z kolegami? Policjanci zajmujący się sprawą zasugerowali ucieczkę z domu, ale Wachowiakowie odrzucili ten pomysł jak większość rodziców, którym zaginęło dziecko. Dlaczego syn miałby uciec z kochającego i bezpiecznego domu? Ale właśnie to ucieczka jest główną przyczyną zaginięcia dzieci.

Policjanci usiłowali odszukać dwóch chłopców, z którymi świadek widział Wiktora. Sześciu uczniów ze starszych roczników w dniu zaginięcia Wiktora również nie było w szkole, ale utrzymywali, że tamtego dnia żaden z nich nie widział małego Wachowiaka. Prowadzący sprawę Milewski uznał, że chłopiec mógł spotkać się z kolegami z innych szkół.

Świadek nie podał dokładnego rysopisu towarzyszy Wiktora. Nie przyjrzałem się im, wyjaśnił. Był przekonany, że byli od Wiktora wyżsi. Jego zdaniem mogli mieć około trzynastu lub piętnastu lat. Byli ubrani zwyczajnie – w ciemne kurtki, dzinsy i czapki – może ciemnozielone lub granatowe. Świadek nie potrafił sprecyzować.

Dzień później, pięć kilometrów od domu Wachowiaków, policjanci znaleźli wyłączony telefon Wiktora. Po uruchomieniu wyświetlił ponad czterdzieści nieodebranych połączeń od matki.

W telefonie nie było żadnych wiadomości od rzekomych kolegów, z którymi mógłby umówić się na wagary. Wiktor udzielał się na grupie klasowej na portalu społecznościowym. SMS-y wysyłał jedynie matce i ojcu. Z kolegami porozumiewał się za pomocą komunikatora.

Ponad dwadzieścia cztery godziny po tym, kiedy ostatni raz widziano Wiktora żywego, zgłosił się świadek twierdzący, że w okolicy domu Wachowiaków w godzinach porannych widział podejrzanego mężczyznę.

– Nie wyglądał jak przechodzień. Rozglądał się na boki, jakby się obawiał, że ktoś go zobaczy, a kiedy się upewnił, że na ulicy jest pusto, patrzył prosto w okna Wachowiaków. To było koło piątej nad ranem. Na zewnątrz było ciemno. W ich domu przez całą noc paliło się światło. Nic dziwnego. Nie wiadomo, co dzieje się z ich dzieckiem. Też nie zmrzyłybym oka – powiedział.

Kim był tamten mężczyzna? Porywaczem? Domorosłym detektywem? Czy zwykłym ciekawskim, który na własne oczy chciał zobaczyć dom zaginionego chłopca? Istniało w Polsce kilka grup zajmujących się poszukiwaniem osób zaginionych. Najczęściej byli to nieszkodliwi ludzie traktujący zaginięcia jako osobliwe hobby, ale skoro chodziło o zaginięcie dziecka, policja przyglądała się również takim osobom.

Lena była tak skupiona na lekturze, że dopiero po długiej chwili zorientowała się, że dzwoni telefon. Kiedy Basia zasnęła, wyciszyła dzwonki. Widząc na ekranie zdjęcie siostry, przesunęła zieloną słuchawkę.

– Tak? – zapytała szeptem.

– Basia śpi?

– W salonie. Nie chciałabym jej obudzić.

– A, tak. Jasne. – Maria zawiesiła głos. – Chcesz numer do Zuzki?

– Rozmawiałaś z nią?

– Wiem, że zachowuję się jak stara zrzęda, ale muszę cię zapytać, czy jesteś pewna?

– Nie bardzo.

Rudnicka spojrzała na zdjęcie Wiktora Wachowiaka.

– Ale nie mam innego wyjścia – dodała.

– Rozumiem.

– Poprosili mnie o pomoc.

– Kto?

– Naczelnik.

– Zgodziłaś się?

– Jeszcze nie – odparła Lena. – Po prostu rozważam różne opcje. Jeśli nie znajdę opieki dla Basi, nie ma tematu.

– Zuzka ma miejsce.

Tego Lena się nie spodziewała.

– Serio? – zapytała.

– Wyślę ci SMS-em numer.

– Czekam.

Niespełna minutę później rozmawiała z Zuzanną, która była gotowa przyjąć Basię nawet następnego dnia, choć zaleciła, by na początku dziecku towarzyszył rodzic. Rudnicka podziękowała i obiecała, że rano przywiezie córkę na pierwsze spotkanie. Miała nadzieję, że mała zgodzi się zostać chociaż na kilka godzin.

Potem zadzwoniła do Barwickiego.

– Czy propozycja nadal aktualna?

Po drugiej stronie słuchawki usłyszała chichot.

– Znasz odpowiedź – odparł naczelnik.

– Okej.

– Dlaczego dzwonisz? – zapytał.

– Zastanawiam się, na jak długo moje dziecko zostanie pierwszego dnia w przedszkolu. To nie będzie takie proste, jak mogłoby się wydawać.

– Domyślam się. Nie masz nikogo bliskiego, kto mógłby się nią zająć?

– Wszyscy moi bliscy nie żyją.

Barwicki nie odpowiedział.

– Siostra mogłaby się nią zająć, ale jej zdaniem podejmuję pochopną decyzję. Nie jestem pewna, czy uda mi się ją przekonać.

– Porozmawiaj z nią. Zrobię wszystko, żebyś przejęła to śledztwo.

– Tak, wiem. Ale muszę myśleć o moim dziecku. – Podrapała się w skroń, a potem dodała: – Coś wymyślę.

– Czyli wracasz?

Rudnicka miała ostatnią szansę, żeby się wycofać.

– Tak – odparła.

– Ilu ludzi potrzebujesz?

– Tymon zajmował się tym śledztwem. Chciałabym, żeby pracował ze mną.

– Zdejmę mu z głowy inne obowiązki – obiecał Barwicki. – Będzie do twojej dyspozycji.

– I dwoje policjantów. Wybierz najlepszych i oddeleguj do mnie.

Naczelnik zastanawiał się przez chwilę.

– Tylko dwoje? – upewnił się.

– Na razie tak.

– Gdybyś potrzebowała więcej, dasz mi znać, prawda?

– Na początek wystarczy zespół czteroosobowy – odparła. – Zwołaj zebranie na ósmą trzydzieści.

Rozłączyła się. W progu sypialni stanęła Basia. Pulchną rączką potarła zaspane oczy, podeszła do łóżka i wdrapała się na miękki materac. Pokazała palcem fotografię Wiktora Wachowiaka.

– Kto to jest? – zapytała.



## Rozdział II

### Środa, 6 kwietnia

#### 1

Minionej nocy Rudnicka fatalnie spała. Budziły ją koszmary. Śniła o zaginionych dzieciach. Dochodziła piąta, gdy zrezygnowała ze snu. Po cichu przeszła do kuchni, podsunęła szklanekę pod kran i wypila duszkiem. Chłodna woda podziałała orzeźwiająco.

Nastawiła wodę w czajniku. Do kubka wsypała dwie łyżeczki kawy rozpuszczalnej i trzy łyżeczki cukru. Zajrzała do pokoju córki. Basia spała przytulona do pluszowego jamnika. Rudnicka wycofała się do kuchni i zalała kawę, a potem wzięła szybki prysznic. Wciągnęła na siebie sprane dżinsy i biały T-shirt. Z kawą w ręce usiadła przy stole.

Poprzedniego dnia, kiedy Basia wstała, Lena zarzuciła lekturę dokumentów. Najbliższe dni będą trudne dla nich obu, postanowiła więc poświęcić czas córce. Wybrały się na spacer, a potem do cukierni. Basia spałaszowała kremówkę i poprosiła o drugą do domu. Kiedy wróciły, wzięły kąpiel, oglądały ulubioną bajkę Basi i zasnęły na kanapie kilka minut przed dwudziestą drugą.

Rudnicka przysunęła teczkę i przyjrzała się dziewczynce z kucykami po bokach głowy. Amelia Gadomska miała siedem lat. Chodziła do Szkoły Podstawowej nr 205 przy ulicy Dąbrówki. To spora placówka, w której uczy się ponad tysiąc dzieci. Przy tak dużej liczbie uczniów nauczyciele mają pełne ręce roboty. Pewnie dlatego nikt nie przejął się dziewczynką czekającą na ojca.

Amelia kończyła lekcję przed drugą. Zostawała na świetlicy, gdzie odrabiała lekcje. O piętnastej zaczynała zajęcia z tańca. Zajęcia odbywały się na sali gimnastycznej i skończyły się czterdzieści pięć minut później. Wliczając niewielkie opóźnienie i czas na zmianę odzieży, Amelia umówiła się, że ojciec odbierze ją o szesnastej. Ze szkoły wyszła z koleżanką, Asią Kowalską. Asia zaproponowała, że poczeka z Amelią na tatę, ale dziewczynka odmówiła. Kiedy przesłuchująca Asię policjantka zapytała, czy Amelia była zdenerwowana przed spotkaniem z ojcem, Asia odpowiedziała, że cały dzień była dziwna. Jej słowa potwierdziła nauczycielka tańca.

Kalina Kos zwróciła na podejrzanе zachowanie dziewczynki podczas zajęć. Według nauczycielki Amelia często spoglądała na zegarek, jakby chciała jak najszybciej skończyć zajęcia.

– Sądziłam, że rodzice obiecali Amelce jakąś wycieczkę po szkole. Może kino. Nie wiem. Po prostu sądziłam, że z jakiegoś powodu Amelka nie może doczekać się końca zajęć. Zerknęła na zegarek. Sprawiała wrażenie nerwowej i rozkojarzonej. Myliła kroki, choć uczyła się ich kilka miesięcy. Nigdy wcześniej się tak nie zachowywała. Przyszło mi też do głowy, że może pokłóciła się z którąś z koleżanek – powiedziała.

Ale żadna z dziewczynek z klasy nie potwierdziła kłótni z Amelią. Żadna nie wspomniała również o tym, by Amelia miała gdzieś jechać po szkole. Według zeznań ojca po zajęciach zamierzali udać się prosto do domu.

Dlaczego Amelia była zdenerwowana?

Kiedy wyszły ze szkoły, pożegnała się z koleżanką. Asia mieszkała dwa bloki dalej, więc szybko straciła koleżankę z oczu.

Prawdopodobnie Amelia czekała na ojca. Daniel Gadomski spóźnił się piętnaście minut. Kiedy przyjechał, córki przed szkołą już nie było.

Kobieta pracująca w pobliskim sklepie spożywczym zeznała, że widziała idącą chodnikiem dziewczynkę ubraną w czarną kurtkę w kolorowe groszki, białą czapkę i dżinsy. Właśnie takie ubranie miała na sobie Amelia w dniu, w którym zaginęła. Oraz żółty plecak, który również zauważyła ekspedientka. Według niej dziewczynka płakała. Zanim kobieta obsłużyła klientów i wyszła przed sklep, Amelii już nie było.

Zeznała także, że przed szkołą stał czarny opel. Najpierw pomyślała, że któregoś z rodziców czeka na dziecko, ale uświadomiła sobie, że większość uczniów wyszła już ze szkoły. Zaczęła się kolejna lekcja, więc według ekspedientki nie było sensu, by rodzic przyjeżdżał tak wcześnie, żeby czekać kolejne czterdzieści pięć minut. Kiedy Amelia mijala jej sklep, samochodu już nie było.

Czy człowiek siedzący za kierownicą pojechał za dziewczynką? Ekspedientka nie zapisała rejestracji, ale była pewna, że chodziło o dużego opła typu sedan.

Dlaczego Amelia płakała? Czy nagabywał ją obcy człowiek? Czy może płakała, bo ojciec nie przyjechał o umówionej godzinie? Siedmiolatka mogła myśleć, że tata o niej zapomniał, i postanowiła pójść do domu pieszo. Nie miała telefonu, więc nie mogła skontaktować się z ojcem, a on nie mógł poinformować córki, że jest w drodze. Podczas rozmowy z policją Gadomscy się o to pokłócili. Zdaniem matki Amelia już dawno powinna mieć komórkę, aby w nagłych wypadkach mogła skontaktować się z rodzicami. Ojciec był temu przeciwny. Nie chciał, by siedmiolatka traciła czas na gapienie się w telefon.

Zgłoszenie o zaginięciu kolejnego dziecka policja potraktowała priorytetowo.

Gdy Daniel Gadomski przyjechał przed szkołę i zobaczył, że córki nie ma w umówionym miejscu, wszedł do budynku i szukał Amelii na korytarzach. Rozmawiał z Kaliną Kos, która akurat szła do domu. Postanowiła pomóc mężczyźnie w poszukiwaniach córki. Nikt nie podejrzewał, że stało się coś złego. Gadomski był zdania, że Amelka zmarła i wróciła do budynku, żeby tam na niego poczekać. Ale okazało się, że jej tam nie ma.

Szukali także na zewnątrz. Wiedział, że niedaleko mieszka Asia, najlepsza koleżanka córki. Uznał, że poszła właśnie do niej. Znał dokładny adres Kowalskiej, bo kilkakrotnie odbierał stamtąd córkę. Pani Kowalska poinformowała go jednak, że Amelii u nich nie ma. W tym momencie Gadomskiemu po raz pierwszy przeszło przez myśl, że stało się coś złego. Zamienił kilka słów z Asią, która wyjaśniła, że Amelia wyszła z nią ze szkoły i czekała na niego przed główną bramą. Matka Asi zostawiła córkę z ojcem i dołączyła do poszukiwań.

Aby nie tracić czasu, rozdzielili się, lecz żadne nie znalazło Amelii. Daniel wahał się, czy niepokoić żonę. Doszedł do wniosku, że jest za wcześnie, aby panikować. Wszedł do sklepu spożywczego przy Ziemowita i dowiedział się, że kobieta najprawdopodobniej widziała Amelię. Według słów ekspedientki dziewczynka szła sama w stronę Zakładowej.

Dopiero wtedy zadzwonił na policję. A potem poinformował żonę.

Gadomscy zdecydowali się nagłośnić sprawę. Policja wyraziła zgodę. Zniknięcie drugiego dziecka w ciągu trzech miesięcy postawiło na nogi ogromną liczbę funkcjonariuszy.

Rodzice wystąpili na konferencji prasowej. Trudno ocenić, czy to słabe przygotowanie, czy nerwy sprawiły, że konferencja była omawiana we wszystkich serwisach informacyjnych. W internecie zawrzało. Sylwję Gadomską nazwano zimną kobietą bez serca. Wygłosiła wcześniej przygotowany apel, nie roniąc ani jednej łzy. Daniel Gadomski stał nieco z tyłu. Płakał i nie powiedział ani jednego słowa, co rozszlochona żona wytknęła mu po nagraniu.

Policja sprowadziła psy tropiące, ale ślad urwał się nieopodal skrzyżowania z Zakładową i Ziemowita. Funkcjonariusz prowadzący sprawę uznał, że dziewczynka musiała wsiąść do samochodu. Amelia ostatni raz widziana była dwunastego stycznia. Do tej pory nie udało się jej odnaleźć.

Rudnicka zamknęła teczkę i odetchnęła głęboko. Śledztwa związane z dziećmi wywoływały wiele emocji. Nie miała pojęcia, czy podola. Założyła kurtkę i wsunęła stopy w pluszowe kaptcie. Wyszła na taras i zapaliła papierosa. Niebo było brudnoszare i zwiastowało deszcz. Spojrzała w dół na ulicę Narutowicza. Przez chwilę wsłuchiwała się w odgłosy miasta. Czasem zastanawiała się, dlaczego wybrała akurat to mieszkanie. Dla matki z dzieckiem znacznie lepszym wyborem byłoby spokojne osiedle na obrzeżach miasta, ale gdy Lena przekroczyła próg, wiedziała, że właśnie w tym miejscu chciałaby zamieszkać. Kiedy się nad tym zastanawiała, uznała, że chodziło o dźwięki miasta. Szum samochodów i tramwajów. Była w centrum. Kochała miasto ze wszystkimi jego minusami.

Dochodziła szósta nad ranem. Na ulicy powoli zaczynał się ruch. Samochody leniwie przystawały na światłach. Tramwaj dzwoniłkiem zaalarmował zamknięcie drzwi. Na przystanku tłoczyło się kilka osób. Chłopak z przewieszoną przez ramię torbą uniósł głowę, przez chwilę wpatrywał się w palącą na tarasie Rudnicką, a potem utknął wzrok w ekranie telefonu.

Lena wrzuciła niedopałek do słoika i wróciła do mieszkania.

Na śniadanie zjadła tosty z dżemem i zaparzyła drugą kawę, tym razem z mlekiem i mniejszą ilością cukru. Zerknęła na rozświetlony ekran telefonu. Przyszła wiadomość od Tymona. *Świetnie, że zgodziłaś się nam pomóc. Widzimy się niedługo.*

Wróciła pamięcią do dnia, kiedy po raz pierwszy pełniła służbę z Milewskim. Świeżo upieczony ojciec cały czas mówił o swojej córeczce. Zachwycał się zdjęciami, które przechowywał w telefonie. Opowiadał o tym, jak poznali się z żoną i jak bardzo ją kocha. Był przekonany, że tak będzie zawsze, że coś, co zdołał zbudować, jest nie do ruszenia. Trwały związek był podstawą jego egzystencji. Ale choroba córki zniszczyła wszystko. Po stracie dziecka ciężko się podnieść.

Przez ostatnie lata nie miała z Tymonem kontaktu. Był dobrym człowiekiem i świetnym przyjacielem, ale Lena odpychała każdego, kto próbował się do niej zbliżyć.

Straciła zbyt wiele bliskich osób, by wierzyć, że jeszcze może spotkać ją coś dobrego. A potem poznała Wolskiego i wszystko się zmieniło. Kochała go, choć nie dopuszczała do siebie myśli, że mogliby być razem. Bała się, że go straci. Postanowiła więc odciąć się od człowieka, na którym tak bardzo jej zależało. Niedawno zrozumiała swój błąd.

Błąd, którego zdaniem Leny nie da się naprawić.

Odległość z Białych Brzegów do Wojewódzkiej Komendy Policji w Łodzi wynosiła jakieś osiemdziesiąt kilometrów. Marcel kiepsko spał. Kiedy kolejny raz obudził go koszar, uznał, że pora wstać. Wziął szybki prysznic, zaparzył kawę i usiadł przy stole. Popijając gorący i słodki napar, zastanawiał się, czy podjął dobrą decyzję. Kłamał, mówiąc, że praca na wiejskim komisariacie jest dla niego satysfakcjonująca. Przez kilka pierwszych miesięcy rzeczywiście tak było. Wreszcie nie zostawał po godzinach. Zyskał więcej czasu dla siebie. Zaczął ćwiczyć. W porozumieniu z właścicielem remontował wynajętą leśniczówkę. Czuł się szczęśliwy i spełniony. Ale pamiętał moment, gdy po raz pierwszy pojawiła mu się w głowie myśl o powrocie do miasta. To było pewnego grudniowego wieczoru, gdy wraz z Darią wrócili z kolacji u jej matki. Teściowa była przemiłą osobą, ale jej trudny charakter sprawiał, że Wolski coraz częściej czuł, że obie kobiety przypierają go do muru. Oczekiwały ślubu, założenia rodziny, a Daria przebąkiwała o drugim dziecku.

Wolski nie czuł się gotowy.

Był podekscytowany nadchodzącym wyzwaniem, ale ukrywał emocje, ponieważ nie był pewien, jak Daria poradzi sobie z kilkudniowym rozstaniem. Od początku związku nie spędzili osobno żadnej nocy. Wolski dopiero niedawno zaczynał odczuwać brak swobody. Podczas wczorajszej rozmowy z Darią zorientował się, że pomysł jego wyjazdu do Łodzi nie przypadł jej do gustu, choć pokiwała głową i zapewniła, że nie ma problemu. Może jako policjantka była trochę zazdrosna, ale nie powiedziała tego na głos. Nie chciał sprawiać jej przykrości, lecz równocześnie nie zamierzał rezygnować z możliwości pracy nad głośną sprawą. Daria uważała, że to niebezpieczne, ale w gruncie rzeczy martwiła się o siebie. Obawiała się, że Wolski mógłby zapragnąć powrotu do dużego miasta, ale wolała milczeć, niż pokłócić się z partnerem. Marcel przyjął jej reakcję z ulgą. Nie drażył tematu, sądząc, że rozmowa sprowadzi się do dyskusji nad sensem wyjazdu. I ostatecznie byłby zmuszony zrezygnować.

A tego nie chciał.

Wypił kawę. Nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Spodziewał się korków, więc postanowił, że wyruszy nieco wcześniej, niż zaplanował.

Zaspana Daria wyszła z sypialni, kiedy Marcel zbierał się do wyjścia. Wsunął ręce w rękawy wojskowej kurtki i stanął na szeroko rozstawionych nogach.

– Już jedziesz? – zapytała, rozczesując dłonią potargane włosy. Zaskoczenie na twarzy usiłowała przykryć uśmiechem.

Dostrzegł w jej oczach rozżalenie. Odwrócił wzrok.

– Spiesz się – odparł. – Lepiej wyjechać wcześniej. Wiesz, jak to jest w mieście. W godzinach szczytu korek mурowany.

Daria zmarszczyła czoło, jakby się nad czymś głęboko zastanawiała.

Marcel podszedł bliżej.

– Wrócę szybciej, niż ci się wydaje – powiedział, odgarniając kosmyk włosów z jej twarzy. – Obiecuję, że wieczorami będę dzwonił i opowiadał Igorowi, co robią policjanci w dużym mieście.

Daria zaśmiała się cicho.

– Kiepskie pocieszenie, skoro wiem, że cię z nami nie będzie – odparła.

– To raptem kilka dni.

– Nie wiadomo – zaoponowała. – Śledztwo może się przeciągnąć. I co wtedy?

– Nie wierzysz, że taki detektyw jak ja błyskawicznie rozwiąże sprawę?

Tym razem zaśmiała się szczerze.

– Wierzę – odparła. – Ale uważaj na siebie.

– Oczywiście.

– Wiem, że ten wyjazd jest dla ciebie ważny. Po prostu bądź ostrożny.

Daria miała wypielęgnowaną gładką skórę. Delikatne zmarszczki wokół ust dodawały jej uroku. Ich związek zaczął się od przyjaźni – wspólnych wyjść na piwo i rozmów do późnych godzin nocnych. Pracowali razem. Widywali się codziennie, a mimo to nie brakowało im tematów. Daria potrafiła go rozśmieszyć. Była uważną słuchaczką. Pomagała mu po rozstaniu z Leną Rudnicką. Wobec Darii nie miał żadnych oczekiwań, ale pewnego dnia, mocno pijani, wylądowali w łóżku. Wystarczyła jedna noc, by ich znajomość przerodziła się w związek. Daria uznała, że wspólnie spędzone chwile są czymś więcej niż przelotnym seksem po pijaku. Zanim Wolski się zorientował, zostali parą.

Daria kochała go, a Marcel z każdym dniem coraz dobitniej uświadamiał sobie, że nie czuje do niej niczego więcej poza sympatią.

– Dbaj o Igora. – Zarzucił na ramię wypchaną ubraniami torbę podróżną. – A kiedy wstanie, powiedz mu, że niedługo wrócę.

– Będzie za tobą tęsknił.

– Ja za nim również.

Uśmiechnął się, pocałował Darię w policzek i wyszedł.

Igor. Jego biologiczny ojciec wyjechał za granicę, a opiekę nad synem ograniczył do przysyłania alimentów. Chociaż i z tym bywało różnie. Paweł był niesłownym lekkoduchem, niedojrzałym i niepoczuwającym się do odpowiedzialności za własne dziecko. Daria martwiła się takim stanem rzeczy, ale miała niewielki wpływ na byłego partnera. Gdyby jednak pewnego dnia stanął w progu ich domu, mimo żalu, jaki do niego miała, nie utrudniałaby mu kontaktów z synem.

Na początku ich związku Marcel zaproponował wyjście z Igorem na plac zabaw. To była luźna propozycja, ale okazała się mocno wiążąca. Nie znał się na dzieciach. Nie wiedział, jak postępować z małymi chłopcami, ale Igor okazał się świetnym dzieckiem, otwartym i wesołym, z którym łatwo nawiązał kontakt. Natychmiast polubił Marcela, co sprawiło Darii ogromną radość. Igor nie odstępował Wolskiego na krok. Budowali zamki z piasku, a potem grali w piłkę. Z każdym spotkaniem Igor coraz częściej przytulał się do Marcela.

Gdy chłopiec po raz pierwszy powiedział do niego „tato”, twarz Darii pojaśniała, jakby od wielu miesięcy na to czekała. Wolski jednak uznał, że należy postawić chłopcu granicę. Wziął Igora na kolana i wyjaśnił, że bardzo go kocha, ale nie jest jego prawdziwym tatą. Zapewnił chłopca, że prawdziwy tata kiedyś przyjedzie, by się z nim pobawić. Igor kiwał głową, jakby rozumiał. Marcel zaproponował, by chłopiec zwracał się do niego po imieniu.

Daria się wściekła.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytała, gdy Igor zasnął.

– O czym mówisz?

– Dobrze wiesz, o czym.

Wolski lekko przekrzywił głowę.

– Nie jestem ojcem Igora – odparł. – I nigdy nie będę. Uważam, że nie powinniśmy wprowadzać go w błąd. Kiedyś pozna prawdziwego ojca. Nie chciałbym, żeby miał nam za złe, że go okłamaliśmy.

– To tylko dziecko.

– No właśnie. Od początku powinien znać sytuację.

– Potrzebuje ojca.

– Dario, kłamstwo prędzej czy później wyjdzie na jaw. Nie zamierzam go oszukiwać.

Daria zacisnęła dłonie w pięści.

– Wiedziałeś, że mam syna.

– Nie mam ci tego przecież za złe. O czym ty mówisz?

– Jesteśmy parą. Igor codziennie się z tobą widuje. To normalne, że widzi w tobie ojca. Chłopcy potrzebują męskiego wzoru do naśladowania. A ty jesteś jedynym mężczyzną w jego życiu.

– Zgadzam się z tobą. I zapewniam, że zrobię wszystko, żeby Igorowi niczego nie zabrakło. Ale nie zastąpię mu ojca.

– Nie chodzi o zastępowanie ojca...

– A właśnie, że tak – przerwał jej.

– To tylko dziecko. Nie rozumie, że jego taty nie ma...

– Wydaje mi się, że jednak rozumie.

Daria ciężko westchnęła. Nie rozumiała, dlaczego Marcelowi tak bardzo zależy na tym, by Igor nie nazywał go ojcem.

– Paweł kiedyś wróci – zauważył Marcel. – I co wtedy?

– Nie sądzę, by wrócił.

– Wyjechał do pracy, ale jestem pewien, że wróci. Pewnego dnia dojrzeje do roli ojca, przyjdzie do nas i poprosi o spotkanie z Igorem. I co wtedy zrobisz, Dario? Jeśli Igor będzie przekonany, że jestem jego ojcem, kim będzie dla niego Paweł? Drugim tatą, który nagle się pojawił? Igor musi wiedzieć, że prawdziwy ojciec gdzieś jest i kiedyś się z nim spotka.

– Nie chciałabym, żeby Igor żył nadzieją, że jego ojciec kiedyś zmartwieje.

– Nie mamy innego wyjścia.

– Mamy. Paweł podjął decyzję, że nie chce brać udziału w wychowaniu syna.

– Zmartwieje.

Daria prychnęła lekceważąco.

– Ludzie się zmieniają – ciągnął Marcel. – Kiedy Paweł stanie w progu naszego domu, co zrobisz? Powiesz Igorowi, że Marcel jednak nie jest jego tatą, bo właśnie przyszedł ten prawdziwy?

– Przedstawiasz to w taki sposób, jakbym robiła Igorowi krzywdę.

– Nie twierdzę tak. Ale on musi wiedzieć, że ma ojca. Którego kiedyś pozna.

– A jeśli nie? Wtedy Igor będzie czekał na Pawła, a on zwyczajnie się na niego wypnie.

– Uwierz, że prędzej czy później będzie chciał poznać swojego syna.

Dobro Igora było dla Marcela ważne, ale nie tylko z tego powodu nie chciał, by chłopiec traktował go jak ojca. Daria oczekiwała od niego coraz większego zaangażowania, na które nie był gotowy. Jego zdaniem ich relacja nabrała zbyt poważnego charakteru.

W gruncie rzeczy wyjazd do Łodzi był ucieczką. Daria była wspaniała, piękna i samodzielna. Wolski jednak miał wątpliwości, czy pragnie się z nią związać na zawsze.

Droga do Łodzi minęła szybciej, niż zakładał. Dochodziła ósma rano, gdy parkował samochód przed budynkiem Wojewódzkiej Komendy Policji. Zasuwał suwak kurtki i wysiadł na zewnątrz, zapalił papierosa i oparł się plecami o drzwi. Gdyby trzy lata temu ktoś mu powiedział, że z własnej woli wróci do Łodzi, toby nie uwierzył.

Wcześniej kilka lat mieszkał w stolicy. Ojciec, ówczesny komendant miejskiej policji, zaproponował mu pracę w jednostce przy Sienkiewicza. Wolski się wahał, ale obietnica pracy z jedną z najlepszych śledczych w mieście sprawiła, że wrócił do rodzinnego miasta. Cieszył się na możliwość pracy z komisarz Rudnicką, choć drażniło go czujne oko ojca. Obwinił się o jego śmierć. Pozwolił mu jechać na akcję, podczas której zginął.

Wiele miesięcy zajęło Wolskiemu dojście do siebie, a kiedy otrząsnął się po stracie ojca, podjął decyzję o odejściu ze służby. Był pewien, że to jedyne właściwe rozwiązanie. Dopiero Lena Rudnicka przekonała go do zmiany zdania. Spędził z nią najwspanialsze tygodnie swojego życia. Mieszkali wówczas w leśniczówce, którą Wolski dzielił teraz z Darią.

A potem Lena go zostawiła. Odeszła bez słowa wyjaśnienia. Minęły ponad trzy lata, odkąd widzieli się po raz ostatni. Żadne z nich nie podjęło próby kontaktu. Dlatego nie był w stanie zaangażować się w związek z Darią. Postanowił, że już nigdy nie pozwoli na to, by jakakolwiek kobieta namieszała mu w głowie.

Dopał papierosa i ruszył chodnikiem w stronę głównego wejścia.

### 3

Bartosz Grabowski wszedł do pomieszczenia oświetlanego jarzeniówkami. Przywitał się z czekającymi w kolejce klientami i wszedł na piętro, gdzie zajmował nieduże biuro. Zamknął za sobą drzwi. Położył na biurku neser i odetchnął z ulgą. W ostatnim czasie tyle się działo, że nie mógł zaznać spokoju w domu ani w pracy. Pracował jako menedżer sieci drogerii. Choć był zadowolony ze swojej pracy, czasem brakowało mu sił. Natłok spraw i obowiązków był ogromny. Spoczywała na nim cała organizacja pracy kilku placówek. Nie skarżył się szefowej, pracował ciężko, licząc, że w końcu zostanie doceniony. Przyszło mu do głowy, że przydałby mu się asystent. Albo asystentka. Człowiek, na którego mógłby scedować część zadań.

Przed miesiącem szefowa wspomniała o otwarciu apteki przy drogerii. Oczywiście zorganizowanie wszystkich dokumentów spadłoby na Bartosza. Poza tym wciąż czekała na nowe pomysły, a jemu już brakowało energii. Lubił zarządzać ludźmi, ale jego obowiązki polegały również na kontrolowaniu kosztów, reklamie, zarządzaniu grafikami i zawieraniu umów na nowe produkty.

Zarabiał dobre pieniądze. Nie mógł narzekać na pensję, ale wolałby zarabiać trochę mniej, a mieć więcej wolnego czasu. Jego życie polegało na wstawaniu rano z łóżka i wychodzeniu do pracy, w której spędzał średnio dziesięć, czasem dwanaście godzin. Kiedy wracał do domu, był tak zmęczony, że nie miał już na nic siły. Także w weekendy często przychodził do sklepu albo ogarniał pilne sprawy zdalnie. Chętnie wzięłby kilka dni urlopu, ale nie miał na to szans w najbliższych tygodniach.

Czy był szczęśliwy? Kiedyś odpowiedziałby, że tak, ale dziś nie był tego taki pewien. Czuł się przepracowany i zmęczony, a żona coraz częściej urządziła mu kłótnie. Na początku ją rozumiał. Która kobieta chciałaby mieć męża tylko w niedzielę? Ale z czasem sprzeczki coraz bardziej go męczyły. Próbował tłumaczyć, że pracuje dla nich, żeby mogli bez kredytu kupić wymarzony domek pod miastem i wynieść się z ciasnego mieszkania w bloku. A że oboje nieźle zarabiali, Bartosz wierzył, że już za kilka lat zrealizują swój plan, szczególnie że posiadali na sprzedaż kawalerkę przy Zielonej, którą odziedziczyli po zmarłej matce żony. Na razie wynajmowali ją studentom, ale w razie potrzeby nie powinni mieć problemów ze sprzedażą w takiej lokalizacji.

– Panie Bartoszu. – Do gabinetu wetknęła głowę jasnowłosa dziewczyna. Dwudziestodwuletnia studentka pracowała w drogerii od miesiąca. Studiowała wieczorowo, więc wybierała pierwsze zmiany. Była ładna, ale według Bartosza zbyt drobna i zbyt chuda. Miała ostre rysy twarzy i piegowaty nos. Zatrudnił ją, bo wydawała się zaradna i pracowita. I się nie pomylił. Beata okazała się dobrym pracownikiem.

– Dzień dobry – odparł, obdarzając ją ujmującym uśmiechem.

Beata mimowolnie się zaczerwieniła. Podobał jej się. Widział w jej oczach, że wystarczyłoby kilka miłych słów, a chętnie poszłaby z nim do łóżka. Ale nie była typem kobiety, która zrobi pierwszy krok.

– Dzień dobry. Przyszłam tylko powiedzieć, że dzwoniły dziewczyny z szóstką. Od wczoraj czekają na dostawę perfum. Mają spore braki w towarze.

– Wiem, rozmawiałem z nimi. Dostawa miała być wczoraj.

– Nie było.

– Hm. Okej. – Potarł policzek. Przecież zamówił towar u sprawdzonego dostawcy. – Za chwilę zadzwonię i postaram się przyspieszyć dostawę. A potem i tak muszę się do nich wybrać. Mam kilka papierów do podpisania.

– Czyli oddzwonić i uprzedzić o pańskiej wizycie?

Uśmiechnął się.

– Nie – odparł. – Zrobię im niespodziankę.

Basia wprawdzie nie chciała puścić ręki matki i płakała, gdy Lena zostawiła ją pod opieką nowej opiekunki, ale na szczęście szybko się rozchmurzyła i dołączyła do reszty dzieci dzięki świetnemu podejściu Zuzanny. Początkowo zachowywała się ostrożnie i nieufnie, ale Lena dostrzegła w jej oczach zainteresowanie. W książeczkach, które czytały przed snem, duże dziewczynki chodziły do przedszkola. Najwyraźniej Basia chciała zostać dużą dziewczynką.

Pomachała matce na pożegnanie. Rudnicka obiecała wrócić po nią za cztery godziny i szybko wyszła na zewnątrz. Nie chciała, by córka zobaczyła, że sama płacze.

Przez wychodzące na ulicę Lutomiarską okno wpadało skąpe światło. Kilka pięter niżej przechodnie przemykali chodnikami, zaciskając poły kurtek i płaszczy. Chowali twarze w kołnierzach i szalikach, by osłonić się od wiatru. Tegoroczny kwiecień nie przyniósł ani jednego słonecznego dnia.

Sala konferencyjna była przestronna. Stojący w centralnym punkcie stół pomieściłby kilkanaście osób. Na powierzchni śnieżnobiałego blatu było widać smugi po preparacie czyszczącym. Zapach owocowego detergentu unosił się w powietrzu.

Rudnicka zjawiała się dziesięć minut przed rozpoczęciem planowanego zebrania. Zaparzyła mocną kawę i z kubkiem w ręce usiadła na skraju stołu, kiedy do pomieszczenia weszła krótko ostrzyżona policjantka. Skinęła lekko głową i obszła stół.

– Natalia Zaborska – przedstawiła się. – Mamy razem pracować.

– Rudnicka.

Uścisnęły sobie dłonie. Natalia usiadła pod oknem. Była drobną kobietą o nieśmiałym spojrzeniu. Nie wyglądała na osobę, która odkrywa wszystkie karty już przy pierwszym spotkaniu. W progu stanął dobiegający czterdziestki mężczyzna. Miał wysportowaną sylwetkę, starannie zaczesane do tyłu blond włosy i równo przyciętą brodę. Na jego twarzy gościł szeroki uśmiech, odsłaniający rząd równych i białych zębów. Wszedł pewnym krokiem, rozejrzał się i napotkawszy spojrzenie Rudnickiej, ruszył w jej stronę.

– Iwan Szewko. – Chwycił ją za rękę i przykrył drugą dłonią. Potrząsnął kilka razy i puścił, jakby zdał sobie sprawę, że pokaz siły jest nie na miejscu. – Bardzo miło poznać panią komisarz.

– Mnie również.

– Cieszę się, że wróciłaś do gry.

Rudnicka posłała mu pytające spojrzenie.

– Byłaś na urlopie – wyjaśnił. – A powroty bywają ciężkie. Ale nasz naczelnik zna się na ludziach, więc wierzę, że jesteś odpowiednią osobą na właściwym miejscu.

Obcisła skórzana kurtka opinała ramiona Iwana Szewki. Skrzypiała, gdy obchodził stół i siadał na krześle. Splótł dłonie na karku i się przeciągnął. Rudnicka pomyślała, że facet jest już po porannym treningu. I że mogą być z nim problemy.

Poczuła czyjąś dłoń na ramieniu.

– Plan uległ małej modyfikacji – szepnęła Barwicki, nachylając się do Leny. – Poprosiłem Iwana, żeby do was dołączył. Wspólnie z Tymonem pracowali nad sprawą zaginięć. Uznałem, że może się przydać. To dobry i solidny policjant. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe? Nie chciałbym ci dobierać współpracowników, ale prosiłaś, żeby znaleźć odpowiednich ludzi.

– Okej.

– Bardzo mężczy mnie ta sprawa. Dziennikarze nie dają nam spokoju. Chciałbym, żeby w śledztwie wreszcie coś ruszyło.

Rudnicka spojrzała na naczelnika. Odnalezienie dzieci nie było celem samym w sobie. Barwickiemu zależało, by pokazać mediom i opinii publicznej jakikolwiek postęp w śledztwie. On był tutaj szefem i odpowiadał za wszystkie działania funkcjonariuszy.

– Rozumiem – odparła. – Jeśli Iwan pracował przy sprawie z Tymonem, myślę, że może nam się przydać.

– Cieszę się.

Do sali wszedł Tymon, lecz zanim przekroczył próg, odwrócił się, jakby chciał się upewnić, że jego towarzysz się nie wycofa.

Rudnicka poczuła, jak zalewa ją fala gorąca. Marcel Wolski patrzył jej prosto w oczy.

– No i mamy komplet – powiedział Barwicki. – Bardzo się cieszę, że zgodziłeś się nam pomóc – zwrócił się do Wolskiego. Marcel mechanicznie podał naczelnikowi dłoń i szybko wsunął ją z powrotem do kieszeni spodni. – Tymon nalegał, żeby cię ściągnąć. Jego zdaniem jesteś dobrym śledczym, a właśnie takich osób nam potrzeba. Mam nadzieję, że nie pokrzyżowaliśmy ci planów. – Zaśmiał się. – W Białych Brzegach pewnie macie masę roboty, prawda?

Wolski otworzył usta, lecz nic nie powiedział. Wpatrywał się w Rudnicką.

– Mamy co robić – odparł niepewnym głosem. – Ale wszystko jest pod kontrolą. Dziękuję za propozycję współpracy. Nie spodziewałem się, że jeszcze kiedykolwiek wrócę do Łodzi.

– A jednak! – Barwicki poklepał Wolskiego po ramieniu. – Ciągnie wilka do lasu.

– Tak... Chyba tak.

Lena musiała przyznać, że Marcel się zmienił. Zmężniał i przybrał kilka kilogramów. Twarz mu wydorosłała. Nabrała ostrych rysów. Chociaż znała go od dawna, miała wrażenie, że patrzy na obcego człowieka.

Barwicki rozłożył ręce.

– Wy się chyba znacie, prawda? – zapytał, choć znał odpowiedź. Wiedział, że Lena i Marcel pracowali razem w komendzie na Sienkiewicza. – Słyszałem, że tworzyliście zgrany zespół!

Rudnicka przeknęła ślinę.

– Tak – odparła. – Trochę się znamy.

Marcel zmrużył oczy, jakby zaciekawiony słowami Rudnickiej.

Gdyby spotkali się rok lub dwa lata wcześniej, rozmowa mogłaby potoczyć się w innym kierunku. Z pewnością ktoś z nich wyszłoby z pomieszczenia, trzaskając drzwiami. Dziś oboje byli przekonani, że ich związek należy do przeszłości, do której nie warto wracać.

Lena wzięła głęboki oddech, odzyskując pewność siebie.

– Jesteśmy w komplecie – powiedziała, lecz głos nie zabrzmiał tak pewnie, jak by sobie życzyła. Odchrząknęła i dodała: – Zajmijmy miejsca.

– Komisarz Rudnicka, Tymon oraz Marcel pracowali wcześniej w komendzie na ulicy Sienkiewicza. Znają się jak łyse konie, prawda? – Naczelnik się zaśmiał i szybko spowaźniał, gdy nikt mu nie zawtórował. – Do zespołu zajmującego się zaginięciami dzieci dołącza podkomisarz Szewko. – Iwan siedział rozparty na krześle niczym świeżo wybrany prezydent Stanów Zjednoczonych. Po żołniersku kiwnął głową. – Razem z Tymonem pracowali nad sprawą zaginięć, więc pozwoliłem sobie go zaprosić. Uważam, że jego wiedza i ponaddziesięcioletnie doświadczenie mogą się przydać.

– Dzięki, szefie.

– Ostatnią osobą, która będzie zajmowała się sprawą, jest Natalia Zaborska, nasz umysł analityczny. Świetnie rokująca policjantka.

Zaborska wzruszyła ramionami.

– Chciałbym, żebyście przyjrzeni się sprawie zaginięć dzieci na terenie naszego miasta. Pamiętajcie, że media interesują się tematem. Patrzą nam na ręce. Musimy być ostrożni. Czekają na potknięcie z naszej strony. Wyciągają informacje na wiele sposobów. Zachowajcie czujność i nie dajcie się zwieść. Nie przekazujcie niesprawdzonych wiadomości. Wszystkie rozmowy z dziennikarzami załatwiamy przez rzecznika policji. – Odetchnął. – Zespołem kieruje komisarz Rudnicka. Uważam, że to najlepszy wybór. Nie znam nikogo innego, kto poradziłby sobie z tą sprawą. Chciałbym, abyście raportowali mi postępy w śledztwie – zwrócił się do Leny. – Życzę powodzenia i mam nadzieję, że dorwiecie tego sukinsyna. Gdybyście potrzebowali dodatkowych środków albo ludzi, dostaniecie.

Naczelnik uściśnął dłoń Rudnickiej.

– Jeszcze raz życzę powodzenia – powiedział i wyszedł.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, Rudnicka z westchnieniem opadła na krzesło.

– Skoro już wszyscy się znamy, możemy brać się do pracy – powiedziała, omijając wzrokiem Wolskiego. – Przejrzałam akta sprawy, ale chciałabym od was usłyszeć, co do tej pory ustaliliście.

Tymon poruszył się nerwowo.

– Niewiele – odparł zawstydzony. – W gruncie rzeczy nie wpadliśmy na żaden konkretny trop. Nikt niczego nie widział ani nie słyszał. Dzieci przepadły jak kamień w wodę.

– Ale możemy przyjąć, że ktoś im w tym pomógł.

– Mamy portret potencjalnego sprawcy...

– Nie wiemy, czy mężczyzną z portretu pamięciowego jest sprawca – przerwał Tymonowi Szewko. – Sąsiad widział mężczyznę kręcącego się wokół domu Wiktora Wachowiaka w dniu zniknięcia chłopca. Mamy głębię tego faceta. Wiadomo, że sprawcy często wracają na miejsce zbrodni. I chociaż rodzinny dom porwanego chłopca nie jest takim miejscem, porywacz mógł odczuwać potrzebę, żeby się tam pojawić. Może chciał dołączyć do poszukiwań? Niektórzy przestępcy w miejscu zdarzenia mieszają się z tłumem, dlatego policjanci potajemnie robią zdjęcia gapiom. Ale przy kolejnych zaginięciach ten facet już się nie pojawił, więc uznaliśmy, że popełniliśmy błąd.

– Dlaczego? – zdziwiła się Rudnicka.

– Przypuszczam, że był to zwykły ciekawski. Albo domorosły detektyw z internetu.

Rudnicka wyjęła z teczki portret pamięciowy. Mężczyzna niczym się nie wyróżniał. Miał pospolitą twarz – ogolone policzki, kartoflowaty nos i gęste brwi. Włosy nosił zaczesane do tyłu.

– Znaleźliście go? – zapytała.

– Nie – odparł Iwan. – Pokazywaliśmy ten portret wszystkim rodzinom i świadkom, ale nikt go nie rozpoznał. Trafiał też do mediów. Dzwonili różni ludzie. Jedni sądzili, że poszukiwanym jest ich sąsiad, inni, że widzieli faceta na dworcu. Traktowaliśmy poważnie każde zgłoszenie, ale nic z tego.

– Portret pamięciowy ułatwia nam sprawę. Ale nie możemy skupiać się tylko na nim. Nie powinniśmy zakładać, że gość jest naszym porywaczem. Zaczynamy od początku.

Iwan ze zdziwieniem spojrzał na komisarza.

– Mówiąc, że zaczynamy od początku, masz na myśli... naprawdę od początku? – zapytał. – Od zera?

– Tak.

- Bez sensu.
- Dzięki za opinię.
- Mówię poważnie. Stracimy czas.

Przez chwilę Rudnicka i Szewko mierzyli się wzrokiem.

- Będę chciała porozmawiać z rodzinami i bliskimi zaginionych dzieci – oznajmiła Lena.
- Zeznania są w teczce. – Iwan postukał palcem w blat.
- Bez tego nie ruszę naprzód.

Iwan głośno wypuścił powietrze z płuc.

- Jak uważasz – odparł.

– Jeśli nie chcesz pracować przy tej sprawie, powiedz od razu. Nie będziemy marnować twojego cennego czasu.

Szewko z namysłem przyglądał się Rudnickiej, jakby rozważał, czy zareagować na zaczepkę.

– Jeśli zaczniemy od początku, wykonamy dwa razy tę samą robotę – odparł. – W przypadku zaginięć najważniejszy jest czas, więc lepiej go nie marnować na wałkowanie tego, co już wiemy.

– W przypadku zaginięć najważniejsze jest pierwsze czterdzieści osiem godzin, a z tego co wiem, wam od miesiący nie udało się odnaleźć dzieci.

Iwan uniósł otwarte dłonie.

- Poddaję się – powiedział.

Lena pomyślała, że statystyki są bezlitosne. W Polsce ginie rocznie około osiemnastu tysięcy osób. Jeśli zaginiony nie odnajdzie się w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, szansa na odnalezienie maleje. Opcje są dwie: wbrew temu, co sądzi rodzina, zaginiony nie chce zostać odnaleziony. Albo jest martwy. Często zdarzają się porwania i uprowadzenia rodzicielskie. Ale w przypadku tych konkretnych spraw raczej nie było mowy o porwaniu przez rodzica.

– Ostatnim zaginionym dzieckiem jest czterolatek Paweł Abramowski – odezwała się Rudnicka i umilkła, czując na sobie badawcze spojrzenie Wolskiego. Odchrząknęła, zakrywając pięścią usta, po czym kontynuowała: – Ostatni raz był widziany we wtorek ósmego marca. Sąsiadka zeznała, że widziała go siedzącego na schodkach prowadzących do klatki kamienicy, w której mieszkał. – Rudnicka zajrzała do dokumentów. – Kobieta nie potrafiła określić dokładnej godziny, podobnie jak siostra chłopca, która zeznała, że brat bawił się na podwórku i lepił śnieżki. Obie stwierdziły, że to mogło być około osiemnastej.

– Paweł jest najmłodszym zaginionym – zauważył Tymon. – Wiktor Wachowiak zaginął jako pierwszy. Ma osiem lat. Po nim siedmioletnia Amelia. Początkowo sądziliśmy, że sprawca wybierał dzieci w określonym wieku. Może pokazywał im nowy telefon i obiecywał, że jeśli wsiądą z nim do samochodu, podaruje im w prezencie smartfon? Dzieci w tym wieku nie nabrałyby się na paczkę cukierków, których w domu mają pod dostatkiem. Ale inaczej sprawa wygląda z czterolatkiem.

– Ustalmy chronologię działań. – Lena odchyliła się na oparcie. – Tak będzie łatwiej. Najpierw zajmujemy się zaginięciem Pawła Abramowskiego.

- Dlaczego?

To był głos Wolskiego.

Rudnicka podniosła wzrok. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, poczuła się nieswojo. Wolski siedział wyprostowany i wpatrywał się w nią, czekając na odpowiedź. Lekko przekrzywił głowę. Często tak robił, gdy się z nią droczył.

- Zaginął najpóźniej – wyjaśniła.

- Uważasz, że jest szansa, że chłopiec żyje?

– Jeśli za zniknięciem całej trójki stoi ten sam człowiek, a Paweł jest ostatnim porwanym dzieckiem, istnieje największe prawdopodobieństwo, że spośród zaginionej trójki właśnie on żyje.

- Dlatego że zaginął najpóźniej?

- Tak. – Zagryzła wargę. – Nie wiemy, co porywacz robi z dziećmi.

Wolski spojrzał Lenie w oczy.

– Zmierzasz do tego, że dopiero kiedy zabije dziecko, szuka kolejnego? – zapytał. – Jakby nudził się swoimi zdobyczami, pozbywał się ich i ponownie ruszał na polowanie?

- Mniej więcej.

- A skoro nie mamy następnego zaginionego dzieciaka, zakładasz, że Paweł żyje?

- Nie zakładam – sprostowała. – Mam jedynie taką nadzieję.

- Mhm.

– Abramowscy różnią się od pozostałych dwóch rodzin – odezwał się Tymon. – Głównie sytuacją materialną. Wachowiakowie i Gadomscy mają niezłą pozycję społeczną. Gadomski jest kierownikiem w firmie z suplementami dla sportowców, a jego żona nauczycielką w szkole językowej. Wachowiak z kolei wykłada na uniwersytecie, a jego żona pracuje w firmie produkującej dywany jako kontroler jakości. Cokolwiek to znaczy.

- Jak wygląda sytuacja Abramowskich? – zapytał Wolski.

– Ojciec jest bezrobotny, a matka pracuje w drogerii. Rzecz w tym, że oprócz Pawła mieli jeszcze trójkę innych dzieci. Ich sytuacja materialna z pewnością jest gorsza. Nie wiem, czy ma to duże znaczenie, ale uznałem, że warto o tym wspomnieć.

- To ważne – odparła Lena. – Gdyby porywacz wybierał dzieci z biednych rodzin, mielibyśmy jasną wskazówkę.

Policjanci mruknęły z dezaprobatą.



– Zaczniemy od Abramowskich – zarządziła Rudnicka.

Natalia poruszyła się na krześle i spojrzała na komisarz, jakby chciała coś powiedzieć, lecz obawiała się reakcji pozostałych.

Lena ją uprzedziła.

– Jesteś bystra – powiedziała. – Inaczej nie siedziałabyś tutaj.

– Tak mówią – odparła Zaborska.

– Umiesz wyciągać różne informacje?

– Zależy od informacji.

– Chciałabym, żebyś prześwietliła rodziców Pawła. Chcę wiedzieć o nich wszystko. Każdy szczegół z ich życia, rozumiesz?

– Prosta sprawa.

Zaborska wstała i się uśmiechnęła.

– Ile mam czasu? – zapytała.

– Takie podejście mi się podoba.

## 5

Abramowscy mieszkali na parterze kamienicy przy Nowomiejskiej w siedemdziesięciometrowym mieszkaniu, w którym podłoga była wyłożona poszarzałym parkietem.

Kamila Abramowska niedawno przekroczyła czterdziestkę. Twarz miała młodą, zadbane dłonie i świeżo umyte, lekko wilgotne włosy. Zaprosiła policjantów do salonu z wysokim oknem. Na ścianie salonu wisiał czterdziestocalowy płaski telewizor. W oczy rzucał się bałagan. Przedmioty leżały w przypadkowych miejscach. Ściany wymagały odmalowania. Szafka pokrywała kilkucentymetrowa warstwa kurzu.

Wskazała im kanapę i zaproponowała coś do picia.

– Dziękujemy – odparła Rudnicka, siadając na wskazanym miejscu.

– Przepraszam państwa na chwilę – powiedziała Abramowska, zaczepiając kosmyk włosów za ucho. – Muszę wyprawić dzieciaki do szkoły. Zaraz wrócę.

– Jasne.

Kobieta zniknęła w kuchni, skąd dobiegał ściszony głos dzieci. Chłopczyk zapytał, kto przyszedł, lecz matka nie odpowiedziała i wypchnęła dzieci na korytarz. Najstarsza dziewczynka, mniej więcej piętnastoletnia, obrzuciła gości zaciekawionym spojrzeniem. Według policyjnych notatek nazywała się Stenia. To ona jako ostatnia z rodzeństwa widziała brata. Za nią przystanął dziesięcioletni chłopiec. Miał na imię Michał. Był ubrany w zbyt cienką jak na panującą pogodę dżinsową kurtkę. Pochylił się i pomógł młodszemu bratu, siedmioletniemu Cyryłowi, zawiązać buty.

– Dacie sobie radę? – zapytała matka.

– Nie pierwszy raz odprowadzamy Cyryła do szkoły – burknęła najstarsza córka.

Abramowska pospieszenie pokiwała głową i zerknęła kontrolnie na policjantów, jakby chciała się upewnić, że wciąż siedzą w salonie.

Kiedy dzieci wyszły, kobieta przekreśliła zamek w drzwiach.

– Przepraszam – powiedziała, wróciwszy do salonu. Zajęła miejsce na wytartej kanapie i położyła dłonie na kolanach. – Dzieciaki są roztrzępane. Wszystkiego muszą pilnować.

– Nie ma sprawy – odparł Iwan Szewko.

W mieszkaniu było chłodno. W rogu salonu stał wyłączony piecyk elektryczny przykryty stertą ubrań. Już po kilku minutach policjanci zaczęli odczuwać przeszywające zimno.

Na porannym zebraniu Rudnicka rozdzieliła zadania. Postanowiła pracować w parze z Iwanem. Wyszła z założenia, że skoro brał udział w śledztwie od początku, jego wiedza może się przydać.

– Może jednak zrobię coś do picia? – zapytała Abramowska, nerwowo skubiąc materiał dresowych spodni.

– Nie pogardziłbym herbatą. – Iwan posłał kobiecie jeden ze swoich ujmujących uśmiechów, na którego widok mdlały wszystkie studentki poznane w nocnych klubach.

Abramowska z ulgą poderwała się z miejsca. Potrzebowała kilku minut, by zebrać myśli. Energicznym krokiem przeszła do kuchni. Po kilku minutach wróciła do salonu z filiżanką zielonej herbaty. Postawiła ją przed Iwanem, a potem usiadła na fotelu. Wyglądała na nieco spokojniejszą.

– Macie nowe informacje w sprawie Pawelka? – zapytała z nadzieją.

Rudnicka nie odpowiedziała od razu. Przyjrzała się kobiecie, zastanawiając się, co czuje matka, która nie ma pojęcia, gdzie znajduje się jej dziecko. Strach? Wściekłość? Ból?

– Chciałabym przekazać pani dobre wiadomości – odezwała się. – Ale niestety nadal nie mamy nowych informacji w sprawie pani synka. Bardzo mi przykro.

Abramowska spojrzała na komisarz.

– Od dziś ja zajmuję się sprawą zaginięć dzieci – ciągnęła Rudnicka. Wyjęła z kieszeni wizytówkę i przesunęła po szklanym stoliku w kierunku Abramowskiej. – To mój numer telefonu. Proszę się nie krępować i dzwonić o każdej porze, gdyby miała pani jakieś pytania.

– Dziękuję.

– Rozumiem, że sytuacja jest dla pani trudna. Obiecuję, że zrobimy wszystko, by odnaleźć Pawełka. Chciałabym, żeby opowiedziała mi pani raz jeszcze o dniu, w którym zaginał.

Abramowska wzięła do ręki kartonik.

– Opowiadałam kilka razy – odparła i spojrzała na Iwana. – Między innymi panu. Nie macie zapisanych zeznań?

– Mamy – odparła Lena. – Oczywiście, jeśli nie czuje się pani na siłach, nie będę nalegać.

Kobieta się zawahała. Potarła skronie i spuściła głowę.

– Dobrze – westchnęła. – Proszę pytać. Zrobię wszystko, żeby Pawełek się odnalazł.

– Pani syn zaginał we wtorek ósmego marca.

– Tak.

– Proszę opowiedzieć o tym dniu.

– Minął miesiąc, odkąd mojego synka nie ma w domu.

Abramowska ukryła twarz w dłoniach.

– Pani Kamilo, nie musi pani... – włączył się Iwan.

– Nie, nie. Już dobrze. – Odetchnęła głęboko, a potem wbiła wzrok w splecione na kolanach dłonie. – Pracuję w drogerii przy Piotrkowskiej – zaczęła. – Od dziesiątej do osiemnastej. Nic nadzwyczajnego się nie działo. Rankiem dzieci wyszły do szkoły. Czekaliśmy na teściową, która miała odprowadzić Pawła do przedszkola. Przyszła około dziesiątej. Ubrałam go, pocałowałam i wyszłam do pracy.

– Teściowa często odprowadzała Pawła do przedszkola? – zapytała Lena.

– Mieszka na tej samej ulicy. Paweł uwielbia babcię, a ona chętnie nam pomaga. Jest na emeryturze, więc ma dużo wolnego czasu.

Abramowska sprawiała wrażenie troskliwej i dobrej matki, ale Lena wiedziała, że pierwsze wrażenie może być mylne. Wychowywanie czwórki dzieci to ciężki kawałek chleba.

– Ale państwo z mężem również odprowadzali Pawła do przedszkola? – zapytała Rudnicka.

– Najczęściej to ja go odprowadzałam.

– A mąż?

– Och, Ryszard. – Zastanowiła się, zaczesując kosmyk włosów za ucho. – Ustaliłam z teściową, że podzielimy się obowiązkami. Ryszard... jest roztrzepany.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

Kobieta spojrzała kontrolnie w kierunku drzwi.

– Kilka razy prosiłam go, by odebrał syna, ale zdarzało mu się zapomnieć – wyjaśniła. – Tamtego dnia teściowa zaprowadziła Pawełka do przedszkola, a potem przyszła po niego około piętnastej.

– Pani mąż jest bezrobotny, prawda?

– Szuka pracy. Rynek bywa brutalny. Trudno znaleźć coś wartego uwagi.

– Rozumiem.

W pomieszczeniu zapadła niezręczna cisza.

– Czasem pomagały nam dzieciaki – przypomniała sobie Abramowska. – Stenia jest odpowiedzialną dziewczyną. Zdarzało się, że ona odbierała Pawełka.

– Dobrze mieć oparcie w córce.

– Bardzo nam pomaga.

– Proszę powiedzieć, co wydarzyło się wieczorem?

Abramowska pokiwała głową z nieobecny wyrazem twarzy.

– Wróciłam do domu jakoś za dwadzieścia siódma wieczorem – powiedziała. – Byłam nieco później, ponieważ nie zgadzała nam się kasa. Wspólnie z koleżanką musiałyśmy zostać dłużej, żeby policzyć pieniądze. Na szczęście okazało się, że się pomyliłyśmy i podczas drugiego liczenia wszystko się zgadzało. Po drodze weszłam do sklepu po pieczywo. Wróciłam do domu, rozpakowałam zakupy i poszłam się przebrać w domowe ciuchy.

– O której zorientowała się pani, że w domu nie ma najmłodszego syna?

Abramowska zagryzła wargę.

– Nie pamiętam dokładnie, ale chyba koło siódmej.

– Podczas rozmów z policjantami mówiła pani, że syn zwykle czekał, aż wróci pani z pracy...

– Pawełek każdego dnia czekał przy drzwiach wejściowych. Czasem na podwórku. Wyczekiwał mojego powrotu, bo przynosiłam mu słodycze.

– Ale tamtego dnia nie czekał na panią?

– Początkowo nie zwróciłam na to uwagi. Byłam zdenerwowana sytuacją w pracy. Marzyłam o tym, by usiąść na kanapie i odpocząć. Wiecie państwo, gdyby pieniądze nam się nie zgadzały, musiałybyśmy oddawać z własnej kieszeni. Przy czwórce dzieci liczy się każdy grosz. – Kobieta uśmiechnęła się przepraszająco. – Dopiero gdy ochłonęłam, zapytałam męża, gdzie jest Pawełek.

Abramowska sposepniała. Na jej czole pojawiła się zmarszczka, jakby kobieta intensywnie się nad czymś zastanawiała.

– Pani Kamilo? – ponagliła ją Rudnicka.

Tamta uniosła wzrok.

– Ryszard nie wiedział, gdzie jest Paweł.

– Paweł ma cztery lata, prawda?

– Tak.

– Mąż nie wiedział, gdzie podziewa się jego czteroletnie dziecko?

Rudnicka nie wyobrażała sobie, że mogłaby spuścić Basię z oczu. Dzieciom przychodzą do głowy różne pomysły. Niektóre z nich mogłyby skończyć się tragicznie.

– On... – zająknęła się Abramowska.

– Tak?

– Czasem wypije za dużo. Nie jest alkoholikiem, ale wiecie państwo... Od kilku miesięcy nie może znaleźć pracy. Jest sfrustrowany. Wysłał wiele aplikacji, ale firmy rzadko do niego dzwonią. A jeśli uda się pójść na rozmowę, nic z niej nie wychodzi.

– Mąż pije codziennie?

– Nie, nie. Ale pech chciał, że tamtego dnia się napił.

Rudnicka wymieniła spojrzenia z Iwanem. Przypuszczała, że już słyszał tę historię.

– Bardzo za nim tęsknimy – wyszeptała Abramowska. – Był naszym oczkiem w głowie. Najmłodszym dzieckiem. Nie spodziewaliśmy się go. – Uniosła wzrok i spojrzała ufnie na policjantów. – Sądziliśmy, że Cyryl będzie ostatnim dzieckiem, ale los chciał inaczej i po trzech latach zaszłam w ciążę. Kocham moje dzieci. Zrobiłabym wszystko, żeby Pawełek do nas wrócił.

– Jaki jest Paweł? – zapytała Rudnicka.

– To kochane dziecko. Uwielbia zabawę żołnierzykami. Dostał je od babci na urodziny. Nie jest wymagający. Lubi bawić się sam.

Podobnie jak Basia, pomyślała Lena.

– Wymyślał przeróżne zabawy – ciągnęła Abramowska. – Budował wieże z klocków albo biegał po podwórku. Po jego narodzinach przygotowaliśmy się na nieprzespane noce, ale Paweł był najgrzeczniejszy z rodzeństwa.

– Czy w kamienicy ma jakichś kolegów?

– Nie mieszkają tutaj dzieci w jego wieku. Dwa piętra wyżej jest młode małżeństwo, ale niedawno urodziło im się dziecko. Dziewczynka. W innych rodzinach są dzieci, ale starsze niż Pawełek.

– A jak Paweł dogadywał się z rodzeństwem?

– Kochali go.

– Nie byli zazdrośni?

– Stenia jest najstarsza i przyzwyczyła się do tej roli. Pomagała mi przy dziecku albo zabawiała pozostałą dwójkę, żebym mogła zająć się Pawełkiem. Michał ma teraz dziesięć lat, więc gdy Paweł się urodził, szedł do zerówki i miał własne sprawy. W kamienicy obok mieszkają jego koledzy ze szkoły, dlatego więcej go nie było w domu, niż był. Narodziny Pawła najbardziej przeżył Cyryl. Ulubieniec babci. Wcześniej był najmłodszym wnuczkim i trochę zajęło mu pogodzenie się z nową sytuacją.

Szczęknął zamek. W korytarzu pojawił się mężczyzna z zakupami. Zerknął zaskoczony na policjantów, a potem przeniósł wzrok na żonę.

– Państwo przyszli porozmawiać o Pawle – wyjaśniła Abramowska.

Abramowski błyskawicznie odłożył torby i wszedł do salonu.

– Jakież wieści? – zapytał.

– Przyszliśmy porozmawiać – wyjaśniła Lena i wstała. – Komisarz Rudnicka, a podkomisarza Szewkę już pan zna.

– To za dużo powiedziane – burknął Abramowski, zdejmując kurtkę, którą rzucił na oparcie fotela, i podszedł bliżej. – Czyli nadal nic nie macie?

Szewko rozłożył ręce.

– Przykro mi.

– Czego jeszcze od nas chcecie?

– Porozmawiać – uspokoiła go Rudnicka.

– Już wiele razy rozmawialiśmy i nic z tego nie wynikło.

– To nie do końca prawda... – zaprotestował Iwan, ale Abramowski nie dał mu dokończyć.

Był niskim, korpulentnym mężczyzną. Zaczerwienione policzki kazały sądzić, że zagląda do kieliszka znacznie częściej, niż twierdziła żona, a zniszczone dłonie były dowodem, że uczciwie przepracował ostatnie lata.

– Nieprawda? – warknął. – Tylko pytaacie. Minął ponad miesiąc, a mojego syna nadal nie ma w domu. Wiecie, co przeżywamy? Cholera, to nasze dziecko!

– Od dzisiaj ja prowadzę śledztwo – wyjaśniła Lena. – Chciałam osobiście z wami porozmawiać.

– Przejęła pani śledztwo w sprawie Pawełka? – Abramowski obrzucił Rudnicką wrogim spojrzeniem. – Czyli poprzedni policjanci nic nie zrobili i trzeba ich zmienić?

– Nie...

– Przydzielić kogoś nowego, kto od początku będzie zapoznawał się ze sprawą i tracił czas.

– Okej – odpuściła Lena. – Chyba przyszliśmy nie w porę.

– Ryszardzie, daj spokój. – Abramowska położyła dłoń na ramieniu męża. Spojrzała na żonę i twarz mu złagodniała.

– Ile razy jeszcze będę przez to przechodził? – zapytał. Zajął miejsce na kanapie i skrzyżował ramiona na piersi. – Proszę. Niech pani pyta, o co pani chce.

Komisarz posłała Szewce wymowne spojrzenie. Rozmowa nie będzie należała do najłatwiejszych. Abramowski był nieprzychylnie nastawiony do organów ścigania. Brak postępów w śledztwie wywoływał w nim zrozumiałą nerwowość. Lena postanowiła ostrożnie dobierać słowa, aby go nie prowokować. Usiadła z powrotem w fotelu i oparła dłonie na podłokietnikach.

– Co pamięta pan z dnia, kiedy zaginął Paweł? – zapytała.

– niewiele. Moja matka przyprowadziła go z przedszkola po trzeciej. Dałem mu soku pomarańczowego, a potem poszedł się pobawić do pokoju Steni. Zabrał ze sobą kolorowanek, więc uznałem, że zajmie się sobą. Pawełek lubi malować.

– Macie państwo jego rysunki?

Abramowska skinęła głową, wstała i wyszła do sąsiedniego pomieszczenia.

– Co robił pan po powrocie Pawełka z przedszkola? – zapytała Lena.

– Wypiłem piwo i położyłem się na kanapie.

– Czyli nie kontrolował pan syna?

– Chyba przysnąłem.

– Tutaj jest jego zeszyt. – Abramowska wróciła z notesem i podała go Rudnickiej.

– Możemy go zabrać? – zapytała Lena. – Przejrzę i oddam.

– Tak. Oczywiście.

– Panie Abramowski? – Rudnicka przeniosła wzrok na Ryszarda.

– Zasnąłem.

– Czyli nie widział pan, o której syn wyszedł z domu?

Mężczyzna potarł niedogolone policzki.

– Nakrzyczałem na niego – przyznał. – Znudziło mu się kolorowanie, przyszedł do salonu, zaczął bawić się elektrycznymi wyścigówkami i włączył klakson. To wycie mnie obudziło, więc się uniosłem. Nie powinienem był, ale... po prostu się wkurzyłem. Bardzo tego żałuję.

– Dzieci czasem potrafią wyprowadzić dorosłych z równowagi – przyznała Lena. – Jak zareagował Paweł?

– Rozplakał się.

– I co dalej?

– Kazałem mu wyjść i przemyśleć swoje zachowanie.

– Do pokoju?

– Na dwór.

– Kazał wyjść pan czterolatкови na dwór?

Abramowski odwrócił głowę.

– Wyszedł, a ja znowu zasnąłem – ciągnął. – Obudziłem się, kiedy żona wróciła do domu.

## 6

Kobieta mlasnęła przeciągle i spojrzała na policjantów.

– Oni go nie lubili – oznajmiła.

Rudnicka czekała na więcej, ale kobieta uniosła filiżankę do ust i upiła łyk herbaty. Arleta Górską, sąsiadka Abramowskich, zaprosiła policjantów do swojego mieszkania. Ledwo Kamila Abramowska zamknęła drzwi, na klatce pojawiła się starsza pani i z uśmiechem zaprosiła policjantów do siebie. Lena skorzystała z zaproszenia, wiedząc, że sąsiedzi bywają cennym źródłem informacji.

Na stole stał półmisek z ciasteczkami w czekoladzie. Rudnicka sięgnęła po jedno i wsunęła do ust.

– Abramowscy nie lubili swojego syna? – upewniła się komisarz.

– Ano nie lubili.

– Dlaczego tak pani uważa?

– Nie przelewa im się.

– Czworo dzieci to spore wyzwanie finansowe.

Górska zatrzymała wzrok na twarzy Rudnickiej. Zadbana siedemdziesięciolatka miała na sobie elegancką koszulę w czarno-czerwone pasy i gładką spódnicę. Siwe włosy splecione w warkocz przerzuciła sobie przez ramię.

Wzbudzała zaufanie, chociaż Lena była przekonana, że gdy wyjdą z mieszkania, kobieta niezwłocznie podzieli się wiedzą ze swoimi koleżankami.

Górska odchrząknęła.

– Kiedyś rozmawiałam z Abramowską – odparła. – Niedługo po narodzinach Cyryla. Mówiła, że nie chce więcej dzieci. Przeżyła trudny poród. Powtarzała, że trójka wystarczy. Na własne uszy słyszałam, jak mówiła, że ma dość siedzenia w pieluchach. A potem zaszła w kolejną ciążę.

Lena zastanawiała się, czy postanowienie Abramowskiej zostało podjęte pod wpływem trudnego porodu i zmęczenia, czy faktycznie wspólnie z Ryszardem nie chcieli kolejnego dziecka? Ale nawet jeśli Paweł był nieplanowany, to nie oznaczało, że rodzice go nie kochali. Lena uznała, że relację sąsiadki należy potraktować z dystansem.

Rozejrzała się po urządzonym w stylu lat dziewięćdziesiątych mieszkaniu. Komoda była pełna oprawionych w ramki fotografii wnucząt i dzieci. Przy przeciwległej ścianie znajdował się telewizor, a na nim rząd pluszowych misiów. Wszędzie – na parapecie, podłozie i półkach – stały kwiaty w ozdobnych donicach.

– Piękne rośliny – pochwaliła Rudnicka.

– Uwielbiam kwiaty. – Górska przyglądała dłonią spódnicy. – Rośliny dają mi zajęcie. Mąż zmarł kilka lat temu. Od tamtej pory usiłuję zabić nadmiar wolnego czasu, a dzięki kwiatom jest tu więcej życia. Uwielbiam, kiedy odwiedzają mnie dzieci i wnuczki, ale rozumiem, że nie zawsze mają czas na odwiedziny u starej matki. Synowa niedługo idzie do pracy. Zaproponowałam, że zajmę się wnuczkami. – Uśmiechnęła się. – Nie mogę się doczekać. Wreszcie w domu zrobi się weselej. A co w sprawie Pawełka? Nadal nie macie żadnych wieści?

– Staramy się jeszcze raz prześledzić tamten wieczór.

Iwan, który milczał od początku wizyty u Górskiej, poruszył się nerwowo.

– Co miała pani na myśli, mówiąc, że Abramowscy nie lubili Pawła? – zapytał. – Czy w jakikolwiek sposób dawali do zrozumienia, że był niechcianym dzieckiem? Rozmawialiśmy wielokrotnie – zauważył. – Niczego podobnego wcześniej pani nie mówiła.

Górska zmieszała się i wbiła wzrok w podłogę.

– Przepraszam – odparła. – Tyle się działo, że zwyczajnie zapominałam. Brałam udział w poszukiwaniach Pawełka. Bardzo chciałam pomóc w jego odnalezieniu. Ale mam swoje lata. Nadmiar emocji bardziej mi szkodzi, niż motywuje do działania. Całą tę sprawę odchorowałam. Przez kilka tygodni nie mogłam w nocy spać. Myślałam o tym biednym chłopcu. Zastanawiałam się, kto mógł zrobić coś tak okropnego. Dlaczego zabrał go od rodziców? Przecież... przecież to takie małe dziecko... Pewnie Pawełek bardzo się bał...

– Proszę opowiedzieć wszystko, co pamięta pani z tamtego dnia. – Iwan wyprostował plecy. – Może przypomni się pani coś jeszcze. Coś, co mogłoby mieć znaczenie w sprawie.

– Było okropne zamieszanie. Abramowscy szukali syna. Przyjechała policja. Wszyscy sąsiedzi wyszli na dziedziniec. Dopiero potem przyszło mi do głowy, że zaginięcie Pawełka jest Abramowskim na rękę. Nie chciałam nikogo oskarżać. Abramowska to dobra kobieta. Stara się, ale kiepsko układa jej się z mężem. Coraz częściej widuję Ryszarda pijanego. No i już od dłuższego czasu nie ma pracy.

Rudnicka upiła łyk herbaty i gestem zachęciła Górską, by mówiła dalej.

– Widziałam Pawełka tamtego dnia. Czekał na matkę. Siedział na schodach przy wejściu do kamienicy. Pamiętacie państwo, że w marcu było parę ciepłych dni, a potem niespodziewanie spadło kilka centymetrów śniegu? Wtedy Pawełek zaginął. Temperatura poniżej zera, a malec siedział na schodach. Szkoda mi się go zrobiło, więc wyszłam i zapytałam: „Pawełku, czemu tutaj siedzisz?”. A on wyjaśnił, że na matkę czeka. Próbowałam go namówić, żeby czekał w domu, ale tylko pokręcił głową.

– Nie chciał tam wrócić? – upewniła się komisarz.

– Nie.

– Jak pani sądzi, dlaczego?

Górska była najbliższą sąsiadką Abramowskich. Z pewnością sporo o nich wiedziała.

– Pani Arleto? – ponagliła ją Rudnicka.

Kobieta strzepnęła ze spódnicy niewidzialny paproch. Posmutniała, jakby wspomnienie zaginionego chłopca było dla niej zbyt bolesne.

– Źle traktowali Pawełka – wyznała. – Nie mieszam się w prywatne sprawy ludzi, ale gołym okiem było widać, że... że gdyby mogli, toby się go pozbyli.

– Dlaczego tak pani uważa?

– Kiedy Abramowska dowiedziała się o ciąży, była załamana. Nie wiedziała, jak sobie poradzić z czwórką. Pocięczałam ją. Mówiłam, że dziecko jest darem od Boga. Jeśli będą się kochać, jakoś wszystko się ułoży, ale ona tylko powtarzała, że nie stać ich na kolejne dziecko. Tamtego dnia, kiedy wróciłam do domu, przyszło mi do głowy, że Abramowska chce usunąć ciążę.

– Ale nie zrobiła tego.

– Całe szczęście! Długo nie było po niej widać. Nawet pomyślałam, że naprawdę usunęła, ale potem brzuch zaczął robić się widoczny. Odetchnęłam z ulgą. Kościół zakazuje aborcji. Usunięcie dziecka to zbrodnia. No... Może gdyby dziecko miało się urodzić chore, ale Pawełek to piękny i zdrowy chłopiec.

– Czy Kamila Abramowska obawiała się reakcji męża na wieść o kolejnej ciąży?

– Nie wiem.

– Jak długo tutaj pani mieszka?

– Och, będzie już ze trzydzieści lat.

– A jak długo zna pani Abramowskich?

Górska chwilę się zastanawiała.

– Wprowadzili się jakieś piętnaście lat temu.

– Czyli może pani powiedzieć, że całkiem dobrze zna tę rodzinę? Oczywiście na tyle, na ile można poznać sąsiadów.

– Tak – przyznała Górska. – Chyba można tak powiedzieć.

– My znamy ich krócej, więc wiemy znacznie mniej. Chciałabym, żeby zastanowiła się pani nad tym, czy istnieje możliwość, że Abramowska bała się męża?

Górska siedziała nieruchomo, zaskoczona pytaniem.

– Nie wydaje mi się – odparła. – Jeśli pyta pani o przemoc domową, mogę powiedzieć, że Ryszard nie był takim mężczyzną. Bywał nerwowy, bo miał problemy ze znalezieniem pracy. Zaglądał do kieliszka częściej niż powinien, ale nie bił dzieci ani Kamili. Kłócili się, jak to w małżeństwie, ale nie sądzę, żeby ona się go bała. A wręcz przeciwnie...

– Tak?

– Nie jestem wścibska, ale w tym związku więcej do powiedzenia miała ona niż Ryszard.

– O co się kłócili?

– O alkohol. I o pieniądze. Ściany w kamienicy są grube, ale wystarczy wyjść na klatkę, a wszystko słychać. Kiedyś podlewałam kwiaty na półpiętrze i słyszałam, jak Abramowska krzyczała, że jeszcze raz, a wywali go z domu. Kiedy Ryszard pracował, pomiędzy nim a Kamilią było dobrze, ale potem wszystko się posypało. Siedział trochę na zasiłku, ale co to za pieniądze przy czwórce dzieci, nawet mimo pięćset plus?

– Domyślam się, że Abramowska w drogerii zarabia raczej niewiele.

– Mają duże mieszkanie, a czynsze i rachunki nie maleją. Finansowo pomagała im teściowa, matka Ryszarda. Komisarz pokiwała głową.

– Czy pani zdaniem mogli zrobić krzywdę Pawłowi? – zapytała.

Kobieta ściągnęła brwi.

– Jaki rodzic zrobiłby krzywdę własnemu dziecku? – zastanowiła się. – Źle traktowali tego małego, tyle mogę pani powiedzieć. Rodzeństwo mu dokuczało. Najstarsza córka to dobra dziewczyna. Nigdy nie było z nią problemów. Zawsze przystała i porozmawiała chwilę. Ale o młodszych chłopcach nie mogłabym tego powiedzieć. Michał to urwis. Zadaje się z nieodpowiednim towarzystwem. Chłopak ma dopiero dziesięć lat, a już łobuzuje. Kilka razy widziałam go, jak palił papierosy za śmietnikami. Kto by pomyślał! Przecież to jeszcze dziecko! Ach, no i złych nawyków uczy tego młodszego.

– Cyryła?

– Cyryl był miłym dzieckiem, dopóki nie urodził się Pawełek. Od tamtej pory zaczął rozrabiać. Może był zazdrosny, ale żeby dźgać go, kiedy mały leżał w wózku? Czegoś takiego nigdy nie widziałam!

Rudnicka przypomniała sobie słowa Kamili Abramowskiej. Był najmłodszym, rozpieszczonym dzieckiem, a nagle pojawił się młodszy brat, który zajął jego miejsce. Czy niewinne dokuczanie mogło zamienić się w coś poważniejszego?

– Bracia dokuczali Pawełkowi – ciągnęła Górska. – Niejednokrotnie widziałam, jak go popychają. Śmiali się z niego. Zwróciłam im uwagę, ale starszy odezwał się do mnie w niegrzeczny sposób. Użył takich słów, że wstyd powtórzyć. Poszłam więc do Abramowskich i powiedziałam, że chłopcy źle traktują najmłodszego.

– Jak zareagowali?

– Ryszard był zaskoczony. Obiecał, że porozmawia z synami i wytłumaczy im, że nie powinni zachowywać się w taki sposób.

– A Kamila?

– Ponoć nie miała o tym pojęcia. Odparłam, że nie robią tego w jej obecności. Dzieci są cwane. Ale ona bardzo się zdenerwowała.

– Ludzie nie lubią, gdy wytyka im się błędy.

– Myślę, że Kamila nie chciała takiego życia. Proszę na nią spojrzeć. Ładna, zadbana kobieta, a ledwo wiąże koniec z końcem. Kiedyś częściej rozmawialiśmy. Pewnego razu powiedziała, że marzyła o aktorstwie, ale życie potoczyło się inaczej. Bezrobotny mąż i dzieci stale wymagające opieki.

Rudnicka uznała, że dowiedzieli się od sąsiadki wystarczająco dużo. Podziękowała za rozmowę. Kobieta odprowadziła ich do drzwi i zachęciła do ponownych odwiedzin. Gdy zatrzymali się przed główną bramą, dobiegł ich głos dochodzący z jednego z mieszkań.

Z otwartego okna na parterze wychylał się mężczyzna ubrany w cienki T-shirt. Między palcami trzymał tłącego się papierosa.

– Policja? – zapytał.

Lena z wahaniem podeszła do okna.

– Dzień dobry. Komisarz Rudnicka – przedstawiła się.

– Byliście u Abramowskich? – Chropowaty głos mężczyzny zdradzał, że wypalił w życiu zdecydowanie za dużo papierosów. Wciągnął dym, zgasił niedopałek o parapet i wrzucił do plastikowego pojemnika na deszczówkę stojącego pod oknem. – Coś nowego w sprawie tego chłopca? – Kiedy komisarz zgromiła go wzrokiem, uniósł otwarte dłonie. – No tak, tak. Tajemnica śledztwa.

Lena posłała mu przepaszający uśmiech. Wszyscy sąsiedzi brali udział w poszukiwaniach Pawła, dlatego ich ciekawość miała swoje uzasadnienie.

– Szkoda dzieciaka! – zawołał za nią mężczyzna. – W złej rodzinie się urodził!

Kiedy wsiedli do samochodu, Iwan potarł dłońmi twarz. Utkwił wzrok w przestrzeni za szybą. Przypatrywał się mijającym ich przechodniom.

– Dlaczego Górska powiedziała o tym dopiero teraz? – westchnął. – Gdybyśmy wcześniej wiedzieli, że Paweł był źle traktowany przez rodzeństwo... Ach, sam nie wiem. Od początku zdali mi się dziwni.

– Abramowscy?

Iwan skinął głową.

– Myślisz, że upozorowali zniknięcie syna? – zapytał.

– Jakie mają alibi? – odpowiedziała pytaniem.

– Około osiemnastej sąsiadka widziała Pawła przed kamienicą. Od momentu, gdy widziano go żywego, do zawiadomienia policji minęła godzina.

– Dość czasu, by pozbyć się ciała czterolatka – stwierdziła Rudnicka i poczuła, jak po plecach przebiega jej nieprzyjemny dreszcz.

Milczeli długą chwilę.

– Ale czy mogliby ukryć ciało tak dobrze, że do tej pory byśmy go nie odnaleźli? – zapytała.

– Przeszukaliśmy mieszkanie i przynależną do niego komórkę. Przy okazji sprawdziliśmy komórki innych lokatorów. Nie było śladów krwi.

– Nie musiało ich być.

– To prawda.

Czy Abramowscy byliby w stanie zabić własne dziecko, ukryć zwłoki, a potem odgrywać rozpacz po zaginięciu syna?

– Abramowska chciała być aktorką – przypomniała sobie Lena. – Myślisz, że potrafiłaby udawać przed policją i mediami?

– Nie wiem.

– A Ryszard? Jak zachowywał się po zaginięciu syna?

– Niewiele mówił. Początkowo wydawało mi się, że jest zły. Wiesz, gdyby nie wypił kilku piw i nie zasnął, mógłby przypilnować chłopca i nic by się nie stało. Ale teraz... Cholera, sam nie wiem, może dopadły go wyrzuty sumienia, dlatego milczał? – Iwan znowu potarł dłonią policzek. – Zastanawialiśmy się, czy Abramowscy mają coś na sumieniu. Ale nigdzie nie było śladów krwi. Żaden z sąsiadów nie widział Abramowskich przed kamienicą. A jeśli chcieliby wywieźć ciało Pawła, musieliby wyjść na zewnątrz. Współpracownica Abramowskiej potwierdziła, że zostały dłużej w pracy, bo nie zgadzała im się kasa. Nic, czego moglibyśmy się chwycić.

– Abramowska ma alibi. Ryszard twierdzi, że spał. To słabe wytłumaczenie. A jeśli chłopczyk przypadkiem zrobił sobie krzywdę?

– Dzieci potwierdziły słowa ojca. W domu byli Michał i Cyryl. Najstarsza córka, wychodząc z domu, po raz ostatni widziała Pawła.

– Wiemy, że Stenia często się nim opiekowała. Ale w domu został Ryszard z dwoma synami, którzy, jak wiemy, nie przepadali za najmłodszym bratem. Może ojciec zakazał im mówić prawdę?

Dzieci w tym wieku pozostają pod silnym wpływem rodziców. Lena była przekonana, że gdyby kazał synom trzymać buzie na kłódkę, posłuchałyby go. Szczególnie jeśli zniknięcie Pawła byłoby im na rękę.

– Rozmawialiście z chłopcami, prawda? – zapytała Rudnicka.

– Niczego konkretnego nam nie powiedzieli. Michał i Cyryl mieli wspólny pokój. Michał zeznał, że grał na komputerze i wyszedł z pokoju, kiedy matka z ojcem podnieśli alarm, że zniknął młodszy brat.

– A Cyryl?

– Oglądał telewizję w pokoju siostry, bo starszy brat wyrzucił go z ich wspólnego pokoju. Cyryl przeszkadzał mu w graniu.

– Niczego nie widzieli ani nie słyszeli?

Iwan pokręcił głową.

– Będziemy musieli jeszcze raz z nimi porozmawiać – oznajmiła Rudnicka. – Najpierw jednak poczekamy, aż Natalia znajdzie coś na tę rodzinę.

– Sądziś, że to naprawdę oni...?

– W Łodzi w krótkim odstępie czasu zginęło dwoje dzieci.

– Abramowscy upozorowali porwanie Pawła, żeby skierować podejrzenie na seryjnego porywacza...?

– Brzmi logicznie, prawda? W końcu wszyscy tak myśleliśmy.

Kamila Abramowska dotknęła sztywnego od kurzu materiału i zaciągnęła zasłonę. W tle grał telewizor, wzięła do ręki pilota i nacisnęła guzik po lewej stronie. Przyciszyła odbiornik, a potem odwróciła się do jedzącego śniadanie męża.

– Byli u Górskiej – powiedziała.

– Ciekawe, co starucha im naopowiadała. – Ryszard umoczył parówkę w musztardzie, wsunął do ust i zagryzł chlebem. – Największa plotkara w kamienicy. Siedzi w domu i z nudów podgląda sąsiadów.

– Hm, może do niej zajrzę?

Ryszard siorbnął łyk herbaty.

– Cholera. Znowu zapomniałem posłodzić.

– Czy ty mnie słuchasz?

Ryszard zignorował pytanie żony i począł do kuchni po cukiernicę. Wrócił, postawił ją na stole i posłodził herbatę dwoma łyżeczkami. Zamieszał i cmoknął z zadowoleniem.

– Po co? – zapytał.

– Podpytam ją, o czym z nią rozmawiali.

– Ja mogę ci powiedzieć, o czym.

Kamila popatrzyła na męża. Znała go niemal dwadzieścia lat, a nadal zaskakiwał ją swoją naiwnością. Ryszard był prostym człowiekiem. Myślami nie wybiegał w przyszłość. Nie planował niczego. Wyznawał zasadę, że co będzie, to będzie. Rzadko wysnuwał własne wnioski, dlatego nie pojmował, że wścibska sąsiadka mogłaby im mocno zaszkodzić.

Kamila i Ryszard poznali się w szkole średniej w mieście oddalonym od Łodzi o pięćdziesiąt kilometrów. Kamila chciała iść na studia. Zdała maturę ze świetnymi wynikami i powoli szykowałą się do egzaminów, ale plany młodej pary pokrzyżowała matka Ryszarda, która postanowiła rozwieść się z mężem. Ryszard usiłował pogodzić rodziców. Ale Mieczysława Abramowska podjęła decyzję o rozstaniu. Żaden argument do niej nie trafiał. Decyzja była podyktowana wyprowadzką syna. Mąż miał ciężką rękę. Kiedy syn mieszkał z nimi w rodzinnym domu, Mieczysława czuła się bezpiecznie. Wiedziała, że ją obroni. Bała się zostać sama, więc podjęła decyzję o rozwodzie.

Po postanowiła wyprowadzić się do Łodzi, bliżej syna i jego partnerki. Kamila była załamana. Pragnęła wyrwać się spod skrzydeł rodziców i korzystać ze studenckiego życia, tymczasem Mieczysława kupiła mieszkanie w kamienicy przy Nowomiejskiej i zaproponowała, żeby młodzi z nią zamieszkali i zaoszczędzili na wynajmie. Ryszard przystał na propozycję matki mimo protestów Kamili.

Była zła i sfrustrowana, chociaż Mieczysława nie brała od nich ani grosza, za to patrzyła jej na ręce. Zamiast zaznać studenckiego życia, Kamila trafiła z deszczu pod rynnę. Mogła zapomnieć o imprezach do rana i życiu na własny rachunek.

Ryszard szybko znalazł pracę przy wykończeniach wewnątrz. Miał dryg do budowlanki i prac technicznych. W krótkim czasie awansował na kierownika, co wiązało się z wyższą pensją. Kamila nie miała tyle szczęścia. Nie dostała się na wymarzone studia aktorskie, więc rozpoczęła naukę na kierunku administracja. Na trzecim roku, gdy miała mniej zajęć, podjęła pracę w kiosku. Pracowała popołudniami i weekendami, a zarobione pieniądze odkładała na konto w banku.

Kiedy Ryszard poprosił ją o rękę, zgodziła się. Ślub wzięli kilka miesięcy po zaręczynach. Zorganizowali małe przyjęcie dla najbliższych. To był moment, kiedy Kamila zażądała od Ryszarda wyprowadzki od teściowej. On uważał jednak, że mieszkanie z matką dawało wiele korzyści. Dzięki temu mogli przecież pracować i odłożyć więcej pieniędzy na kupno własnego lokum.

Dopiero ciąża sprawiła, że zdecydował się na wyprowadzkę. Kamila była załamana. Chciała ukończyć studia i wyjechać za granicę, zwiedzić trochę świata, poznać ciekawych ludzi. Cięża pokrzyżowała im plany, ale Ryszard zdawał się tego nie zauważać. Był szczęśliwy. Marzył o dziecku.

W tym czasie obie kobiety już się nie dogadywały. Wcześniej synowa nie sprzeciwiała się Mieczysławie, ale z czasem coraz śmieiej wypowiadała na głos własne zdanie. Do kryzysu doszło krótko po ślubie w Wigilię.

Temperatura spadła do dwunastu stopni poniżej zera. Sypał gęsty śnieg. Młodzi Abramowscy zaplanowali, że Wigilię spędzą z Mieczysławą, a następnego dnia odwiedzą rodziców Kamili, która nie była w rodzinnym domu od czterech tygodni, ponieważ dużo pracowała. Nie mogła doczekać się tej wizyty.

Wigilia przebiegła w zaskakująco miłej atmosferze. Wydawało się, że Mieczysława jest w dobrym humorze. Po kolacji Kamila spakowała do torby podróżnej rzeczy swoje i męża. Po raz pierwszy mieli jechać do rodzinnego miasta własnym samochodem, starym oplem, którego kilka tygodni wcześniej kupili na giełdzie.

Koło dwudziestej pierwszej Mieczysława źle się poczuła. Narzekała na ostry ból brzucha. Ryszard zaproponował, że zawiezie ją do szpitala, ale nie chciała się zgodzić. Kamila podejrzliwie patrzyła na jęczącą z bólu teściową.

– Ona udaje – szepnęła mężowi do ucha.

– Daj spokój – odparł zaskoczony Ryszard. – Po co miałyby to robić?

– Żebyś z nią został.

– Chyba żartujesz.



Kamila była przekonana, że starsza kobieta tylko udaje chorobę, aby popsuć im święta. Mieczysława twierdziła, że tabletki przeciwbólowe nie pomagają. Była błada i nie mogła się wyprostować.

Kamila upewniła się, że męża nie ma w pobliżu, i przysiadła obok łóżka teściowej.

– Może mama przestać – powiedziała. – Nikogo mama nie nabierze.

Teściowa spojrzała spod półprzymkniętych powiek.

– Co ty mówisz, dziecko?

– Wiem, że mama udaje. – Kamila z uśmiechem postawiła na nocnym stoliku krople żołądkowe. – Będziemy się z Ryskiem zbierać. Rodzice na nas czekają.

W kuchni Ryszard oznajmił, że zawiezie Kamilę na dworzec, a potem pojedzie z matką na pogotowie.

– Mieliśmy jechać razem – zaprotestowała. – Rodzice tak cieszyli się na nasz przyjazd.

– Moja matka zachorowała, nie widzisz?

– Ona udaje.

– Jesteś nienormalna.

Urządziła awanturę. Oskarżyła Mieczysławę o próbę rozbicia jej małżeństwa. Ryszard usiłował ją powstrzymać, ale popchnęła go na szklany stolik. Szkło posypało się na podłogę, a niewzruszona Kamila wyszła na korytarz i wypakowała rzeczy męża. Zrzuciła torbę na ramię i bez pożegnania opuściła mieszkanie. Spodziewała się, że Ryszard dogoni ją w połowie drogi i przeprosi, ale tak się nie stało. Pojechała do domu i nie dawała znaku życia przez kilka następnych dni.

Dopiero gdy skończył jej się urlop i wróciła do Łodzi, dowiedziała się, że Mieczysława dostała ostrego zapalenia trzustki, a Ryszardowi założono w szpitalu szwy, ponieważ rozciął sobie przedramię, kiedy upadł na rozbite szkło.

Kamila miała wyrzuty sumienia, chociaż nadal uważała, że teściowa mogła sama pojechać do szpitala, nie angażując syna. Po powrocie Mieczysława poprosiła Ryszarda, żeby jak najszybciej znalazł mieszkanie dla siebie i żony. Podarowała młodemu brakującą sumę do kupna siedemdziesięciometrowego lokum. Kamila na wieść o tym, że ich nowe gniazdko znajduje się w sąsiedztwie mieszkania matki Ryszarda, miała ochotę krzyknąć. Z czasem polubiła centrum. Z Nowomiejskiej dzieliły ich trzy minuty na Piotrkowską.

Po kilku latach doceniła bliskość teściowej. Kobiety się pogodziły, a Mieczysława kochała wnuczeta i chętnie się nimi opiekowała. Żadna z nich nie poruszyła tematu wigilijnej awantury.

– Myślisz, że go znajdą? – zapytała Kamila.

Ryszard napił się herbaty.

– Nie wiem – odparł. – Niczego nam nie mówią.

– Bo niczego nie mają.

– Nie wierzę w to.

Kamila zmrużyła oczy.

– Myślisz, że policja coś ukrywa?

– Widziałaś tę policjantkę.

– Przez miesiąc niczego nie znaleźli.

– Ta komisarz nie wygląda na taką, co łatwo odpuszcza.

Kamila zapadła się w fotelu.

– Będą węszyć – dodał Ryszard. – Będą węszyć, aż w końcu znajdą.

## 8

Gabinet dyrektorki przedszkola przy ulicy Hermana Konstadta 9 znajdował się od południowej strony. Z okien rozpościerał się widok na pusty plac zabaw. Zza zamkniętych drzwi rozlegały się roześmiane dziecięce głosy. Chociaż dochodziła dwunasta, na zewnątrz było ciemno, jakby zapadał zmrok. Kobieta wprowadziła policjantów do pomieszczenia i zapaliła sufitową lampę o białym, drażniącym oczy świetle.

Policjanci zajęli miejsca naprzeciwko niej. Miała surową twarz i opadające na ramiona kasztanowe włosy. Siedziała lekko zgarbiona, jakby przytłoczona hałasem, w jakim musiała pracować. Splotła dłonie na blacie biurka.

– Jestem do dyspozycji – powiedziała, spoglądając na zegarek. – Za piętnaście minut mam ważne spotkanie.

– Oczywiście – odparł Wolski. – Nasza rozmowa zajmie tylko chwilę.

– Proszę. – Rozłożyła ręce i uśmiechnęła się uprzejmie. – O co chodzi?

– O Pawła Abramowskiego.

– Och.

Dyrektorka uniosła głowę wyżej. Wyglądała na zmęczoną albo niewyspaną. Gruba warstwa pudru nie zdołała zamaskować podkrążonych oczu.

– Tragiczna historia – odparła. – Trudno mi sobie wyobrazić, co przeżywają rodzice tego chłopca. Poznałam ich oboje, chociaż ojciec pojawiał się znacznie rzadziej. Najczęściej Pawła przyprowadzała do przedszkola babcia.

Bardzo miła starsza pani. Widać było, że kocha Pawelka. Czy są jakieś nowe wieści?

– Niestety nie. I z tego powodu tutaj jesteśmy.

– Rozumiem. W czym mogę pomóc?

– Minął miesiąc od zniknięcia chłopca – powiedział Wolski. – Staramy się ponownie przyjrzeć sprawie. Mamy nadzieję, że uda nam się odkryć coś, co wcześniej pominięto. Proszę opowiedzieć nam o Pawle.

– Och, dobry z niego chłopczyk. Trochę nieśmiały, ale w jego wieku to normalne. Bystry i szybko się uczy. Lubi do nas przychodzić, a proszę mi wierzyć, nie wszystkie dzieci chętnie zostają w przedszkolu.

– Paweł nie płakał, kiedy rozstawał się z rodzicami lub babcią?

– Nigdy. Jest pewna grupa dzieci, która każdego ranka urządza awanturę w szatni. Ale Paweł do nich nie należał. Miał dwóch najlepszych kolegów, z którymi najczęściej się bawił.

– Czy sprawiał jakieś problemy?

Kobieta się zastanowiła.

– Raczej nie – odparła. – Chociaż raz uderzył innego chłopca.

– Z jakiego powodu?

– Błahego, jak to u dzieci. Artur zabrał mu ulubiony samochód, więc Paweł go uderzył. Przyznam, że byłam zaskoczona, bo Pawełek to spokojne dziecko, ale wtedy coś w niego wstąpiło. Złapał duży plastikowy klocek i uderzył kolegę w głowę. Trafił w czoło. Ale na szczęście skończyło się na placu. Rodzice Artura nie robili z tego powodu problemów. Wiedzieli, że ich syn nie jest najgrzeczniejszym dzieckiem. Artur specjalnie zabrał ulubioną zabawkę Pawła, ale nie powinno dojść do przemocy.

– Jak skończyła się ta sprawa?

– Porozmawialiśmy z Pawelkiem i jego matką. Wydawało się, że chłopiec zrozumiał, że nie powinien reagować w taki sposób. Przeprosił Artura.

– Co pani sądzi o rodzinie Pawła? – zapytał Tymon, zakładając nogę na nogę.

Dyrektorka przedszkola uciekła wzrokiem w bok.

– Zależy, o co pan pyta – odparła. – Wydają się normalną rodziną.

– Ale?

– Hm.

Wolski porozumiewawczo zerknął na Tymona. Większość ludzi reaguje w podobny sposób. Rodzice, których dziecko zaginęło, są pokrzywdzonymi. Wszyscy im współczują. Nikt nie chce im zaszkodzić. Abramowscy stracili syna. Przyzwoity człowiek nie powinien dokładać im kłopotów i zmartwień. Ale dyrektorka przedszkola ewidentnie chciała powiedzieć o czymś policjantom.

– Proszę się nie krępować. – Marcel nachylił się w stronę kobiety. – To ważne. Jeśli informacje mają znaczenie w sprawie zaginięcia Pawła, powinna nam pani o tym powiedzieć.

– Sama nie wiem.

– Pozwoli pani, że sami ocenimy?

– No dobrze. – Kobieta skubała nerwowo mankiet koszuli. – Paweł rozwija się prawidłowo. Szybko się uczy i ma właściwe reakcje jak na dziecko w jego wieku. Wszystko z nim w porządku, ale, hm...

– Tak?

– To smutne dziecko.

Wolski zmarszczył brwi.

– Niech mnie pan źle nie zrozumie. Dzieci w tym wieku tryskają energią. Są radosne, ufnie i pełne życia. Ale nie w przypadku Pawła. Często chodził przybity i smutny. Bawił się z dziećmi, ale kiedy zostawał sam, w jego oczach pojawiał się smutek.

– Rozmawiała z nim pani na ten temat?

– Początkowo sądziłyśmy, że w rodzinie dzieje się coś niedobrego. Kasia, wychowawczyni Pawła, próbowała go podpytać, ale niczego się nie dowiedziała. Chłopczyk uśmiechał się, jakby... jakby udawał zadowolonego.

– Udawał?

– Tak to wyglądało.

– Rozmawiała pani z rodzicami?

– Poprosiłam o spotkanie. Przyszła tylko matka. Sądziłam, że pan Ryszard, tata Pawelka, musiał zostać w pracy, ale jego żona powiedziała, że szuka zatrudnienia. Nie rozumiałam, dlaczego nie pojawił się na spotkaniu. Ale niektórzy ojcowie tacy są – podkreśliła. – Uważają, że na barkach kobiety spoczywa wychowanie dziecka.

– Przyszło pani do głowy, że ojciec nie interesuje się losem syna?

– Przemknęła mi przez głowę podobna myśl, ale... Nie mnie oceniać podejście rodziców do własnych dzieci. Paweł jest dzieckiem zadbanym. Nic nie wskazywało na to, by w domu działa mu się krzywda.

– Rozumiem.

– Podzieliłam się z Kamilą Abramowską swoimi spostrzeżeniami, ale mnie zbyła. Kiedy opowiedziałam, że Paweł często wydaje się przybity, jakby coś go trapiło, odparła, że dzieci miewają różne humory.

– Czy ma pani wiedzę o relacjach Pawła z resztą rodzeństwa?

– Czasem mówił o swojej siostrze.

– A o braciach?

– Nie słyszałam.

Marcel podrapał się w skroń.

– Powiedziała pani, że Pawełek bywał smutny. Ale nie z powodu przedszkola.

– Lubił tu być.

Wolski wstał.

– Czy powodem mogli być jego bracia?

– Pyta pan o to, czy bracia mu dokuczali? – Dyrektorka również wstała i przyglądała dłonią spódnicę. Marcel spojrzał na nią, czekając na odpowiedź. – Myślę, że tak – przyznała po chwili. – Dla czterolatka akceptacja starszego rodzeństwa jest bardzo ważna.

## 9

Rudnicka otrzymała klucz do pokoju 702. Kiedy weszła do środka, poczuła zapach stęchlizny. Nie zamierzała narzekać. Uchyliła okno, by wpuścić świeże powietrze. W ciasnej przestrzeni upchnięto dwa biurka. W rogu zmieścił się stolik z czajnikiem elektrycznym, słoikiem rozpuszczalnej kawy, herbatą earl grey w torebkach i dwoma wyszczerbionymi kubkami.

Lena zaparzyła sobie kawę, którą posłodziła dwoma łyżeczkami cukru. Zajęła miejsce za biurkiem i spojrzała na drugie, stojące naprzeciwko. Domyślała się, kto je zajmie.

Odpięła kaburę. Wyjęła glocka i zważyła go w dłoni, rozkoszując się przyjemnym ciężarem. Przez kilka sekund wpatrywała się w rękojeść pistoletu, a potem odłożyła go na bok.

Zeszyt Pawełka miał lekko zagięte rogi. Wszystkie strony były zamalowane, co kazało sądzić, że czterolatek korzystał z niego regularnie. Rysunki nie przedstawiały niczego konkretnego, choć Lena musiała przyznać, że chłopiec miał talent. Jak na czterolatka linie były poprowadzone nadzwyczaj prosto. Przewróciła stronę – kilka kółek wykonanych różnokolorowymi kredkami. Przerzuciła następną kartkę, a potem kolejną. Im dalej, tym rysunki były bardziej szczegółowe. Zatrzymała się na obrazku przedstawiającym siedem osób. Troje dorosłych i czworo dzieci. Paweł narysował rodzeństwo, rodziców i babcię.

Dzieci są uosobieniem tego, co w człowieku jest najpiękniejsze. Są szczerze i ufne. Nie przejmują się opinią innych osób. Dzieciństwo jest najważniejszym okresem w życiu człowieka. Wtedy kształtuje się osobowość. Patrząc na rysunki Pawła, Lena miała wrażenie, że chłopiec był nieszczęśliwy. Brakowało im kolorów. Paweł ograniczał się do czerni, szarości i brązu. Nie próbował rysować zwierząt ani domów. Kreślił niezgrabne, ciemne kształty. Jedynym obrazkiem, który cokolwiek przedstawiał, był portret rodzinny. Koślawe ludzkie sylwetki. Lena przyjrzała się tej pracy. Rodzice stali blisko siebie, ich ramiona się stykały. Obok dwóch chłopców – braci Pawła, a potem pusta przestrzeń. Dopiero w drugim rogu kartki chłopiec umieścił siebie, babcię i Stenię.

Rysunek chłopca odzwierciedlał relacje panujące w rodzinie.

Rudnicka zamknęła zeszyt. Postanowiła porozmawiać z siostrą i babcią chłopca.

– Cześć.

Głos Wolskiego wyrwał Lenę z zamyślenia. Podniosła głowę znad zeszytu i odłożyła go na biurko.

– Cześć – odparła.

Patrzyli na siebie. Lena jako pierwsza spuściła wzrok, udając, że szuka czegoś w szufladzie. Wolski podszedł do pustego biurka. Przejechał po blacie otwartą dłonią niczym kupiec przygotowujący się do negocjacji ceny.

Lena odchrząknęła.

– Byliście w przedszkolu? – zapytała.

W odpowiedzi wsunął dłonie do kieszeni spodni i powiódł niespokojnym wzrokiem po ścianach. Mięśnie na przedramionach zdrząły, zdradzając zdenerwowanie.

– Hm, myślę, że powinniśmy wyjaśnić pewną kwestię – powiedział. – Skoro mamy zajmować ten pokój razem.

– Nie musimy.

– Spędzimy tutaj trochę czasu – zauważył. – Biurko w biurko.

– To nie był mój wybór.

– Ani mój.

Milczeli długą chwilę.

– Gdybym wiedział... – zaczął i urwał, jakby zabrakło mu słów. – Tymon przyjechał i poprosił o pomoc. Nie powiedział, że będziesz kierować zespołem.

– Czyli o niczym nie wiedziałeś?

– Nie.

– A gdybyś wiedział, przyjechałbyś do Łodzi?

Wolski odpowiedział bez wahania.

– Nie.

Zabolało.

– Rozumiem – odparła.

– Pomyślałam, że miło będzie na chwilę wrócić do miasta.

– Jasne.

Lena czuła, że serce zaczyna jej przyspieszać. Zwykła rozmowa z Wolskim kosztowała ją sporo nerwów.

– Powiedz słowo, a zrezygnuję – powiedział.

– Dlaczego?

– Wiem, że wolałabyś, żeby mnie tutaj nie było. Sam nie wiem, czy chcę brać w tym udział.

– Jeśli nie chcesz pracować przy sprawie, nie zatrzymuję cię.

Wolski zacisnął zęby.

– Mogłabyś ułatwić mi podjęcie decyzji – stwierdził, lecz na jego twarzy pojawił się dawno niewidziany uśmiech.

– Chcesz, żebym cię wyrzuciła?

– Tak byłoby łatwiej.

– Nic z tego.

Przekrzywił głowę.

– Dlaczego? – zapytał.

Gdyby poszła do naczelnika i poprosiła o odsunięcie Wolskiego od śledztwa, Barwicki bez mrugnięcia okiem spełniłby jej prośbę. Ale nie umiała wyrzucić Marcela. A może nie chciała? Nie liczyła na nic więcej oprócz wspólnej pracy, ale ceniła każdą minutę spędzoną w jego towarzystwie.

– Bo możesz się przydać – odparła.

– Pracuję w podrzędnym komisariacie. Żaden ze mnie Sherlock Holmes.

Podszełł bliżej. Lena poczuła silny zapach wody toaletowej.

– Nie bronię ci odejść – mruknęła. – Ale nie zmuszaj mnie, żebym podejmowała decyzję za ciebie.

– Mam kogoś – wypalił.

– Gratuluję.

– Nie wiem, dlaczego ci to mówię, ale uznałem, że tak będzie fair.

– Doceniam, ale twoje życie prywatne mnie nie interesuje.

Uśmiechnął się.

– No tak...

– Skupmy się na pracy.

Twarz Wolskiego nieco się rozluźniła.

– Cieszę się, że mamy klarowną sytuację.

Rudnicka posłała mu niewyraźny uśmiech. Z jego oczu wyczytała to, co niewypowiedziane. Zostawił przeszłość za sobą i nie chciał do niej wracać. Odetchnęła z ulgą. Rozmowa o dniu, w którym się rozstali, i o słowach, jakie wtedy padły, była ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę.

– A więc weźmy się do roboty – powiedziała. – Co ustaliliście w przedszkolu?

– Wybrałaś lepsze biurko.

– Byłam pierwsza.

– niesprawiedliwe.

– To ja tu dowodzę. I ja decyduję, przy którym biurku siedzę.

Wolski przysiadł na skraju jej biurka i nachylił się ku niej.

– Papier, kamień, nożyce? – zaproponował.

– Nie ma mowy. Zostaję tu, gdzie jestem.

– Boisz się, że przegrasz?

– To losowa gra i...

– Mhm.

Zmierzyła go wzrokiem.

– Dobra – odparła. – Do trzech.

## 10

Rudnicka przeniosła swoje rzeczy na sąsiednie biurko i obrzuciła Wolskiego nieprzyjaznym spojrzeniem.

Uśmiechnął się pod nosem. Gdy siadał na obrotowym fotelu, do pokoju weszli Tymon z Iwanem.

– Niezłe gniazdko – rzucił Szewko.

Rudnicka skrzywiła się i upiła łyk zimnej kawy.

– Czego dowiedzieliście się w przedszkolu? – zapytała.

Tymon odetchnął głęboko.

– Według dyrektorki chłopiec miał problem, o którym nie chciał rozmawiać – poinformował. – Był nieco wycofany i smutny.

Lena otworzyła zeszyt na losowej stronie i pokazała Tymonowi. Marcel zerknął mu przez ramię.

– To rysunki Pawła – wyjaśniła.

– Co przedstawiają? – Milewski przyjrzał się uważniej.

– Bazgroły czterolatka. Ale spójrzcie na to. – Odszukała odpowiednią stronę i podsunęła im zeszyt. Wskazała postacie na obrazku. – Matka, ojciec i dwóch braci, a tutaj Paweł, siostra i babcia.

– Zmierzasz do tego, że chłopiec umieścił rodziców i braci w sporej odległości? – zapytał Wolski, opadając na fotel.

Rudnicka pokiwała głową.

– To przychodzi dzieciom naturalnie – odparła.

– Nie wiedziałem, że znasz się na dzieciach.

Lena mimowolnie napięła mięśnie.

– Wyobraźcie sobie jakikolwiek obrazek namalowany przez dziecko. Zastanówcie się, w jaki sposób malują rodzinę – ciągnęła. – Dwoje rodziców i dziecko pośrodku. Rodzice są dla nich oparciem. Dla kilkulatek są całym światem. Zapewniają poczucie bezpieczeństwa. Dzieci instynktownie umiejscawiają siebie pośrodku. Rodzice chronią je przed złem. Ale Paweł przedstawił swoją rodzinę inaczej. Obok niego jest babcia i starsza siostra. Rodzice są po drugiej stronie kartki. Moim zdaniem rysunek wiele nam mówi o relacjach panujących u Abramowskich.

– To tylko obrazek namalowany przez czterolatka – wtrącił Iwan. – Nie przywiązywałbym do niego tak dużej uwagi.

– Mylisz się.

Wolski sięgnął po zeszyt i przypatrywał się rysunkowi. Przerzucił kilka kartek, zatrzymując wzrok na każdej z nich.

– W zeszytce jest jeszcze jedna niepokojąca rzecz – zauważył. – Kolor.

Lena się ożywiła.

– Paweł nie używał kolorowych kredek – potwierdziła. – Dominujące kolory to czarny, szary i brązowy. Używanie przez czterolatka wyłącznie ciemnych kolorów wskazuje na problemy depresyjne albo lękowe. To tylko obrazki, więc nie możemy niczego stwierdzić ze stuprocentową pewnością, ale powinniśmy mieć na uwadze rodzinę Abramowskich. Moim zdaniem nie mówią nam całej prawdy.

– Uważasz, że w domu Pawła były problemy? – zapytał Tymon. – Przemoc? Myślisz, że w przedszkolu niczego by nie zauważyli?

– Niekoniecznie przemoc.

– A co?

Lena zacisnęła usta i odwróciła wzrok. Dorosli uważają, że dzieci niczego nie rozumieją. To błąd, który czasem wiele może kosztować. Kilkuletnie dziecko rozumie więcej, niż im się wydaje.

– Bracia dokuczali Pawłowi – powiedział Marcel. – Rozmawialiście z nimi?

– Oddelegowaliśmy psychologa – wyjaśnił Tymon. – Niewiele mu powiedzieli. Najstarsza córka, jak wiecie, zeznała, że widziała brata na dziedzińcu kamienicy. To w zasadzie tyle.

– Pytaliście ich o relacje rodzinne?

– Pewnie, że tak, ale myślisz, że łatwo cokolwiek wyciągnąć ze zbuntowanej nastolatki i nadętych gówniarzy?

Wolski westchnął.

– Pogadam z nimi – zdecydował. – Może czegoś się dowiem.

– Zaczniemy od córki. – Rudnicka oplotła kubek dłońmi. – Myślę, że z nią pójdzie najłatwiej. Z tego co mówią sąsiadka Abramowskich, Stenia to dobra dziewczyna. Kochała brata, więc powinna pomóc.

Marcel przyjął propozycję skinieniem głowy. Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Mogę? – W uchylonych drzwiach pojawiła się Natalia Zaborska. Rudnicka zaprosiła ją gestem. Zaborska weszła do pokoju i podciągnęła rękawy policyjnej bluzy. – Hm, mam dla was parę wiadomości. Nie wiem, czy okażą się dobre, czy złe. Sami ocenicie.

– Siadaj – mruknęła Lena. – Mów, co masz.

– Poszperałam trochę w sprawie Abramowskich. Początkowo nie znalazłam niczego, czego byśmy nie wiedzieli podczas poprzednich poszukiwań Pawła. W domu Abramowskich się nie przelewało. Ryszard nie mógł znaleźć zatrudnienia, chociaż wiele lat pracował jako budowlaniec. Na moje oko szukał tak, żeby nie znaleźć. Sprawdziłam oferty w okolicy. W Łodzi znalazłam ponad dwieście w budowlance. Biorąc pod uwagę, że nadawałby się chociażby do połowy, nadal pozostaje ponad sto propozycji.

Rudnicka dawno wypadła z rynku. Zastanowiła się, czy sto ofert to dużo, czy mało?

– To całkiem sporo – odpowiedziała Natalia. – Sprawdziłam inne kategorie, na przykład w obsłudze klienta czy handlu jest znacznie mniej ofert. Jeśli ktoś zna się na budowlance, ma wiele miejsc, gdzie można wysłać CV. Więcej znajduje tylko w gastronomii. Mamy uniwersytet, politechnikę, Akademię Sztuk Pięknych i filmówkę. Studenci nakręcają biznes. Wychodzą na miasto, więc ciągle otwierają się nowe lokale.

– Z taną wódką i piwem po pięć złotych – mruknął Tymon.

– Nie te czasy. – Iwan się zaśmiał. – Piwo za piątaka?

– Żaden student nie pójdzie na obiad do drogiej restauracji. Oni żywią się mrożoną pizzą i zarcim z jadłodajni.

- Nie wszyscy – sprostowała Zaborska. – Część dzieciaków przyjeżdża do Łodzi i żyje za pieniądze rodziców.
- To miasto utrzymują biznesmeni.
- W ostatnich latach Łódź bardzo się zmieniła. Odrestaurowano zabytkowe kamienice. Powstało wiele nowych inwestycji. Miasto zaczęło przyciągać międzynarodowe firmy, dzięki czemu tworzyły się nowe miejsca pracy. Jednocześnie wypychano biedniejszą część społeczeństwa z centrum.
- Przejdźmy do rzeczy – odezwała się Rudnicka.
- Abramowski kilka lat temu dotkliwie pobił kolegę – oznajmiła Zaborska. – Facet spędził kilka dni na intensywnej terapii, a Abramowski dostał wyrok w zawieszaniu.
- Wiedzieliśmy o tym. Mamy jakiś inny dowód na to, że wykazuje skłonność do przemocy?
- Sąsiedzkie donosy wchodzą w grę?
- Uwielbiam sąsiedzkie donosy.
- W 2010 roku dwa razy któryś z sąsiadów zgłosił zakłócanie ciszy nocnej. Oczywiście to mogła być zwykła impreza, która nie spodobała się nadgorliwemu amatorowi ciszy. – Natalia wzruszyła ramionami. – Ale pomyślałam, że warto wspomnieć. Kolejne zgłoszenie dostaliśmy dwa lata później, a potem w 2013 roku. No i dochodzimy do ciekawego zdarzenia. – Zrobiła teatralną pauzę. – Rok temu syn Abramowskich został przyłapany na kradzieży w sklepie elektronicznym.
- Który syn?
- Michał. Miał wówczas dziewięć lat, więc sprawa nie przybrała poważnego obrotu, ale można przyjąć, że problemy finansowe rodziców wpłynęły na postępowanie syna.
- Co ukradł? – zapytała Lena.
- Słuchawki bezprzewodowe o wartości około czterystu złotych.
- Rudnicka pokiwała głową.
- Miał problemy w szkole?
- Można tak powiedzieć – odparła Natalia. – Zaliczył kilka bójek z rówieśnikami. Został przyłapany na paleniu papierosów. Kiepsko się uczy. Dostaje bardzo słabe stopnie.
- Michał Abramowski. Dzieciak wpadł w nieciekawe towarzystwo albo przechodzi przedwczesny okres buntu.

## 11

Ktoś zawiadomił dziennikarzy.

W opinii publicznej temat zaginięcia dzieci wciąż był żywy. I chociaż w ostatnim czasie zastąpiły go inne wydarzenia, a w studiach telewizyjnych pojawiało się coraz mniej specjalistów od zaginięć, psychologów i byłych policjantów oceniających działania policji, wystarczyła informacja o wymianie szefa zespołu śledczego, by zainteresowanie rozgorzało na nowo. Każda wzmianka o postępach w śledztwie dotyczącym zaginięcia trójki dzieci wzbudzała wiele emocji i gęsią skórkę, ale również obawy o życie własnych dzieci. Każdy rodzic zwracał większą uwagę na swoje pociechy. Ekspertki w programach telewizyjnych czy radiowych, podobnie jak policjanci, nie wykluczali, że porywacz uderzy po raz kolejny. Niekoniecznie w Łodzi.

Informacja, że komisarz Lena Rudnicka kieruje teraz zespołem, którego zadaniem jest odnalezienie zaginionych dzieci, wyciekła na zewnątrz. Przed komendą pojawili się operatorzy kamer i spragnieni informacji dziennikarze. Czekali na kogoś, kto rzuciłby nowe spojrzenie na śledztwo. W powietrzu unosiła się woń skandalu. Niesubordynowana policjantka otrzymuje najważniejsze w kraju śledztwo...

Czy komisarz Rudnicka zawiedzie kolejny raz?

Lena wyjrzała przez okno. Reporterzy z zaciętymi minami wpatrywali się w ekrany telefonów. Kilkoro nerwowo paliło papierosy. Inni przechadzali się, obserwując budynek.

– Cholera – mruknęła.

– Kto podkablował? – zapytał Iwan, wsuwając dłonie w kieszenie spodni.

Rudnicka powiodła wzrokiem po tłumie przed komendą.

– Chyba nikt od nas – stwierdziła. – Prawda?

Iwan spojrzał na nią, jakby opowiedziała słaby dowcip.

– Nie sądzę – odparł.

– Wolę się upewnić.

– Kto wiedział, że przejmujesz sprawę dzieciaków?

– Nie mam pojęcia. Przecież oprócz was nikogo tutaj nie znam.

Iwan potarł podbródek.

– Ktoś sypanął – zawyrokował. – Dziennikarze wszędzie wścibiają nos. Wiedzą, jak pociągnąć za język. Wszędzie mają informatorów, a ciebie, Leno, widziało pół komendy. Każdy mógł donieść.

Lena zmarszczyła czoło i w duchu przyznała Iwanowi rację. Reporterzy mieli swoich ludzi wszędzie. Z pewnością ktoś z komendy powiadomił jednego z dziennikarzy, a informacja przetoczyła się przez wszystkie większe redakcje. Współpraca pomiędzy policjantami a dziennikarzami działała w obie strony.

– Chodź – odezwał się Tymon. – Wyjdiesz tylnymi drzwiami. Lepiej, żeby cię nie zobaczyli. Przynajmniej na razie.

– Jeśli mnie zobaczą, będzie skandal, którego nam nie potrzeba. – Lena spojrzała na Tymona i kiwnęła głową. – Chodźmy.

Milewski prowadził Lenę na tyły budynku. Mijający ich policjanci spuszczały wzrok. Rudnicka zastanawiała się, czy któryś z nich powiadomił reporterów. Pewnie nigdy się nie dowie.

– Tędy.

Tymon pociągnął ją za ramię i poprowadził schodami w dół.

– Wysłałem Wolskiemu wiadomość – powiedział, zeskakując po dwa stopnie naraz. – Zaraz podjedzie.

– Marcel?

– Mhm.

– Myślałam, że pojedziemy do Abramowskich we dwoje.

– Nastąpiła zmiana planów.

Milewski wypchnął Lenę za drzwi. Marcel czekał z włączonym silnikiem służbowego opła. Rudnicka otworzyła tylne drzwi, wsunęła się na kanapę i schyliła głowę, kładąc się na siedzeniu.

Wolski zaśmiał się, lecz szybko spoważniał.

– Powiem, kiedy miniemy towarzystwo – oznajmił, wrzucając pierwszy bieg.

Silnik zamruczał. Samochód zakołysał się na nierównościach. Rudnicka czuła zapach środka do prania tapicerki. Zastanawiała się, czy nie powinna jednak porozmawiać z dziennikarzami. Stanąć przed kamerami i odpowiedzieć na pytania. Ten moment nadejdzie, ale jeszcze nie teraz.

– Już. – Wolski zerknął w lusterko i się uśmiechnął. – Możesz usiąść normalnie.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy.

Rudnicka posłała mu długie spojrzenie. Marcel wydawał się rozbawiony sytuacją. Nie wiedziała, z jakiego powodu dopisywał mu humor, ale jej również zrobiło się lżej na duszy. Rozmowa, jaką odbyli kilkadziesiąt minut temu, nieco oczyściła atmosferę między nimi.

– Zatrzymaj się – poleciła.

– Po co?

– Przesiadę się.

– Daj spokój. Zaraz będziemy na miejscu.

– Nie lubię siedzieć z tyłu.

– Wytrzymasz.

Dotknęła czołem chłodnej szyby. Zastanawiała się, w jaki sposób rozegrać kontakty z dziennikarzami. Patrzyli policjantom na ręce i położyli kres niejednej karierze. Czwarta władza w Polsce miała dużą moc. Medialna sprawa wiąże się z emocjami opinii publicznej. Ludzie są żądni sprawiedliwości. Lena była pewna, że ich apetyt wzrośnie, gdy dowiedzą się, kto przejął sprawę zaginięcia Wiktora, Amelii i Pawła. Jedno potknięcie i mogła wylecieć. Owszem, zamierzała wrócić do policji, ale po to, by zająć się papierkową robotą. Co ją podkuśiło, żeby przyjąć propozycję naczelnika?

Wolski zaparkował przed bramą kamienicy przy Nowomiejskiej. Po drugiej stronie ulicy, obok sklepu spożywczego, stało kilku nastolatków z wypchanymi plecakami.

Marcel przytrzymał furtkę za kobietą wychodzącą z kamienicy. Dziedziniec był wyłożony kostką brukową. Miał kształt odwróconej litery U. Z trzech stron otaczały go betonowe ściany porośnięte bluszczem. Przy głównej bramie znajdowało się kilka kontenerów na śmieci. Obok jednego z nich stał mężczyzna z wiaderkiem. Kiedy się odwrócił, Rudnicka rozpoznała sąsiada, który dzisiejszego ranka usiłował wyciągnąć od nich informacje o postępach w śledztwie.

Komisarz skinęła mu głową.

– Dzień dobry – odpowiedział. Z zaciekawieniem patrzył na mijających go policjantów. – To oni, tak? – zapytał. – Dlatego tak szybko wróciliście?

Lena przystanęła.

– Długo pan tu mieszka?

– Czterdzieści lat.

– Pan się nazywa...

– Dworczyk.

Mężczyzna wypiął pierś. Na lewym przedramieniu miał dziesięciocentymetrową bliznę po poparzeniu. Skóra w tym miejscu była lekko wypukła i pomarszczona.

– Znał pan Pawełka Abramowskiego?

– No pewnie. Fajny i miły dzieciak. W przeciwieństwie do braci.

– Co pan ma na myśli?

– Tamci dwaj to łobuzy. Starszego kilka razy przegoniłem spod śmietnika, bo palił papierosy. Kto to widział! Gówniarz ma dziesięć lat! Ale to wina rodziców – zawyrokował. – Tylko patrzeć, jak dzieciak wpadnie w złe towarzystwo i się stoczy. Jeszcze tamtego średniego wciągnie, bo chłopak zapatrzony w brata jak w obrazek.

Rudnicka wsunęła dłoń w kieszenie spodni. Z zasutego chmurami nieba spadła pierwsza kropla deszczu.

– Widywał pan chłopców na co dzień – zauważyła. – Czy mógłby pan opowiedzieć nam o relacjach między braćmi?

Mężczyzna się zastanowił.

– To znaczy, o co pani pyta?

– Mieszka pan tam? – Wskazała okno na parterze, w którym kilka godzin wcześniej palił papierosa. Dworzyczk skinął głową. Mieszkanie znajdowało się po prawej stronie od głównej bramy. Abramowscy mieszkali w innej klatce, ale wszyscy się tutaj znali. – Pewnie widział pan braci razem na podwórku?

– Ano czasem się zdarzyło.

– Czy cała trójka dobrze się dogadywała?

Po twarzy mężczyzny przebiegł cień. Rudnicka była pewna, że facet szuka w pamięci ciekawych sytuacji, które mogłyby zainteresować policję.

– Moim zdaniem nie – odparł po namyśle. – Chyba chodziło o różnicę wieku. Nie znam się na dzieciach. Sam jedynaka wychowałem. Do Warszawy się na studia przeniósł i już został w stolicy. Ale czasem dzieci się nie dogadują. U mojego szwagra tak było. Młodzi żarli się o wszystko, co mogli. Są już dorośli i zerwali ze sobą kontakty. W każdej rodzinie są jakieś problemy.

– Tak... Rzecz w tym, że Pawełek zaginął.

– Biedne dziecko. Współczuję Abramowski, ale ja niczego w sprawie nie wiem.

– Gdzie pan był tamtego dnia?

– W domu. – Machnął ręką. – Kiedy na dziedzińcu zrobiło się zamieszanie, moja żona przybiegła i powiedziała, że mały Abramowski zaginął. Zerwałem się i poszedłem pomóc.

– Brał pan udział w poszukiwaniach?

– Wszyscy sąsiedzi go szukali. – Wzruszył ramionami. – Podzieliliśmy się na grupy i przeczesywaliśmy okolicę.

– To miło z państwa strony.

– Trzeba sobie pomagać.

Mężczyzna zwrócił wzrok w kierunku okien mieszkania Abramowskich.

– Chce pani poznać moje zdanie? – zapytał.

– Chętnie.

– Na pani miejscu przyjrzałbym się tej rodzinie. Oni święci nie są. Od dawna mi się nie podobali. Dziwni jacyś.

– Dziwni?

Uniósł otwarte dłonie.

– Nie wzbudzają zaufania – mruknął.

Rudnicka pokiwała głową, a sąsiad chwycił wiaderko i wysypał resztki śmieci do kontenera. Obierki po ziemniakach przykleiły się do dna, więc uderzył otwartą dłońią w dno.

Mężczyzna się uklonił.

– Dobrego dnia – powiedział i po chwili zniknął na klatce schodowej.

Marcel opuścił ręce wzdłuż ciała. Wzagał się deszcz. Krople osiadały mu na ramionach. Czekał na Rudnicką, która szukała czegoś w kieszeni.

– Idź – powiedziała. – Zaraz do ciebie dołączę.

– Co robisz?

– Idź – ponagliła go. – Muszę zadzwonić.

– Poczekam przy wejściu.

Lena wyciągnęła telefon. Na ekranie szybko pojawiły się krople deszczu. Starła je rękawem kurтки i wybrała numer siostry. Maria odebrała po czwartym sygnale.

– I jak pierwszy dzień w przedszkolu? – zapytała.

– Nie mam pojęcia – odparła Lena. – Jestem w pracy.

– A to nowość.

– Ale chyba nie tak źle, jak przypuszczałam. Dałam opiekunce mój numer. Miała dzwonić, jeśli Basia by płakała i chciała do domu. Ale nie dzwoniła, więc chyba wszystko w porządku. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Nagle Lena poczuła nieodpartą chęć, by przytulić córkę. Zdała sobie sprawę, że dawno nie było dnia, kiedy nie widziały się tak długo. Przelknęła ślinę, by zduścić łzy.

– Mam prośbę – powiedziała, lecz głos zabrzmiał słabo.

– Wszystko okej?

– Tak, tak. Trochę się rozkleiłam.

– Tęsknisz za małą?

Rudnicka nie odpowiedziała.

– To normalne – uspokoiła siostrę Maria. – Pierwsze rozłąki zawsze są bolesne. Czasem bardziej dla matki niż dla dziecka.



- Posłuchaj. Zejdzie mi się w robocie. Miałam odebrać Basię około południa, czyli jakieś pół godziny temu...
- Chcesz, żebym po nią podjechała?
- Mogłabyś?
- Nie ma sprawy. Ale pamiętaj, że mam dyżur na dwudziestą.
- Jasne. Odbiorę ją zaraz po pracy.
- Leno?
- Tak?
- Uważaj na siebie.

## 12

Bartosz Grabowski przyglądał się stojącej przed nim kobiecie. Wiedział w niej coś więcej niż piękne ciało. Pracowała jako kasjerka w drogerii, a patrzyła na innych z góry. Była kobietą z klasą, niczym piosenkarka występująca na scenie. Roztaczała wokół siebie aurę tajemniczości.

Podniecała go.

– Dzień dobry, panie Bartoszu. – Posłała mu jeden z jego ulubionych uśmiechów. Odsloniła rząd równych zębów i zaczesła kosmyk włosów za ucho. – W czym mogę pomóc? – Podparła się pod bok, co sprawiło, że poczuł puchnącą w spodniach erekcję. Nim zdążył odpowiedzieć, do rozmowy włączyła się jej koleżanka.

– Brakuje towaru, panie Bartku – oznajmiła oskarżycielskim tonem, jakby to była jego wina, że dostawca nawalił. – Klienci pytają o perfumy, co mamy im mówić? Że w drogerii nie ma perfum? – Zaśmiała się. – Absurd.

– Dzwoniłem do dostawcy – wyjaśnił. – Dziś powinny przyjechać.

– Wczoraj pan tak mówił, panie Bartku.

Nie lubił, gdy podwładna zwracała się do niego w taki sposób. Odwrócił wzrok, by ukryć niechęć.

– To nie moja wina – odparł. – Nie odpowiadam za opóźnienia.

– Nie? A to przepraszam. – Machnęła lekceważąco ręką i odeszła na bok, by obsłużyć klientkę.

Bartosz spojrział na drugą z kasjerek.

– Przyjechałem zaraz po twoim telefonie – powiedział.

– Nie musiałeś.

– To prawda.

Patrzyli na siebie niczym wygłodniałe zwierzęta.

– Przejdźmy do socjalnego – powiedział na tyle głośno, by jego słowa usłyszała tamta. – Mam dla ciebie kilka dokumentów do podpisania.

– Oczywiście.

Przeszli alejkami sklepu. Na półkach w równych rzędach stały kosmetyki. Bartosz od zawsze lubił tę placówkę. Panował tutaj porządek, obsługa wywiązywała się z obowiązków, a dziewczyny były miłe dla klientów.

I nie tylko dla klientów.

Weszli do pomieszczenia socjalnego. Zanim Bartosz zdążył zamknąć drzwi, poczuł dłoń w okolicy krocza.

Spojrzał kobiecie w oczy, oddychając nierówno.

– Zobaczymy się dzisiaj? – zapytał.

– Hm.

Ścisnęła mocniej. Stęknął cicho.

– A twoja żona? – zapytała. – Nadal się czepia?

– Trochę.

– Uważaj na nią. Jeśli mój mąż się o nas dowie, zabije cię.

Rozpięła rozporek, klękając na kolanach. Bartosz pomyślał o żonie. Kochał ją. Oczywiście, że ją kochał.

Romans zaczął się miesiąc temu, kiedy przyjechał na kontrolę do placówki. Bartosz siedział w pokoju socjalnym, skupiony na dokumentach. Zamawiał towar. Wprowadzali nowy produkt i zastanawiał się, w jaki sposób go wypromować.

Kilka minut po zamknięciu zajrzała do pokoju.

– Będę się zbierać – powiedziała. – Zostaje pan?

– Tak – odparł. – Zamknę za tobą.

Jak zwykle pracował po godzinach. Miał swój klucz, znał kod alarmu. Chciał skończyć to, co zaczął.

Nachyliła się, zaglądając mu przez ramię. Poczuł kwiatowy zapach jej perfum. Od dawna mu się podobała. Sprawy potoczyły się tak szybko, że nie miał czasu się zastanowić, co robi. Ona również go potrzebowała.

Teraz dłonią masowała krocze, ale nie zrobiła żadnego kroku naprzód. Patrzyła na niego ufnie.

Domyślał się, do czego zmierza dzisiejsza gra.

– Co z moją premią? – zapytała.

- Pogadamy wieczorem.
- Wolałabym teraz.
- Coś wymyślę.
- A więc postaraj się.
- Wiesz, że nie mogę ot tak dawać ci premii.
- Zaskoczyła go, wstając.
- Rozumiem. – Uśmiechnęła się. – Nie ma problemu.
- Ej. A to?
- Pogadamy wieczorem.
- Zostawisz mnie tak?
- Parsknęła, zarzucając włosy do tyłu, i wyszła.

## 13

Rudnicka schowała telefon do kieszeni. Wolski czekał na nią przed klatką. Zarzucił na głowę kaptur, by osłonić się od deszczu. Kiedy Lena do niego dołączyła, nacisnął guzik domofonu.

- Abramowski nie będzie zachwycony – rzucił. – Nie przepada za glinami.
- Nic dziwnego, że jest zdenerwowany.
- Racja.
- Nikt nie przepada za glinami.

Uśmiechnęli się oboje. Wolski przestąpił z nogi na nogę. Poczuł, że chwilowe rozluźnienie atmosfery między nim a Leną może okazać się niebezpieczne.

Rozległ się brzęczyk i drzwi się odblokowały. Wolski puścił Lenę przodem. Kamienica była zadbane, a klatka schodowa czysta i schludna. W powietrzu unosił się zapach konwaliowego płynu do mycia podłóg, zmieszany z wonią wilgoci, charakterystyczną dla starego budownictwa.

Policjanci byli na półpiętrze, gdy drzwi uchylił Ryszard Abramowski.

- Mogłem się tego spodziewać – mruknął pod nosem.
- Chcielibyśmy porozmawiać – odparła Rudnicka.
- Czego chcecie?
- Możemy wejść?

Ryszard zasłaniał ciałem wnętrze mieszkania. Rudnicka spojrzała na niego wyczekująco. Nie sprawiał wrażenia chętnego do rozmowy.

- Mamy kilka dodatkowych pytań – spróbowała komisarz.
- Macie mnóstwo pytań, ale jeszcze nie usłyszałem żadnej odpowiedzi.
- Woli pan rozmawiać na klatce schodowej?

Abramowski mlasnął. Obliznął wargi, obrzucając gości wrogim spojrzeniem.

- Dobra – rzucił, odsuwając się na bok. – Ale nie mam dużo czasu.

Policjanci weszli w głąb mieszkania. Wąski korytarz pokonali gęsiego. W dużym pokoju grał telewizor. Leciała reklama środka na odchudzanie.

Ryszard usiadł w fotelu i zapatrzył się na parującą kawę, jakby rozważał, czy zaproponować gościom coś do picia. Ostatecznie uznał, że nie ma ochoty robić sobie kłopotu. Przynął szklankę do siebie.

– Chcielibyśmy porozmawiać z panem o relacji łączącej Pawła z braćmi – oznajmiła Rudnicka, siadając naprzeciwko.

- Że niby co?
- Pracownica przedszkola powiedziała nam, że Paweł często był smutny.
- Smutny?
- Widział pan jego rysunki?

Abramowski odchylił się na oparcie.

- Coś tam widziałem – mruknął niepewnym głosem.
- Co według pana przedstawiają?
- Nic. To bohomyzy czterolatka.
- Nie do końca.

Mężczyzna przekrzywił głowę.

- O co pani chodzi? – zapytał.
- Paweł był szczęśliwym dzieckiem?
- Nie wiem. Dziecko to dziecko.

– Wbrew pozorom dzieci są świetnymi obserwatorami. Widzą wiele, choć dorosłym wydaje się, że niczego nie rozumieją.

Ryszard podrapał się w głowę.

– Nie wiem – powtórzył. – Dlaczego twierdzi pani, że był smutny?

– Może nie dogadywał się z braćmi?

Cisza.

– Panie Abramowski?

– Trochę mu dokuczali, ale wydawało mi się, że to tylko dziecinne nieporozumienia.

– W jaki sposób mu dokuczali?

Ryszard spojrział Lenie prosto w oczy. Zapadł się głębiej w fotel.

– Moi synowie nie zrobiliby Pawłowi krzywdy – odparł. – Ale widzę, że pani nie potrafi zrozumieć, że w rodzeństwie czasem zdarzają się kłótnie. Jeśli to wszystko, to muszę państwa przeprosić, ale jestem zajęty.

– Czym?

– A to już chyba nie pani sprawa?

W sąsiednim pokoju Rudnicka usłyszała jakiś dźwięk przypominający skrzypienie obrotowego fotela. Zerknęła w tamtą stronę, lecz z pokoju nikt nie wyszedł.

– Synowie są w domu? – zapytała.

Abramowski wstał.

– Żegnam – odparł.

– Kto tam jest?

– Moja córka.

– Skończyła już lekcje?

– Jak widać.

Rudnicka poczuła przypływ adrenaliny. Początkowo zakładała, że dziewczynka jest w szkole. Chciała z nią porozmawiać, ale była pewna, że Ryszard nie wyrazi zgody. A obecność rodzica podczas rozmowy policjantów z nieletnią była konieczna.

– Mogłabym zamienić z nią słowo? – zapytała.

– Nie.

Ryszard zrobił krok naprzód, jakby zamierzał uderzyć komisarza. Wolski zasłonił Lenę ramieniem.

– Spokojnie – powiedział. – To będzie krótka rozmowa.

– Ona nie ma ochoty z wami gadać – odburknął Abramowski, pocierając dłonią kark.

– Może sami ją zapytamy?

– Steniu!

Dziewczyna wyłoniła się z pokoju. Zamknęła za sobą drzwi i spojrzała na policjantów.

– Tato? – zapytała drżącym głosem. Wyglądała bardziej na dwudziestolatkę niż uczennicę ostatniej klasy podstawówki.

– Chcesz z nimi rozmawiać? – zapytał ojciec.

– Ja...

– Chcesz czy nie?

– Nie.

– No widzicie? – Abramowski rozłożył ręce. – Możecie wrócić tutaj, kiedy będziecie mieli jakąkolwiek informację o naszym synu. Mam dość waszych wizyt i idiotycznych pytań, z których nic nie wynika.

Rudnicka położyła swoją wizytówkę na szklanej ławie.

– Zostawiam na wypadek, gdyby ktoś z was zdecydowało się ze mną porozmawiać.

Ryszard poczekał, aż policjanci znikną za drzwiami. Sięgnął po wizytówkę, przeszedł do kuchni i wyrzucił ją do kosza pod zlewem. Stenia obserwowała ojca. Rozumiała go, ponieważ po zniknięciu Pawła każda wizyta policji wiązała się z nadzieją. Wszyscy liczyli na jakąkolwiek informację, ale tamci wciąż przychodzili i odchodzili, niczego nie mówiąc rodzinie. Dopiero po upływie dwóch tygodni od tamtego feralnego dnia Stenia uzmysłowiła sobie, że policjanci nie mają im niczego do powiedzenia. Nie mieli żadnej informacji ani tropu.

A Stenia miała. Kiedy ojciec zamknął się w łazience, wygrzebała z kosza wizytówkę policjantki.

Mężczyzna nie lubił pośpiechu.

Jego życie opierało się na skrupulatnej i metodycznej pracy. Działaniu według wcześniej ustalonego planu i rytmu. Nie przepadał za nagłymi wydarzeniami, na które nie miał wpływu.

Był samotnikiem.

Znosił obecność innych osób, ponieważ nie miał innego wyjścia, ale w gruncie rzeczy najbardziej kochał samotność. Czasem wychodził z mieszkania, wsiadał do samochodu i jechał przed siebie, słuchając muzyki. W taki sposób odpoczywał. Zatrzymywał się w parku, przechadzał się alejkami i przyglądał się przechodniom. Jechał nad Stawy Jana w dzielnicy Górna. Siadywał na ławce, słuchał śpiewu ptaków i wpatrywał się w spokojną taflę wody. Tęsknił za domem. Urodził się we wsi Rąbień pod Łodzią. Pragnął zostać na wsi, ale nie było tam dla niego przyszłości. Zdecydował się wyjechać. Wygodniej było wynająć mieszkanie w mieście, niż dojeżdżać codziennie w korkach na wylotówce. Rodzice sądzili, że syn przejmie gospodarstwo, i nie mogli pogodzić się z jego ucieczką.

Ojciec do końca życia miał do niego żal. Kiedy umarł, matka sprzedała gospodarstwo. Od dziesiątego roku życia pomagała rodzicom na gospodarstwie, a po ślubie pracowała dwa razy ciężiej. Przeniosła się do córki, która w zamian za pieniądze ze sprzedaży domu zaproponowała jej mieszkanie w przybudówce, którą wyremontowała. Cieszyła się, że będzie bliżej córki i wnuków, ale przeżyła męża tylko cztery lata. Umarła podczas spaceru po polu, które sprzedała sąsiadowi. Siostra matki powiedziała, że umarła z tęsknoty za ziemią. Znalazła ją żona sąsiada, na pomoc było już za późno.

Mężczyzna tęsknił za wsią. Za widokiem pól kukurydzy, który rozpościerał się z kuchennego okna. Tęsknił za zapachem świeżo skoszonego zboża i słońcem palącym skórę na karku. Dałby wiele za spokój, jaki zapewniał dom pośród drzew i pól. Kiedyś myślał, że miasto oferuje więcej możliwości. Kluby, restauracje i piękne dziewczyny... teraz już wiedział, że popełnił błąd.

Stał na chodniku, udając, że przegląda telefon. W rzeczywistości obserwował wysiadające z autokaru dzieci. Kilkoro ruszyło chodnikiem w jego stronę. Poczł, jak robi mu się gorąco. Przełknął ślinę. Wiedział, że nie może do nich podejść. Szli w grupie. Zbyt duże ryzyko.

Autokar odjechał, a tłum po drugiej stronie ulicy nieco się prz przedził. Większość dzieciaków wsiadła do samochodów i odjechała. Rodzice zabierali po kilkoro dzieci. Wiedział, dlaczego są tak ostrożni.

Odsunął telefon od ucha i już miał zablokować ekran, kiedy wyświetliło się powiadomienie z aplikacji. Miał wykupioną subskrypcję, dzięki czemu był na bieżąco informowany o tym, co dzieje się w kraju. To, co zobaczył na ekranie, spodobało mu się.

*[TYLKO U NAS] Śledztwo w sprawie zaginionych dzieci przejmują komisarz Rudnicka!*

Zastanowił się nad kolejnym ruchem. Tamci partacze nawet nie wpadli na jego trop, ale nazwisko komisarz obilo mu się o uszy. Postanowił sprawdzić, kim jest. Robiło się coraz ciekawiej.

Wsunął telefon do kieszeni spodni i uniósł wzrok. Dziewczynka z czerwonym plecakiem przeszła tuż obok niego.

## 15

Daniel i Sylwia Gadomscy mieszkali w wybudowanym przed kilkanaście laty bloku z widokiem na supermarket Tesco na łódzkim Widzewie. Trzypokojowe mieszkanie składało się z dwóch sypialni i pokoju z aneksem kuchennym, który upodobał sobie architekci. W rzeczywistości takie rozwiązanie nie było funkcjonalne i Sylwia Gadomska wiele by dała za osobną kuchnię.

Odwróciła głowę od siedzących naprzeciw niej policjantów.

– Wziewliśmy mieszkanie na kredyt – wyjaśniła, choć nikt jej o to nie pytał. – Żałuję. Mogliśmy kupić dom pod miastem.

– Ale wtedy spędziłaby pani więcej czasu na dojazdach – zauważyła Rudnicka.

Gadomska była piękną kobietą. Szczupła twarz, zadbane dłonie i wystylizowane włosy, jakby przed chwilą opuściła gabinet fryzjerski. Ale w jej oczach brakowało radości. Pod przyjaznym uśmiechem kryły się smutek i ból.

– To nie jest ważne – odparła. – Chciałabym mieć ogród, w którym mogłabym się zaszyć i posiedzieć w samotności. W mieście, kiedy chcę pobyć na zewnątrz, muszę iść do zatłoczonego parku. To bez sensu.

Rudnicka zastanowiła się, jak wiele razy kobieta pragnęła pobyć w samotności. Co czuła, gdy z każdym przeżytym dniem nie nadchodziły żadne informacje w sprawie zaginionej córki?

– Wiem, że nasza wizyta wiąże się dla pani z nadzieją – powiedziała. – Przyglądamy się na nowo sprawom zaginionych dzieci.

– Pawełek wciąż się nie odnalazł? – zapytała Gadomska, choć znała odpowiedź. Gdyby mały Abramowski się odnalazł, trąbiłyby o tym wszystkie krajowe media.

– Niestety.

– Poznałam Abramowskich. Spotkaliśmy się... Wszyscy. My, Abramowscy i rodzice Wiktora.

– W jakim celu?

– Porozmawiać.

W zasadzie to był dobry pomysł, pomyślała Rudnicka. Ludzie o podobnych doświadczeniach powinni się wspierać.

– Pomogły państwu te spotkania? – zapytał Iwan.

– Mój mąż nie brał w nich udziału.

– Dlaczego?

Gadomska wzruszyła ramionami.

– Nie chciał – odparła. – Twierdził, że tego nie potrzebuje. Ale wiem, że kłamał. Strasznie przeżył zaginięcie Amelki. Nocami nie mógł spać. Słyszałam, jak kręcił się po mieszkaniu. Płakał. – Kobieta potarła oczy. – Przepraszam. Nie zaproponowałam państwu nic do picia.

– Nie szkodzi.

Skuliła się w sobie.

Niebo zaczęło się przejaśniać. Przez balkonowe okno wpadały promienie słońca.

– Mamy w aktach pani zeznania – odezwała się Lena. – Ale proszę nam opowiedzieć o tamtym dniu.

– Sama nie wiem.

– Zrozumiem, jeśli będzie to zbyt trudne. Przejęłam śledztwo. Chciałam usłyszeć wersję wydarzeń z pani ust. I poznać panią osobiście.

Na ustach Gadomskiej pojawił się błąd uśmiech.

– Amelka ma tylko siedem lat – powiedziała. – Tylko zwyrodnialec jest w stanie zrobić krzywdę siedmioletniemu dziecku!

Rudnicka powiodła wzrokiem po nowoczesnie umeblowanym mieszkaniu. Z akt sprawy pamiętała, że Gadomscy są stosunkowo młodzi. Oboje nie przekroczyli trzydziestki. Sylwia zaszła w ciążę w wieku dwudziestu jeden lat. Para była razem od gimnazjum. Musiało łączyć ich silne uczucie, skoro ani szkoła średnia, ani studia nie zdołały ich rozdzielić.

Ojciec Amelii, Daniel, pracował jako kierownik działu handlowego w firmie sprzedającej suplementy diety. Sylwia była nauczycielką w szkole językowej. Pracowała na pół etatu, ponieważ mąż zarabiał na tyle dobrze, że mogła część czasu poświęcić na opiekę nad dziećmi. Brat zaginionej Amelii, Kacper, miał sześć lat i niedawno poszedł do zerówki.

– A jak się trzyma Kacper? – zapytała Lena.

– Tęskni za siostrą. Wie pani, kiedy byli razem, ciągle sobie dokuczali. – Gadomska się uśmiechnęła. – Kochali się, ale jak to rodzeństwo... Trudno było im dojść do porozumienia. A teraz... bardzo tęskni za Amelką.

– Tamtego dnia Amelia została dłużej w szkole, prawda? – zapytała Rudnicka.

– Chodziła na taniec. Kończyła lekcje za piętnaście drugą, a zajęcia taneczne zaczynały się w sali gimnastycznej o piętnastej. Potem mój mąż miał przyjechać po Amelkę.

– Dlaczego się spóźnił?

– Został dziesięć minut dłużej w pracy. Sądził, że zdąży, ale Amelki przed szkołą już nie było. Szukał jej w szkole i w okolicy, nawet na pobliskim osiedlu, ale nigdzie jej nie znalazł. W końcu poinformował dyrekcję. No a potem wszystko szybko się potoczyło.

– O której kończyły się zajęcia tańca? – Rudnicka położyła dłonie na kolanach.

– Za piętnaście czwarta. Trwały czterdzieści pięć minut.

– O której mąż dotarł do szkoły?

– Piętnaście po czwartej.

Pół godziny. W tym czasie mogło wydarzyć się wszystko. To dużo czasu dla siedmiolatki.

Rudnicka wróciła pamięcią do akt sprawy. Przypomniała sobie, że dziewczynkę widziała sprzedawczyni. Zapytała o to Gadomską.

– Tak – przyznała tamta. – Twierdziła, że widziała Amelię przez szybę.

– O której?

– Przed czwartą.

– Czyli zaraz po zajęciach.

– Tak... – Gadomska się zawahała. – Na to wygląda.

– Dlaczego Amelia nie czekała na ojca przed szkołą?

– Nie mam pojęcia.

Gadomska spojrzała na Rudnicką takim wzrokiem, jakby poczuła się o coś oskarżona. Przełknęła ślinę, czekając na następne pytanie.

– Zdarzało się to wcześniej? – zapytała komisarz. – Amelia samowolnie odchodziła z umówionego miejsca?

– Parę razy poszła z koleżankami za szkołę. Wtedy też jej szukaliśmy. Najczęściej ja odbierałam ją ze szkoły. Wolałam to robić sama, bo mój mąż zawsze się spóźniał.

W głosie Gadomskiej brzmiała pretensja. Rudnicka mogła się założyć, że spóźnialstwo męża było powodem wielu małżeńskich kłótni. Ona robiła mu wyrzuty, a on miał poczucie winy.

– Dzieci uczestniczące w zajęciach tańca twierdziły, że podczas zajęć Amelia była nerwowa – powiedziała Rudnicka. – Nauczycielka potwierdziła, że Amelia wydawała się nieswoja, jakby się czymś przejmowała. Wie pani, co mogło się wydarzyć?

Gadomska pokręciła głową.

– Ekspedientka miała wrażenie, że dziewczynka płacze – dodała komisarz

– Wiem o tym.

– Może Amelka się z kimś pokłóciła?

Albo ktoś jej dokuczał. Kto? Ktoś ze szkoły? A może nagabywał ją obcy? Może bała się tego człowieka, dlatego płakała? Ale czy w takim wypadku nie zostałyby w szkole? Dlaczego poszła sama, zamiast czekać na ojca?

– Naprawdę nie wiem – odparła Gadomska.

– Sklep mieścił się przy ulicy Ziemowita – kontynuowała Lena. – Kobieta zeznała, że widziała dziewczynkę idącą w stronę Zakładowej.

– Amelia nie ma tam żadnej koleżanki. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Policjanci już mnie o to pytali.

Po zniknięciu córki Gadomscy zdecydowali się nagłośnić sprawę. Uruchomiono Child Alert. Policja przeczesała ulice w promieniu kilku kilometrów od szkoły. Patrole policyjne otrzymały zdjęcie dziewczynki. Rodzice wystąpili w mediach.

I to był błąd.

Rudnicka widziała te nagrania. Matka i ojciec przed kamerami pośród szukających sensacji dziennikarzy. Byli kiepsko przygotowani, chociaż Tymon twierdził, że omówili z nimi szczegóły, jakie powinni poruszyć podczas konferencji. Wszystko się posypało. Sylwia i Daniel nie trzymali się scenariusza. Ich postawę, słowa i gesty analizowano w internecie. Na forach internetowych zawrzało. Ludzie uważali, że to rodzice stoją za zniknięciem Amelii. Wielu pisało, że para pozbyła się dziecka i udaje zrozpaczonych. W ich postawie widzieli fałszywy żal i udawany smutek.

Oglądając nagranie, Rudnicka nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Gadomscy udają. Ale nie byli dobrymi aktorami. Nie potrafili grać zdruzgotanych rodziców. Ich reakcje były naturalne. W taki sposób reagowali na silny stres.

Sylwia Gadomska była postrzegana jako zimna i pozbawiona uczuć. Wystąpiła w eleganckiej marynarce i miała starannie ułożone włosy. Ludzie zastanawiali się, dlaczego kobieta, której dziecko zaginęło, miała czas i siłę zrobić sobie taką fryzurę. Kiedy człowiek myśli o matce, która straciła dziecko, widzi zapłakaną kobietę z rozmazanym makijażem i o błędnym spojrzeniu. Gadomska wyglądała jak silna kobieta. Mówiła krótkimi zdaniami, robiąc pauzy w odpowiednich momentach, ale jej twarz pozbawiona była jakichkolwiek emocji. To nie spodobało się opinii publicznej.

Oberwało się też Gadomskiemu. Mężczyzna był przygotowywany do wystąpienia, choć miał więcej obiekcji niż żona. Nie wyglądał na przekonanego do całego przedsięwzięcia, ale wierzył, że porywacz zobaczy nagranie i zmięknie mu serce.

Daniel nie odezwał się ani słowem. Przez całe nagranie płakał. W jego zachowaniu opinia publiczna dostrzegła fałsz. Sądzone, że tylko udaje smutek.

Dawało się dostrzec zgrzyty w ich małżeństwie. Amelia rzucała mężowi ukradkowe spojrzenia. Chciała zmusić go, by powiedział cokolwiek, ale na próżno. Napięcie między nimi było wyczuwalne.

Po skończonym nagraniu, gdy małżeństwo wróciło do budynku policji, Sylwia urządziła mężowi awanturę. Miała do niego pretensje, że zrzucił wszystko na nią. Czuli się odpowiedzialni za to, jak wypadną na nagraniu. Dlaczego nic nie powiedział? Dlaczego tylko stał i płakał? Przecież wystąpili po to, by zaapelować do porywacza. On nie miał nic na swoje usprawiedliwienie. Wyszedł, a ona została na komendzie.

Według słów Tymona od tamtej pory w małżeństwie Gadomskich coś się zmieniło. Trudno im było znieść krytykę mediów. Daniel odciął się od informacji, ale Sylwia codziennie przeczesała fora, czytała komentarze i płakała. Jej zdaniem ludzie byli niesprawiedliwi. Jak mogli sądzić, że oni porwali własną córkę?

Rudnicka zamysliła sobie, jak fałszywy obraz pokazuje szklany ekran.

Na nagraniu Gadomska wyglądała jak pozbawiona uczuć zimna osoba, tymczasem teraz siedziała przed nią matka, zwykła kobieta, która została wrzucona pod ocenę mediów w całym kraju.

– Ekspedientka mówiła o samochodzie – odezwała się Gadomska. – Dowiedzieliście się czegoś więcej?

Widziała czarnego opła stojącego pod szkołą. Było po dzwonku, więc jej zdaniem dziwne, żeby rodzic czekał na dziecko kolejne czterdzieści pięć minut. Kiedy Amelia minęła sklep spożywczy, samochód zdążył już odjechać. Kobieta zasugerowała, że to porywacz, który ruszył za dziewczynką. Niestety w sklepie nie było monitoringu, a kamery zawieszona na szkole nie obejmowały miejsca, gdzie zaparkował opel.

Czarnych opeli było zarejestrowanych w Łodzi tysiące. Ograniczając poszukiwania do modelu sedan, jaki wskazała ekspedientka, nadal pozostawało ich zbyt dużo, by sprawdzić każdego właściciela.

Rudnicka pokręciła głową.

– Bardzo mi przykro – odparła.

– Dlaczego nie możecie go znaleźć? – Gadomska ukryła twarz w dłoniach. – Człowiek w biały dzień może porwać dziecko i nikt nie jest w stanie go odnaleźć? Nie rozumiem...

Niestety w przypadku zaginięć dzieci istniało mniej przesłanek, jakie policja mogła rozpatrywać. Jeśli zniknie człowiek dorosły, brane są pod uwagę różne scenariusze – ucieczka, długi, kłótnia z partnerem. Dzieci są niewinne. Nawet jeśli w grę wchodzi ucieczka z domu, to najczęściej odnajdują się po kilku godzinach.

Amelia Gadomska zniknęła dwunastego stycznia.

Rudnicka spojrzała na Sylwią Gadomską i poczuła niemal fizyczny ból. Obiecała sobie, że odnajdzie człowieka, który porwał jej dziecko.

– Mogłabym zobaczyć pokój Amelii? – zapytała.

Gadomska się zawałała i otarła czoło, jakby rozmowa z policjantką bardzo ją zmęczyła.

– Zaprowadzę panią – odparła.

Ruszyły korytarzem. Matka Amelii zatrzymała się przed drzwiami pokoju córki.

– Poczekam w salonie – powiedziała cicho.

Przebywanie w pokoju zaginionej córki musiało ją sporo kosztować.

Lena weszła do środka.

Pokój był nieduży, z jednym oknem wychodzącym na parking i rząd śmietników. Ściany pomalowano na jasnoróżowy kolor i ozdobiono naklejkami przedstawiającymi postacie z kreskówek. Pod oknem stało biurko z trzema szufladami. Po przeciwnej stronie znajdowało się zaścienione łóżko, na nim stos ozdobnych poduszek, a w pobliżu regał z plastikowymi pudełkami. Na podłodze leżał pluszowy dywan. W regale były książki. Lena rozejrzała się po wnętrzu. Sprawiało przytulne wrażenie, jednak odniosła wrażenie, że w pokoju było mało zabawek. Nawet jak na siedmiolatkę. Nie było pluszaków, figurek ani gier planszowych. Rudnicka sprawdziła resztę pudełek stojących na regale, a potem zajrzała do szuflady pod łóżkiem.

Żadnych zabawek.

Na biurku leżał laptop marki Dell i podłączone do niego głośniki zewnętrzne. Lena wzięła do ręki bajkowy kalendarz. Na stronie tytułowej Amelia złożyła własnoręczny podpis i ozdobiła go wijącymi się wokół liter kwiatami. Lena przejrzała kalendarz, zatrzymując wzrok na datowanych wpisach. Wizyta u lekarza, spotkanie z koleżanką, wyjazd do babci.

Na ścianie wisiał trzydziestocalowy telewizor. Gdyby nie różowe ściany i naklejki postaci z kreskówek, pokój Amelii przypominałby pokój dojrzałej dziewczynki, czternasto-, może piętnastolatki. Rudnicka wątpiła, by siedmioletnia Amelia nie lubiła się bawić. Oczywiście, siedem lat to nie jest wiek na układanie klocków. Ale siedmioletnie dzieci nadal lubią się bawić. A w tym pokoju nie było niczego, czym Amelia mogłaby się pobawić.

Rudnicka wróciła do salonu. Sylwia Gadomska siedziała na kanapie i obracała w dłoniach papierosa.

– Zapali pani? – zapytała.

Lena namyślała się przez chwilę.

– Rzuciłam w cięży – odparła.

– Ach.

– Ale chętnie zapalę, jeśli mnie pani poczęstuje.

Gadomska przesunęła po blacie paczkę cienkich papierosów i zapalniczkę.

Lena wyciągnęła jednego i przyjrzała się zwiniętemu w środku tytoniowi. Wsunęła papierosa do ust i zapaliła. Zaciągnęła się, czując mocne uderzenie dymu w płuca. Powstrzymała kaszlnięcie.

– Amelka chorowała na coś? – zapytała.

– Nie, dlaczego?

– W kalendarzu miała zaznaczoną wizytę u lekarza.

Gadomska pomasowała skronie i zapaliła papierosa.

Dym zawirował ponad ich głowami.

– Nic poważnego – wyjaśniła. – Chyba miała alergię. Byliśmy w przychodni u pediatry. Pani doktor zasugerowała, żebyśmy zapisali Amelkę do dermatologa i wykonali testy alergiczne.

– Zrobiliście państwo testy?

Gadomska spojrzała Rudnickiej w oczy.

– Nie zdążyliśmy – odparła.

– Rozumiem.

Przez chwilę paliły w milczeniu. Rudnicka wciągnęła dym do płuc i odkaszlnęła. Zdusiła papierosa w popielnicze.

– Czym interesowała się Amelia? – zapytała.

– Hm. Lubiła oglądać bajki. I kochała zwierzaki. Oglądała wszystkie filmy z psami i kotami. Interesowało ją w zasadzie wszystko, ale szybko się nudziła. Dlatego czasem miewała problemy z nauką. Nie lubiła odrabiać lekcji...

Rudnicka zastanowiła się, czy brak zabawek w pokoju dziewczynki powinna uznać za nietypowy. Po szybkim namyśle uznała, że tak.

– Dlaczego w pokoju Amelii brakuje zabawek?

– Jakich zabawek?

– Jakichkolwiek. Pluszaków, figurek, klocków.

Gadomska wydmuchała dym.

– Amelia ma siedem lat – wyjaśniła. – Nie bawiła się pluszakami.

– Wydawało mi się, że siedmioletnie dziecko nadal spędza czas głównie na zabawie.

Kobieta spiorunowała Rudnicką wzrokiem.

– Dzieci z czasem przestają się bawić zabawkami – dodała. – Amelka wolała naukę.

Stenia Abramowska siedziała na kanapie z podkulonymi nogami. Między udami trzymała miskę pełną potłuczonych orzechów włoskich. Wydłubywała miąższ ze skorupki i odkładała do salaterki. Kiedy skończy, rozłoży obrane orzechy na ścierece, aby podeschły. Będą jak znalazł do ciasta albo owsianki.

Dziewczyna kątem oka obserwowała krzątającego się po mieszkaniu ojca. Po wyjściu policjantów wziął prysznic, ogolił się i założył koszulę, którą dostał od babci na zesłoroczne święta. Stenia dawno nie widziała ojca w takim wydaniu – zadbanego i trzeźwego. Odkąd stracił pracę, czuł się coraz gorzej. Całymi dniami przesiadywał na kanapie i pił piwo. Stenia martwiła się o niego. I o rodzinę. Mamie nie podobało się, że ojciec nadal nie może znaleźć pracy. Kiedyś powiedziała, że nie dopuści do tego, by pociągnął za sobą na dno całą rodzinę.

Ojciec usiadł w fotelu. W lewej ręce trzymał but, w prawej zaś ściereczkę do czyszczenia.

– Daj – powiedziała Stenia. – Pomogę ci.

Przeszła do szafy w korytarzu i wyjęła szczotkę do butów.

– Tym się lepiej czyści – stwierdziła.

– Nie wiedziałem, że mamy coś takiego.

Dziewczyna się uśmiechnęła. Ojciec zachowywał się czasami jak małe dziecko.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała.

– Na rozmowę o pracę.

– Dokąd?

– Lepiej nie zapeszać.

– Budowlanka?

Ojciec się skrzywił, a Steni zrobiło się głupio.

– Myślisz, że tak bym się stroił na budowę?

– Przepraszam.

Odkąd pamiętała, pracował na budowie. Nie pomyślała, że mógłby robić coś innego. Sądziła, że lubi tę pracę. No i był w tym dobry. Kiedyś śmiał się, że jedyne, co potrafi, to kłaść obcym ludziom płytki i gładzie. Taka praca również wymaga myślenia, podkreślał.

– No powiedz, co to za praca?

– Dobra, ale nic nie mów matce.

– Czemu?

– Wiesz, jaka ona jest.

Stenia pokiwała głową.

– Będzie zła, jeśli nie dostaniesz tej posady – przyznała.

– Matka zawsze za bardzo się nakręca. Jeśli nic nie wyjdzie, wiesz, ile się nasłucham? – Machnął ręką. – Wolę nic nie mówić. Najwyżej będzie miała niespodziankę. Twoja matka to cudowna kobieta, ale czasem lepiej uważać, co się przy niej mówi.

Ojciec miał rację. Odkąd stracił pracę, matka stała się nerwowa. Powtarzała, że ciągle na wszystko brakuje pieniędzy. Czworo dzieci, czynsz, rachunki i rosnące ceny żywności sprawiały, że rodzinie mimo pięćset plus ciężko żyło się z jednej pensji.

Krzyczała, że zamiast pić piwo na kanapie, powinien wziąć się do roboty, ale jak miałby to zrobić, zastanawiała się Stenia, skoro nikt nie chciał go zatrudnić? Nie tak łatwo o dobrą pracę. Ojciec wysyłał CV i wpatrywał się w milczący telefon. Robił, co mógł, żeby się gdzieś zaczął. A przynajmniej tak twierdził.

– Pewnie, że nie powiem mamie – powiedziała Stenia i podała ojcu buta.

Ojciec spojrzał na córkę, jakby zastanawiał się, czy może jej zaufać.

– Idę na rozmowę do sklepu rowerowego – odparł. – Na stanowisko sprzedawcy i serwisanta. Wiesz, idzie wiosna, zaczyna się sezon i ruch w interesie. Mam nadzieję, że coś z tego wyjdzie.

– Wow! Byłoby super!

– No, zobaczymy. – Uśmiechnął się. – Myślę, że nie ma co się nastawiać. Rynek pracy jest brutalny. Lepiej pozytywnie dać się zaskoczyć, niż rozczarować.

Stenia nie miała pojęcia o rynku pracy w mieście. Chodziła do ostatniej klasy podstawówki. Jej głównym problemem było dostanie się do dobrego liceum. Nie była najlepszą uczennicą, ale starała się utrzymać przyzwoite oceny. W poprzednim roku szkolnym niewiele jej zabrakło do czerwonego paska. No cóż. Stenia marzyła o liceum, ale nie była pewna, czy uzyska odpowiednią liczbę punktów.

– Będę się zbierał. – Ojciec dźwignął się z fotela i odebrał od córki drugiego buta. Obejrzał go z każdej strony i gwizdnął z zadowoleniem. – Dziękuję – powiedział z uśmiechem.

– Nie ma sprawy. I powodzenia, tato.

Ojciec zasalutował i zniknął w korytarzu. Po kilku minutach Stenia usłyszała dźwięk zatraskiwanych drzwi.

Wyjęła z kieszeni pogiętą wizytówkę komisarz Rudnickiej i rozprostowała ją. Wpisała numer do swojego telefonu i wyrzuciła z powrotem do kosza śmieci.

Z jakiegoś powodu odczuwała niepokój, jakby wpisany w telefonie numer policjantki sprawiał, że zdradza rodzinę. Zawahała się. Czy powinna do niej zadzwonić? Przyjrzała się dziewięciu cyfrom. Wewnętrzny głos podpowiadał, żeby dała sobie spokój, skasowała numer i zapomniała o sprawie, ale nie mogła tak postąpić. Kochała Pawełka i postanowiła zrobić wszystko, żeby wrócił do domu.



O ile żył.

Po policzkach spłynęły jej łzy. Tęskniła za nim. Małym, kochanym braciszkiem, który uwielbiał się do niej przytulać i grać w piłkę.

Co powiedzieliby rodzice, gdyby dowiedzieli się, że Stenia skontaktowała się z policją? Na pewno by się wkurzyli. Ale jeśli poprosiłaby policjantkę, żeby nie mówiła im o niczym, może nie byłoby problemu?

Przeszła się po pokoju. Od czasu zniknięcia Pawła ich dom się zmienił. Rodzice byli nerwowi, szeptali coś między sobą. Od kilku dni Stenia miała poczucie, że tylko jej zależy na odnalezieniu brata. Miała wrażenie, że oni przestali wierzyć, że się odnajdzie. Jakby o nim zapomnieli. Codzienne sprawy stały się ważniejsze niż odnalezienie chłopca.

Stenia wzięła głęboki oddech i wcisnęła zieloną słuchawkę.

## 17

Rudnicka była zaskoczona telefonem od córki Abramowskich. Postępując wbrew decyzji ojca dziewczyny, umówiła się z nią w kawiarni. Spotkanie w neutralnym miejscu wiązało się z mniejszym stresem niż rozmowa na komendzie. Nie chciała dokładać dziewczynie stresu.

Kiedy weszła do kawiarni, Stenia już na nią czekała. Zajęła miejsce w rogu pomieszczenia i wyglądała przez szybę. Na widok Rudnickiej lekko się spięła.

– Zamówiłaś coś? – zapytała Lena, podchodząc do stolika.

– Jeszcze nie.

– Na co masz ochotę?

Stenia nie odpowiedziała.

– Gorąca czekolada? – podesunęła komisarz, a dziewczyna potwierdziła skinieniem głowy.

Rudnicka złożyła zamówienie. Czekolada i mocne espresso. Do zamówienia dorzuciła jeszcze po kawałku szarlotki i wróciła do stolika. Usiadła naprzeciwko Steni.

Dziewczyna ścisnęła plecak, który trzymała na kolanach.

– Nie miałyśmy okazji porozmawiać – powiedziała komisarz. – Wydawało mi się, że... nie masz ochoty na kontakty z policją.

– Nie, to nie tak.

– Dobrze, że zadzwoniłaś.

– Chciałam z panią porozmawiać, ale...

– Bez ojca?

Stenia spuściła wzrok.

– Nie wie, że do pani zadzwoniłam – odparła.

– I wolisz, żeby się nie dowiedział?

– Jeśli to nie problem.

– Nie mogę tego obiecać. – Rudnicka opadła na oparcie. – Ale postaram się, żeby rozmowa została między nami.

– Ojciec uważa, że policja nic nie robi.

– No tak.

Od tygodni nie było przełomu w sprawie zaginionych dzieci. Wszyscy powoli tracili cierpliwość.

– Jak się trzymasz? – zapytała Rudnicka.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Tęsknię za bratem.

– Dlaczego poprosiłaś mnie o spotkanie?

– Ja... – Stenia zawiesiła głos, ścisnęła mocniej plecak, odchrząknęła i powiedziała: – Nie chciałabym, żeby pani mnie źle rozumiała.

Kelnerka postawiła na stoliku dwie porcje szarlotki, czekoladę i kawę. Stenia wpatrywała się w kawałek ciasta, jakby nie wiedziała, co zrobić. Lena sięgnęła po widelczyk i wbiła go w ciasto. Wsunęła kęs szarlotki do ust.

– Bardzo smaczna – zachęciła Stenię.

Dziewczyna nieśmiało dziobnęła kawałek ciasta.

– Musi mi pani obiecać, że rodzice nie dowiedzą się, że rozmawialiśmy – zaznaczyła. – Oni będą źli. Nie dadzą mi żyć. Mój tata powiedział, że powinnam trzymać język za zębami.

– A to ciekawe. Dlaczego?

– Bo... Ojca nie było w domu.

– Kiedy?

– Gdy zaginął Pawełek – wyjaśniła. – Tata powiedział policjantom, że był w domu, ale to nieprawda.

Lena upiła łyk kawy.

– Chcesz powiedzieć, że ojciec kłamał? – zapytała.

– Nie do końca.  
 – Zaczynam się gubić.  
 – Przepraszam. To moja wina.  
 – Spokojnie. Powiedz, co miałas na myśli.  
 – Ojciec zeznał policjantom, że spał. Nie kłamał, bo rzeczywiście tego popołudnia spał, ale kiedy Pawełek bawił się przed kamienicą, jego nie było. Wychodziłam z domu i widziałam brata.  
 – Tak. Wiem o tym. Mamy twoje zeznania.  
 – Ale... ojca wtedy nie było.  
 – A gdzie był?  
 – Nie mam pojęcia. – Stenia skuliła się w sobie. – Ale to pewnie nic takiego, prawda? Mógł wyjść do sąsiada albo do sklepu.  
 Pewnie tak, pomyślała Lena, ale dlaczego skłamał? Jeśli był w sklepie lub u kolegi, miałby osobę, która mogłaby potwierdzić jego zeznania. To było znaczące kłamstwo Ryszarda Abramowskiego. Punkt, którego Lena mogła się złapać.  
 – Okej – powiedziała. – Ustalmy przebieg wydarzeń. Wyszłaś z domu około osiemnastej?  
 – Może za pięć szósta. Jakoś tak.  
 Paweł bawił się na dziedzińcu. Wersja Steni pokrywała się z zeznaniami sąsiadki.  
 – O której widziałas ojca?  
 – Niedługo przed moim wyjściem. Szłam do koleżanki i kiedy się szykowałam, ojciec spał na kanapie. Przysnął, oglądając jakiś program w telewizji. Poszłam do pokoju, przebierałam się i pisałam z koleżanką wiadomości, zeszło mi jakieś dziesięć minut, a kiedy wyszłam, taty nie było.  
 – Może poszedł do łazienki?  
 – Nie – zaprotestowała. – Obszukałam mieszkanie, bo nie wiedziałam, czy zabierać ze sobą klucze. Taty nie było w domu, więc musiałam wrócić się do pokoju. Klucze miałam w plecaku.  
 Jak wiele zmienia nieobecność Ryszarda Abramowskiego w chwili, gdy znika jego syn? Może niewiele. A może bardzo dużo.  
 – Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś.  
 – Rodzice kazali milczeć. Mama uznała, że policja na pewno przyczepi się do taty. I wyniknie z tego niepotrzebny kłopot.  
 – To spory kłopot, ale musisz pamiętać, że nie wolno kłamać. Przynajmniej nie w takich sprawach.  
 – Wiem. Przepraszam.  
 Stenia nerwowo potarła kark. Wiele kosztowało ją wyznanie prawdy, ale Rudnicka miała wrażenie, że chce powiedzieć o czymś jeszcze.  
 – Steniu?  
 – Trochę się denerwuję.  
 – Niepotrzebnie.  
 Dziewczyna uśmiechnęła się, odsłaniając rząd równych, białych zębów.  
 – Też myślałam, że niewinne kłamstwo pomoże tacie – wyjaśniła. – Dlatego wcześniej o tym nie wspomniałam.  
 Rodzice powiedzieli, że tak będzie lepiej.  
 – Pamiętaj, że prędzej czy później każde kłamstwo wyjdzie na jaw.  
 – Tylko że... kilka dni temu coś znalazłam. W piwnicy.  
 Rudnicka odstawiła kubek z kawą i uniosła wzrok.  
 – Co takiego?  
 Stenia ścisnęła plecak.  
 – Co znalazłaś? – powtórzyła Rudnicka.  
 Dziewczyna podała Lenie plecak.  
 – Niech pani sama zobaczy – powiedziała i wbiła w nią wyczekujące spojrzenie.  
 Lena ostrożnie odsunęła suwak. Jej oczom ukazała się zwinięta w kłębek bluza owinięta foliową reklamówką.  
 – Zawinęłam, żeby nie dotykać – oznajmiła Abramowska. – W filmach tak robią.  
 Lena spojrzała na bluzę. Były na niej plamy krwi.  
 – To bluza Pawła – dodała dziewczyna.

Dlaczego dowiadujemy się o tym dopiero teraz? – Tymon ze złością rzucił na biurko plik papierów.

– Dziewczyna trzymała stronę rodziców – wyjaśniła Rudnicka. – Dopiero gdy znalazła bluzę, postanowiła powiedzieć prawdę. Ona ma tylko piętnaście lat. Bała się starych i robiła to, co jej kazali.

– Widzę, że pani komisarz szybko poszło – mruknął Iwan, nalewając do kubka gorącej wody. Zamieszał i odłożył łyżeczkę na talerzyk. – Jeden dzień, a już przełom w śledztwie.

W głosie Szewki nie było podziwu, ale drwina.

– Widocznie ktoś nie wykonał swojej roboty jak należy – odparła ze spokojem Lena.

– Każdy popełnia błędy, prawda, pani komisarz?

Rudnicka nie zareagowała za zaczepkę. Po rozmowie ze Stenią wróciła na komendę i zwołała zebranie zespołu. Bluzę, która rzekomo należała do Pawła, oddała do laboratorium. Badanie porównawcze krwi z bluzy i materiału genetycznego pobranego po zniknięciu małego Abramowskiego wystarczy, by dać odpowiedź, czy krew należy do chłopca.

– Można jej ufać? – zapytał Wolski.

Lena spojrzała na niego.

– W jakim sensie?

– Pytam, czy tej dziewczynie można ufać. Mówiłaś, że ma piętnaście lat. Dzieci w tym wieku przechodzą fazę nastoletniego buntu i tak dalej. Wykluczamy możliwość, że młoda Abramowska chce zrobić na złość rodzicom i wrobić ich w sprawę rzekomej śmierci brata?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Głośno myślę.

Wolski miał rację. Nie należało ślepo wierzyć nastolatce, która mogła mieć różne powody, by zemścić się na rodzicach. Chociaż intuicja jej podpowiadała, że Abramowska nie miała złych intencji. Wywarła na niej dobre wrażenie. Nieśmiałej, lekko zestresowanej młodej osoby. Bała się, ale nie o siebie, lecz o rodziców, bo wiedziała, że jej zeznanie obciążą zarówno matkę, jak i ojca. Zrobiła to dla brata.

Lena otworzyła okno, aby wpuścić do pomieszczenia trochę świeżego powietrza. Podmuch chłodnego wiatru wpadł do pokoju, przynosząc ze sobą zapach deszczu.

Wolski zapalił papierosa i wyciągnął paczkę w stronę Leny.

– Nie, dzięki – rzuciła.

– Nie palisz?

– Ograniczam.

– Gratuluję. Mnie brakuje silnej woli.

Stał przy otwartym oknie i wydymuchał dym.

– Od początku coś mi nie pasowało w tej rodzinie – odezwał się Tymon. Dołączył do Wolskiego, siadając na parapiecie. Zapalił papierosa, zaciągnął się i wypuścił z westchnieniem dym. – Miałem przecucie, że kłamiał, ale niczego na nich nie mieliśmy. Niczego. – Spojrzał twardo na Rudnicką. – Żaden z sąsiadów nie widział Ryszarda o tej porze, kiedy zaginął jego syn. Alibi matki potwierdziła koleżanka z pracy. Nie mogliśmy niczego zrobić. Gdybyśmy wcześniej mieli tę bluzę...

– To nie jest wasza wina – powiedziała Lena. Wsunęła dłonie do kieszeni dzinsów i oparła się plecami o ścianę. – Człowiek, którego szukamy, jest ostrożny. Poza tym... Skąd mogliście wiedzieć, że Abramowscy kłamają? Wydawało się, że rodzice zrobią wszystko, by odnaleźć syna.

Śledztwo nie ruszyło naprzód, czego powodem był brak jakichkolwiek wskazówek, za którymi policjanci mogliby podążyć. Żadnych świadków i dowodów. Jedynym, czego policja mogła się chwycić, był portret pamięciowy człowieka, który kręcił się w pobliżu domu Wiktora Wachowiaka po jego zniknięciu. Policja udostępniła portret mediom, ale nie ustalono tożsamości mężczyzny. Sprawdzali każdy telefon, ale było ich tak dużo, że z czasem tracili nadzieję. Dzwonili sąsiedzi podejrzewający sąsiada, ludzie, którym wydawało się, że mijali mężczyznę z portretu na ulicy, żony oskarżające wiarołomnych mężów. Nic, czego można się chwycić. Facet mógł być porywaczem, ale równie dobrze mógł być zwykłym ciekawskim.

Iwan z kubkiem kawy w ręce stanął naprzeciw Rudnickiej.

– Wiesz, że te dzieciaki najprawdopodobniej nie żyją, prawda? – zapytał. – Szukamy ciał, a nie żywych dzieci.

Komisarz zmierzyła go wzrokiem.

– Szukamy dzieci – sprostowała. – Żywych. Nie martwych.

– On te dzieci zabił.

– Skąd wiesz?

– Jeśli zostawiałby je przy życiu, co by z nimi robił? Chyba nie sądzisz, że facet założył domowe przedszkole?

Iwan wypiął lekko pierś, czekając na kontrargument. Rudnicka nie odpowiedziała od razu. Zagryzła wargę, przyglądając się Szewce.

– Musimy wierzyć, że dzieci żyją – odparła.

– To błąd. Moim zdaniem powinniśmy przygotowywać rodziny na odnalezienie ciał.

Rudnicka wyminęła Iwana i podeszła do okna.

– A naszym zdaniem? – zwróciła się do Tymona i Marcela.

Unikali jej wzroku.

– Rozumiem – stwierdziła. – A więc wszyscy myślicie, że szukamy ciał?

– Na bluzie Pawła jest krew – odezwał się Tymon.

Rudnicka zaklęła pod nosem. Jasne, że powinni przygotować rodziny dzieci na najgorsze. Zdawała sobie sprawę, że szanse na odnalezienie dzieci żywych są nikłe, nie chwyciła się nadziei jak tonący brzytwy. Pragnęła wierzyć, że uda im się uratować chociaż jedno z zaginionej trójki. Pokręciła bezradnie głową.

– Lena ma rację – odezwał się Wolski. Zduśił papierosa o parapet i wrzucił do słoika po kawie. – Jeśli my stracimy nadzieję, wszyscy ją tracą. Skupmy się na tym, co mamy. W śledztwie każdy dzień ma znaczenie, a my straciliśmy ich o wiele za dużo.

– Masz rację – przyznał Tymon, gasząc niedopałek.

Marcel spojrzął na Lenę. W podziękowaniu skinęła krótko głową.

– Na pierwszy ogień Abramowscy – zarządził Wolski.

– Trzeba wysłać chłopaków po rodziców Pawła – stwierdził Iwan, siadając okrakiem na krześle. Ramiona oparł na oparciu. – Przyciśniemy tę parkę i zobaczymy, czy puszcza parę z gęby. Najlepiej, jeśli pogadamy z nimi osobno. Każdemu z nich powiemy, że to małżonek się wysypał.

– Zgoda – powiedziała Rudnicka, na co Iwan wyraźnie się rozluźnił.

– Kim jest ten facet? – zapytał Tymon. – Bo zakładamy, że to facet?

– Nie przywiązywałabym się do tej myśli. Równie dobrze porywaczem może okazać się kobieta.

– Pragnąca dziecka kobieta porywa dzieci, ponieważ nie może mieć własnego? – zapytał drwiąco Szewko. – Kupy się nie trzyma.

Rudnicka z namysłem zmarszczyła brwi.

– W przypadku morderstw czy porwań dzieci najczęściej sprawcami są osoby z otoczenia ofiary – powiedziała. – Przykładowo kobieta, która nie może mieć dziecka, wykazuje nadmierne zainteresowanie dzieckiem przyjaciółki. Pragnie tego dziecka, ale wie, że nie jest jej. Jej psychika jest nastawiona tylko na jeden cel: posiadanie dziecka. Aż w końcu decyduje się na desperacki krok i porywa syna lub córkę przyjaciółki. W takich przypadkach sprawcy wykrywani są dość szybko. Ale my mamy do czynienia ze sprawcą seryjnym. Ktoś taki najczęściej nie ryzykuje. Nie pozostaje w żadnej głębszej relacji z rodzicami czy dziećmi. Nie chce ściągać na siebie uwagi, więc wyszukuje teoretycznie przypadkowe ofiary. Taki człowiek nie działa chaotycznie, skrupulatnie przygotowuje się do porwania. Zakładam, że wcześniej udaje się w miejsca, z których zamierza porwać dziecko, żeby się upewnić, że nie ma tam na przykład kamer.

– A więc mamy do czynienia z seryjnym porywaczem. – Iwan rozłożył ręce. – Wiemy o tym, pani komisarz, od dawna.

– Przeglądaliście nagrania z monitoringu wokół miejsc, skąd porwał dzieci?

– Nic się nie nagrało.

– Powinniśmy jeszcze raz je przejrzeć.

– Osobiście je oglądałem – zaprotestował Szewko. – Nic tam nie ma.

Rudnicka uśmiechnęła się krzywo.

– Dasz znać Natalii? – zwróciła się do Tymona. – Poproś ją, żeby przygotowała nagrania.

Tymon skinął głową i wyszedł z pokoju.

– Świetnie – mruknął Szewko. – Znowu tracimy czas na wykonywanie pracy, która została już wykonana.

Wolski spojrzął na Rudnicką. Na jej miejscu dawno wyrzuciłby Iwana za drzwi. Facet działał mu na nerwy.

– Motyw? – zapytała.

– Handel dziećmi? – zasugerował Iwan. – Porywa i sprzedaje za granicę albo bogaczom, którzy nie mogą mieć własnych.

– Wątpię – zaproponował Wolski. – W przypadku czteroletniego Pawła to jeszcze miałyby sens, ale Amelia i Wiktor byli starsi. Takie dzieci nie przyzwyczajają się do nowej rodziny. Pamiętają rodziców i wiedzą, że zostały uprowadzone. Jeśli porywałbym dzieci na handel, celowałbym raczej w młodsze.

– Zgadzam się – odparła Rudnicka.

– Pedofil? – Iwan odchylił się na krześle i rozciągnął plecy. – Gość ma nierówno pod sufitem i lubi się zabawić z młodszymi?

Rudnicka drgnęła. Sposób, w jaki Iwan wypowiedział te słowa, przyprowadził ją o ciarki. Wstała i z rękoma w kieszeniach przeszła się po pokoju. Czowała na sobie badawcze spojrzenie Wolskiego.

– Badania krwi z bluzy Pawła powinniśmy dostać jutro – powiedziała. – Jeśli będzie zgodność, od razu zgarniamy rodziców. Myślę, że mają nam sporo do wyjaśnienia.

Marcel i Iwan skinęli głowami.

– Na dzisiaj możemy skończyć – podsumowała. – W drodze do domu zajrzę do rodziców Wiktora Wachowiaka. Porozmawiam z nimi, ale z wszelkimi działaniami musimy wstrzymać się do wyników badań.

– Czyli fajrant? – Iwan wstał i odstawił krzesło na miejsce przy biurku. – Chętnie jutro zgarnę Abramowskich. Jak dla mnie śmierzdą na kilometr.

– Okej – zgodziła się Lena. – Dam ci znać, kiedy dostanę telefon z laboratorium.

Iwan zasalutował, zgarnął kurtkę z wieszaka i wyszedł.

Lena i Marcel zostali sami.

– Możesz iść do domu – powiedziała Rudnicka, zbierając z biurka dokumenty. – Ja zostanę. Poczekam, aż Natalia dostarczy mi nagrania z monitoringu, a potem wybiorę się do Wachowiaków.

- Mogę pojechać z tobą, jeśli chcesz.
- Nie rób sobie kłopotu. Wróć do domu.
- Do Białych Brzegów?
- Lena znieruchomiła.
- Zatrzymałem się w hotelu – wyjaśnił Wolski. – Naczelnik wynajął mi pokój na kilka dni.
- Zakłada, że śledztwo potrwa tylko kilka dni?
- Marcel wzruszył ramionami.
- Jeśli mam wracać do hotelowego pokoju, mogę poczekać z tobą, a potem pojedziemy do Wachowiaków.
- Rudnicka nie była przekonana do tego pomysłu. Ale tym razem Wolski okazał się odważniejszy.
- Nie wracamy do przeszłości – powiedział. – Skupmy się na śledztwie.
- Lena spojrzała na niego z powątpiewaniem.
- Okej – mruknęła. – Niech będzie.

## 19

Stenia Abramowska z bijącym sercem zatrzasnęła drzwi. Nasłuchiwała odgłosów dochodzących z domu, ale odpowiedziała jej cisza. Zdawało się, że nikogo nie ma, ale gdy weszła do salonu, zobaczyła siedzącą na fotelu matkę. Trzymała w ręce telefon i wpatrywała się w migający ekran.

- Cześć, mamo.
- Cześć, córciu.

Kamila Abramowska nawet nie spojrzała na córkę.

- Co robisz? – zapytała Stenia.

Matka się zreflektowała. Zablockowała telefon i odłożyła go na stół.

- Nic takiego – odparła. – Byłaś u Andzi?
- Tak – skłamała dziewczyna.

Aby uniknąć podejrzliwego wzroku matki, udała się do kuchni. Nalała do szklanki zimnej wody z kranu. Wypiła ją duszkiem. Otarła usta i odetchnęła głęboko. Bardzo się bała, że komisarz nie dotrzyma słowa i zawiadomi rodziców. Tak się nie stało. Matka raczej nie miała pojęcia o ich rozmowie w kawiarni. Stenia była wdzięczna Rudnickiej.

– Rodzice Angeliki się rozwodzą – powiedziała, wracając do salonu. – Przykra sprawa. Andzia nie wie, co o tym wszystkim myśleć. Rozumie, że się nie dogadują, ale no wiesz... Rozwód wywróci jej życie do góry nogami. Jej mama chce wyjechać do Warszawy. Andzia ma nadzieję, że będzie mogła zostać z ojcem w Łodzi.

- Dzieci powinny być przy matce.
- Ale matka chce ją zabrać do obcego miasta, gdzie nie ma znajomych ani przyjaciół.
- Znalazłaby innych znajomych.

Stenia się skrzywiła.

- Niczego nie rozumiesz – odparła.

– Ciesz się, że masz przyjaciółkę, kochanie, ale pamiętaj, że nastoletnia przyjaźń nie trwa wiecznie. Pójdziecie na inne studia. Poznacie nowych ludzi. Nie wiadomo, czy za dwa albo trzy lata nadal będziecie się przyjaźnić.

- Będziemy.
- Tak ci się teraz wydaje.

Stenia zacisnęła wargi. Dorośli bywali irytujący.

- Dlaczego się rozwodzą? – zapytała matka.

– Ponoć nie układa im się od dłuższego czasu. Przynajmniej tak powiedzieli Andzi.

- Ludzie czasem się rozwodzą.
- Wiem, mamo. Nie jestem dzieckiem.

– Twoja koleżanka też nie jest, a jednak przejmuje się rozwodem rodziców.

- Tłumacz jej, że to nie koniec świata, ale... Sama wiesz, że to trudne sprawy.

– Bywają gorsze rzeczy na świecie. Czasem lepiej, kiedy ludzie się rozstają, niż mają być ze sobą na siłę, nieszczęśliwi.

Stenia pokiwała głową. Po zniknięciu Pawła rodzice coraz częściej się kłócili. Ich życie się zmieniło. Stenia miała nadzieję, że nie rozwiodą się jak rodzice Angeliki.

Patrzyła na matkę i pomyślała, że w ciągu kilku tygodni postarzała się o kilka lat. Miała zmęczoną twarz. Podkrążone oczy kazały sądzić, że nie sypia najlepiej. Kilka razy Stenia słyszała, że nocą krząta się po kuchni. Nigdy nie wyszła do niej, żeby porozmawiać. Kochała matkę, ale łączyła ich chłodna relacja. Matka rzadko ją przytulała. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz mama powiedziała, że ją kocha. Może dlatego Stenia tak tęskniła za braciszkiem.

Potrzebowała bliskości drugiego człowieka, a najmłodszy brat uwielbiał się do niej przytulać. Czasem miała wrażenie, że matka pragnęła innego życia.

Kamila Abramowska kiedyś była piękną kobietą, która z pewnością znalazłaby uznanie wśród łowców talentów. Jeśli nie zostałaby aktorką, mogłaby spróbować sił w modelingu. Stenia zazdrościła matce urody. Sama była podobna do ojca. Kwadratowa twarz i kartoflowaty nos wykluczały ją z grona ładnych dziewczyn. Jeszcze rok temu nie zwracała uwagi na wygląd, ale im była starsza, tym częściej czuła się brzydka.

Czas odcisnął na matce swoje piętno. Z pięknej kobiety przeobraziła się w zmęczoną matkę czwórki dzieci. Nie była szczęśliwa. Macierzyństwo przygniotło ją swoim ciężarem. Zamiast robić karierę w blasku fleszy, harowała od świtu do zmierzchu. Była zrezygnowana, ale nie pogodziła się ze swoim losem. Kiedy zaginął Paweł, mama przygasała. Kiedyś utrzymywała w mieszkaniu nienaganny porządek. Wiecznie coś wycierała, sprzątała i myła, tymczasem teraz dom był zaniedbany. Na blatach zebrała się warstwa pyłu. W kątach wałyły się całe kłębki kurzu i włosów. W zlewie zalegały niedomyte szklanki i talerze.

– Mamo? – zagadnęła dziewczyna, lecz Kamila wpatrywała się w telefon. – Mamo?

– Widziałas? – Obróciła telefon ekranem w stronę córki. – Koty są takie zabawne.

Stenia nawet nie spojrzała na wyświetlacz.

– Tęsknisz za Pawłem? – zapytała.

– A co to za pytanie? – Matka przesuwiała palcem w dół, zatrzymała się na kilka sekund i ponownie przesunęła palec.

– Nie rozmawialiśmy o tym.

– Wszyscy za nim tęsknimy.

Dziewczyna miała wrażenie, że matka powtarza wyuczone słowa, którymi zwracała się do znajomych i sąsiadów pytających o zaginionego syna.

– Porozmawiajmy – poprosiła.

Kamila spojrzała na córkę. Zablokowała ekran, odłożyła telefon na stół i pochyliła się w stronę córki.

– O co ci chodzi? – zapytała.

– Tęsknię za nim.

– Jak my wszyscy.

Stenia miała wątpliwości.

– Widzę, że coś ci chodzi po głowie, więc słucham – powiedziała matka.

– Po prostu chciałam z kimś porozmawiać.

Matka zmierzyla ją wzrokiem, jakby w słowach córki doszukiwała się fałszu.

– No tak, przepraszam – mruknęła. – Przecież tęsknimy za Pawłem, prawda? To nie jest łatwe, ale życie toczy się dalej i jakoś musimy sobie poradzić.

Stenia miała poczucie, że wszyscy w rodzinie za łatwo odpuścili. Jediną osobą, z którą mogła porozmawiać, była babcia. Ale ona miała swoje lata. Bardzo przeżyła zaginięcie najmłodszego wnuczka. Starsza pani miała problemy z sercem. Stenia bała się o jej zdrowie, więc czasem nocowała u niej. Teraz było trochę lepiej, ale temat Pawła zawsze mocno ją poruszał.

– A policja? – zapytała. – Byli dzisiaj, prawda? Dowiedzieli się czegoś?

Matka prychnęła lekceważąco.

– Oni nic nie robią – odparła. – Nic, rozumiesz? Przyszła jakaś nowa policjantka i wypytywała o wszystko od nowa. Chryste, czy oni nie rozumieją, jakie to dla nas trudne?

Stenia nie odpowiedziała. W korytarzu rozległ się trzask zamykanych drzwi. Do salonu wpadł Michał. Popędził prosto do swojego pokoju.

– Ej, kolego! – zawołała za nim matka. – Może byś się przywitał?

– Cześć!

– Chodź tutaj!

Michał pojawił się w progu. Miał zarumienione policzki i dyszał niczym zziąjany pies.

– Co ty robiłeś? – Matka wstała i podparła się pod boki.

– Nic.

– Pokaż się.

Michał się cofnął.

Pod jego lewym okiem rozlewała się czerwona plama.

– Co to jest?

– Nic takiego.

– Kto ci to zrobił? – Matka wskazała siniaka pod okiem syna, a potem chwyciła go za szczękę. – Pytam, kto ci to zrobił?

– Nikt.

– Kurwa! Dałeś się pobić?

– Daj mi spokój – odpysknął Michał. – To tylko zabawa.

Abramowska puściła syna, który czmychnął do siebie.

– Urwanie głowy z tymi chłopakami – mruknęła matka.

Stenia patrzyła na zamknięte drzwi do pokoju brata i pomyślała, że Michał skłamał.

## 20

Rudnicka zredukowała bieg i wtoczyła samochód na ulicę Zgierską w południowej części Bałut. Zatrzymała się na światłach przy Bałuckim Rynku. Wokół straganów kręciło się sporo ludzi. Handel, nie tylko legalnymi produktami, kwitnął.

Rynek był popularny wśród łodzian, ale również mieszkańców okolicznych miejscowości. Można tutaj było kupić dosłownie wszystko. Począwszy od świeżych owoców i warzyw, ubrań, butów, produktów codziennego użytku, a skończywszy na tradycyjnych gruzińskich wypiekach. Kamienice na Starych Bałutach pamiętały czasy międzywojnia i łódzkiego getta. Interwencje w bałuckich kamienicach przy Wojska Polskiego czy Franciszkańskiej były trudne. Mieszkańcy nie przepadali za policją.

– Podobno to miasto się rozwija – powiedziała Rudnicka. – Ale wystarczy, że pojedziesz w parę miejsc, a zobaczysz, że nadal nic się tam nie zmieniło.

Marcel potwierdził skinieniem głowy i wyjrzał przez szybę. Łódź była klimatycznym miastem, z duszą. Rozwijają się – odnawiano kamienice i remontowano drogi. Ale wciąż istniały tu miejsca, gdzie lepiej było nie zapuszczać się po zmroku.

– Kocham Łódź, a jednocześnie nienawidzę – odezwał się. – Wydarzyło się tutaj tak wiele złego, że żadna odnowiona fasada kamienicy nie jest w stanie tego zmyć...

– Charakter.

– Słucham?

– Robotniczy charakter ukształtował jej mieszkańców.

Łódź była miastem robotniczym. Po przewrocie w osiemdziesiątym dziewiątym roku upadło wiele zakładów włókienniczych. Ludzie stracili pracę, a w mieście wzrastało bezrobocie. A wraz z bezrobociem rosły przestępczość i bieda.

Pokonali Julianowską i skręcili w czteropasmową Łagiewnicką. Zniknęły kamienice i bloki, zamiast nich wzdłuż drogi pojawiły się domy jednorodzinne.

W milczeniu dotarli na miejsce. Rudnicka zaparkowała na wyłożonym kostką podjeździe. Wzdłuż ogrodzenia rosły metrowe krzewy iglaste, osłaniające domowników od ciekawskich oczu przechodniów. Policjanci wysiedli z samochodu i podeszli do metalowego ogrodzenia w kolorze wiśni.

Lena nacisnęła przycisk domofonu. Z oddali dobiegło ich szczekanie psa. Rozległ się brzęczyk oznaczający otwarcie furki. Wolski puścił Lenę przodem.

Wachowiakowie mieszkali w piętrowym domu z jednostanowiskowym garażem. Spadzisty dach i niesymetryczna bryła budynku kazały sądzić, że wybudowano go we wczesnych latach dwutysięcznych. Obecnie, by zredukować koszty budowy, stawiano domy w inny sposób – najczęściej na planie kwadratu lub prostokąta, z płaskim lub tylko lekko spadzistym dachem.

Drzwi uchyliła krótkowłosa kobieta około czterdziestki, ubrana w kraciatą koszulę i spodnie od dresu. Obrzuciła nowo przybyłych zaciekawionym spojrzeniem i odetchnęła, kiedy wyciągnęli policyjne legitymacje.

– Myślałam, że znowu naciągacze – powiedziała. – Faceci od fotowoltaiki nie dają nam spokoju. Nachodzą ludzi po domach jak cholerni akwizytorzy. Proszę, wejdźcie. – Odsunęła się, by wpuścić policjantów. – Zapraszam do salonu.

Wewnątrz pachniało obiadem. Po chwili dołączył do nich Artur Wachowiak, ojciec zaginionego Wiktora. Przedstawił się, ucisnął policjantom dłonie i wskazał miejsca przy dębowym stole pod oknem. Podobieństwo Wiktora do ojca było uderzające. Obaj mieli kręcone blond włosy i jasną skórę przywodzącą na myśl ludzi z Północy.

Artur Wachowiak sięgnął po pilot i wyłączył telewizor. Dzięki aktom dołączonym do sprawy Rudnicka wiedziała, że mężczyzna pracuje jako wykładowca na Uniwersytecie Łódzkim. W dniu zaginięcia syna był w pracy. Uwagę Tymona i Iwana zwróciło to, że mężczyzna między jedenastą a trzynastą miał przerwę, którą spędził sam w swoim gabinecie, lecz nikt ze współpracowników nie był w stanie tego potwierdzić. Wykładowca, z którym dzielił gabinet, przebywał w tym czasie na urlopie.

– Przepraszam za bałagan. – Wachowiak pospiesznie zgarnął książki naukowe. Zamknął laptop i przesunął go na drugi koniec stołu. – Wróciłem niedawno z pracy – wyjaśnił. – Musiałem nadrobić parę rzeczy.

– Nie ma sprawy – odparł Wolski, siadając na wskazanym przez mężczyznę krześle. – Wpadliśmy bez zapowiedzi. Powinniśmy do państwa wcześniej zadzwonić.

– Nic się nie stało – odezwała się Beata Wachowiak.

– Wiem, że oczekujecie państwo nowych informacji w sprawie Wiktora. – Rudnicka usiadła obok Wolskiego. – Ale nie przychodzimy w tej sprawie.

Małżeństwo spojrzało na siebie. Ich pełne nadziei twarze posmutniały.

– Zaczynamy śledztwo od początku – ciągnęła Lena. – Szukamy szczegółów, które mogliśmy pominąć. Czegokolwiek, co wskazałoby nam kierunek, w jakim moglibyśmy się posunąć.

– Ten człowiek jest jak duch – wtrąciła kobieta. Stała za siedzącym przy stole mężem i położyła dłonie na jego ramionach. – Sądziłam, że portret pamięciowy... że ktoś go rozpozna, ale nic takiego się nie stało. Każdego dnia myślę, gdzie jest nasz synek. Co się z nim stało? – W oczach kobiety pojawiły się łzy. Artur położył dłoń na ręce żony.

Różnica pomiędzy małżeństwem Wachowiaków a Abramowskich polegała na tym, że para siedząca przed policjantami cierpiała, a jednocześnie wspierała się nawzajem.

Rudnicka odchrząknęła.

– Rozumiem, że możecie być rozczarowani – powiedziała. – Chciałabym przyjść z lepszymi informacjami.

– Przecież to nie pani wina – odparł Wachowiak. – To nie pani uprowadziła naszego syna. Wiem, że policjanci pracowali ponad siły. Kiedy zgłosiliśmy zaginięcie Wiktora, policja zadziałała błyskawicznie. Razem z policjantami i sąsiadami szukaliśmy go dzień i noc. Ale już wtedy miałem przeczucie, że Wiktora tutaj nie ma. Czuję, że ktoś go porwał i nasz syn jest w innym miejscu.

– Miałam to za złe mężowi – wtrąciła Beata. – Uważałam, że nie powinien myśleć w taki sposób. Byłam wściekła. Trzeba wierzyć, że Wiktoerek się odnajdzie.

– Moje przeczucie nie wykluczało wiary. Miałem nadzieję, że go odnajdziemy. Ale wydawało mi się, że szukamy w złym miejscu. Policjanci znaleźli telefon syna pięć kilometrów od domu. Żona dzwoniła do niego dwadzieścia siedem razy. Pięć kilometrów od domu – powtórzył Wachowiak z naciskiem. – Co Wiktor robił tak daleko? Jak się tam znalazł? Mieszkamy tuż przy jego szkole. Żeby do niej dotrzeć, miał do przejścia raptem pięćset metrów. Zawsze wychodził na styk. Często spóźniał się na lekcje. Wydawało mu się, że skoro mieszka tak blisko, zdąży dojść, zanim zadzwoni dzwonek. Ale tamtego dnia wyszedł wcześniej.

– Zapytałam go w żartach, co się stało, że nagle tak spieszo mu do szkoły. Wyszedł dwadzieścia po siódmej. To było do niego niepodobne.

– Jak syn wyjaśnił pośpiech? – zapytał Wolski.

– Wzruszył ramionami. Uśmiechnął się i wyszedł. Pomyślałam, że umówił się z kolegami. Albo z jakąś dziewczyną. Nigdy nie wiadomo.

– I rzeczywiście się umówił – dodał Wachowiak. – Nauczyciele potwierdzili, że nie dotarł do szkoły. Policja znalazła świadka, który widział naszego syna w towarzystwie dwóch chłopców. To z nimi musiał się umówić.

– Czy znaleziono coś w jego telefonie? – zapytała Rudnicka. Widziała policyjny raport, ale widziała również, że Wachowiakowie mają silną potrzebę, by z kimś porozmawiać.

– Wymieniał wiele wiadomości z kolegami.

– Wysyłałi sobie różne obrazki.

– Memy – wtrącił Artur Wachowiak.

– Tak. Pisali o szkole. Obgadywali nauczycielki. Policja sprawdziła kolegów Wiktora, ale żaden z nich nie urwał się z lekcji. Zastanawialiśmy się więc, z kim był nasz syn. Co to byli za chłopcy, z którymi widział ich świadek.

Policjanci znaleźli telefon Wiktora pięć kilometrów od domu. Czy ośmiolatek mógł przejść samodzielnie taki dystans? Pewnie tak, ale dokąd się wybrał? Żaden z jego szkolnych kolegów nie mieszkał w tamtej okolicy.

– Jakim chłopcem jest Wiktor? – zapytała Rudnicka, celowo utrzymując pytanie w czasie teraźniejszym.

– Mały łobuz. – Kobieta uśmiechnęła się, obeszła stół dookoła i usiadła u szczytu. – Jest jedynakiem. Trochę go rozpieściliśmy.

– Nasze jedyne dziecko. Pewnie popełniliśmy mnóstwo błędów wychowawczych, ale w gruncie rzeczy Wiktor jest dobrym dzieckiem. Trochę rozrabiał w szkole. Raz nawet włączył alarm przeciwpożarowy. – Wachowiak spojrzął na żonę. Na to wspomnienie oboje się uśmiechnęli. – Ale to zdolne dziecko. Szybko się uczy i ma niezłe oceny, chociaż w ostatnich tygodniach przed... przed zniknięciem za dużo czasu spędzał przy komputerze. Ganił się go za to. Policjanci sprawdzili, na jakie strony się logował. Głównie na Facebooka i gry online.

– Jakie gry? – podjął Wolski.

– Strzelanki.

Marcel pokiwał głową. Strzelanki nie wydawały się najlepszą rozrywką dla ośmioletniego chłopca, ale co on mógł wiedzieć o wychowywaniu dzieci? Syn Darii miał raptem cztery lata. Marcel zwracał Darii uwagę, że chłopak za często bawi się telefonem, ale ona zdawała się nie dostrzegać problemu. Dając synowi telefon, zyskiwała kilkadziesiąt minut spokoju. W tym czasie robiła obiad, sprzątała, a Igor gapił się na filmy i gry w telefonie jak urzeczony.

– Mieliśmy nadzieję, że nasz syn wpadł w złe towarzystwo – odezwała się Wachowiakowa. – Wiem, jak to brzmi. Ale ucieczka z domu to była nasza nadzieja. Wierzyliśmy, że jeśli uciekł, w końcu się odnajdzie. Wolałam nie myśleć, że ktoś... mógł zrobić mu krzywdę.

– Miał powód, by uciec z domu? – zapytała Rudnicka.

Ucieczki dzieci zdarzały się często. Uciekali nie tylko zbuntowani nastolatki, ale również rówieśnicy Wiktora. Powody były najrozmaitsze. Dzieciom nie potrzeba wiele, by się zbuntowały. Ale w przypadku ucieczek zazwyczaj szybko się odnajdywały. Często same wracały skruszone do domu.



– Dla ósmiolatka każdy powód jest dobry – odparł Wachowiak. – Wiktor kłócił się z nami o komputer. Spędzał przy nim za dużo czasu, więc daliśmy mu karę.  
– Wkurzył się.  
– Dlatego pomyśleliśmy, że mógł chcieć nam zrobić na złość. Dzieci czasem tak robią, prawda?  
– Chyba tak – zamyśliła się Rudnicka.  
– Ale kiedy nie wracał, straciliśmy nadzieję – ciągnął Wachowiak. – Potem jedyną szansą było tych dwóch chłopców, z którymi widziano naszego syna.  
– Policja wciąż nie wie, kim byli. – Wachowiakowa przyłożyła dłonie do białych policzków. – Ale jestem pewna, że to ich wina. Oni sprowadzili naszego syna na złą drogę.  
– Nikt się nie zgłosił? – zapytał Wolski. – Na przykład chłopcy ze szkoły ze starszych roczników?  
– Nie.  
– Ale ja wiem, kim był jeden z nich – oznajmił Wachowiak. – Wiem też, że ten dzieciak nigdy się do tego nie przyzna.

Lena spojrzała na mężczyznę i dostrzegła na jego twarzy determinację.  
– Skąd pan wie?  
– Kilka tygodni przed zniknięciem Wiktora wracałem z pracy i widziałem, jak mój syn stoi przed szkołą z dwoma chłopcami. Jeden z nich był odwrócony tyłem, ale drugi stał tuż przy ulicy. Nie zwróciłem na nich uwagi. Pojechałem do domu i więcej o tym nie myślałem. Niedawno jednak spotkałem pana Abramowskiego z dwoma synami. Mieliśmy okazję się spotkać kilka razy na komendzie. Spotkałem go przy Piotrkowskiej... – Wachowiak urwał, jakby usiłował zebrać myśli. – Rozpoznałem jego syna. Chłopcem, z którym Wiktor stał wtedy przed szkołą, był Michał Abramowski.

## 21

Bartosz wrócił do domu chwilę po dwudziestej. Odwiesił płaszcz na wieszak i zdziwił się, gdy z salonu dobiegły głosy ożywionej rozmowy. Przystanął w korytarzu, rozpoznając śmiech własnej matki. Dopiero teraz dotarło do niego, że dziś byli umówieni z rodzicami na kolację. Wyciągnął telefon z kieszeni. Żona dzwoniła do niego sześć razy. Szykowała się kolejna kłótnia.

– Wreszcie! – Matka poderwała się z krzesła i uściskała syna, a potem chwyciła go za ramiona. – Już myślałam, że się minie. Zaraz będziemy się z ojcem zbierać.

Roman Grabowski machnął ręką, dając do zrozumienia, że to żona rozdaje karty.

– Zapomniałem. – Bartosz poczuł na sobie karcące spojrzenie Dominiki. Żona zagryzła dolną wargę, powstrzymując się od kąśliwego komentarza. – Przepraszam. Mam ostatnio tyle pracy. – Kłamał. Prawda była taka, że dziś udało mu się wyjść wcześniej, lecz zamiast wrócić do domu, umówił się w hotelu z kochanką. Ona również miała niewiele czasu. Musiała wracać do męża i dzieci. Szybki seks, a potem rozjechali się każde w swoją stronę.

– Przypominałam ci rano – powiedziała Dominika. W jej głosie brzmiała pretensja. – Właśnie tak mnie słuchasz. Widzi mama?

– Za dużo pracujesz, synuś.

Matka podparła się pod boki. Dobiegała sześćdziesiątki, ale wyglądała na dziesięć lat mniej. Ubrana była w elegancką spódnicę do kostek i młodzieżową marynarkę.

– Tatusi!

Siedmioletnia Antosia zeskoczyła z kanapy, podbiegła do ojca i objęła go w pasie. Bartosz pogłaskał córkę po głowie. Była piękną i mądrą dziewczynką. Po raz kolejny uświadomił sobie, jak wiele mógłby stracić, gdyby romans z podwładną wyszedł na jaw. Wiele razy obiecywał sobie, że zakończy tę relację, ale do tej pory mu się nie udało.

– Jak tam, kochanie? – zapytał. – Zjadłaś kolację?

– Ehe. Patrz, co narysowałam w szkole. – Tosia pobiegła do sekretarzyka i chwyciła w rękę kartkę. Pokazała ojcu rysunek przedstawiający rodzinę na tle morza. W oddali pływała łódka z czerwonym masztem. – To my na wakacjach – wyjaśniła. – Ja, ty i mamusia.

– Piękne. Chciałabyś pojechać nad morze?

Mała energicznie pokiwała głową.

Dawno nie byli na wspólnych wakacjach. W zeszłym roku Bartosz miał tyle pracy, że mógł pozwolić sobie tylko na trzy dni wolnego. Urlop spędził w mieszkaniu. Głównie spał, jakby organizm postanowił wykorzystać ten czas na pełną regenerację.

Dominika z Tosią wyjechały wtedy na Mazury razem z koleżanką żony. Po powrocie Dominika nie odzywała się do niego przez kilka dni. Nie rozumiała, że Bartosz po prostu nie mógł wziąć dłuższego urlopu. Nie było nikogo, kto by go zastąpił. Poza tym tydzień z żoną wcale nie oznaczał wypoczynku.

Nie dogadywali się. Ona również dużo pracowała. Była lekarzem. Ale mimo wszystko potrafiła pogodzić rolę żony, matki i kobiety realizującej się zawodowo. Zazdrościł Dominice tej umiejętności. Pocieszał się tym, że w gruncie rzeczy praca daje mu satysfakcję. W domu czuł się jak intruz. Omijały go dyskusje o koleżankach córki. Nie wiedział, kiedy Tosia ma klasówkę ani gdzie wybiera się na szkolną wycieczkę. Nie chodził na wywiadówki, więc nie znał innych rodziców. W przeciwieństwie do Dominiki, która usiłowała za wszelką cenę brać udział we wszystkich szkolnych uroczystościach czy świątecznych przedstawieniach, Bartosz nie miał do tego głowy. Kiedy pierwszy i ostatni raz poszedł do przedszkola córki na jesienne przedstawienie, wyszedł po trzydziestu minutach. Nie mógł dłużej znieść recytowanych wierszyków, płaczu dziecka, które zapomniało tekstu, i braw zachwyconych rodziców. Irytowali go podejrzliwie zerkający tatusiowie, gdy rozmawiał z jakąkolwiek kobietą, najpewniej ich żoną lub partnerką, jakby widzieli w nim potencjalnego rywala.

– Siadaj, synek – zarządził ojciec. – Napijemy się?

– Gdzie miałem flaszkę.

Bartosz otworzył barek i wyciągnął półlitrową butelkę finlandii. Rozlał alkohol do kieliszków i odstawił butelkę na stół, siadając obok ojca.

– No – mruknął stary Grabowski. – Wreszcie jakieś konkrety. Przynajmniej z synem się napiję czegoś konkretnego. A kobitki niech sobie popijają to swoje wino.

Bartosz zerknął na pełen kieliszek żony. Nie upiła ani kropli alkoholu w przeciwieństwie do matki, która już po kilku łykach robiła się wesoła i przesadnie uśmiechnięta. Nie pamiętał, kiedy ostatnio spędził wieczór z rodzicami. Kochał ich, ale nigdy nie powiedział im tego wprost.

– I jak w robocie, synek?

– Ciężko. Jak zwykle. Presja, mało czasu i rosące wymagania.

– Mówiłeś kiedyś, że chciałbyś coś swojego otworzyć. – Ojciec nalał wódkę do kieliszków. Przesunął jeden w stronę Bartosza. – Nadal o tym myślisz? Bo ja pomyślałem o biznesie mam.

– Jaki?

– Sklep wędkarski byśmy otworzyli. Ja się znam na sprzęcie, a ty na prowadzeniu interesu. No? – Uniósł kieliszek. – Co powiesz?

– Och, Romek dajże spokój – mruknęła matka. – Chłopak stabilną pracę ma, więc niech się jej trzyma. A własny biznes? Kto wie, czy wypali? Wtopicie tylko pieniądze Straciecie oszczędności i na tym skończy się wasz biznes.

– Matki nie słuchaj – zastrzegł Roman. – Wiesz, że ona zawsze wszystko w czarnych barwach widzi. Według niej najlepiej nic w życiu nie zmieniać, żeby gorzej nie było.

– Zawsze może być gorzej – zauważyła Anna Grabowska.

– A może być i lepiej. Jak człowiek nie zaryzykuje, to się nie dowie, dobrze mówię, synek?

– Dobrze, ojciec, ale sam nie wiem, co ci powiedzieć, jeśli o ten sklep chodzi.

Roman wychylił kieliszek. Wierzchem dłoni otarł usta.

– Polej no jeszcze po jednym. – Palcem wskazał butelkę. – Zobacz, synek, ile pracujesz. Która godzina jest, kiedy do domu wracasz, co? Ile godzin spędzasz w pracy? Do dupy z takim życiem. Jak długo tak pociągniesz? Jeszcze dwa lata, może cztery? A potem, jak to się mówi, wypalisz się. Nie lepiej już teraz na swoje iść?

Bartosz westchnął.

– Lepiej – przyznał. – Ale żeby iść na swoje, potrzeba odwagi.

– Jaj nie masz, synek?

– Mama ma rację. Co będzie, jak wtopimy kasę, a biznes nie wypali? Ja na dom próbuję zarobić. Z Dominiką chcemy wyprowadzić się pod miasto.

– Daj spokój – mruknęła Dominika. – Ten dom to cholerna wymówka, której używasz, żeby nie spędzać z nami czasu.

Bartosz wychylił kieliszek wódki i poluzował krawat.

– Nie będziemy o tym teraz rozmawiać – mruknął.

– Pewnie, że nie. Bo o niczym nie rozmawiamy. Dlaczego nie teraz? Wstydzisz się rodziców? Może oni przemówią ci do rozumu.

– Czemu się kłóćcie? Dziecko słucha – zauważyła teściowa, przytulając Tosię.

– Niech mama lepiej zapyta, kiedy się nie kłócimy. – Dominika uśmiechnęła się, a Bartosz odniósł wrażenie, że właśnie po to zaprosiła rodziców. Wszystko zaplanowała. Chciała pokazać im, że ich syn jest złym mężem.

– Pracuję dla nas. Dla ciebie i dla Tosi.

– Gówno prawda.

– Dominiko! – zwróciła jej uwagę Anna. – Antosia wszystko słyszy!

W oczach Dominiki błysnęły łzy.

– Mam tego dość – oznajmiła. – Jeśli nic w naszym życiu się nie zmieni, obiecuję ci, tutaj przy twoich rodzicach, że odejdę.

Bartosz wyprostował plecy, zbyt zdumiony, by cokolwiek odpowiedzieć.

Co czuje rodzic, który stracił dziecko?

Aspirant Tymon Milewski nie musiał się nad tym zastanawiać. Pochował własną córkę. Płakał, gdy umarła w szpitalu. W nocy. Po cichu. We śnie. Po wielu miesiącach chemioterapii. Tymon wybrał dla niej ubranie, kupił trumnę i miejsce na cmentarzu. Patrzył na trumnę z ciałem ukochanej córeczki. Nabrał w garść ziemi. Rzucił nią ze złością. Czuł na sobie współczujący wzrok żałobników. Litowali się nad nim, ale nie potrzebował ich współczucia. Miał ich gdzieś. Jego dziecko, ukochana córeczka, leżała w ziemi. Nigdy więcej jej nie przytuli. Nie pogłaszczę po włosach. Nie zobaczy, jak dorasta. Nie powita w domu jej pierwszego chłopaka. Nie poprowadzi do ołtarza. Dlaczego? Dlaczego umarła? Próbował, ale nie potrafił tego pojąć. Jeśli Bóg istnieje, nie powinien na to pozwolić.

Milewski rozsypał się wieczorem, gdy wraz z żoną wrócili do domu. Tego dnia stali się dla siebie obcymi ludźmi.

Tymon kochał Paulinę. Była miłością jego życia. Ich małżeństwo nie było wzorowe, kłócili się jak wszyscy, ale się kochali. Bywały gorsze momenty, jednak zawsze znajdowali płaszczyznę porozumienia. Szukali kompromisów. Tak powinien funkcjonować związek dwojga ludzi. Powinien polegać na akceptacji i wsłuchiwaniu się w potrzeby drugiej osoby. Kiedy dowiedzieli się o chorobie córki, nie było wzajemnych oskarżeń ani kłótni. Oboje byli załamani, płakali, ale starali się wspierać. Wierzyli, że Karolina wyzdrowieje. A potem wszystko wróci do normalności.

Ale tak się nie stało.

W dniu pogrzebu córki coś w nim pękło. Patrzył na żonę i poczuł, że nie chce mieć z nią nic wspólnego. Za każdym razem gdy o niej pomyślał, wracały tragiczne wspomnienia. Stojąc nad grobem własnego dziecka, powziął decyzję o rozwodzie.

Nie powiedział Paulinie, ale był pewien, że ona również się zmieniła. Nie patrzyła na niego jak dawniej. Tamtego dnia, gdy wrócili do domu, otworzył butelkę jima beama, starego kumpla, z którym od czasu choroby córki dzielił wszystkie troski. Paulina przysiadła się do niego. Postawiła szklanekę. Tymon chciał, by sobie poszła. Chciał być sam. Bez słowa nalała sobie alkoholu. Wychyliła szklanekę i poprosiła o więcej. Nigdy nie piła dużo. Kieliszek wina albo nalewki. Ale w dniu pogrzebu straciła kontrolę. Oboje stracili kontrolę nad własnym życiem.

Jedynym, co zapamiętał z tamtego wieczoru, była żona siedząca nad sedesem. Wymiotowała przy dźwiękach heavymetalowej muzyki, którą Tymon puścił, by zagłuszyć myśli. Palił papierosa, siedząc na wannie, i patrzył na wymiotującą Paulinę. Pierwszy raz poczuł, że ma ochotę zrobić jej krzywdę.

Kolejne dni były koszmarem. On nie trzeźwiał, ona zaś przerzuciła się na leki uspokajające, jakie przepisał jej lekarz. Po dwóch tygodniach Tymon podjął decyzję.

– Musimy się rozstać – oznajmił, a Paulina pokiewała głową. Również o tym myślała. Nie było przed nimi przyszłości. Powinni zacząć od nowa. O ile to w ogóle możliwe.

Tymon odszedł. Zatrzymał się u matki. Znalazł mieszkanie. Sprzedali dom i podzielili pieniądze po połowie. Wzięli rozwód. Pożegnali się, uściskawszy się na schodach prowadzących do sądu. Życzyli sobie powodzenia. Żadne z nich nie płakało. Tak musiało być. Tak było lepiej.

Tymon czasem myślał, że mogli uratować swoje małżeństwo. Oboje jednak odpuścili. Nie podjęli próby. Nie mieli siły walczyć.

Dlatego sprawa zaginionych dzieci była dla niego tak ważna. Obiecał sobie, że zrobi wszystko, by wrócili do domu.

Wolski wszedł do pokoju hotelowego. Drzwi cicho kliknęły. Przystanął pośrodku pokoju i omiół go wzrokiem. Cisza działała kojąco. Odetchnął z ulgą. Usiadł na łóżku i ukrył twarz w dłoniach.

To był ciężki dzień. Miał wrażenie, że pracował bez przerwy przez dwadzieścia cztery godziny. A to dopiero pierwszy, początkowy etap śledztwa. Spotkanie z Leną wiele go kosztowało.

Ekran komórki się rozświetlił. Dzwoniła Daria. Odłożył telefon i potarł oczy. To był nie najlepszy moment na rozmowę. Pewnie się stęskniła. Wolski, zajęty śledztwem i spotkaniem z Leną, cały dzień ani razu o niej nie pomyślał.

Wziął prysznic i zjadł kolację – dwie gotowe kanapki ze sklepu. Potem wystukał do Darii lakoniczną wiadomość, że jest zbyt zmęczony, by rozmawiać, i zdzwonią się jutro. Daria życzyła mu udanego wieczoru. Do wiadomości dodała dwa emotikony z serduszkami.

Powinien powiedzieć jej o Lenie, ale nie miał odwagi. Wrócił myślami do chwili, gdy opuścili dom rodziny Wachowiaków. To było najdziwniejsze piętnaście minut w jego życiu. Lena bez słowa wsiadła do samochodu, a gdy Wolski zajął miejsce na fotelu pasażera, ruszyła z piskiem opon.

– Podrzucisz mnie do Campanile? – zapytał.

– Naczelnik, widzę, się szarpnął.

W odpowiedzi Wolski uśmiechnął się i odwrócił głowę w stronę szyby.

– I co powiesz? – zagadnęła Rudnicka.

– O czym?

– O tym, co usłyszeliśmy od Wachowiaka. On naprawdę jest przekonany, że Wiktor znał Michała Abramowskiego.

– Mogło tak być.

– To zmienia postać rzeczy. Dlaczego Abramowscy o niczym nam nie powiedzieli?

Wachowiak mówił, że poszedł kiedyś do nich i zażądał rozmowy z Michałem. Chłopak twierdził, że nigdy nie spotkał Wiktora. Wybuchła awantura. Ryszard wyrzucił gościa za drzwi.

Czy chłopcy mogli się znać? Dzielili ich niewielka różnica wieku. Wiktor mógł być zafascynowany starszym kolegą. Jeśli Michał namawiał go na wagary, co jest prawdopodobne, zważywszy na opinię, jaką miał w szkole i wśród sąsiadów, Wiktor robił to, co kazał Michał. Tylko dlaczego nie powiedział rodzicom, że się znali? Bał się? Jeśli tak, to czego?

A może Artur Wachowiak się mylił, a chłopcem, z którym widział syna, nie był Michał Abramowski, tylko ktoś bardzo do niego podobny? Żona usiłowała go przekonać, że syn Abramowskich mówił prawdę. Wiktor przecież nie wspominał o Michale. Beata Wachowiak uważała, że chłopcy, z którymi widziano jej syna, chodzili z nim do szkoły, ale z racji tego, że Wiktor zaginął, bali się powiedzieć prawdę. Istniało większe prawdopodobieństwo, że Wiktor poznał ich w swojej szkole. Michał chodził do podstawówki w innej części miasta. Poza tym, jak dziesięcioletek miałby dostać się w rejon placówki przy Jaskrowej? Jej zdaniem to za daleko, nawet dla bystrego dzieciaka.

W wyniku rozmów z żoną Wachowiak nie zdecydował się pójść na policję i opowiedzieć o swoich przypuszczeniach. Z czasem uznał, że miała rację, jednak dziś, kiedy odwiedziła ich Rudnicka wraz z Wolskim, pomyślał, że warto o tym wspomnieć.

– To absurd – podsumował Wolski. – Michał ma tylko dziesięć lat. Jest szkolnym łobuziakiem, ale to wszystko. Myślisz, że mógłby zabić najpierw Wiktora, a potem własnego brata? A co z Amelią?

– Wątpię. Chociaż nie byłoby to niemożliwe.

– Tak uważasz?

– Pewnie. Gry komputerowe piorą dzieciom mózgi.

Marcel zapadł się głębiej w fotel.

– Ale... Cholera, sam nie wiem. Nie klei mi się to.

– Nie martw się. – Spojrzała na niego i szybko przeniosła wzrok na przednią szybę. – Mnie również się to nie klei. Ale to nie zmienia faktu, że powinniśmy przycisnąć Abramowskich.

Telefon Wolskiego zawibrował w kieszeni. Wyciągnął go, zerknął na ekran i szybko schował z powrotem.

– Odbierz – powiedziała Rudnicka.

– Zaraz będziemy na miejscu. Wtedy oddzwonię – skłamał.

– Jasne.

– Co?

– Nie, nic.

Lena ścisnęła mocniej kierownicę.

– Przecież widzę – stwierdził Wolski, wyjmując paczkę papierosów. Obracał ją w dłoni, by zająć czymś ręce. – Coś chciałaś powiedzieć, więc słucham.

Tylko uśmiechnęła się pod nosem. Wiedział, co chciała powiedzieć. Dawna Lena Rudnicka nie miałaby skrupułów, by wypytać Wolskiego o telefon, który od kilkunastu minut uporczywie dzwonił w jego kieszeni. Jednak teraz wolała przemilczeć sprawę. Może nie chciała się wtrącać. Albo zwyczajnie miała to gdzieś?

– Nadal mieszkasz w leśniczówce? – zapytała.

– Mhm. Trochę ją odnowiłem. No i naprawiłem tę cholerną dziurę w płocie.

– Czyli wreszcie masz spokój z psami sąsiada urządzającymi sobie spacer w ogrodzie?

– Tak. – Zaśmiała się. – Chociaż trochę mi ich brakuje. Szczególnie tego białego, pamiętasz?

– Puszka.

– To nie jest jego imię.

– Był puszysty i biały. Musiał mieć na imię Puszek.

Wolski wrócił myślami do wieczoru, gdy wspólnie z Leną siedzieli na schodach prowadzących na ganek. Bawili się z białym psem. Rudnicka nazwała go Puszek. Za każdym razem kiedy wpadał, traktowała go jak honorowego gościa. Kupiła mu nawet psie przysmaki w supermarkecie i chętnie nimi częstowała. Odkąd Daria kazała Wolskiemu naprawić płot, Puszek nie mógł ich odwiedzać. Poza tym Marcel miał wrażenie, że odkąd odeszła Lena, zjawiał się coraz rzadziej.

Na chwilę przysiadł na łóżku i minutę później już spał. Kiedy otworzył oczy, spostrzegł migający ekran komórki. Pewnie ten blask go obudził. Zaciśnął nerwowo zęby, ale zaraz przesunął zieloną słuchawkę. Dzwoniła Lena Rudnicka.

Iwan opadł na łóżko. Dyszał. Po skroniach spływały mu strużki lepkiego potu. Prześcieradło pod jego plecami było wilgotne. Przekręcił się na brzuch. Kobieta wstała i poszukała wzrokiem bluzki. Iwan miał wrażenie, że coś się w niej zmieniło. Wcześniej pragnęła jego bliskości, teraz zaś patrzyła na niego ze zniecierpliwieniem. Po wcześniejszym pożądaniu nie było śladu.

Iwan podał jej pieniądze. Wsunęła banknot do stanika.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Sara.

– Nie. – Pokręcił głową. – Chodziło mi o prawdziwe imię.

– A co cię to obchodzi?

Właściwie niewiele, pomyślał, ale lubił wiedzieć, jak mają na imię.

– To jakaś tajemnica?

Po jej twarzy przemknął cień uśmiechu.

– Nie musisz znać mojego imienia, żeby do mnie zadzwonić – powiedziała. – Spadam. Masz mój numer.

– Zadzwonię.

– Nie wątpię.

Wyszła, pozostawiając za sobą mgiełkę podrabianych perfum Calvina Kleina. Iwan został sam.

Wpatrywał się w poszarzały sufit. Przychodził tutaj mniej więcej od dwóch lat. Tani hotel, szybki seks i samotność, z którą radził sobie coraz gorzej. Nikt nie podejrzewałby go o potrzebę bliskości z drugą osobą, ale coraz częściej łapał się na tym, że pragnął zwyczajnego życia. Czekał w domu żony, wspólnych wieczorów na kanapie i zasypiania przy boku kogoś drogiego sercu. Zastanawiał się, jak wyglądałoby jego życie, jeśli dokonałby innych wyborów?

Zawsze miał słabość do kobiet. Podczas krótkiego, lecz burzliwego małżeństwa z Judytą nie potrafił dochować wierności. Sądził, że ona nie dowie się o zdradach, ale się mylił. Wystąpiła o rozwód. Iwan przystał na jej warunki. Ich związek nie należał do udanych. Żona oczekiwała od niego większego zaangażowania. Im mocniej naciskała, tym Iwan bardziej się wycofywał.

Ciotka Iwana, która zastępowała mu matkę, miała do niego żal. Pokochała Judytę. Traktowała ją jak córkę i uważała za świetną kandydatkę na długoletnią partnerkę. Kiedy Iwan powiedział o rozwodzie, nie odzywała się do niego przez kilka tygodni. Judyta ułożyła sobie życie na nowo. Przed rokiem urodziła syna i wzięła ślub z dyrektorem sieci hotelów. Iwan spotkał tego faceta. Robert i Judyta idealnie do siebie pasowali. Sumienny biznesmen z pewnością nie dopuściłby się zdrady.

Iwan lubił własne towarzystwo, ale samotność doskwierała mu coraz częściej. Towarzystwo prostytutki nie było wystarczające.

Dźwignął się z łóżka i poszukał kurtki. Z lewej kieszeni wyjął paczkę papierosów. Na co dzień nie palił, ale po seksie pozwalał sobie na jednego. Przytknął zapalniczkę do końcówki papierosa i z lubością wciągnął dym. Czuł, jak wędruje przez gardło i wypęnia płuca.

Wrócił myślami do minionego dnia. Gdyby to zależało od niego, pozbyłby się Rudnickiej. Nie przepadał za nią. Kiedy naczelnik poinformował podwładnych o swojej decyzji, Iwan był przeciwny. Przełożony jednak był nieugięty. Mieliście wystarczająco dużo czasu, powiedział, kończąc dyskusję.

Sukces Rudnickiej nie był Iwanowi na rękę.

Basia zeskoczyła z parapetu i pobiegła do drzwi. Na widok matki podskoczyła kilka razy. Lena przytuliła córkę, a potem odsunęła ją na długość ramion.

– I jak ci się podobał pierwszy dzień w przedszkolu? – zapytała.

Dziewczynka się zastanowiła.

– No? Fajnie czy nefajnie?

– Nawet.

– Co nawet?

– Fajnie.

– Grzeczna byłaś?

Basia pokiwała głową.

– Mam dla ciebie prezent – powiedziała Rudnicka. – Jesteś najodważniejszą dziewczynką na świecie, wiesz?

– Nie płakałam! – Basia dotknęła ręką czoła. – Tylko trochę.  
Lena sięgnęła do zawieszanej na ramieniu płóciennej torby. Wyjęła z niej pluszowego psa i podała go Basi.  
Dziewczynka przytuliła zabawkę i uśmiechnęła się, jakby trzymała w rękach największy skarb.  
Maria wyszła siostrze na spotkanie. Oparła się ramieniem o ścianę i skrzyżowała ramiona.  
– Zuzka mówiła, że Basia naprawdę była grzeczna – powiedziała. – Nieźle, jak na naszą Zosię samosię, co?  
– Bałam się, że nie będzie się chciała bawić z dziećmi.  
– Nie było tak źle. Ale pogadaj z Zuzką, ona ci więcej powie.  
– Dzięki, że zgodziłaś się ją odebrać.  
Maria uniosła otwarte dłonie.  
– Nie ma sprawy – odparła. – A jak w pracy?  
Rudnicka wypuściła głośno powietrze z płuc.  
– Sama nie wiem. Obawiam się, że mogłam popełnić błąd.  
– Dlaczego?  
– To trudne śledztwo. Zero poszlak. Strzępki informacji, z których ciężko cokolwiek wycisnąć. Boję się, że przeceniłam własne możliwości.  
– Kto jak nie ty?  
Lena uśmiechnęła się krzywo.  
– Lecimy – powiedziała. – Dzięki raz jeszcze.  
Pożegnała się z Marią. Wyszły przed dom. Basia w jednej ręce ścisnęła pluszaka, drugą zaś chwyciła Lenę.  
Rudnicka poczuła w sercu przyjemne ciepło. Zapięła córkę w foteliku i usiadła za kierownicą. Mała opowiadała o tym, jak spędziła dzień w przedszkolu. Wydawała się radosna, co sprawiło, że Lena odetchnęła z ulgą.  
– A koleżanki? – zapytała, odpalając silnik.  
– Nie.  
– Co nie? Nie było żadnych koleżanek?  
– No, były.  
Lena spojrzała w lusterku na córkę. Znała stosunek Basi do innych dzieci. Miała nadzieję, że w przedszkolu trochę się otworzy na rówieśników.  
– Nie lubię się z nimi bawić – stwierdziła.  
– Dlaczego?  
– Nie wiem. Nie lubię ich. Ale pani Zuza jest miła. Dała mi kredki i mazaki.  
– Czyli nie było tak źle?  
Basia przez chwilę namyślała się nad odpowiedzią.  
– Nie – oznajmiła. – Co to? – Wzięła do rąk teczkę leżącą obok niej na tylnym siedzeniu.  
– Zostaw to, kochanie.  
Dziewczynka jednak zajrzała do środka.  
– Basiu, odłóż to na miejsce.  
– Tu są dzieci.  
Rudnicka zakłęła w myślach. Powinam być bardziej ostrożna, pomyślała. Co byłoby, gdyby w środku zamiast zdjęć zaginionych dzieci były fotografie z miejsca zbrodni?  
– Mamusia szuka tych dzieci – wyjaśniła.  
– Zgubiły się?  
– Tak.  
– Czemu?  
– Muszę chodzić do pracy, żeby je znaleźć i oddać rodzicom.  
– Musi być im smutno.  
Tak, pomyślała Rudnicka, pewnie jest im cholernie smutno.  
– Odłóż teczkę, proszę.  
Basia posłusznie odłożyła teczkę na miejsce.  
– Jadłaś u cioci?  
– Ziemniaki i kotleta.  
– Okej.  
Resztę drogi pokonały w milczeniu. Kiedy Lena zaparkowała przed kamienicą, ostrożnie wzięła śpiącą córkę na ręce. W domu położyła ją do łóżka i zaparzyła sobie kawę. Sięgnęła po płyty, które przekazała jej Natalia. Nagrania miały zawierać zapis z kamer monitoringu z miejsc, w pobliżu których zaginęły dzieci.  
Rudnicka włączyła laptop i odnalazła nagranie z zaginięcia Wiktora Wachowiaka. Natalia zapisała nagrania sprzed dwóch tygodni, zanim zniknął chłopiec. Lena wsunęła płytę i wcisnęła „play”.  
Oglądała w przyspieszonym tempie, popijając kawę. Iwan i Tymon oglądali te nagrania wielokrotnie. Byli przekonani, że niczego ciekawego na nich nie ma.  
I Rudnicka musiała przyznać im rację. Wróciła do pokoju córki, by sprawdzić, czy nadal śpi. Mała leżała na wznak, z rękoma wyciągniętymi nad głowę.

Lena poczuła zmęczenie. Wydawało się, że kilka godzin oglądania nagrań do niczego nie doprowadzi. Uruchomiła zapis przypisany do zaginięcia Amelii Gadomskiej. Umościła się pod kocem, kładąc laptop na kolanach. Popijając zimną już kawę, wpatrywała się w ekran. W ciągu dwóch tygodni poprzedzających zniknięcie Amelii Rudnicka nie zauważyła nikogo, kto wzbudziłby podejrzenia. Po przejrzaniu nagrań z kamery głównej przeszła do zapisu z kamery na wschodniej stronie budynku. Pomięła nagrania z kamery skierowanej na szkolne boisko, uznawszy, że porywacz nie zapuściłby się na teren szkoły. Ogarniało ją coraz większe znużenie.

Włączyła zapis z dnia, w którym zginęła Amelia. Widziała na ekranie dziewczynkę. Wyszła ze szkoły po zajęciach tańca. Rozejrzała się dookoła, mówiąc coś do koleżanki. Trzydzieści sekund później Asia poszła do domu i zniknęła z pola widzenia. Amelia stała nieruchomo z plecakiem w rękach. Dwie minuty później zdecydowała się ruszyć i znalazła się poza zasięgiem monitoringu. Lena zmieniła płytę na nagranie z kamery na sklepie spożywczym. Widać było dziewczynkę idącą chodnikiem. Wycierała oczy. Słowa ekspedientki się potwierdziły. Amelia płakała. Kilka sekund później, gdy minęła kamerę, w oddali przejechał czarny opel. Nie dało się odczytać rejestracji.

Rudnicka zakłęła pod nosem.

Dlaczego Amelia płakała? Czy dlatego, że ojciec się spóźnił? Dlaczego więc nie czekała na niego przed szkołą, tak jak się umówili? A może bała się człowieka z czarnego opła? Kim był? A jeśli się go bała, dlaczego nie szukała pomocy? Mogła wrócić do szkoły, gdzie byłaby bezpieczna. To było ostatnie nagranie.

Lena odchyliła głowę, masując skronie. Cholera. Coś jej umknęło. Czują, że coś przeoczyła. Następane czterdzieści minut spędziła na analizie nagrań, ale nie zobaczyła niczego więcej.

O nagrania z dnia zaginięcia Pawła Abramowskiego było najtrudniej. Kamienica nie posiadała monitoringu. Najbliższa kamera znajdowała się przy sklepie spożywczym po drugiej stronie ulicy, ale była skierowana na drzwi do sklepu i szybę. Nagrywała osoby, które przechodziły tuż pod nią. Następane kamera była na placu Wolności. Minutę od bramy kamienicy przy Nowomiejskiej. Ale zbyt daleko, by nagrać cokolwiek interesującego. Porywacz mógł nadejść od drugiej strony – ulicy Ogrodowej.

Dochodziła dwudziesta pierwsza, a Lena nadal tkwiła w miejscu. Zniechęcona, wyszła na taras. Nadszedł wieczór, a wraz z nim chłód. Uliczne lampy rzucały pomarańczową poświatę na szeroką ulicę. Po drugiej stronie przechodziła głośna i roześmiana grupa, jak przystało na studentów. Kilka samochodów czekało na zielone światło. Lena wsunęła dłoń do kieszeni bluzy i przez kilka minut wsłuchiwała się w odgłosy miasta.

Kiedy wróciła do mieszkania, dała sobie ostatnią szansę i kolejny raz włączyła nagranie sprzed szkoły Amelii. Nie sądziła, by cokolwiek udało jej się wychwycić. Powoli robiła się senna. Nalała do szklanki pepsi i wrzuciła kilka kostek lodu w nadziei, że zimny napój trochę pobudzi ją do myślenia. Na kawę było za późno.

Pół godziny później coś zwróciło jej uwagę. Cofnęła nagranie, by upewnić się, że wzrok jej nie myli, a potem zmieniła płytę.

– Cholera – mruknęła.

Nie potrzebowała już kawy. Krew w żyłach przyspieszyła. Serce zaczęło bić szybciej.

Sięgnęła po telefon i bez namysłu wybrała numer Wolskiego.

Odebrał po trzecim sygnale.

– Mam go – powiedziała. – Znalazłam porywacza.

## Rozdział III

### Czwartek, 7 kwietnia

#### 1

Rudnicka wjechała na wewnętrzny parking hotelu Campanile przy alei Piłsudskiego. Dochodziła siódma rano. Miasto powoli budziło się do życia. Niebo było bezchmurne. Temperatura oscylowała wokół plus siedmiu stopni. Zdawało się, że wreszcie nastał pierwszy ciepły dzień w tym roku.

Lena znalazła wolne miejsce parkingowe. Wysiadła z samochodu, zgarniając z tylnego siedzenia teczkę, płyty i cienkiego laptopa. Zatrzaskała drzwi i rozejrzała się wokół. W dawnym życiu była stałą bywalczynią hotelowych pokoi, bo tylko tam mogła odpocząć od czekającego w domu męża. Uciekała, by uniknąć przemocy i awantur. Hotel przy Piłsudskiego był jednym z tych, które wybierała najczęściej.

Weszła do recepcji, skąd pokierowano ją do pokoju 203. Nowoczesną windą wjechała na piętro i odnalazła odpowiedni numer. Zapukała i odetchnęła głęboko, by uspokoić zbyt szybko bijące serce.

Z wnętrza pokoju dobiegł ją jakiś głos, a potem drzwi się uchyliły.

– Lena? – zdziwił się Wolski.

Rudnicka minęła go i weszła do środka.

– Tak, jasne – rzucił. – Zapraszam.

– Ubierz się.

Marcel rozłożył ręce, spoglądając w dół. Miał na sobie jedynie luźne bokserki. Widząc ponagląjący wzrok Leny, uniósł wzrok ku górze.

– Okej, okej – powiedział. – Nie chciałbym cię rozpraszać.

Rudnicka prychnęła. Czuła przyjemny ucisk w żołądku, a w myślach pojawiły się wspomnienia wspólnie spędzonych nocy.

Usiadła na łóżku.

– Pół nocy oglądałam te pieprzone nagrania – oznajmiła.

– Mówiłem, żebyś dała sobie spokój. Mogliśmy zrobić to razem.

– No właśnie. Ale widzę, że ktoś zapomniał.

– Miałas być o ósmej.

– Wyrobiłam się wcześniej – wyjaśniła, nie wspominając o tym, że musiała odwiedzić Basię do Marii, która wprawdzie dopiero wróciła z nocnego dyżuru, ale zgodziła się odprowadzić siostrzenicę do przedszkola. Rudnicka nie miała pojęcia, jak jej się odwdzięczy. – Szczerze mówiąc, nie mogłam usiedzieć w domu.

– Skądś to znam.

Rudnicka posłała mu krzywy uśmiech. Wyjęła z torby laptopa i położyła go na kolanach. Wolski postawił na fotelu torbę podróżną i poszukał czystego podkoszulka.

– Mógłbym się chociaż wykąpać? – zapytał.

– Siadaj.

– Pięć minut.

– Coś ci pokażę. – Ekran laptopa się rozświecił. – No, siadaj. – Lena kliknęła w odpowiedni folder. Kółko pośrodku ekranu zakreśliło się kilkakrotnie, a potem pojawił się zapis nagrania z monitoringu.

Wolski przyglądał się przechodniom na ekranie. Kiedy film dobiegł końca, Lena uruchomiła inny plik. Marcel pochylił się nad laptopem.

– Widzisz? – zapytała.

– Nie bardzo.

– No właśnie.

Lena odłożyła laptopa na bok i podeszła do aneksu kuchennego. Podniosła czajnik i uznawszy, że jest w nim wystarczająco dużo wody, postawiła go z powrotem i nacisnęła przycisk. Urządzenie zaszumiało.

– Kawa jest w tamtej szafce – poinformował ją Marcel. – Kupiłem wczoraj świeżą.

Rudnicka wyjęła słoik z kawą. Nasypała proszku do dwóch kubków i oparła się plecami o blat.



– Na początku też niczego nie widziałam – odezwała się. – Miałam ochotę rzucić to w cholerę. Byłam pewna, że na tych nagraniach nic nie ma.

– Ale?

– Ale w końcu coś znalazłam.

– Wiem – odparł Wolski. – Dzwoniłaś do mnie wczoraj. Miło byłoby, gdybyś powiedziała, co znalazłaś. Wczoraj nie dało się z ciebie niczego wyciągnąć.

– Byłam w euforii. Może niesłusznie. Może to nic takiego.

– Leno? Powiesz wreszcie, co znalazłaś?

Czajnik pstryknął. Lena odczekała kilka sekund, a potem wlała wodę do kubków. Zamieszała kilkakrotnie.

– Masz cukier?

– W kostkach. Jest w szafce.

Rudnicka wrzuciła sobie trzy i ponownie zamieszała. Podala jeden z kubków Wolskiemu. Upiła łyk kawy i odstawiła na szafkę nocną.

– Patrz. – Usiadła obok i uruchomiła nagranie. W chwili gdy na ekranie pojawił się przechodzący chodnikiem mężczyzna, zatrzymała nagranie. – Widzisz gościa? – zapytała, a Wolski skinął głową. – Początkowo nie zwracałam na niego uwagi. Przechodzący chodnikiem facet. Nic ciekawego. Ale zwróć uwagę, w jaki sposób się porusza.

Lena odchyliła się.

Marcel wpatrywał się w ekran.

– Utyka – powiedział.

– Tak.

– Na lewą nogę.

– Spójrz. – Cofnęła nagranie i uruchomiła je ponownie. – Usiłuje maskować swoją przypadłość. Idzie prosto, szybko, ale nie wygląda normalnie. Zdrowy człowiek nie porusza się w taki sposób. Minimalizuje przenoszenie ciężaru ciała na prawą stronę, by zamaskować, że druga noga go boli. Ale widać, że mimowolnie usiłuje ją odciążać. Przyjrzyj się.

Rzeczywiście mężczyzna wyglądał, jakby celowo próbował poruszać się w normalny sposób. Kulał. Zmniejszał nacisk na drugą nogę, gdy go zabolą albo była przeciążona.

– Okej – przyznał Marcel. – Gość kuśtyka. Ale dlaczego sądzisz, że facet jest porywaczem?

– Teraz najciekawsze – odparła, zmieniając płytę. Uruchomiła nagranie datowane na dwa dni później.

Wolski wziął od niej laptopa i postawił go na kolanach. Obserwował wydarzenia na ekranie. Teoretycznie nie działo się nic niezwykłego. Przechodnie, spieszący się rodzice i wybiegające ze szkoły dzieci. Aż w końcu Wolski zobaczył to, co usiłowała pokazać mu Rudnicka. Kulejący facet pojawił się na ekranie.

Znów maskował kulawiznę, ale ewidentnie miał gorszy dzień, bo noga odmawiała mu posłuszeństwa. Kulał w bardziej widoczny sposób niż poprzednio. Był ubrany w welurowy płaszcz, ciasno owinięty wokół szyi szalik i czapkę.

– Koleś pojawia się przy szkole pięć razy – wyjaśniła Lena. – Na pięciu nagraniach widziałam kulejącego faceta. Nie powiesz mi, że to przypadek.

– Nie. Ale...

– Jest coś jeszcze...

– Może mieszka w okolicy? – zasugerował Marcel. – Wychodzi z domu na zakupy albo pozałatwiać inne sprawy.

– Na nagraniach widać, że nie ma ze sobą zakupów.

– Może dopiero idzie do sklepu?

– Dlaczego więc nie wraca?

Marcel umilkł. Spojrzał na ekran, gdzie widniała sylwetka kulejącego mężczyzny.

– Wraca inną drogą? – podsunął Wolski.

– Może. Ale zwróć uwagę na jego wygląd. Na pierwszym nagraniu miał na sobie kolorowe ubrania, sportową kurtkę i adidasy, tutaj – wskazała ekran – jest w płaszczu i czapce. Na kolejnych trzech, na których udało mi się go zobaczyć, jest ubrany inaczej. Na każdym wygląda inaczej. Być może z tego powodu policjant, który przeglądał zapisy z monitoringu, nie zwrócił na niego uwagi. Szukali powtarzającego się, powracającego na miejsce człowieka. Mieli mnóstwo roboty, więc przegapili kulawego gościa.

– Zmieniał ubrania – zastanowił się Marcel. – Myślę, że robił to po to, by nikt ze szkoły nie powiązał go ze zniknięciem dziecka.

– Gdyby przed szkołą wystawał facet w czarnych ciuchach, od razu ktoś zwróciłby na niego uwagę. Ale ludzie spieszą się do swoich spraw, nauczyciele ani woźni nie zauważyli, że podejrzany człowiek kręci się wokół szkoły, bo za każdym razem wyglądał inaczej.

– Wie, że obserwuje go kamera. Kiedy mija główną bramę, odwraca głowę.

– Zgadza się.

– Nie mamy jednak pewności, że to porywacz.

– Nie – przyznała Rudnicka. – Ale mamy punkt zaczepienia.

Wolski pokiwał głową i odsunął laptop. Człowiek, który porwał dzieci, musiał obserwować szkołę wcześniej. Wiedział, gdzie umiejscowione są kamery. Wiedział, jak uniknąć rozpoznania przez nauczycieli. Robił wszystko, by

nikt nie powiązał jego osoby z nagraniami.

– Jest coś jeszcze – odezwała się Lena i zmieniła płytę.

Na ekranie laptopa pojawiło się nagranie z placu Wolności. Przez rondo przejechało kilka samochodów. Przy pomniku, który stał na środku ronda, siedzieli nastolatki. Jeden z nich wpatrywał się w telefon, a reszta ubijała nogami śnieg. W marcu, w dniu zaginięcia Pawła Abramowskiego, na miasto spadła potężna warstwa śniegu. Mieszkańcy wypatrywali wiosny, tymczasem otrzymali kolejny atak zimy.

Chodnikiem przeszedł mężczyzna ubrany w puchową kurtkę z kołnierzem. Utykał na lewą nogę.

– O cholera – mruknął Wolski i cofnął nagranie.

– Szlag by trafił. To ten sam facet.

– Mhm.

Marcel przytknął laptopa bliżej oczu.

Rudnicka sięgnęła po kubek.

– Pojawienie się tego faceta podważa naszą teorię – zauważyła, upiwszy łyk kawy. – Abramowscy mogą być niewinni. Chociaż nadal twierdzą, że zwyczajnie kłamią, ale wychodzi na to, że nie mają nic wspólnego ze zniknięciem syna.

– Abramowski jest już na dołku – poinformował Marcel. – Chłopaki zgarnęły go rano.

– Dzwoniła Natalia. Przyszły wyniki z laboratorium. Na bluzie jest krew Pawła.

Marcel zastanowił się, co to mogło oznaczać. I w jaki sposób powinni rozegrać rozmowę z Ryszardem Abramowskim.

– Jak znajdziemy kulejącego faceta? – zapytał.

– Jeszcze nie wiem.

– Ale masz jakiś pomysł, prawda?

– Myślisz, że jeśli damy ogłoszenie do mediów, że szukamy kulawego gościa o wzroście mniej więcej metr osiemdziesiąt, jakie mamy prawdopodobieństwo, że ktoś go rozpozna?

– Niewielkie.

– Właśnie.

Rudnicka zakłęła pod nosem. Napiła się kawy i odstawiła kubek na szafkę nocną.

– Ale wypadałoby sprawdzić, czy na wolność nie wyszedł skazany z urazem nogi – podsunęła. – Albo czy w rejestrze pedofilów nie mamy kogoś, kto kuleje na lewą nogę.

Wolski wstał i się przeciągnął. Wcześniejsza senność szybko minęła. Rozbudziły go informacje, jakie przyniosła ze sobą komisarz.

Zadzwoił telefon leżący na stole. Marcel odrzucił połączenie.

Komórka zadzwoniła ponownie.

– Odbierz – powiedziała Lena, zamykając laptop.

Marcel zawahał się, a potem przesunął zieloną słuchawkę.

– Tak?

– Cześć, kochanie.

Spojrzał na Rudnicką i odwrócił się do okna.

– Cześć – odparł. – Co słycać?

– To ja powinnam o to zapytać. Jak śledztwo?

– Względnie. Mamy nowy trop.

– Kto?

– My.

– Aha.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Kiedy wrócisz? – zapytała Daria.

– Dopiero przyjechałem.

– Wiem, ale tęsknimy.

Wolski przełknął ślinę.

– Zadzwoń wieczorem, dobrze? – zaproponował. – Zaraz muszę jechać na komendę.

– Dobrze. Kocham cię.

– Do usłyszenia.

Odłożył komórkę, czując na sobie wzrok Rudnickiej.

– Dziewczyna się stęskniła?

Marcel przygryzł wargę.

– Idę pod prysznic – odparł. – Wracam za pięć minut.

Ryszard Abramowski przesunął otwartą dłoń po twarzy. Uniósł głowę i lekko ją przekrzywił, jakby zastanawiał się nad doбором odpowiednich słów.

– Powiecie, o co chodzi? – zapytał. – Dlaczego, do cholery, z samego rana przyjeżdżacie po mnie i wieziecie na komendę? Chryste, nie można było tego załatwić w cywilizowany sposób? Wiecie, co pomyślą sobie sąsiedzi? Przecież oni wszystko widzą! Te stare babska nie robią niczego innego, tylko siedzą w oknach!

– Myślę, że ma pan większe zmartwienie niż opinia sąsiadów – odparła Rudnicka i usiadła naprzeciwko.

Pokój przesłuchani pozbawiony był mebli i elementów dekoracyjnych. W pomieszczeniu znajdowały się jedynie stół i cztery krzesła. Dwa po jednej stronie stołu, dwa po przeciwnej.

– Co pani powie? – Abramowski nachylił się nad stołem i postukał wskazującym palcem w blat. – Złożę na was skargę.

– Ma pan takie prawo.

Abramowski odchylił się z powrotem i popatrzył w sufit.

– Mam nadzieję, że rozmowa przebiegnie szybko i sprawnie, a wówczas będziecie mogli państwo szybko stąd wyjść. – Rudnicka spojrzała na Abramowską. Kobieta siedziała ze splecionymi na kolanach dłońmi i wpatrywała się w czubki własnych palców. – Pani Kamilo, wszystko w porządku?

Abramowska uśmiechnęła się smutno.

– Tak – odparła. – Po prostu chciałabym wiedzieć, dlaczego tutaj jesteśmy.

– Już wyjaśniam.

Rudnicka przesunęła po stole teczkę i otworzyła ją tak, aby małżeństwo nie mogło dojrzeć, co znajduje się w środku.

Odchrząknęła.

– Jak państwo myślicie, co stało się z waszym synem?

Abramowski uderzył otwartą dłoń w stół.

– Jaja sobie pani robi?! – warknął. – To chyba wy powinniście wiedzieć, co się z nim stało, prawda? Jesteście z policji? A może mi się tylko wydaje?!

– Proszę się uspokoić, panie Abramowski.

Mężczyzna wypuścił powietrze z płuc i rozłożył ręce.

– Minęło tyle czasu, a wy nic nie robicie – burknął.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Co się stało z moim synem? A jak pani myśli, do cholery! Porwał go ten wariat, którego od miesiący nie potraficie złapać!

– Gdzie pan był, panie Abramowski, we wtorek ósmego marca około godziny osiemnastej?

– W domu, gdzie miałbym być?

– Na pewno?

Abramowski uciekł wzrokiem ponad głową komisarza.

– Tak – odparł.

– Proszę zastanowić się jeszcze raz.

– Co to za bzdury?

Rudnicka skrzyżowała ramiona i opadła na oparcie.

– Śmiemy przypuszczać, że pan kłamie – oznajmiła. – Zastanawiam się tylko, z jakiego powodu.

– Nie będę tego słuchał. – Abramowski wstał, głośno odsuwając krzesło. – Wychodzimy, kochanie. To skandal. Pójdę do mediów i powiem, jak polska policja traktuje rodziców zaginionego dziecka. Myślę, że mogą być zainteresowani tematem.

– Wydaje mi się, że bardziej zainteresują się tym. – Rudnicka rzuciła na stół fotografię zakrwawionej dziecięcej bluzy. – Tak że, panie Abramowski, lepiej niech pan siada.

Mężczyzna zaważał się, spojrzał na milczącą żonę i usiadł obok.

– Wie pan, co to jest? – zapytała komisarz.

– Bluza mojego syna.

– Mhm.

– Skąd pani to ma?

Rudnicka założyła nogę na nogę.

– Gdzie pan był w dniu zaginięcia syna? – zapytała.

– W domu.

– Wiem, że pan kłamie.

Abramowska poruszyła się niespokojnie. Dlaczego milczała? Nie chciała obciążać męża? A może sama była ciekawa odpowiedzi.

– Pani Kamilo? – zagadnęła Lena.

– Szukałem pracy – wypalił Abramowski. – Pojechałem na rozmowę na drugi koniec miasta, ale zanim dojechałem, zadzwoniła do mnie żona i powiedziała, że Pawła nie ma. Przesiadłem się w inny tramwaj i wróciłem.

Rudnicka lustrowała Ryszarda badawczym wzrokiem.

– Sprawdźmy, czy rzeczywiście miał pan umówioną rozmowę o pracę.

– Proszę bardzo.  
– Dlaczego kłamaliście?  
– To ja kazałam mu skłamać – wyjaśniła Abramowska. – Kiedy to wszystko się zaczęło... Kiedy Pawełek zniknął, przyjechała policja, zadawali tyle pytań... Boże. Przepraszam! Ale nie wiedziałam, co zrobić!

Abramowski przyjrzał się żonie.  
– Zostawiłem w domu czterolatka – powiedział. – Sądzi pani, że postawiłoby mnie to w dobrym świetle przed policjantami?

– Myślę, że nie.  
– Nie mówiłem żonie o rozmowach, na które chodzę. Zazwyczaj nic z nich nie wynikało. Nie chciałem, żeby wiedziała o moich kłóskach. Za dużo się kłóciliśmy. Postanowiłem, że dopiero kiedy dostanę jakąś pracę, powiem o tym Kamili. Rozmowę miałem na wpół do siódmej wieczorem. Wyszedłem z domu przed szóstą. Byłem przekonany, że zostawiam Pawła na niespełna pół godziny. Był grzecznym chłopcem...

– To nie pierwszy raz, kiedy zostawił pan syna samego?  
– Tak – przyznał. – Źle robiłem. Moja żona wracała po szóstej. Poza tym w domu była Stenia. Nie wiedziałem, że planuje wyjście z koleżankami. Błędnie założyłem, że gdy zobaczy, że mnie nie ma, zajmie się bratem.

– Sądziła, że wyszedł pan na chwilę. Dlatego zdecydowała się wyjść z domu.  
– Tak, wiem.

Lena podrapała się w skroń. Jak nieodpowiedzialnym rodzicem trzeba być, by zostawić w mieszkaniu czterolatka bez opieki? W tym wieku przychodzą dzieciom do głowy różne pomysły. Mógł spaść ze schodów, wypaść z okna, poparzyć się albo udławić.

Abramowscy jednak nie sprawiali wrażenia odpowiedzialnych rodziców. Choć ich dzieci wychowywały się w pełnej rodzinie, były zdane na siebie. Od małego musiały nauczyć się radzenia sobie w życiu. Jak takie zachowanie rodziców wpłynie na ich przyszłość?

Czy kłamstwo Abramowskich zmieniało cokolwiek w ich sytuacji?

Gdyby Ryszard powiedział policjantom prawdę, mógłby trafić na celownik policji, ale jeśli alibi by się potwierdziło, byłby poza podejrzeniami. Tym niemniej pozostawienie w domu czterolatka bez opieki było nieodpowiedzialne.

Mimo wszystko Rudnicka podchodziła do wyjaśnień mężczyzny z dystansem.

– To ja namówiłam Ryśka do kłamstwa – przyznała Abramowska. – Pomyślałam, że tak będzie prościej.  
– Pomyślała pani, że lepiej nie obciążać męża podejrzeniami – sprostowała Lena. – Chciała go pani chronić. Abramowska spuściła wzrok.  
– Jesteśmy niewinni, pani komisarz – zapewniła. – O niczym innym nie marzę, tylko o tym, by Paweł wrócił do domu.

Lena nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w głosie Abramowskiej wychwytiła fałszywą nutę.

– Jak to wyjaśnicie? – zapytała, przesuwając w stronę małżeństwa zdjęcie zakrwawionej bluzy.  
– To bluza Pawła – odparła kobieta.  
– Oddaliśmy ją do laboratorium. Znajduje się na niej krew należąca do państwa syna. Abramowska skuliła się w sobie.  
– Dlaczego ukryliście tę bluzę? – zapytała komisarz.  
– Ja nie...  
– To wszystko nie tak, jak pani myśli – odezwał się Abramowski.  
– Chętnie posłucham, jak w takim razie wygląda prawda.

Mężczyzna odchrząknął, zakrywając pięścią usta. Poruszył głowę, jakby szykował się do walki na bokserskim ringu.

– Paweł rozbił sobie głowę – wyjaśnił. – Dwa dni przed zniknięciem. Stąd ta krew.  
– A dlaczego nie wrzuciła pani bluzy do prania, tylko schowała w piwnicy? – Lena zerknęła na Abramowską.  
– Nie było mnie tam.  
– Gdzie pani nie było?  
– Nie było mnie wtedy, gdy Paweł rozbił sobie głowę.  
– Jak to się stało? – Tym razem Lena spojrzała na Ryszarda.  
– Sądzi pani, że zrobiliśmy krzywdę naszemu dziecku? – zapytał. – Źartuje pani?  
– Nie mam nastroju do żartów.

Ryszard złożył dłonie jak do modlitwy. Oddychał ciężko, usiłując się uspokoić.

– Syn rozbił sobie głowę – powiedział powoli. – To nic takiego. Dzieciom zdarzają się wypadki.  
– Ale nie każde dziecko dwa dni później zostaje porwane.  
– Spadł z rowerka na dziedzińcu. Niefortunnie upadł i rozbił głowę przy skroni. Bluza była w jego pokoju, ale kiedy zniknął... – Ryszard potarł oczy. – Schowałem ją w piwnicy. To było po tym, jak policjanci sprawdzili komórkę.

– Czy któryś z sąsiadów widział upadek syna?  
– Nie mam pojęcia. – Abramowski rozłożył ręce. – Niech pani ich zapyta.  
– Może być pan pewny, że tak zrobię.

– Opatrzyłem synowi głowę. Rana nie była duża, ale poleciało sporo krwi. Dlatego bluza tak wygląda. – Zerknął na zdjęcie. – Nie sądziłem, że to takie ważne.

Abramowski wyglądał na lekko zdenerwowanego. Wcześniejsza wrogość zniknęła, a zastąpiła ją troska o dobro syna.

– Podobno ojciec zaginionego Wiktora widział swojego syna w towarzystwie Michała – odezwała się Rudnicka. – O tym również zapomniał pan wspomnieć?

– Facetowi coś się pomyliło – odburknął Abramowski.

– Czyżby?

– Widziałem go kilka razy na komendzie. Któregoś dnia rozpoznał mnie na ulicy, kiedy byłem z Michałem, i zaczął na nas krzyzczeć. Twierdził, że widział Michała przed szkołą, gdy rozmawiał z jego synem, ale moim zdaniem to brednie.

– Pytał pan syna o znajomość z Wiktorem Wachowiakiem?

– Rozmawiałem z nim.

– I co?

– Michał mówi, że nigdy nie widział Wiktora. I ja mu wierzę.

Rudnicka uśmiechnęła się z przekąsem. W przeciwieństwie do Abramowskiego ona nie wierzyła chłopakowi. Ani jego rodzicom.

### 3

Mamy trafienie – powiedziała Natalia, wchodząc do pokoju zajmowanego przez Lenę i Marcela. Rzuciła na biurko plik dokumentów i usiadła naprzeciwko komisarz. – Jestem wykończona – dodała, dotykając dłonią czoła. – Pół nocy nad tym siedziałam.

Wolski posłał Rudnickiej pytające spojrzenie.

– Dzwoniłam wieczorem do Natalii – wyjaśniła. – Opowiedziałam o kulawym facecie i poprosiłam, żeby poszukała mężczyzny z urazem lewej nogi. Najlepiej takiego, który wyszedł z więzienia w połowie zeszłego roku. Wiktor zaginął w październiku, więc uznałam, że można celować mniej więcej od sierpnia.

Natalia wypuściła powietrze z płuc.

– Muszę się przespać – oznajmiła. – Macie kawę?

– Mówiłaś, że masz trafienie.

Natalia posłała Lenie zmęczone spojrzenie.

– Dobra – rzuciła komisarz, wstała zza biurka i nastawiła wodę w czajniku. – Jeden dzień, a przynajmniej mamy jakikolwiek punkt zaczepienia. – Rudnicka wlała wodę do kubka, zamieszała i podała Zaborskiej.

– Dzięki.

– Mów, co masz.

Natalia postukała palcem w plik dokumentów.

– Zrobiłam kserokopię tego, co udało mi się wyciągnąć – powiedziała. – Arkadiusz Mieczkowski, czterdzieści sześć lat. W lipcu zeszłego roku odsiadywał wyrok za pobicie czternastoletka i pedofilii.

– Brzmiał obiecująco – przyznał Wolski. Sięgnął po dokumenty, które przyniosła Natalia, i przejrzał kilka kartek. – Gdzie siedział?

– U nas na Beskidzkiej.

Marcel odwrócił powiększone zdjęcie mężczyzny. Ogolona głowa i kozia bródka sprawiały, że Arkadiusz Mieczkowski wyróżniał się z tłumu. Dziś zapewne wygląda inaczej. Nad prawym okiem miał bezwłosą bliznę, przecinającą brew.

Zaborska wzięła głęboki wdech.

– Mieczkowski nie był wcześniej znany policji – powiedziała. – Mieszkał w Śródmieściu przy Wschodniej. W wieku dwudziestu siedmiu lat wziął ślub z Janiną Łyczkowską. Rozwiedli się po sześciu latach małżeństwa. Mają dwoje dzieci. Dziewiętnastoletni syn Marcin przebywa na wymianie szkolnej w Austrii, a szesnastoletnia Małgorzata mieszka z matką. Mam adres byłej żony Arkadiusza. Kobieta pracuje w hurtowni artykułów przemysłowych, ale teraz przebywa na zwolnieniu lekarskim, więc zastaniecie ją w domu. – Natalia upiła łyk kawy i otarła dłonią usta. – Facet dostał kilka lat na pobicie czternastoletniego chłopaka, wracającego z katolickiej szkoły. Dzieciak nie chciał zeznawać, ale rodzice zgłosili sprawę na policję. Koniec końców chłopak zaczął mówić, że Mieczkowski dobierał się do niego, a kiedy napotkał opór, kilkakrotnie go uderzył i uciekł. Chłopak podał rysopis. Arkadiusza wydała żona. – Natalia wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, że czasem tak bywa. – Zobaczyła w gazecie jego portret i zadzwoniła na policję. Na okazaniu chłopak potwierdził, że facetem, który usiłował go zgwałcić, był Arkadiusz Mieczkowski. Przy okazji w komputerze gościa znaleziono kilka filmów z dziecięcym porno. Obrzydliwy i oślizgły

typ. Wyszedł z lipcu. Żona oczywiście wyrzuciła go z domu. Wychodząc z więzienia, podał adres matki. Dowiedziałam się, że kobieta dobiega siedemdziesiątki. Mieszka sama, więc mogła przyjąć syna pod swój dach.

– Masz adres? – zapytał Wolski.

– Oczywiście.

– A co z jego nogą?

Natalia potarła oczy, jakby usiłowała odegnąć sen.

– Mieczkowski pochodzi ze wsi pod Łodzią. Jako nastolatek pomagał przy żniwach i miał pecha, bo brona przygniotła mu nogę. Miał złamaną kość, która źle się zrosła. Dlatego utyka. Niedługo po tym, jak trafił do więzienia, zadarł z nieodpowiednimi ludźmi. Na pewno wiecie, jak w pierdlu traktują pedofili. Mieczkowski dostał nożem od współwięźnia. Gość podziurawił mu klatkę piersiową.

– Czy nie poszło zbyt gładko? – zastanowił się Wolski. – To, że Mieczkowski idealnie pasuje na naszego sprawcę.

– To on – zawyrokowała Rudnicka. – Zbierzcie chłopaków. Przejedziemy się po tego sukinsyna.

#### 4

Mieczkowsky mieszkali na Andrzejowie. Dawna podlódzka wieś dziś była odrębną dzielnicą miasta. Przy mało uczęszczanej ulicy stał murowany dom z lat siedemdziesiątych. Aż prosił się o remont. Dachówki pokrywała warstwa mchu, płytki na dwóch schodach prowadzących do drzwi dawno popękały, z ram okiennych łuszczyła się farba. Dom ogradzali betonowy kruszący się płot. Kilka metrów od bramy betonowa płyta złamała się wpół, tworząc wyrwę w ogrodzeniu. Według ustaleń Natalii Arkadiusz Mieczkowski był jedynakiem, a dom należał do jego matki Heleny Mieczkowskiej. Siedemdziesięciolatka najwyraźniej nie miała siły, by zadbać o obejście. Nieduże podwórko było zaniedbane i zagracone. Dach stojącej w rogu szopy się zapadł. Po drugiej stronie stał pozbawiony kół opel astra podparty na betonowych blokach.

Rudnicka poprosiła o wsparcie. Policjanci otoczyli dom z czterech stron, by odciąć poszukiwanemu drogę ucieczki. Zdaniem Leny angażowanie tylu policjantów było zbędne, ale wołała dmuchać na zimne. Doświadczenie nauczyło ją, że nie należy podejmować niepotrzebnego ryzyka. Poczekała na sygnał od dowodzącego operacją, a potem skinęła głową Tymonowi.

– Kiedy wejdziemy do środka, sprawdźcie szopę – poleciła Wolskiemu i Szewce.

Skinęli głowami.

Rudnicka i Milewski pokonali ścieżkę prowadzącą do domu Mieczkowskich. Uważając na częściowo połamane płytki na schodach, stanęli przed drzwiami. Nie zdążyli zapukać, bo drzwi uchyliły się, a w progu stanęła starsza kobieta. Zainteresowana poruszeniem na swojej ulicy, wyglądała przed okno. Była przygotowana na wizytę niezapowiedzianych gości.

– Helena Mieczkowska? – zapytał Tymon.

– To ja. Czego chcecie?

Obrzuciła gości nieprzychylnym spojrzeniem, które nie złagodniało nawet na widok policyjnej odznaki. Czekwała na wyjaśnienia, gotowa w każdej chwili zatrzaskać im drzwi przed nosem. Wyprostowała plecy i zapięła guziki wełnianego swetra. Głos miała chropowaty, jakby całe życie paliła papierosy bez filtra. Dotknęła dłonią spiętych w kok siwych włosów, lecz szybko się zreflektowała i opuściła rękę.

– Szukamy pani syna Arkadiusza – wyjaśniła Rudnicka.

– Nie ma go. – Mieczkowska wyjrzała zza drzwi, obserwując stojących przed bramą mundurowych. Lena czekała, aż kobieta doda coś więcej, ale zamiast wyjaśnić, gdzie podziewa się syn, Mieczkowska zasłoniła policjantom wnętrze domu.

– A gdzie jest? – nalegał Tymon.

– Nie wiem.

– Jeśli wie pani, gdzie jest Arkadiusz, proszę nam powiedzieć.

Kobieta mlasnęła, a jej cienkie brwi podskoczyły ku górze.

– Jesteście żałośni – oznajmiła.

– Słucham?

– Proszę opuścić moje podwórko. To teren prywatny.

Rudnicka odchrząknęła. Rozmowy z policją nie należą do najprzyjemniejszych sposobów spędzania wolnego czasu, ale wrogość starszej kobiety była zaskakująca.

– Poświęć nam pani dziesięć minut? – zapytała komisarz. – Naprawdę zależy nam na odnalezieniu pani syna.

– Nie gadam z policją. – Kobieta zacisnęła dłoń na klamce. – Za grosz wam nie ufam. Jesteście gorsi niż przestępcy, których zamykacie.

– Pani pozwoli, że sprawdzimy, czy syna nie ma w domu – odezwał się Tymon, robiąc krok naprzód.

– Nigdzie pan nie wejdzie.

– Proszę mnie wpuścić.

Rudnicka uniosła dłoń.

– Dlaczego nie chce pani z nami porozmawiać? – zapytała.

– Bo to mój dom. I ja decyduję, kogo wpuszczę.

– Możemy porozmawiać tutaj.

Mieczkowska zmierzyła komisarz wzrokiem.

– Dlaczego go szukacie? – zapytała. – Znowu chcecie go w coś zrobić?

Nagle wszystko stało się jasne. Helena Mieczkowska nie ufała policji, ponieważ sądziła, że jej syn został skazany za niewinność. Jak wszyscy, którzy trafili do pudła.

Widocznie Arkadiusz przekonał matkę, że został skazany tylko dlatego, iż nadepnął komuś na odcisk. Ale dowody były niepodważalne. Przy wydawaniu wyroku sąd nie miał wątpliwości.

– Możemy porozmawiać dzisiaj albo wrócimy z nakazem – oznajmiła komisarz. – Tak czy inaczej, nie uniknie pani naszej wizyty. Chyba lepiej mieć to za sobą, prawda?

Mieczkowska zawahała się i głośno wypuściła powietrze z płuc.

– Dobra – rzuciła pod nos. Ustąpiła miejsca policjantom i wypuściła ich do środka. – Niczego nie znajdziecie – burknęła, podążając za Leną i Tymonem.

Rudnicka przystanąła w ciasnym korytarzu. Obite boazerią ściany wydawały się kurczyć. Tymon sprawdził dwa sąsiednie pokoje i kuchnię, Mieczkowska ostentacyjnie otworzyła drzwi do łazienki. Rudnicka zajrzała do środka. Ani śladu Arkadiusza.

– Mówiłam, że go nie ma – mruknęła starsza kobieta.

– Gdzie syn może przebywać? – zapytała komisarz.

– Nie wiem. Jest dorosły. Już dawno przestał mi się zwierzać.

Lena przewróciła oczami.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

– Z tydzień temu.

– W jakich okolicznościach?

– Pił z kolegami, wrócił wieczorem, padł na łóżko, a gdy rano wstałam, już go nie było.

– Mówił, dokąd się wybiera?

Mieczkowska oblizła spierzchnięte wargi.

– Nie obchodzi mnie to – burknęła.

– Syn zniknął wcześniej?

– Pani droga, Arek ma prawie pięćdziesiąt lat. Myśli pani, że się matce tłumaczy? Czasem go zapytam, gdzie całymi dniami się podziewa, bo przecież nie w pracy. Roboty nie ma. I myśli pani, że powie prawdę? Mówi, że u kolegów siedzi, albo w ogóle nie odpowiada. I taka z nim rozmowa właśnie.

Przez kuchenne okno Rudnicka dostrzegła Wolskiego i Szewkę wracających z szopy.

– A za co go szukacie? – zapytała Mieczkowska. – Znowu coś z tymi dziećmi niby? Uwięźliście się na niego i tyle. Arek mój to dobry chłop jest. On by dzieciom krzywdy nie zrobił! A już na pewno nie zrobiłby takich rzeczy, o jakie go posądzacie.

– Pani syn odsiedział wyrok za pobicie chłopaka, prawda?

– Pobił może i tak – przyznała. – Ale prokurator, który prowadził jego sprawę, wymyślił takie historie, że trudno uwierzyć, że ktokolwiek o zdrowych zmysłach mógłby to zrobić.

– Arkadiusz Mieczkowski został skazany za pobicie i próbę gwałtu na czternastolatku.

– Żadna próba gwałtu! – zdenerwowała się Mieczkowska. Przeszła do skromnej kuchni, nalała herbaty z dzbanka i upiła solidny łyk. – Nie wierzę, że mój syn byłby zdolny do czegoś takiego. Ale ja wiem, jacy jesteście. Szukaliście kozła ofiarnego i Areczek akurat się trafił, to co? Trzeba było wykorzystać sytuację, prawda? On niczego takiego by nie zrobił. Spreparowaliście dowody i całe to zamieszanie, żeby go skazać.

Która matka by uwierzyła, że jej syn jest pedofilem? Mieczkowska była przekonana o niewinności Arkadiusza. Albo udawała i usiłowała przekonać samą siebie.

– A teraz znowu szukacie winnego? – ciągnęła. – Arek swoje odsiedział. Wie pani, jak mu źle tam było?

– Domyślam się, że w więzieniu nie najlepiej traktuje się pedofilów.

– A da pani spokój! – prychnęła. – Jak wrócił do domu, był wrakiem człowieka.

– Uważa pani, że syn został niesłusznie skazany?

– Owszem. On nic złego nie zrobił.

– W jego pokoju znaleziono materiały pornograficzne z dziećmi.

Mieczkowska odwróciła wzrok, jakby na chwilę straciła pewność siebie.

– Nic nie znaleźli – odparła. – Wszystko podrzucili.

– Kto?

– Policjanci.

– Którzy policjanci, pani Mieczkowska?

– Nie wiem. Nie znam nazwisk.

– Sądzi pani, że policjanci podrzucili pani synowi filmy z pornografią dziecięcą?

- Tak.
- Po co?
- Szukali winnego i znaleźli.

Rudnicka westchnęła. Nawet gdyby Mieczkowska wiedziała, gdzie przebywał Arkadiusz, nie powiedziała by policji.

Lenie wpadł do głowy pewien pomysł.

– W gruncie rzeczy nie chodzi nam o Arkadiusza – powiedziała. – Słyszała pani o porwaniach dzieci w mieście?

– Ano pewnie, że słyszałam.

– Nie posądzamy pani syna o te porwania. Chcielibyśmy jednak z nim porozmawiać, ponieważ wydaje nam się, że Arkadiusz może znać tożsamość porywacza.

– A niby skąd? Przecież on nie obraca się w towarzystwie przestępców. Wyszedł z więzienia i zaczął nowe życie, ale...

– Z więzienia – przerwała jej Rudnicka. – Może poznał kogoś o takich skłonnościach podczas odsiadki.

– Sądzi pani, że Areczek wie, kto porywa te biedne dzieci?

– Nie wiem. Ale chciałabym go o to zapytać. Myślę, że mógłby nam pomóc.

Mieczkowska odstawiała szklankę na stół i podparła się pod boki. Zastanawiała się, czy zaufać policjantom. Miała dobre serce i kochała dzieci, dlatego za każdym razem gdy widziała w telewizji twarze zaginionych kilkulatków, ścisnęła ją serce. Wyobrażała sobie, jak bardzo cierpią ich rodzice.

– Ale naprawdę nie wiem, gdzie Arek się podziewa – odezwała się. – On o niczym mi nie mówi. Wychodzi i wraca, kiedy mu się podoba.

– Czy zadzwoni pani do mnie, kiedy syn się pojawi w domu? – Rudnicka podała kobiecie wizytówkę. – Bardzo mi na tym zależy. Pewnie się pani domyśla, że w przypadku zaginionych dzieci liczy się każda godzina.

Mieczkowska wzięła kartonik do ręki.

– Dobrze – odparła. – Zadzwoń, ale nie wiem kiedy.

– Gdy tylko się pojawi.

Lena uśmiechnęła się, a Mieczkowska złagodniała.

– A teraz proszę powiedzieć, co powiedział pani syn w sprawie swojej odsiadki w więzieniu – zaproponowała. – Chętnie wysłucham jego wersji wydarzeń.

– To niech pani siada. Herbaty naleję.

– Poproszę.

Tymon zerknął na Rudnicką i bezszelestnie wyczołgał się do korytarza.

– Nie mam łatwego życia – odezwała się Mieczkowska. Postawiła na stole szklankę i nalała herbaty. – Arek to moje jedyne dziecko. Staraliśmy się o drugie, ale Bóg nie chciał nas nim obdarować, więc w końcu odpuściliśmy. Mąż umarł piętnaście lat temu. Teraz żałuję, bo gdybym dwójkę miała, byłoby mi łatwiej. Raz by jedno pomogło, a raz drugie.

– Arkadiusz pomaga pani w domu?

– Tyle o ile. Znika na całe dni, a kiedy wraca, to śpi albo siedzi na tym przeklętym komputerze. Czasami całą noc wpatruje się w monitor.

– Co robi na komputerze?

– A bo ja wiem? – Mieczkowska wzruszyła ramionami.

– Mogłabym zajrzeć do pokoju syna? – zapytała Lena.

– Proszę się bałaganu nie wystraszyć.

Poprowadziła komisarz do sąsiedniego pokoju o ścianach w kolorze brudnej zieleni. W oknie wisiała przykurzona firanka, pod ścianą stało niezaścielone łóżko. Na wprost wejścia znajdowało się biurko, a na nim laptop.

– Pani się rozejrzy – zachęciła kobieta. – Poczekam w kuchni.

Rudnicka odczekała, aż gospodyni zniknie w korytarzu, a potem otworzyła laptop. Arkadiusz Mieczkowski nie miał potrzeby zabezpieczenia dostępu hasłem. Matka nie potrafiła obsługiwać komputera, więc nie obawiał się, że sprzęt trafi w niepowołane ręce.

Lena otworzyła przeglądarkę i sprawdziła kilkanaście ostatnich stron, jakie przeglądał Arkadiusz.

Główne frazy, jakie wpisywał w Google, dotyczyły zaginięć dzieci. Arkadiusz Mieczkowski szukał informacji na temat Wiktora, Amelii i Pawła.

Sprawcy przestępstw lubią być w centrum uwagi. Często oglądają konferencje prasowe, by dowiedzieć się o postępach prac policji. Czy Arkadiusz był jednym z nich?

Lena przypomniała sobie dokument, jaki przyniosła Natalia Zaborska. W opinii psychologa Arkadiusz Mieczkowski był mężczyzną porywczym, łatwo tracił nad sobą kontrolę, lubił panować nad sytuacją i czuł się niekomfortowo, gdy musiał się podporządkować innym ludziom. Działał według własnych reguł.

W zakładzie karnym Mieczkowski wdał się w kilka bójek. Nie był lubiany przez innych osadzonych, i to nie tylko ze względu na przestępstwa, jakie popełnił. Współwięźniowie dokuczali mu na różne sposoby, ale Mieczkowski zawsze był ofiarą, a nie prowokatorem. Kilkakrotnie wymagał hospitalizacji.

Rudnicka miała świadomość, że nie powinna przeglądać laptopa podejrzanego, ale ciekawość okazała się silniejsza. Zerknęła w kierunku korytarza, nasłuchując. Matka Arkadiusza krzątała się po kuchni. Lena kliknęła



folder schowany w dokumentach na komputerze. Przejrzała zawartość, ale nie znalazła niczego obciążającego. W folderach były zdjęcia Arkadiusza z alkoholowych imprez z kolegami i kobietami wyglądającymi na wynajęte prostytutki. Znalazło się też kilka z wypadów na ryby.

Rudnicka zaklęła pod nosem i zamknęła laptop. Powiodła wzrokiem wokół siebie. Miała wrażenie, że znajduje się w pokoju dwudziestolatka, a nie prawie pięćdziesięcioletniego mężczyzny. Wróciła do kuchni.

– Arkadiusz łowi ryby? – zapytała, opierając się ramieniem o ścianę.

– Daj pani spokój z tymi rybami! – Mieczkowska postawiła na gazie garnek z wodą. Poszukała zapalek, potarła jedną o draskę i zapaliła gaz na kuchni. – Skaranie boskie... – mruknęła. – Łaził na ryby z kolegami. Z czasem miałam dość tych ryb. Ile można jeść to samo? A on wciąż przynosił nowe. Szkoda wyrzucić, wie pani. Nie lubię marnowania jedzenia, ale w końcu powiedziałam synowi, żeby wypuszczał ryby z powrotem, bo nie da się tego przejeść.

– I jak zareagował?

– A normalnie. Przestał ich tyle do domu znosić.

Lena postąpiła krok naprzód.

– Jaki kontakt miał Arkadiusz z ojcem? – zapytała, jakby od niechcenia.

– Stary umarł piętnaście lat temu. Areczek bardzo przeżył jego śmierć. Byli ze sobą życzliwi, jak to ojciec z synem. To mąż zaczął zabierać go na ryby i on po ojcu nawyki przejął.

– Jak umarł pani mąż?

– W Wigilię poszedł do Staśka, co na sąsiedniej ulicy mieszkał. Stasiek też zmarł kilka lat temu. Mówiłam Jasiowi, żeby nie szedł, bo święta są. Wiedziałam, że jak pójdzie, to wróci pijany. Ale nie posłuchał mnie. Obiecał, że będzie z powrotem o dwudziestej trzeciej, żebyśmy na pasterkę zdążyli. No i rzeczywiście wyszedł o czasie, tak Stasiek zeznał na policji, bo sprawa była, ale do domu nie dotarł. Napotkał po drodze jakichś młodych łebków, pobili go. Takie obrażenia miał, że lekarze nie zdołali go odratować. Chwilę przed śmiercią odzyskał świadomość, ale zaraz mu się pogorszyło.

– Złapali tych chłopaków?

– A skąd. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Policja szukała, chodziła i pytała ludzi, ale niczego się nie dowiedzieli, aż w końcu umorzyli sprawę.

– Przykro mi.

– Tak. – Zamyśliła się. – Od tamtej pory, jak te gnojki mi męża zabili, nie mam zaufania do policji. Wszystko robicie tak, żeby wam wygodniej było. Lepiej szukać zbirów, a nie morderców zwykłego człowieka. A zginął Bogu ducha winny mężczyzna, ojciec i mąż. Nikogo to nie obchodziło.

– Proszę mi wierzyć, że gdybym prowadziła sprawę śmierci pani męża, zrobiłabym wszystko, żeby znaleźć sprawców.

Mieczkowska machnęła ręką.

– Dziękuję – mruknęła. – Ale życia mężowi to nie wróci.

Rudnicka wsunęła rękę do kieszeni spodni.

– Proszę zadzwonić, kiedy syn się pojawi – powiedziała na pożegnanie.

## 5

Helena Mieczkowska podeszła do okna. Delikatnym ruchem odsunęła firankę i wyjrzała na zewnątrz, obserwując policjantów wychodzących przez furtkę. Komisarz obejrzała się przez ramię, jakby czuła na sobie jej wzrok. Helena cofnęła się w głąb kuchni. Patrzyła, jak policjanci wsiadają do samochodu, a potem odjeżdżają. Odetchnęła z ulgą.

Usiadła na krześle i dotknęła dłonią czoła. Wizyta policjantów kosztowała ją wiele nerwów. Z każdym rokiem ubywało jej sił. Miała ciężkie życie. Nawet na starość nie zaznała spokoju. Najpierw żyła z mężem alkoholikiem, a potem syn, który był dla niej wsparciem i obrońcą przed agresywnym mężem, okazał się przestępcą. Helena nie chciała wierzyć w winę Arkadiusza. Przekonywała samą siebie, że jest dobrym człowiekiem, ale gdzieś w środku wciąż tliła się wątpliwość. Syn miał wiele tajemnic. A jeśli niezdrowe zainteresowanie dziećmi było jedną z nich...

Helena zastanawiała się, czy gdyby dokonała innych wyborów, jej życie wyglądałoby inaczej.

Z mężem poznali się w pracy. Jako dwudziestolatka pracowała w zakładzie jako szwaczka, a Jan był kierowcą. Wpadł jej w oko na pierwszym spotkaniu, ale nie miała śmiałości, by do niego zagadać. Patrzył na nią z zainteresowaniem i uśmiechał się, gdy ich spojrzenia się spotykały. Był przystojnym chłopakiem o równych białych zębach i delikatnych dłoniach. Koleżanki z pracy były nim zachwycone, ale on nie wydawał się zainteresowany żadną z nich. Wybrał Helenę. Zaprosił na potańcówkę, a potem wszystko potoczyło się szybko. Ona zaszła w ciążę, wzięli ślub i zamieszkali najpierw u jej rodziców, a potem dostali przydział w bloku. Mieszkanie nieduże, raptem czterdzieści trzy metry, dwa pokoje z kuchnią, ale dla dwójki młodych ludzi i niemowlaka wystarczające.

Kilka miesięcy po ślubie, kiedy Arek miał zaledwie dwa miesiące, Jan zdradził Helenę po raz pierwszy. Dowiedziała się od koleżanki z pracy, która widziała go w pijalni na Piotrkowskiej w towarzystwie młodej brunetki. Wracał do domu coraz później. Twierdził, że jest zmęczony płaczem dziecka i się nie wysypia. Helena miała wrażenie, że mąż nie przepada za synem. Stał się nerwowy. Rzadko brał Arkadiusza na ręce. Robił wszystko, by nie spędzać z nim czasu. Kiedy Helena zaszła w ciążę, mąż był innym człowiekiem. Czulił się i troskliwym. Pomagał jej w pracach domowych. Głaskał po brzuchu i mówił do nienarodzonego dziecka. Wydawało się, że nie może się doczekać, gdy weźmie syna w ramiona. Helena nie potrafiła uwierzyć własnemu szczęściu, że dostała od losu takiego mężczyznę.

Wszystko zmieniło się po narodzinach Arka. Helena źle zniosła poród. Była wykończona. Nie miała siły zająć się płaczącym noworodkiem. Jan wziął opiekę na siebie. Zmieniał pieluchy, karmił i usypiał syna. Radość i euforia szybko ustąpiły zniecierpliwieniu. Syn płakał, a Jan był bezradny. Coraz bardziej się irytował. Krzyczał na dziecko i coraz częściej zostawiał go samego. Helena prosiła synka, by nie płakał, bo tatuś musi wypaść się do pracy, ale malec nie słuchał.

Jan zaczął spać poza domem. Pracował jako kierowca, więc powinien być wyspany, a płacz dziecka uniemożliwiał mu odpoczynek. Helena zgodziła się, by nocował u matki. Gdy Jan nie wracał do rodziny na weekend, zaczęła się niepokoić. Nie wiedziała, gdzie przebywał i co robił w wolne dni. Mąż o niczym jej nie informował.

Zapewniała Jana, że Arkadiusz ma już za sobą nieprzespane noce i zasypia o dziewiątej wieczorem, a budzi się koło szóstej następnego dnia. Jest grzecznym chłopcem. Jan zgodził się wrócić do domu. Miał zniszczoną i obrzmiałą twarz. Helena wiedziała, że dużo pije, ale kiedy obiecał, że znów staną się rodziną, uwierzyła mu.

Początkowo po pracy szedł od razu do domu. Chodzili razem na spacer, odwiedzali znajomych i rodziców. Wszystko wskazywało na to, że Jan znowu jest tym samym godnym zaufania mężczyzną, w którym Helena się zakochała. Ale z czasem obecność synka znowu zaczęła go drażnić. Jan nie przepadał za hałasem, denerwowały go zabawki rozrzucone po podłodze.

To było wiosną. Miesiąc po powrocie coś w Janie pękło. Nie wytrzymał. Nakrzyczał na Helenę, a potem na syna i wyszedł. Nie wracał trzy dni. Helena martwiła się o niego. Szukała u kolegów, u teściowej, a nawet u szwagierki, z którą nie utrzymywali kontaktów. W końcu teściowa powiedziała jej prawdę. Jan zatrzymał się u kochanki, z którą zdradzał żonę przez ostatnie miesiące. Matka nie akceptowała takiego postępowania i nie chciała go dłużej kryć ani oszukiwać synowej. Wcześniej Jan także nie mieszkał u niej, tylko pomieszkował w różnych kobiet. Prosiła syna, by się opamiętał, przecież miał dziecko i rodzinę na utrzymaniu, ale Jan nie chciał z nią rozmawiać. Powiedział, żeby się nie wtrącała.

Kiedy Helena uświadomiła sobie, że ostatnie miesiące były kłamstwem, zażądała rozwodu. Jan się nie zgodził. Zapewniał, że kocha żonę i syna, ale nie dorósł do roli ojca. Poprosił, by dała mu czas. Obiecał, że już nigdy więcej nie spotka się z tamtą kobietą. Helena kolejny raz mu uwierzyła.

Znów zaczął pić. Niegdyś pili alkohol na potańcówkach czy imprezach ze znajomymi. Helena nie widziała w tym niczego złego. Ale teraz zaczął upijać się w samotności.

– Nie pij – prosiła. – Pójdziemy na spacer z małym. Ładna pogoda jest, zobacz, ile tracimy, kiedy siedzimy w domu.

– Idź sama – odpowiadał. – Ja nie mam ochoty.

– Jasiu, proszę cię. Dlaczego tyle pijesz?

Po kilku głębszych wracał mu dobry humor. Uśmiechał się do żony i poklepywał ją po pośladkach. Gdy nie reagowała, zaczynał się denerwować.

– Zejdźcie mi z oczu! – warczał. – Mam dość ciebie i tego dzieciaka.

– To twój syn.

– Mój nie mój. Kto cię tam wie?

– Nawet tak nie myśl.

– A może puściłaś się z kimś i wcale to nie mój dzieciak? Nawet nie jest do mnie podobny.

Helena płakała w samotności. Nie potrafiła odejść od męża. Wierzyła, że trudny okres minie i w końcu znowu będą szczęśliwi.

Ale tak się nie stało. Jan pił coraz więcej. Upijał się do nieprzytomności. Kiedy nie było w domu alkoholu, awanturował się i wychodził. Czasem nie wracał kilka dni.

Helena się wstydziła.

– Pani męża do domu zaprowadzi – mówiły sąsiadki. – Całą noc na ławce spał. Zimno było, Bóg jeden wie, czy jeszcze żyje. Pijany leży, śmierdzi od niego na kilometr.

Helena szła i prowadziła męża do domu.

Do czasu w pracy przymykano oko na to, że przychodził skacowany, ale w końcu miarka się przebrała. Kilkakrotnie pomylił trasy i zawałał terminy. Szef postawił mu ultimatum. Albo wytrzeźwieje, albo wyleci.

Wyleciał, a rodzina powoli popadała w coraz większe długi. Helena musiała pójść do pracy. Jan zaczynał dzień od kieliszka wódki, więc nie mogła zostawić z nim syna. Wyprowadzili się z mieszkania w bloku, ponieważ nie było ich stać na rachunki, i przenieśli się do matki Jana. Starsza pani była schorowana i wymagała opieki, więc w zamian za pokój, który zajęła wspólnie z mężem i dzieckiem, Helena zgodziła się jej pomóc w prowadzeniu domu. Teściowa była dobrą kobietą. Nie wtrącała się w sprawy młodych. Nie miała siły klócić się z synem. Mieszkali razem trzy lata.

Starsza pani zmarła jesienią. Gdy zabrakło matki, Jan stracił wszelkie hamulce. Nawet na pogrzeb przyszedł pijany. Urządził żonie awanturę, której przysłuchiwali się wszyscy żałobnicy. Usiłowała go uspokoić, ale ją popchnął. Niefortunnie upadła na płytę nagrobną i rozbiła sobie głowę. Po śmierci matki bił ją regularnie. Przynajmniej raz w tygodniu. Potem zapewniał, że ją kocha, bardzo żałuje i przeprasza. Helena nie była głupia. Wiedziała, że za kilka dni sytuacja się powtórzy. Nie wierzyła Janowi. Zmądrzała, ale nie miała dokąd pójść. Musiała wytrwać.

Jan pił do śmierci.

Życie z ojcem alkoholikiem odbiło się na dorosłym życiu Arka. Od dziecka widział pijanego ojca. Doświadczał przemocy. Kiedy był mały, chował się pod łóżkiem i płakał. Gdy podrosł i nabrał nieco siły, stawiał się ojcu, ale nigdy go nie uderzył. Natomiast Jan bił syna regularnie. Po raz pierwszy uderzył go, gdy Arek miał cztery latka i niechący, bawiąc się klockami, wylał piwo ojca. Helena nie zdążyła zareagować. Jan chwycił syna za szyję i przytknął mu twarz do płamy na dywanie.

– Widzisz, kurwa, co narobiłeś?! – wrzasnęła.

Arek rozplakał się, wołając matkę.

– Co ty robisz? – zapytała Helena, czując, że to ona zapłaci za złość męża.

– Niech się gówniarz wreszcie nauczy, że powinien być ostrożny.

– To tylko dziecko.

– Od małego powinien wiedzieć, jak się zachowywać.

– Zrobił to nieumyślnie.

Jan nie słuchał żony. Chwycił skórzany pasek i wymierzył chłopcu kilka razy przez plecy. Helena płakała razem z synem, prosiła męża, by przestał.

Kiedy Arek podrosł, Jan bił go regularnie. Wystarczyło małe przewinienie, by wyciągał skórzany pas. Arek płakał, spoglądając ufnie w oczy matki, jakby oczekiwał, że ona go obroni. Ale się nie bronił.

Po śmierci Jana oboje odetchnęli, a w domu zapanował spokój. Początkowo Helena nie potrafiła się odnaleźć. Pochowała męża, wyrzuciła wszystkie jego rzeczy, posprzątała puste butelki po wódce z piwnicy. Arek wywiózł ubrania ojca do lasu i spalił. Helena miała nadzieję, że wreszcie ich życie będzie wyglądało normalnie, ale tak się nie stało.

Arek wdał się w złe towarzystwo. Kiedy koledzy przychodzili pod dom, Helena na kilometr czuła kłopoty. Bała się. Nie chciała, żeby syn skończył jak jego ojciec.

Kiedy Arek poznał swoją przyszłą żonę, Helena odetchnęła z ulgą. Wierzyła, że założy rodzinę i będzie szczęśliwy. W dzieciństwie tyle wycierpiał. Kolejny raz się pomyliła.

Arek okazał się kimś jeszcze gorszym niż jego ojciec.

## 6

Basia płakała – poinformowała siostrę Maria przez telefon. – Przed wejściem do przedszkola. Na szczęście potem się rozchmurzyła.

– Cholera – mruknęła Rudnicka, obchodząc samochód.

– Nie martw się. Jest dzielna. Przywyknie.

– Mam nadzieję. – Lena uniosła dłoń i skinęła policjantom ze swojego zespołu, stojącym przed drzwiami do Manufaktury. – Mam cholerne wyrzuty sumienia. Powinnam być z córką, zamiast ganiać za przestępcami, ale z drugiej strony wiem, że kolejne miesiące w domu nie zrobią dobrze ani mnie, ani Basi.

– Nie przejmuj się. Każde dziecko musi w końcu iść do przedszkola.

– Pewnie masz rację.

– Odebrać ją dzisiaj? – domyśliła się Maria.

– A mogłabyś?

– Przecież wiesz, że chciałabym ci pomóc.

– Dzięki.

– Jesteśmy rodziną i musimy się wspierać. Pamiętaj o tym.

– Przyjadę po nią około dwudziestej – obiecała Lena.

Rudnicka wcisnęła czerwoną słuchawkę i dołączyła do kolegów. Rozsunęły się automatyczne drzwi i na zewnątrz wylał się charakterystyczny zgiełk galerii handlowej – gwar rozmów, śmiechów i muzyki puszczanej z głośników.

Wjechali ruchomymi schodami na piętro do części restauracyjnej.

– Weź mi czekoladowego shake'a i big maca – poprosiła Wolskiego.

– Jesteś pewna?

Lena przystanęła.

– Jesteś pewna, że to będzie dobre połączenie? – dopytał.

– Idealne.

– Okej. – Uniósł dłonie w geście kapitulacji i poszedł, by złożyć zamówienie.

Iwan i Tymon zniknęli w tłumie, a Rudnicka zajęła miejsce przy stoliku i zadzwoniła do przedszkola. Szybko upewniła się, że z Basią wszystko w porządku. Podobno rozchmurzyła się zaraz po wejściu. Przez dłuższą chwilę bawiła się z inną dziewczynką, co Lena uznała za dobry zwiastun.

– Basia powoli oswaja się z nową sytuacją – zapewniła Zuza. – Z czasem dostrzeże, że zabawa z rówieśnikami to w gruncie rzeczy fajna sprawa.

– Basia nie jest towarzyskim dzieckiem.

– Tak się pani wydaje.

Po rozmowie z opiekunką Lena czuła się spokojniejsza. Spojrzała w kierunku McDonalda. Marcel wracał z zamówieniem. Postawił przed nią dużą kanapkę i napój, po czym usiadł obok i odwinął swojego cheeseburgera.

– Zostawiłam obserwację pod domem Mieczkowskich – poinformowała. – Lepiej mieć ich na oku. Stara Mieczkowska wydawała się chętna do pomocy, ale kto ją tam wie. Matka zrobi wszystko, by ochronić własne dziecko.

– Sądzisz, że ostrzeże Arkadiusza?

– Myślę, że tak.

Wolski otarł usta serwetką.

– Mam nadzieję, że któryś z jego kumpli puści parę, dokąd jeździł na ryby – powiedział. – Mam przeczucie, że właśnie tam go znajdziemy. Ale jeśli matka go uprzedzi, zdąży nam zwać. – Marcel ugryzł kawałek burgera. Przeżuwał dłuższą chwilę, a potem zapytał: – Dajemy jego portret do mediów?

Rudnicka opadła na oparcie. Przekazanie mediom portretu poszukiwanego znacznie ułatwiłoby sprawę. Ale nie była przekonana do takiego rozwiązania. Poza tym niewiele mieli na Mieczkowskiego. Sięgnęła po shake'a w chwili, gdy zadzwonił telefon. Spojrzała na wyświetlacz. Nieznany numer.

– Halo? – powiedziała, wsuwając słómkę do ust.

Odpowiedziała jej cisza.

– Halo?

Słyszała czyjś oddech, ale nikt się nie odezwał. Miała wrażenie, że w tle słyszy gwar rozmów i głos dziecka.

– Halo!?

Koniec połączenia.

– Kurwa mać!

– Co się stało? – Wolski uniósł wzrok znad kanapki.

Lena spojrzała na Marcela.

– Dzwonił do mnie – oznajmiła.

– Kto?

– Porywacz.

– Co? Skąd wiesz?

– Jestem pewna, że to był on.

## 7

Zlokalizowanie dzwoniącego do Leny numeru zajęło policyjnym technikom kilka minut. Marek Wichrowski przesłał jej dokładną lokalizację aparatu. Pozostawał włączony, więc namierzenie go nie stanowiło problemu. Właściciel przebywał w okolicach Parku na Zdrowiu.

Powierzchnia parku wynosiła niemal sto dziewięćdziesiąt hektarów. Ogromny teren, ale czerwona kropka na ekranie wskazywała precyzyjną lokalizację. Telefon znajdował się w okolicy muru okalającego teren zoo.

Rudnicka siedziała na miejscu pasażera. Wpatrywała się w wyświetlaną na ekranie mapę. Wolski zręcznie manewrował między samochodami. Znajdowali się kilka minut od celu, w okolicy Krzemienieckiej.

Rudnicka była przekonana, że to porywacz do niej zadzwonił. Ciężki oddech, który słyszała, przyprawił ją o ciarki na plecach. Tamten milczał, jakby obawiał się, że mógłby zostać rozpoznany. Wiedział, że Rudnicka przejęła śledztwo. Po co? Co chciał udowodnić?

Potarła skronie. Z każdą minutą miała w głowie coraz większy mętlik.

– Dlaczego do mnie zadzwonił? – zapytała.

– Chciał się z nami zabawić?

Marcel skręcił w Konstytucyjną. Minęli mur okalający zoo.

– Jeszcze kawałek – powiedziała Rudnicka.

Wpatrywała się w czerwoną kropkę. Właściciel telefonu bez wątpienia poruszał się pieszo.

Nagle kropka się zatrzymała.

– Stań – poleciła Lena.

– Zaraz. Nie mam gdzie.

Wolski zjechał na pas zieleni. Rudnicka błyskawicznie wyskoczyła z samochodu i zlustrowała wzrokiem okolice. Obejrzała się w lewo, potem w prawo i przecięła jezdnię. Samochody musiały zwolnić. Lena przystanęła przy torach tramwajowych. Zerknęła na ekran telefonu i pokonała torowisko. Wolski szedł tuż za nią.

Zza chmur wyjrzało słońce. Zapowiadał się przyjemny dzień, chociaż jeszcze pół godziny temu zdawało się, że spadnie deszcz. W powietrzu było czuć nadchodzącą wiosnę.

Czerwona kropka na ekranie zmierzała w głąb parku. Lena podążyła za wskazówkami i uniosła głowę znad telefonu. Kilka metrów dalej przy parkowej ławce stał mężczyzna. Napotkawszy wzrok Rudnickiej, uniósł rękę i się uśmiechnął.

Policjanci ruszyli w jego stronę.

– Nic nie zrobiłem – wychrypiął, zerkając na kabury z bronią. Wypuścił z rąk reklamówki wypełnione zgniecionymi puszkami i butelkami po piwie. Szkło roztrzaskało się przy spotkaniu z betonem. Mężczyzna miał na sobie zmechacony płaszcz i dresy. Spod wełnianej czapki wystawały kosmyki tłustych włosów. Na pooranej zmarszczkami twarzy malowało się zaskoczenie. Oczy miał mętne, a w szczęce brakowało kilku zębów.

– Kurwa – mruknęła Rudnicka.

– Nic nie zrobiłem – powtórzył bezdomny i pochylił się, by posprzątać rozbite szkło. – Lepiej wyrzucić – zauważył. – Bo tutaj rodzice z dziećmi spacerują i ludzie z psami. Nie chciałbym, żeby zwierzak rozciął sobie łapę przez moją nieuwagę.

– Co pan tu robi?

– No, chodzę sobie. – Brudną dłonią wskazał na reklamówki. – Puszki zbieram na złom.

– No tak.

Rudnicka zakręciła się wokół własnej osi. Wolski wyjął paczkę papierosów i zapalił jednego.

– Dasz pan? – zapytał mężczyzna.

– Jak pan odpowie na kilka pytań.

– A pewnie. Tajemnic żadnych nie mam.

– Telefon pan ma?

Bezdomny poszperał w kieszeniach i wyciągnął samsunga z dotykowym ekranem. Model sprzed pięciu lat, ale wyglądał jak nowy.

– Znalazłem – wyjaśnił. – Na śmietniku pod jednym z bloków, niedaleko. – Wskazał palcem w nieokreślonym kierunku. – Działą, więc pomyślałem, że skoro ktoś wyrzucił, to mu niepotrzebny. Nie ukradłem! – zastrzegł. – Niczego nie ukradłem. Jestem bezdomnym człowiekiem, ale nie złodziejem. To o ten telefon chodzi? Ja mogę oddać. Nie chcę problemów.

– Ktoś do nas z niego dzwonił.

– Tak?

Mężczyźni zmierzli się wzrokiem. Rudnicka odblokowała swoją komórkę, w rejestrze połączeń odszukała numer i wcisnęła zieloną słuchawkę. Telefon w dłoni bezdomnego zawibrował, a po chwili rozległ się natarczywy dzwonek.

– Nie umiem tego zmienić – wyjaśnił bezdomny.

– Jak się pan nazywa?

– Piekło.

– A imię jakieś?

– Leon.

– Leon Piekło, tak? Ile ma pan lat?

– Pięćdziesiąt trzy. Od dziesięciu lat na ulicy.

– Dlaczego?

– Dlaczego żyję na ulicy?

– Aha.

Leon Piekło podrapał się w głowę.

– Tak wyszło – odparł. – Popełniłem w życiu kilka błędów. Niewiele trzeba, żeby wylądować na ulicy.

Lena przypomniała sobie dane statystyczne. W Polsce około trzydziestu trzech tysięcy osób mierzy się z problemem bezdomności. W większych miastach można je często spotkać.

– Gdzie pan śpi?

– Różnie. Czasem w noclegowniach, ale nie zawsze przyjmują.

– Tam trzeba być trzeźwym.

– I w tym rzecz.

– Pożyczył pan komuś swój telefon? – zapytał Wolski.

Leon Piekło odwrócił wzrok. Na jego zniszczonej twarzy malowało się wahanie. Jeśli ktoś prosił go o dyskrecję, źle trafił. Bezdomny był przekupny i nie potrafił trzymać języka za zębami.

Uśmiechnął się przebiegle.

– Marcelu, sypnij groszem – poleciła Rudnicka.

– Dlaczego ja?

– Ja nie mam gotówki.

Wolski z rezygnacją pokręcił głową, wyjął portfel i wyciągnął pięćdziesiąt złotych. Piekło wyciągnęła rękę.

– Zaraz – mruknął Marcel. – Najpierw informacje.

– Zaczepił mnie taki jeden facet. Tutaj, przy zoo. Szedłem po śmietnikach wzdłuż Konstanyńskiej. Zapytał, czy mam telefon, więc zgodnie z prawdą powiedziałem, że tak. Chciał zadzwonić, ale jak wiadomo, nie ma nic za darmo.

– Zapłacił panu?

Piekło spuścił wzrok.

– Nie – odparł. – Wyjął nóż i zaczął mi grozić, więc powiedziałem, żeby sobie go wziął. Ruszyłem w swoją stronę, ale powiedział, że chce tylko zadzwonić. Kazał mi poczekać. Miałem kilka złotych na karcie, więc mu pozwoliłem.

– I co było dalej?

– Odszedł na bok, zadzwonił, a potem oddał mi komórkę.

– Czy wokół były dzieci?

– Dzieci? – Zastanowił się. – Nie. Nie przypominam sobie.

– Słyszałam dziecko. – Lena spojrzała na Marcela. – Jestem pewna, że w tle słyszałam dziecko.

– Wierzę ci.

– A może mi się wydawało? Kiedy się nad tym teraz zastanawiam, nie jestem już taka pewna. Może to był inny dźwięk, który wzięłam za głos dziecka?

– Niech się pan zastanowi. Czy na pewno obok nie przechodziła na przykład matka z dzieckiem?

– Może i przechodziła. Nie pamiętam.

– Szlag.

Bezdomny przestąpił z nogi na nogę. Jego wzrok utkwniony był w pięćdziesięciozłotowym banknocie.

– Jak wyglądał tamten facet? – zapytała Rudnicka.

– Normalnie.

– Czyli jak?

– Czarne spodnie i czarna bluza. Szczupły dość, choć nie chudy. No, i wąsy miał, i okulary, takie od słońca.

– Przeciwsloneczne?

– Tak. Oczu nie widziałem, ale spod czapki wystawały jasne włosy.

Rudnicka przewróciła oczami.

– Pan powie, te wąsy to prawdziwe czy sztuczne miał?

– A bo ja wiem?

– Jasne.

Zadzwoniła po patrol, a potem zwróciła się do Piekły.

– Pojedzie pan na komendę.

– A za co? Pani kochana, ja nic złego nie zrobiłem.

– Złoży pan zeznania, technik wykona portret pamięciowy i odda pan telefon, bo może znajdziemy odciski palców. Proszę włożyć go tutaj. – Ściągnęła z szyi szalik, położyła go na dłoniach i wyciągnęła w kierunku bezdomnego.

Mężczyzna ostrożnie położył tam telefon.

– A forsa? – zapytał.

Lena kiwnęła głową w stronę Wolskiego. Podał Piekło banknot. Tamten ucałował pieniądze i z uśmiechem schował do kieszeni. A potem odwrócił się na pięcie i puścił się biegiem przed siebie.

Wolski pobiegł za nim.

Lena zlustrowała wzrokiem okolicę. Szybko wywnioskowała, że bezdomny zamierza dotrzeć do głównej alei. Ruszyła w tamtą stronę. Kilkanaście metrów dalej poczuła uderzenie w tył głowy.

Upadła.

## 8

Lysy mężczyzna o ciężkiej, nalanej twarzy skulił się na krześle w pokoju przesłuchań.

Tymon przyjrzał się zatrzymanemu, po czym usiadł naprzeciwko.

– Zaatakował pan policjantkę na służbie – powiedział. – Mam nadzieję, że wie pan, jakie mogą być tego konsekwencje?

Mężczyzna uniósł przestraszony wzrok.

– Nie. Ja nie chciałem.

– To nie są żarty.

– Nie wiedziałem, że... że to jest policjantka. – Uniósł otwarte dłonie. – Gdybym wiedział, przysięgam, że bym jej nie uderzył. Czy wszystko z nią w porządku?

Głos mu drżał, a ręce dygotały.

– Dlaczego pan uderzył komisarz Rudnicką? – zapytał Tymon, zakładając nogę na nogę.

– Widziałem, że podchodzą do mojego kolegi w parku. Siedziałem niedaleko na ławce. Facet i kobieta. Początkowo nie zwracałem na nich uwagi. Widziałem, że rozmawiają, ale potem Piekło zaczął uciekać, a tamten facet pobiegł za nim. Pomyślałem, że chcą go pobić. Ludzie nie lubią bezdomnych. Pastwią się nad nami. Myślą, że to fajna zabawa. Musimy uważać. Przynajmniej raz w tygodniu spotkamy łobuza, który chce spuścić dla zabawy manto bezdomnemu. Jak zobaczyłem, że Leon ucieka, chciałem mu pomóc. Dlatego walnąłem tę babkę, ale przysięgam, że nie wiedziałem, że jest z policji.

Tymon skierował wzrok w kierunku fenickiego lustra, zza którego obserwowała ich Rudnicka.

– Puśćcie go – powiedziała do stojącego obok niej Iwana.

Szewko uśmiechnął się pod nosem.

– Nie wywinie się – odparł. – Odpowie za to, co zrobił.

– Nic nie zrobił.

– Uderzył cię.

Pomasowała tył głowy. Bezdomny ją zaskoczył. Zadał silny cios, po którym upadła, ale w gruncie rzeczy nic poważnego się jej nie stało. Kiedy zobaczył policyjną legitymację, przeproszał i pomógł Lenie wstać.

– Wypuście go – powtórzyła. – Nie wniosę oskarżenia.

– Facet mógł cię zabić.

– Ach, daj spokój.

– Mówię poważnie. – Iwan odwrócił się i spojrzał na nią karcącym wzrokiem. – Nie powinniśmy przyzwalać na takie wybryki. Facet powinien odpowiedzieć za napaść za policjanta na służbie.

– Spójrz na niego.

– Mógł zrobić ci krzywdę.

– Ale nie zrobił – upierała się. – Skończyło się na guzie. Bronił kumpla. Myślę, że ma dość problemów. Nie zamierzam dokładać mu kolejnych.

– Lepiej będzie mu w więzieniu niż na ulicy.

– Nie wiesz, co mówisz.

– Na twoim miejscu bym nie odpuścił. Wycieruchy powinny znać swoje miejsce.

Ludzka niechęć do bezdomnych była dla Rudnickiej niezrozumiała. Żebracy wywoływali w niej silne emocje. W wielu krajach bezdomność stawała się coraz powszechniejszym problemem. Ciężko się podnieść komuś, kto stracił dach nad głową. Osobom bezdomnym trudno znaleźć pracę, co sprawia, że niewiele wychodzi z bezdomności bez pomocy. Iwan Szewko należał do osób, które uważały, że bezdomni powinni zostać zamknięci w specjalnych ośrodkach, żeby społeczeństwo nie musiało patrzeć na ich krzywdę. W taki sposób najłatwiej zapomnieć o problemie. Ale ci ludzie nie byli więźniami. Posiadali wolną wolę i prawo wyboru.

Do Iwana i Leny dołączył Marcel. Stanął przed fenickim lustrem, krzyżując ramiona.

– I co? – zapytał.

– Puszczamy go.

– Jak uważasz – mruknął Iwan.

Lena zignorowała Szewkę.

– Rozmawiałeś z Piekłem? – zapytała Wolskiego. – Powiedział, dlaczego uciekał?

– Facet nie jest skory do rozmowy.

– Dlaczego?

Wolski wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odparł. – Powiedział, że nie będzie z nami rozmawiał i tyle. Nie zgodził się na sporządzenie portretu pamięciowego.

– Pogadam z nim.

– Możesz spróbować, ale moim zdaniem czegoś się boi. – Marcel podrapał się po brodzie. – Albo kogoś. Pewnie gość mu groził i Piekło się solidnie wystraszył. Bezdomnego łatwo załatwić.

– To przykre.

– Ale prawdziwe.

Lena się zastanowiła.

– Spróbuję – powiedziała. – Pójdę do niego.

– Siedzi w ósemce.

Rudnicka skinęła głową. Poczula pulsujący ból w okolicach karku. Najwyraźniej cios, który zadał jej kolega Piekły, był mocniejszy, niż początkowo sądziła. Kiedy upadła na chodnik, zdarła sobie naskórek z dłoni. Marcel zadzwonił po karetkę. Ratownicy opatrzyli ranę i założyli Rudnickiej bandaż na dłoń. Chcieli przetransportować ją do szpitala, ale nie wyraziła zgody.

– Panie Piekło – odezwała się, wchodząc do pomieszczenia. Zamknęła za sobą drzwi i oparła się plecami o ścianę. Skrzyżowała ramiona, lustrując mężczyznę wzrokiem. Siedział lekko przygarbiony. Na widok komisarz przesunął

palcami po wargach, jakby zasuwał suwak, a potem wyrzucił za siebie klucz.

– Niech pan nie robi sobie żartów – powiedziała, siadając naprzeciwko.

– Nigdy w życiu.

– Może pan podziękować swojemu kumplowi. Dał mi w łeb, żeby pana obronić.

– Musimy sobie nawzajem pomagać.

– Trochę bolało.

Piekło rozłożył ręce.

– Należą mi się jakieś wyjaśnienia, co? – zapytała.

– Nic nie powiem. Nic nie wiem.

– I tak pan z nami rozmawiał. Jeśli ktoś, kogo się pan boi, dowie się o tym, będzie pozamiatane.

– Wolę nie ryzykować.

– Panie Piekło, wie pan, kogo szukamy?

– Nie chcę o niczym wiedzieć.

– Słyszał pan o zaginięciach dzieci w Łodzi?

Mężczyzna uniósł wzrok. Oczywiście, że słyszał.

– Szukamy człowieka, który porywa kilkuletnie dzieci. Zabiera je rodzicom. Co im robi, jak pan sądzi?

– Nie wiem.

– Może jedzie z nimi do wesołego miasteczka?

– Naprawdę nie wiem.

– A może zabija? Uważa pan, że kilkuletnie dziecko zasłużyło na śmierć?

Mężczyzna przełknął ślinę.

– One mogą już nie żyć, bo ten sukinsyn je zabił, rozumie pan?

– Mam syna – odparł. – Nie widziałem go pięć lat.

– Dlaczego?

– Byłem złym człowiekiem.

– Zrobił pan coś złego?

– Rodzina nigdy nie była dla mnie najważniejsza. Kłóciliśmy się, aż w końcu żona wystąpiła o rozwód. Nie dogadywaliśmy się. Za dużo piłem. Mieszkaliśmy u jej rodziców, więc po rozprawie wyładowałem na bruku. Prosiłem syna o pomoc, ale nie chciał mnie widzieć. Od tamtej pory kilka razy próbowałem z nim porozmawiać, ale bezskutecznie. Wiele bym dał, żeby mi wybaczył. Zrozumiałem swoje błędy. Ale to nie takie proste. Zniszczyłem mu dzieciństwo. – Westchnął, zakrywając dłonią twarz. – Uciekłem, bo się wystraszyłem. Ten facet mi groził. Powiedział, że na pewno namierzy mnie policja i jeśli pisnę choć słowo, wyciągnie mnie z każdej dziury i poderżnie mi gardło. Co pani zrobiłaby na moim miejscu?

– Pomoże nam pan?

W pomieszczeniu zapadło milczenie.

– Byłem nauczycielem, wie pani? Uczylem matematyki w podstawówce. Lubiłem pracę z dziećmi. Są świetnymi obserwatorami. Miałem dobre życie. Ale popełniłem kilka błędów. Straciłem robotę, a potem rodzinę. Wie pani, co było najgorsze?

– Tak?

– Uczucie, o tutaj. – Dotknął ręką żołądka. – Były dni, że musiałem się napić, żeby nie zwariować. Na widok wódki aż się we mnie gotowało w środku. Nienawidziłem alkoholu, nie chciałem go pić, ale to było silniejsze ode mnie. Utrata kontroli nad własnym życiem. To było najgorsze, co przeżyłem.

– Nadal pan pije?

Zastanowił się.

– Czasem – odparł. – Ale nie tak jak dawniej. Całymi tygodniami potrafię nie tknąć alkoholu.

Rudnicka знаła to uczucie, gdy człowiek traci kontrolę nad własnym życiem. To dzięki Marcelowi udało jej się stanąć na nogi i tę kontrolę odzyskać. Uporządkowała swoje sprawy i odcięła się od toksycznego męża. Ale tak. Wiedziała, jak to jest, gdy człowiek nie może powstrzymać biegu wydarzeń.

Doświadczyla przemocy ze strony Krzysztofa. Za każdym razem przeproszał ją i zapewniał, że to nigdy więcej się nie powtórzy, a ona kiwała głową, choć wiedziała, że to nieprawda. Że wystarczy jeden kieliszek wina za dużo i Krzysztof zapomni o obietnicy. Aby zagłuszyć ból, Lena zażywała tabletki z oksykodonem.

Gdyby nie Wolski, Rudnickiej mogłoby już nie być.

– Potrzebuje pan pomocy? – zapytała.

– W czym może mi pani pomóc?

– Człowiek zawsze czegoś potrzebuje.

Zaśmiał się.

– Dobrze – odparł. – Ja potrzebuję domu, ale nie wiem, czy może mi to pani dać.

– Mogę pomóc znaleźć panu pracę. Jeśli zacznie pan zarabiać, szybciej znajdzie pan dom.

– Nikt mnie nie zatrudni.

Lena przekrzywiła głowę.

– Nie dowie się pan, dopóki nie spróbuje.



Leon Piekło się zawahał.

– Dobra – mruknął. – Możemy spróbować.

– Ma pan mój numer w komórce.

– Zabraliście mi ją.

– Oddamy. A kiedy złapiemy tego sukinsyna, może pan do mnie zadzwonić. Coś wymyślimy.

– Jest pani dobrym człowiekiem.

– Ja pomogę panu, pan pomoże mnie.

– Chodzi o ten portret?

Rudnicka skinęła głową.

– Dobrze – odparł Piekło. – Przyślijcie kogoś, a powiem wszystko, co widziałem.

## 9

Autokar wypełniał gwar dziecięcych głosów. Kierowca wiozł czterdzieścioro uczniów szkoły podstawowej. Jechał powoli, zgodnie z przepisami, pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Nauczycielki siedziały z przodu. Trzy kobiety przed czterdziestką rozmawiały podniesionymi głosami, usiłując przekrzyczeć dzieci. Od ponad dziesięciu lat pracowały w jednej szkole. Polubiły się i ich znajomość szybko przeniosła się na grunt prywatny. Znały swoje rodziny, mężów i dzieci. Jedna z nich, Roksana, planowała zakup działki na Rodzinnych Ogrodach Działkowych. Obiecała, że kiedy wyremontują z mężem skromną altanę, urządzią grilla.

Siedmioletnia Tosia Grabowska siedziała przy oknie. Uwielbiała wycieczki, a ta do Kazimierza cieszyła się ogromną popularnością. Liczba miejsc była ograniczona, więc Tosia uważała się za szczęściarę.

Rodzice rzadko mieli czas na wspólne wyprawy. Dlatego chętnie wysyłali ją na wycieczki szkolne. Oboje dużo pracowali. Mama była lekarką, a tata pracował jako menedżer. Tosia nie bardzo wiedziała, co konkretnie robił, ale odkąd pamiętała, wracał do domu późnym wieczorem i wychodził wczesnym rankiem. Mawiał, że niedługo zaharuje się na śmierć. Tosia nie chciała, by stała mu się krzywda, dlatego często prosiła go, żeby nie szedł do pracy, ale on tylko się uśmiechał.

Tosię bardzo ciekawił świat. Najbardziej lubiła zwiedzać stare zamki i przechadzać się kamiennymi korytarzami. Wyobrażała sobie wtedy, że jest księżniczką czekającą na wymarzonego księcia. Podziwiała wysokie sufity i grube mury, wymyślając historie o dziewczynce, która już niedługo zostanie królową. Wszyscy ją kochali, poddani i służba, a ona uwielbia spędzać czas na dziedzińcu oraz jeździć na swoim białym koniu, którego podarował jej ukochany ojciec – władca tej ziemi.

Tosia miała bujną wyobraźnię. Interesowała się zamkami i ruinami. Z upodobaniem oglądała w telewizji programy poświęcone tej tematyce. Rodzice kupili jej książki o zamkach i zwyczajach panujących na królewskich dworach. Tosia potrafiła wymienić większość najważniejszych zamków w Polsce.

– Idziesz do mnie, jak wrócimy?

Głos koleżanki wyrwał Tosię z zamyślenia.

– Nie – odparła.

– Czemu?

Sabina Nowakowska była jej najlepszą przyjaciółką. Dziewczynki chętnie spędzały razem czas. Tosia lubiła przychodzić do Sabiny, bo koleżanka miała dużo zabawek, a jej mama zawsze była miła. Często odwiedzała Tosię ciasteczkami i robiła gorącą czekoladę.

Ale na dzisiaj Tosia miała inne plany.

– Bo nie mogę.

– A co będziesz robiła?

Tosia milczała przez chwilę.

– Idę z mamą na zakupy – odparła w końcu.

– Twoja mama nie poszła do pracy?

– Wzięła urlop.

– A gdzie się wybieracie? Do Manufaktury?

Sabina bywała irytująca. Mama powtarzała, że jest źle wychowana i wścibska. Mówiła, że rodzice nie nauczyli jej, jak zachowywać się w towarzystwie. Kiedyś Sabina powiedziała mamie Tosi, że musi mało zarabiać, skoro mieszkają w małym mieszkaniu w bloku, zamiast kupić dom pod miastem. Kiedy wyszła, mama orzekła, że rodzice Sabiny musieli ich obmawiać. Skoro są tacy ciekawi, niech sami zapytają, powiedziała mama, a potem dodała, że woli odłożyć pieniądze, niż brać wysoki kredyt.

Tosia nie wiedziała, czym jest kredyt.

– Mogę pójść z wami? – zapytała Sabina.

- No... Nie wiem.
- Potem mogłybyśmy się pobawić.
- Chyba mama mi nie pozwoli.

Sabina pokiwała głową. Zdanie rodziców było dla dziewczynek najważniejsze. A oni czasem nie pozwalali na różne rzeczy.

- Dobra. A jutro przyjdziesz?
- Może po lekcjach?
- Super.

Tosia ucieszyła się, że koleżanka się na nią nie obraziła. Sabina miewała humory i obrażała się o różne błahostki. Na szczęście nigdy nie obrażała się na długo. Dziewczynki przybiły piątkę.

Autokar wjechał do miasta.

## 10

Mężczyzna powolnym, zaspanym krokiem przechadzał się ulicą. Słońce schowało się za chmurami. Spojrzał w niebo i pomyślał, że niedługo spadnie deszcz. Powietrze stało nieruchomo. On również przystanął. Ze zwieszonymi wzdłuż ciała rękoma wpatrywał się w chmury. Nie poruszał się, jakby w obawie, że zmaćci ciszę, która na kilka sekund zagościła w jego umyśle. Walczył ze sobą, choć wiedział, że walka jest skazana na porażkę.

Z lewej kieszeni spodni wyciągnął paczkę gum. Wsunął listek do ust i schował papieraek z powrotem do kieszeni. Rozejrzał się dookoła, myśląc o tym, że miasto schodzi na psy. Miano łodzianina dawniej napawało dumą, dziś nie było się czym chwalić. Kiedyś było to miasto przedsiębiorczych ludzi, którzy wiedzieli, dokąd pójść, z kim porozmawiać, żeby osiągnąć swój cel. W Łodzi odnalazłby się każdy kombinator. Obracano wieloma nielegalnymi towarami. Lewą wódkę i papierosy można było kupić na każdym rogu. Dzisiaj wysiedlano ludzi z centrum. Mężczyzna uważał, że miasto chyli się ku upadkowi. Zjechali tu biznesmeni z kieszeniami pełnymi zagranicznych pieniędzy. Budują siedziby swoich firm. Przeszkłone biurowce psują wizerunek robotniczego miasta. Nie pasują tutaj. Wejście na magnetyczną kartę, podziemny parking i kilku ochroniarzy broniących wstępu. To nie Warszawa. W biurze może się zatrudnić każdy głupek. Gdzie podziali się prawdziwi robotnicy?

Mężczyzna kopnął kamień, który potoczył się pod nogi kobiety stojącej na przystanku. Na ramieniu trzymała ubranego w polarowy kaftanik chudego pieska, który wyszczerzył na niego zęby.

– Uważaj pan.

Mężczyzna poczuł, jak przechodzień trąca go ramieniem. Nie zdążył zareagować, bo gość zniknął w wagonie tramwajowym. Zabrzączał dzwonek i drzwi się zamknęły. Tramwaj odjechał.

Lubił myśleć o sobie jak o myśliwym, choć to nie była prawda. Myśliwy poluje na ofiarę. Kiedy ją dopadnie, zabija. On nie chciał zabijać swoich ofiar. Nie chciał być myśliwym, chociaż czasem to było silniejsze od niego.

Wsunął dłoń do kieszeni. Szedł żwawym krokiem. Czuł, że krew w jego żyłach przyspiesza. Adrenalina. W oddali dostrzegł podjeżdżający przed szkołę autokar. Kierowca zatrzymał się przy głównej bramie, a po chwili z wnętrza wysypała się gromadka dzieci. Nauczycielki usiłowały je okiełznać. Nie miały łatwego zadania. Ulicę wypełnił gwar dziecięcych głosów.

Mężczyzna czekał.

Dzieci ustawiły się w pary, a potem się rozchodziły. Nauczycielki wyczytywały nazwiska z listy. Minęło go kilkoro uczniów, nawet na niego nie spoglądając. Szli w grupie po kilka osób lub parami.

Czuł się niewidzialny.

W tłumie dostrzegł zaniepokojoną dziewczęcą buzię. Rozglądała się zaniepokojona, pewnie w poszukiwaniu rodzica.

Odetchnął głęboko.

Obserwował.

## 11

Rudnicka patrzyła na szkic portretu mężczyzny z Parku na Zdrowiu, sporządzonego przez policyjnego rysownika na podstawie opisu Leona Piekły.

Lena położyła obok siebie także portret człowieka, którego widział świadek przed domem Wachowiaków w dniu zaginięcia Wiktora. Przysunęła sobie zdjęcie Arkadiusza Mieczkowskiego.

Mężczyzna, którego opisał Piekło, miał wąską twarz, cienkie usta przykryte gęstym wąsem, okulary przeciwsłoneczne i czapkę. Już po owalu twarzy można było stwierdzić, że facet z parku nie jest Arkadiuszem Mieczkowskim. Wprawdzie Mieczkowski miał bliznę na brwi, którą można było ukryć pod czapką, ale charakterystyczna kwadratowa szczeka kazała sądzić, że to nie jego spotkał Piekło.

– Cholera – mruknęła, opadając na oparcie krzesła. – Mam wrażenie, że to trzech różnych mężczyzn.

Iwan stanął za plecami Rudnickiej z kubkiem kawy w ręce.

– Bo to jest trzech różnych mężczyzn – odparł. – Nie widzę żadnych cech wspólnych. Nawet nie są do siebie podobni.

Lena jęknęła.

– Kim był facet, który do mnie dzwonił? – zapytała.

– Zakładam, że porywaczem. – Iwan upił łyk kawy. Odstawił kubek na biurko i usiadł obok Rudnickiej. – Powinniśmy zadać sobie pytanie, po co do ciebie dzwonił. Chciał się zabawić? Zagrać w jakąś grę? O co tu chodzi? Może powinniśmy mu uświadomić, że takie zabawy to nie z nami.

Marcel odchrząknął. Pomiedzy jego palcami tlił się papieros. Strużka dymu ulatywała za okno, przy którym stał.

– Mieczkowski to gość z nagrań monitoringu – oznajmił. – Co do tego wszyscy się zgadzamy, prawda?

Skinęli głowami.

– Kulejący facet pojawiał się w każdym z tych miejsc, gdzie zaginęły dzieci – ciągnął. – To nie może być przypadek. Pasuje idealnie. Cechują go skłonności pedofilskie, siedział w więzieniu i, co najważniejsze, kuleje. Jeśli wiemy, że się tam kręcił, musimy postawić sobie inne pytanie.

Lena rozłożyła ręce.

– Jakie? – zapytała.

– Może miał współnika?

– Jeśli zakładamy, że wierzymy bezdomnemu, z jego telefonu nie korzystał Mieczkowski. Piekło potwierdził, że facet nosił rękawiczki, więc nie mamy żadnych odcisków. Ale bezdomny miał z nim kontakt. Widział go. Portret, który udało się sporządzić, wskazuje, że nie spotkał Mieczkowskiego, ale innego faceta. Wygląd można zmienić. Dokleić wąsy, założyć okulary przeciwsłoneczne, zmienić kolor włosów albo ukryć je pod czapką. Ale żeby zmienić kształt twarzy, musisz przejść operację plastyczną. Poza tym Piekło twierdził, że nie zauważył, by facet kulał, a to wyklucza Mieczkowskiego.

– Czyli zakładamy, że jest ich dwóch?

Lena spojrzała na Marcela.

– Może mamy do czynienia z siatką pedofilską? – rzucił Tymon. Złożył dłonie na blacie biurka i z namysłem potarł podbródek. – Porywają dzieci, wykorzystują je, a potem porzucają ciała.

– Gdzie? – Iwan uniósł brwi. – Przypominam, że nie znaleźliśmy ciała.

– Na razie nie. A może dobrze je ukryli?

Rudnicka uniosła ręce.

– Jeśli mielibyśmy do czynienia z kilkoma osobami stojącymi za porwaniami dzieci, to miałyby sens – uznała. Postukała palcem w portrety pamięciowe. – Stąd taka rozbieżność w zeznaniach świadków.

– No właśnie – przyznał Tymon. – Tylko co nam to daje?

Wolski zgasił papierosa.

– Moim zdaniem matka Mieczkowskiego wie, gdzie on jest – powiedział. – Kryje syna, bo nie chce, żeby trafił kolejny raz do więzienia.

– Pod domem zostawiliśmy jej obserwację – powiedziała Lena. – Jeśli się pojawi, złapiemy go.

– Nie pojawi się, bo matka go uprzedziła.

Rudnicka zagryzła wargę.

– Mówiła, że Mieczkowski chodził na ryby – przypomniała. – Powinniśmy pogadać z jego kumplami od wędk. Może mają stałe miejsce, gdzie mógł się zadekować.

– Załatwię to – powiedział Tymon.

Rudnicka raz jeszcze spojrzała na portrety pamięciowe. Czy porywacz działał ze współnikiem? Nie była przekonana do tej teorii. W gruncie rzeczy pedofile nie działają stadnie. Pociąg seksualny do dzieci jest społecznie nieakceptowalny. Wewnętrzny wstyd nie pozwala im się ujawnić. Dlaczego Mieczkowski miałby brać współnika? Po co by tak ryzykował?

Ludzie są różni. Zdradzają. Odwracają się plecami. W przypadku zbrodni ryzyko jest dwa razy wyższe. Wspólnik może się wygadać przed innymi. Aby uratować własny tyłek, może pogrążyć drugą osobę na policji. Wspólnik to ogromne ryzyko, którego nie warto podejmować.

– Sprawdźcie kumpli Mieczkowskiego – poleciła. – Musimy znaleźć tego sukinsyna, chociażbyśmy mieli wyciągać go spod ziemi.

– Leno?

Rudnicka odwróciła głowę.

W drzwiach stanęła Natalia. Spuściła wzrok i wzięła głęboki wdech.

- Mamy kolejne zgłoszenie – oznajmiła.
- Co?
- Zaginęło kolejne dziecko.

## 12

Po dziesięciu latach w zawodzie doktor Dominika Grabowska potrafiła rozpoznać symulanta. Piętnastoletni Karol zjawiał się w jej gabinecie, gdy zbierała się do wyjścia. Opowiedział, że boli go gardło, choć podczas badania nie zauważyła żadnego zaczerwienienia. Całą noc męczyła go gorączka, ale chłopak wyglądał na wyspanego i zdrowego.

Uśmiechnęła się.

– Wiem, że jesteś zdrowy – powiedziała. – Dzisiaj nie byłeś w szkole, prawda?

Chłopak się zaczerwienił.

– Wypiszę ci zwolnienie lekarskie na dzisiaj – dodała. – Ale postaraj się więcej nie opuszczać lekcji, dobrze?

– Jasne, pani doktor.

W wieku piętnastu lat przychodzą człowiekowi do głowy różne, niekoniecznie rozsądne pomysły. Symulowanie choroby zdarza się każdemu nastolatkowi.

Po wyjściu młodego pacjenta Grabowska założyła płaszcz. Przez ramię przewiesiła torebkę Louis Vuitton. Wyszła do poczekalni. Pacjenci uśmiechnęli się na jej widok. Była lubiana. Nikomu nie odmawiała pomocy. Nie miała problemu, by zostać po godzinach. Była lekarzem z powołania. Kochała pomagać ludziom i uwielbiała swój zawód. Lata nauki i wyrzeczeń się opłaciły.

Przeszła do rejestracji.

– Doktor Zgorzelski już przyszedł? – zapytała.

Rejestratorka medyczna podniosła głowę.

– Tak – odparła. – Poszedł się przebrać i panią zmieni.

– Znowu przyjechał rowerem?

Dziewczyna przytaknęła.

– I tak od tygodnia. – Zaśmiała się z sympatią.

Doktor Zgorzelski w ramach powrotu do formy od tygodnia jeździł do pracy rowerem. Miał kilka kilogramów nadwagi, którą chciał zrzucić do lata. Wraz z żoną wybierali się na wakacje do Hiszpanii. Grabowska uśmiechała się na widok spokojnego kolegi, ale doceniała zapał, z jakim wziął się do odchudzania.

– Wychodzę – powiedziała. – Jutro mam dyżur od ósmej.

Rejestratorka wystukiwała wiadomość na telefonie. Nawet nie spojrzała na Grabowską. Skierowano ją do kliniki z urzędu pracy, ale najwidoczniej zapisywanie pacjentów na wizyty nie było szczytem marzeń Eweliny. Kiedyś wspominała, że próbowała dwukrotnie dostać się na prawo. Grabowska postanowiła, że jutro przed dyżurem porozmawia z Eweliną na temat pracy. Kilka razy była świadkiem obcesowego i mało kulturalnego zachowania dziewczyny nie tylko wobec pacjentów, ale również lekarzy. Przychodnia prowadzona przez Grabowską i Zgorzelskiego stawiała na dobro i komfort pacjentów. Rejestratorka rozmawiająca z pacjentami za karę nie była im do niczego potrzebna.

Grabowska wsiadła do volva XC90. W samochodzie unosiła się woń tropikalnego zapachu samochodowego. Droga do szkoły Antosi zajęła jej dłużej, niż sądziła. Utknęła przy zmianie świateł na Piłsudskiego. Pod szkołę przy Jurczyńskiego dotarła spóźniona dwadzieścia minut. Dochodziła trzynasta.

Pod szkołą nie zauważyła autokaru. Uznała, że dzieci jeszcze nie wróciły z wycieczki. Zgasiła silnik i odchyliła głowę na zagłówek. Sprawdziła wiadomości, ale Tosia nie wysłała żadnej. Grabowska postanowiła poczekać dziesięć minut i zadzwonić do córki. Nie chciała jej przeszkadzać. Niedawno kupili Tosi komórkę. Jest na tyle duża, że powinna mieć własny telefon, uznał mąż, a Dominika zgodziła się na zakup ze względów bezpieczeństwa. Warto wiedzieć, gdzie znajduje się dziecko, szczególnie w niebezpiecznych czasach, jakie nastały. Grabowska starała się nie nadużywać władzy i nie kontrolować Antosi na każdym kroku. Nie chciała, by koleżanki się z niej śmiały, że nadopiekuńcza matka nieustannie do niej wydzwaniania.

Po upływie dziesięciu minut Dominika sprawdziła smartfon. Na ekranie wyświetliła się wiadomość od męża. Prosił, by kupiła pieczywo na kolację, bo on nie zdąży wrócić przed dziewiętnastą. Jak zwykle, pomyślała Grabowska, odkładając komórkę. Doceniała, że Bartosz jest pracowity i opiekuńczy, ale w ostatnim czasie jego praca stawała się zbyt angażująca. Zaniedbywał rodzinę. Nie spędzał czasu z córką, która tak bardzo go potrzebowała. Wychodził wczesnym rankiem i wracał, gdy Tosia już spała.

Przyjaciółka Dominiki zasugerowała kiedyś, że Bartosz ma kochankę. Dominika uśmiechnęła się i zaprzeczyła. Odparła, że nigdy nie podejrzewałaby męża o romans, ale w głębi duszy bała się, że koleżanka może mieć rację. Tłumaczyła sobie, że Bartosz robi wszystko, by zapewnić rodzinie jak najlepsze życie, ale zwyczajnie zatracił się

w pracy. Był odpowiedzialnym mężczyzną zarówno w domu, jak i w życiu zawodowym. Musiał wszystkiego dopilnować samodzielnie. Z czasem Dominika nabierała coraz więcej wątpliwości.

Wyjrzała przez szybę. Autokar nie nadjeżdżał, więc odetchnęła głęboko i wybrała numer córki. Po kilku sygnałach włączyła się poczta głosowa.

– Cholera – mruknęła.

Wsiadła z samochodu. Omiotła wzrokiem dwupiętrowy budynek szkoły. Niebo pociemniało. Weszła głównym wejściem i poszukała sekretariatu. W budynku była raptem kilka razy, głównie na zebraniach z wychowawczynią. Kiedy odbierała i zaprowadzała córkę do szkoły, zazwyczaj wysadzała ją przed bramą. Tosia była samodzielnym dzieckiem. Nie chciała, by mama odprowadzała ją do szatni.

– Przepraszam? – zagadnęła kobietę przechodzącą korytarzem.

– Tak?

Nauczycielka poprawiła trzymane na ramieniu zeszyty.

– Nazywam się Dominika Grabowska, jestem mamą Antosi. – Grabowska poczuła na sobie przenikliwy wzrok nauczycielki i poczuła się głupio. Pomyślała, że wycieczka zwyczajnie się przedłużyła, a ona niepotrzebnie panikuje.

– Moja córka była na wycieczce w Kazimierzu – dodała, jakby chciała przekonać samą siebie, że postępuje słusznie.

– Wiem, wiem – powiedziała prędko kobieta, zerkając na zegar ścienny w korytarzu. – Wrócili pół godziny temu.

– Wrócili?

– Tak. – Nauczycielka zmarszczyła brwi. – A o co chodzi? Coś się stało?

Grabowska machnęła ręką.

– Sama nie wiem – odparła. – Przyjechałam odebrać Tosię. Umówiliśmy się przed szkołą, ale jej nie ma, więc pomyślałam, że...

– O której pani przyjechała?

– No... Właściwie to niedawno. Dziesięć minut temu.

Nauczycielka milczała przez chwilę.

– Dzwoniła pani do córki? – zapytała.

– Nie odbiera.

– Proszę za mną. – Kobieta weszła do pokoju nauczycielskiego i położyła zeszyty na skraju długiego stołu. Poprowadziła Grabowską w głąb korytarza, a potem skręciła w prawo na schody wiodące na dół do stołówki i świetlicy. Grabowska poczuła zapach jedzenia. Smażonego mięsa i ziemniaków. – Dzieci, których nie odebrali rodzice, czekają na świetlicy.

– Och – ucieszyła się Dominika. – To świetnie, bo zaczęłam się martwić.

Świetlica szkolna była wyłożona miękkim dywanem. Na kolorowych ścianach wisiały rysunki, tablica korkowa i plakaty edukacyjne. Regały z książkami i grammi planszowymi stały tuż przy wejściu. Zaraz obok znajdowało się biurko opiekunki świetlicy.

– Cześć, Bożenka – przywitała się nauczycielka. – Masz listę dzieci, które zapisane były na świetlicę dzisiaj?

Opiekunka rzuciła okiem na obie kobiety, a potem skinęła głową.

– Kogo szukasz? – zapytała i przesunęła kartkę po blacie.

Nauczycielka wzięła ją w rękę i przebiegła wzrokiem listę.

– Na liście nie ma Tosi – poinformowała.

Grabowska wpatrywała się w bawiące się dzieci, szukając wśród nich swojej córki.

– Pani Dominiko, na liście nie ma Tosi. Miała ją pani odebrać po wycieczce?

– Trochę się spóźniłam. Myślałam, że wróciła do szkoły, żeby na mnie poczekać.

Nauczycielka zacisnęła usta.

– Proszę zadzwonić do córki jeszcze raz – poradziła Grabowskiej.

## 13

Ulica Jurczyńskiego, przy której znajdowała się Szkoła Podstawowa nr 12, została zamknięta. Po obu stronach drogi stały radiowozy. Odcinały możliwość wjazdu przed budynek. Za policyjnymi samochodami zebrał się tłum gapiów. Na balkony stojącego naprzeciwko szkoły bloku wyszli zaciekawieni mieszkańcy. Jeszcze nie wiedzieli, że zaginęła kolejna dziewczynka. Zastanawiali się, dlaczego tuż przed ich blokiem kręci się aż tylu policjantów.

Komisarz Rudnicka omiotła wzrokiem okolice i podeszła do mundurowego.

– Masz przy sobie telefon? – zapytała.

– Jasna sprawa.

– Zrób im zdjęcie. – Wskazała na gapiów. – Tak, żeby się nie zorientowali.

– Robi się.

Doświadczenie nauczyło ją, że sprawcy wracają na miejsce zbrodni. Chociaż wątpiła, by w tym przypadku tak było. Od zniknięcia dziewczynki upłynęła niespełna godzina. Służby zadziały błyskawicznie. To za mało czasu, by ukryć dziecko i wrócić na miejsce.

Ale przezorności nigdy dość.

Rudnicka zachowywała ostrożność. Nie chciała budzić niepotrzebnej paniki. Zastosowali wszystkie środki, jakie wdrażano w przypadku zaginięcia dziecka. Antosia jednak mogła zgubić telefon. Wiele mogło się wydarzyć. Może bawiła się z koleżanką i zapomniała poinformować matkę?

Rudnicka obiecała sobie, że zrobi wszystko, by odnaleźć Tosię żywą.

– Gdzie są rodzice? – zapytała Tymona.

Milewski nerwowo palił papierosa. Postawił kołnierz kurtki, żeby osłonić się od wiatru. Kiwnął głową w kierunku kobiety rozmawiającej przez telefon.

– Matka przyjechała odebrać córkę z wycieczki szkolnej – odparł. – Trochę się spóźniła. Tosi przed szkołą nie było, kiedy przyjechała. Sądziła, że dzieci jeszcze nie wrócili. Odczekała chwilę, a potem poszła szukać w szkole.

– A ojciec?

– W pracy.

– Powiadomiony?

– Chuj wie. Wszystko dzieje się tak szybko.

Tymon wyrzucił niedopałek. Oczy mu pociemniały, a prawa dłoń lekko drżała.

– Czekam na zadania – powiedział. – Ty tu rządzisz, ale przyrzekam, że jak spotkam tego skurwiela, nie ręczę za siebie. – Splunął na ziemię i wsunął ręce do kieszeni spodni. – Idę pomóc w poszukiwaniach. Mundurowi przeczesaują teren wokół szkoły.

– Okej. Dam znać, gdybym cię potrzebowała.

Milewski odszedł bez słowa. Gdy mijał Wolskiego, klepnął go w ramię i szepnął mu coś do ucha. Marcel pokiwał głową i dołączył do Tymona.

Rudnicka przez chwilę patrzyła za nimi. Wzięła głęboki oddech i spojrzała w kierunku matki dziewczynki. Kobieta rozmawiała z kimś przez telefon. Wyglądała młodo. Raczej nie przekroczyła czterdziestki. Miała na sobie elegancki płaszcz do połowy łydki, a na ramieniu torebkę drogiej matki, którą wolną ręką przyciskała do ciała.

– Pani Grabowska? – zapytała Rudnicka.

Kobieta rozłączyła się i schowała telefon do kieszeni płaszcza.

– Tak – odparła.

– Komisarz Rudnicka. – Lena pokazała legitymację policyjną. – Prowadzę poszukiwania pani córki.

– Wreszcie jakiś konkret, bo... – westchnęła ciężko Grabowska. – Odchodzę od zmysłów.

– Spokojnie. Wiem, że w zaistniałej sytuacji to nie jest łatwe, ale jeśli chcemy odnaleźć Antosię, powinniśmy współpracować.

Grabowska była zła i zagubiona. Pokiwała pospiesznie głową.

– Nie wiem, gdzie jest moje dziecko – powiedziała cicho. – W takiej sytuacji nie potrafię być spokojna.

– Gdzie jest pani mąż?

– W pracy. Właśnie z nim rozmawiałam. Zaraz tutaj przyjedzie. Boże... Gdzie ona jest? – Grabowska ukryła twarz w dłoniach. – Nie wiem, co robić. Szukałam Antosi razem z nauczycielką. Myślałam... Myślałam, że poszła na świetlicę, ale tam jej nie było!

Na twarzy Grabowskiej pojawiły się czarne smugi rozmazanego tuszu do rzęs.

– Policjanci szukają Tosi w okolicy – oznajmiła Rudnicka. – Proszę opowiedzieć, co dokładnie się wydarzyło.

Grabowska spojrzała na nią, jakby nie zrozumiała prośby.

– Tosia była na wycieczce, tak? – zaczęła Rudnicka.

– Tak, tak. – Grabowska wyjęła z torebki jednorazową chusteczkę i wytarła oczy. – Pojechała z klasą do Kazimierza. Wyjechali wczoraj, a dziś o dwunastej trzydzieści mieli wrócić. Umówiłam się z Tosią, że po nią przyjadę. Pracuję w przychodni. Jestem pediatrą. Mam możliwość ustalenia dyżurów w taki sposób, żeby zajmować się dzieckiem.

– O której pojawiła się pani przed szkołą?

– Spóźniłam się dwadzieścia minut. Miałam pacjenta, który jak się okazało, symulował chorobę, a potem stałam chwilę w korkach.

– Czyli przed szkołą była pani o dwunastej pięćdziesiąt?

– Mniej więcej.

– Co pani zrobiła, kiedy okazało się, że Tosi nie ma?

– Myślałam, że jeszcze nie wrócili. Postanowiłam poczekać w samochodzie.

– Nie dzwoniła pani do córki?

– Nie.

Lena przekrzywiła głowę.

– Dlaczego? – zapytała.

– Sądziłam, że jest z koleżankami w autokarze. Nie chciałam wyjść na nadopiekuńczą matkę. – Grabowska z trudem łąpała oddech. Wytarła mokre oczy i zgmiotła chusteczkę w kulkę. – Ale... Boże... Gdybym do niej

zadzwoiła, może nic by się nie stało...

– Proszę tak nie myśleć.

Grabowska zaszlochała.

– Ale w końcu uznałam, że pół godziny spóźnienia to dosyć długo. Wybrałam numer córki, ale nie odebrała telefonu. Trochę się zaniepokoiłam, więc poszłam do szkoły. Pomyślałam, że Tosia jednak wróciła i czeka na korytarzu albo w świetlicy. Spotkałam jakąś nauczycielkę i zapytałam ją, czy wie, gdzie jest Tosia. Ale...

– Tak?

– Poszliśmy do świetlicy, gdzie były dzieci czekające na rodziców. Nie było tam mojej córki.

– Która była godzina?

– Chwilę po trzynastej.

Pół godziny od przyjazdu autokaru. To wystarczająco dużo czasu, by porwać dziecko.

– Razem z nauczycielką przeszukałyśmy szkołę, a potem teren wokół budynku – powiedziała Grabowska. – Ani śladu Tosi. Nigdzie jej nie było.

– Wtedy zadzwoniła pani na policję?

– Tak.

– Dlaczego tak długo czekała pani z zawiadomieniem policji?

– Boże, nie wiem! Myślałam, że Tosia po prostu gdzieś poszła, ale kiedy nigdzie jej nie znalazłyśmy... Chryste...

Moja kochana córeczka!

Rudnicka obejrzała się przez ramię i zobaczyła nadchodzącego mężczyznę.

Zastanowiła się nad związkiem pomiędzy zaginionymi dziećmi. Łączący punkt ułatwiłby sprawę. Wskazałby kierunek, w którym należałoby poprowadzić się śledztwo. Dzieci uprowadzono z różnych rejonów Łodzi. Porywacz nie ograniczał się do jednego obszaru, co również było cenną wskazówką.

– Dominiko!

Grabowska ruszyła w kierunku zbliżającego się mężczyzny. Zaszlochała, wpadając mu w ramiona. Mężczyzna objął ją i mocno przytulił, a potem odsunął na długość ramion. Spojrzał na nią, przeniósł wzrok na komisarz Rudnicką. Na twarzy Bartosza Grabowskiego odmalowywało się niedowierzanie, jakby wciąż miał nadzieję, że córka zaraz odnajdzie się cała i zdrowa.

Uniósł pytająco brwi.

– Czy to prawda? – zapytał.

Grabowska skinęła głową. Odsunęła się od męża i wydmuchała nos. Rudnicka domyśliła się, że matka Antosi opowiedziała mężowi o swoim spóźnieniu. Jeśli porywacz obserwował dzieci wracające z wycieczki, z pewnością dostrzegł w tłumie zagubioną dziewczynkę, która szuka rodziców. Lena była pewna, że prędzej czy później pomiędzy małżeństwem dojdzie do kłótni i wzajemnego obwiniania. Na razie było na to za wcześnie. Oboje byli zagubieni. Jeśli ktoś rzeczywiście porwał Antosie, życie tych dwojga ludzi już nigdy nie będzie takie samo.

– Szukacie mojej córki? – zapytał Grabowski.

– Policjanci przeszukują teren. Czekamy na psa tropiącego. Robimy wszystko, żeby ją odnaleźć – zapewniła Lena.

– Moja mała dziewczynka... – Bartosz urwał i powiódł wzrokiem po okolicy. Na miejscu pracowało kilkudziesięciu policjantów. Jeśli porywaczowi kolejny raz uda się zniknąć bez śladu, Grabowski obiecał sobie, że pociągnie kogoś do odpowiedzialności.

Spojrzał na Rudnicką.

– Znajdziemy Antosie – zapewniła.

– Powtarzałam mojej córce, cholera, prosiłam ją, żeby uważała na nieznajomych. Wszyscy wiemy, co dzieje się w mieście. Wiemy, że grasuje porywacz dzieci. Mówiłam jej, żeby pod żadnym pozorem nie rozmawiała z obcymi.

– To tylko dziecko – odezwała się jego żona.

– Gdyby mnie posłuchała, byłaby z nami. A teraz? Gdzie ona jest? Jeśli ten sukinsyn ją skrzywdzi, obiecuję, że go dorwę i....

Grabowski odetchnął ciężko. Był typem mężczyzny, za którym obejrzałaby się niejedna kobieta. Atletyczna sylwetka, starannie zaczesane włosy i okulary w kwadratowych oprawkach. Był ubrany w modne spodnie do kostek. Spod jasnego płaszcza wystawała koszula w kratę.

– Pani komisarz?

Młody policjant przystanął. Uniósł lewą dłoń, w której trzymał foliową torbę z jakimś przedmiotem w środku.

– Znaleźliśmy telefon – poinformował. – Chyba...

– To komórka Antosi – Grabowska weszła mu w słowo. – Niedawno jej kupiliśmy...

Rudnicka wzięła do ręki torbę z aparatem w różowym etui.

Roksana Stępień patrzyła na policjantkę tępym wzrokiem. Kobiety siedziały na ławce przed budynkiem szkoły. Stępień trzymała w dłoniach chusteczkę. Oczy miała zaszklone, ale nie płakała. Oddychała ciężko. Sprawiała wrażenie nieobecnej.

– To pani była opiekunką klasy Tosi na wycieczce? – zapytała Rudnicka.

Kobieta pokiwała głową.

– Jestem wychowawczynią jej klasy – wyjaśniła. – To moje pierwsze wychowawstwo. Niedawno zaczęłam pracę w szkole.

– Jakiego przedmiotu pani uczy?

– Angielskiego.

Stępień miała nie więcej niż trzydzieści lat. W normalnych okolicznościach tryskała dobrym humorem. Była uśmiechniętą i pełną życia kobietą, jednak teraz na jej twarzy malowało się przerażenie.

– O której wróciście z wycieczki? – zapytała komisarz.

– Koło wpół do pierwszej.

– Mhm.

– Staramy się pilnować dzieci... Dyrektor przestrzegał nas przed zagrożeniem. Wszyscy nauczyciele są wyczerpani na obcych kręcących się wokół szkoły. Podwoiliśmy dyżury na przerwach.

– Rozsądne.

– Mieliśmy listę dzieci. Przed wycieczką rodzice mieli obowiązek zgłosić, jeśli odbiorą dziecko później. Kiedy wróciliśmy z wycieczki, wiele osób było w pracy. Dzieci z listy miały poczekać na rodziców w szkolnej świetlicy. Na liście było około dwudziestu nazwisk. Moja koleżanka Renia odczytywała nazwiska, a dzieci przechodziły do głównych drzwi. Odliczyliśmy wszystkie i przypilnowaliśmy, by reszta pojechała z rodzicami.

– Przypilnowałyście panie?

– Tak.

– A co z Antosią?

Kobieta zadrżała. Nie dopilnowała Antosi Grabowskiej. Przeoczenie, które mogło okazać się tragiczne w skutkach. Jeśli cokolwiek stanie się dziewczynce, Roksana Stępień do końca życia będzie czuła się winna. Rudnicka wierzyła, że kobiety starały się pilnować dzieci. Wierzyła również, że upilnowanie kilkudziesięciu dzieciaków z podstawówki nie było łatwe.

Nauczycielka odwróciła wzrok. Zaciśnęła usta w cienką linię, usiłując powstrzymać płacz.

– To moja wina – jęknęła.

– Czy po wyjściu z autokaru widziała pani Antosię?

– Nie wiem, jak to mogło się stać. Jak mogłam stracić ją z oczu.

– Jak wyglądało odliczanie dzieci, po których przyjechali rodzice?

– Było zamieszanie, jak to z dziećmi. Krzyczały i przepychały się nawzajem. Poprosiliśmy kierowcę autokaru, żeby otworzył tylko przednie drzwi, ponieważ wtedy łatwiej zapanować nad dziećmi. Kiedy człowiek ma pod opieką dwoje czy troje, można mieć nad nimi kontrolę, ale gdy z autokaru wysypałoby się czterdzieścioro dzieci, szybko powstaje chaos. Kierowca obiecał, że otworzy przednie drzwi, ale przez roztargnienie po dotarciu na miejsce otworzył też boczne, te pośrodku autokaru. Zanim zdążyliśmy zareagować, część dzieciaków wybiegła na zewnątrz. – Stępień wzięła głęboki oddech. – Powiem szczerze, pani komisarz, zanim wysiadłam z autokaru, widziałam dzieciaki biegnące do samochodów rodziców.

– Pomyślała pani, że Tosia również pojechała już z mamą?

– Powinłam sprawdzić. To mój błąd. Taka sytuacja nie powinna się wydarzyć. Gdy teraz o tym myślę, mogłyśmy zawrócić dzieci z powrotem do autokaru. Przeliczyć i wypuszczać po kolei. Może udałoby się uniknąć tragedii.

Lena zmarszczyła czoło i czekała, aż nauczycielka się uspokoi.

– Co było dalej? – zapytała.

– Dzieciaki były na zewnątrz. Wspólnie z koleżankami próbowałyśmy je uspokoić. Chłopcy się bili. Niby na żarty, ale w takich sytuacjach należy być ostrożnym. Byli bardzo głośni, więc jedna z nauczycielek poszła zwrócić im uwagę. Druga odliczała dzieci z listy. Te, których nazwiska wyczytała, przechodziły do głównych drzwi szkoły.

– A pani co robiła?

– Sprawdziałam autokar. Musiałam zobaczyć, czy wszyscy wysiedli i czy nie zostały jakieś prywatne rzeczy dzieci.

– Nic nie zostało?

– Nic oprócz papierków i opakowań po napojach. Dzieci zostawiły śmieci pod siedzeniami. To standard. Przeprosiłam za to kierowcę, ale powiedział, że bym się tym nie zajmowała. Zamierzał posprzątać po dotarciu do bazy.

Rudnicka zastanowiła się przez chwilę, a potem zapytała:

– Tosia na pewno wróciła z wami z Kazimierza, prawda?

– Oczywiście, że tak.

– Widziała ją pani w autokarze?

– Tak. Nawet z nią rozmawiałam. Poza tym po każdym przystanku, na przykład do toalety, odliczałyśmy dzieci. Czytałyśmy listę obecności, a potem któraś z nas przeliczała dzieciaki.

– O czym rozmawiała pani z Tosią?



– Podchodziłam do wszystkich dzieci po kolei i pytałam, czy rodzice na pewno je odbiorą. Na wszelki wypadek, gdyby komuś coś wypadło. Wolałam o tym wiedzieć. Wtedy dopisałam nazwisko dziecka do listy na świetlicę.

– Ktoś się wyłamał?

– Nie – odparła nauczycielka. – Tosia również potwierdziła, że mama ma po nią przyjechać.

Rudnicka nerwowo odgarnęła włosy z twarzy. Nie powinna okazywać emocji przy świadku, ale zniknięcie kolejnego dziecka traktowała jako osobiste wyzwanie. Pomyślała, że jeśli kiedykolwiek miałyby wrócić do pracy w terenie, musi odnaleźć zaginioną dziewczynkę żywą. W innym wypadku zwątpi we własne umiejętności.

– Jaka jest Tosia? – zapytała.

– To wesoła dziewczynka. – Kobieta się uśmiechnęła. – Mała mądrała.

– To znaczy?

– Tosia jest bardzo mądra jak na swój wiek. Dobrze się uczy. Czyta dużo książek, więc ma wiedzę, jakiej nie mają jej rówieśnicy. Interesuje się historią. Głównie zamkami i starym budownictwem.

– Ciekawe zainteresowania jak na siedmiolatkę.

– Osobliwe, to prawda – przyznała Stępień. – Ale nie powiedziałabym, że dziwne. Chłopcy interesują się samochodami i grammi komputerowymi, dziewczynki czytają o kosmetykach i serialach. To tylko stereotypy. W rzeczywistości dzieci mają różnorodne zainteresowania.

– A podczas wycieczki? Czy Tosia zachowywała się jakoś inaczej?

Stępień wyglądała, jakby szukała w pamięci zdarzenia, które zainteresowałyby policjantkę, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

– Nie – odparła po namyśle. – Niczego takiego nie zauważyłam. Tosia była zadowolona z wyjazdu. Dużo czasu spędzała ze swoją najlepszą przyjaciółką, Sabiną Nowakowską... – Nauczycielka zawiesiła głos. – A może poszła do Sabiny, kiedy zobaczyła, że mama po nią nie przyjechała, i postanowiła tam poczekać?

W głosie nauczycielki brzmiała nadzieja. W sumie niezły trop, pomyślała Rudnicka.

– Zna pani jej adres? – zapytała.

– Mieszka w którymś z wieżowców od strony placu zabaw. – Wychowawczynie obróciła się, spoglądając na pobliskie bloki. – Mogę sprawdzić dokładny adres w sekretariacie.

– Bardzo proszę.

Stępień kiwnęła głową i poderwała się na równe nogi. Po chwili zniknęła w budynku szkoły. Gdy Rudnicka została sama, podeszła do stojących nieopodal policjantów. Na masce samochodu rozłożyła mapę okolicy i rozdysponowała zadania. Podzieliła teren na cztery części. Czworo policjantów odpowiadało za każdy z przydzielonych obszarów.

– Zbierzcie ludzi – poleciała Rudnicka. – I weźcie rodziców dziewczynki. Muszą brać udział w poszukiwaniach. Powinni czuć się przydatni. Zwariują, jeśli będą siedzieć z założonymi rękami. Sprawdźcie wszystkie zakamarki, kontenery na śmieci i każdą dziurę, w której zmieściłaby się siedmioletnia dziewczynka.

– Tak jest.

Pogoda nie sprzyjała poszukiwaniom. Zaczął się padać deszcz. Za policyjną blokadą Rudnicka dostrzegła zamieszanie. Zakłęła pod nosem, gdy rozpoznała kilku dziennikarzy.

– Pani komisarz?! – zawołała nauczycielka. – Mam adres Sabiny!

Lena wzięła od kobiety kartkę i spojrzała na zapisany adres. Tak jak mówiła nauczycielka, Sabina Nowakowska mieszkała tuż obok. W wieżowcu za placem zabaw.

– Dziękuję – odparła.

Lena wiele by dała, aby okazało się, że Antosia bawi się u przyjaciółki. Policyjna intuicja mówiła jej jednak coś innego. Czuła coraz większy niepokój. Zerknęła na zegarek. Dochodziła czternasta czterdzieści. Dwie godziny od zniknięcia dziecka.

– Tymonie? – Podeszła do Milewskiego i podała mu kartkę z adresem Sabiny. – Weź Wolskiego i idźcie porozmawiać z tą dziewczynką.

– Kim ona jest?

– Sabina Nowakowska. To najlepsza przyjaciółka Tosi. Nauczycielka twierdzi, że istnieje szansa, że Tosia poszła do niej się pobawić.

– Dopiero teraz przyszło jej to do głowy?

– Idź! – warknęła.

Kiedy się oddalił, powiodła wzrokiem po okolicy. Zmrużyła oczy i poczuła przyływ gorąca. Podbiegła z powrotem do nauczycielki.

– Kamera na budynku szkoły działa, prawda? – zapytała.

– Myślę, że tak.

– Gdzie są nagrania?

– W sekretariacie.

– Chodźmy.

Sekretarka poprosiła nauczyciela informatyki, żeby pomógł jej odszukać nagrania z monitoringu. Starsza kobieta opanowała jedynie podstawy obsługi programów biurowych i przeglądarki internetowej.

– Może pan zrobić kopie? – zapytała Rudnicka.

– Oczywiście.

– Najlepiej z ostatnich dwóch tygodni.

Komisarz zakładała, że sprawca zrobił rozeznanie w terenie, zanim zdecydował się na porwanie konkretnego dziecka. Jeśli na nagraniach z monitoringu z okresu dwóch tygodni policjanci nie znajdą nic niepokojącego, sięgną po starsze nagrania. Nie wiadomo, kiedy porywacz pojawił się pod szkołą po raz pierwszy.

Bo Rudnicka była pewna, że się pojawił. Obserwował szkołę z bezpiecznej odległości. Być może udawał pracownika robót publicznych albo wyprowadzał psa na spacer i dyskretnie podpatrywał mijające go dzieci. Szukał odpowiedniego. Analizował, o której kończy lekcje, dokąd idzie po szkole, czy wraca do domu autobusem, czy idzie pieszo. Lena była przekonana, że krążył w pobliżu szkoły i czekał na odpowiedni moment. Dziś nadarzyła się okazja.

– A teraz proszę puścić nagranie z dzisiaj – poleciła. – Powiedzmy od dwunastej.

Mężczyzna poprawił się na skrzypiącym krześle i kliknął coś w komputerze. Rudnicka nachyliła się do monitora.

Dyrektorka szkoły wyraziła chęć pomocy. Bez przeszkód pozwoliła Rudnickiej obejrzeć nagrania z monitoringu. Wyjaśniła, że kamery znajdują się przy głównych drzwiach i bocznych wejściach – jedna od strony sali gimnastycznej i dwie przy drzwiach w pomieszczeniu gospodarczym oraz przy wyjściu ze wschodniego korytarza. Oprócz kamer zewnętrznych szkoła posiadała również monitoring przy schodach na każdym piętrze.

Informatyk odszukał odpowiednie nagranie. Przesunął do godziny dwunastej i uruchomił zapis.

Na nagraniu było widać przechodzących ludzi spieszących do pracy lub szkoły. Z budynku wychodziły dzieci, siadały na ławkach, a gdy kończyła się przerwa, wracały do środka.

– Pan zatrzyma – zarządziła Rudnicka. – I cofnie o jakieś trzy minuty.

Mężczyzna wykonał polecenie, a komisarz nachyliła się do monitora.

– Znają panie tego faceta? – zapytała.

Sekretarka i dyrektorka szkoły przyjrzały się mężczyźnie na monitorze. Pokręciły przecząco głowami.

– On już tu był – powiedziała Lena. – Trzy razy pojawia się na nagraniu. Proszę przesunąć o kolejne dwie minuty.

Informatyk przesunął suwak nagrania.

– Spójrzcie. – Rudnicka pokazała palcem mężczyznę, który szedł ulicą po drugiej stronie szkoły. – Idzie, nie patrząc na budynek. Udaje, że się spieszy. – Nagranie trwało, a Rudnicka czekała na odpowiedni moment, by je zatrzymać. Kliknęła „stop” w chwili, kiedy na ekranie pojawił się mężczyzna zmierzający w przeciwnym kierunku. – To ten sam facet – oznajmiła.

To jeszcze nic nie znaczyło. Ten człowiek mógł mieszkać w jednym z okolicznych bloków. Na przykład wybrał się do sklepu i po kilku minutach tą samą drogą wracał do domu. Nie miał ze sobą żadnych zakupów, ale równie dobrze mógł wyjść po papierosy i schować paczkę do kieszeni. Tyle że ten mężczyzna kulał na lewą nogę.

Siedem minut przed trzynastą pojawił się na nagraniu po raz trzeci.

Szczupły i wysoki, był ubrany w granatowe dżinsy, adidasy i czarną kurtkę z kapturem. Na głowie miał czapkę z daszkiem. Przechodząc obok głównego wejścia do szkoły, lekko odwracał głowę w prawą stronę. Wiedział, że nad drzwiami wisi kamera. Chował twarz, by go nie uchwyciła.

– To on – powiedziała komisarz. – To, kurwa, on.

– Jezu – stęknęła dyrektorka. – Gdybym wiedziała...

– Nie mogła pani wiedzieć.

– Tak, ale...

– Wydrukuj mi pan jego zdjęcie? – zapytała informatyka, który pospiesznie skinął głową.

– Już się robi – zapewnił, a po chwili z drukarki wypłynęła rozmazana fotografia faceta w czapce z daszkiem.

Rudnicka wzięła ją do ręki. Niewiele było widać, ale lepsze to niż nic.

– Pani komisarz? – Do sekretariatu weszła Roksana Stępień, wychowawczyni Tosi. – Odwołaliśmy lekcje. W takiej sytuacji trudno skupić się na nauce. Dzieci są pod opieką części nauczycieli. Pozostali chcieliby wziąć udział w poszukiwaniach.

Rudnicka wyraziła zgodę. Przyda się każda para oczu, pomyślała.

– Znajdźcie podkomisarza Iwana Szewkę – poleciła. – On powie wam, co macie robić.

– Dziękujemy.

Drzwi się zamknęły.

– Proszę puścić nagranie dalej – poprosiła Rudnicka.

Uważnie obserwowała zapis z kamery, notując w pamięci każdy szczegół. Autokar zaparkował przed szkołą. Stanął po prawej stronie, żeby dzieci mogły wysiąść na chodnik. Niestety zasłaniał drugą stronę ulicy. A właśnie tam mógł stać porywacz.

Zgodnie z tym, co mówiła wychowawczyni Tosi, kierowca otworzył dwoje drzwi. Na zewnątrz wysypały się dzieciaki. Jedna z nauczycielek rozdzieliła bijących się chłopców. Część uczniów podeszła do stojących na

dziecińcu rodziców. Druga nauczycielka wyjęła zeszyt i długopis. Wyczytywała nazwiska tych, które przechodziły za jej plecy. To były dzieci zapisane na świetlicę.

W tłumie Rudnicka nie dostrzegła Tosi. Otworzyła w telefonie jej zdjęcie, które dyżurny przesłał jej zaraz po zniknięciu dziewczynki.

– Która to Tosia? – zapytała.

– Tutaj. – Dyrektorka wskazała na dziewczynkę z plecakiem.

Dziewczynka stała na chodniku i rozmawiała z koleżanką. Rudnicka pomyślała, że to pewnie Sabina Nowakowska, jej najlepsza przyjaciółka. Obie dziewczynki rozmawiały przez minutę, a potem wychyliły głowy, jakby sprawdzały, czy mama Tosi czeka na nią w samochodzie. Kamera znajdowała się zbyt daleko, by dostrzec na twarzy Tosi zawód, ale musiało zrobić się jej przykro, ponieważ zwiesiła ramiona i przyłożyła rękę do oczu.

Plakała?

Matki Tosi nie było, więc dziewczynka powinna pójść do nauczycielki poinformować ją o sytuacji. Zamiast tego ruszyła z koleżanką chodnikiem. Kamera straciła ją z oczu.

– Poszła z koleżanką? – ucieszyła się sekretarka. – Czyli pewnie dziewczynki bawią się razem! I Tosia jest cała i zdrowa!

Rudnicka chciała by w to wierzyć.

– Nasi funkcjonariusze poszli do domu Sabiny – poinformowała Lena. – Jeśli Tosia tam jest, za chwilę powinienam to wiedzieć.

– Oby się odnalazła. To taka kochana dziewczynka.

– Zrobi pan kopie? – zwróciła się Rudnicka do nauczyciela informatyki.

– Pewnie. Zaraz pani przyniosę.

Lena spojrzała na ekran telefonu. Żadnych wiadomości od Wolskiego.

Rozległo się pukanie do drzwi. Do środka wszedł sierżant Broniewski.

– Leno? – zapytał. – Mamy psa.

– Idziemy.

## 16

Trzypokojowe mieszkanie Nowakowskich mieściło się na ósmym piętrze wieżowca. Na wprost drzwi wejściowych znajdowały się osobne drzwi do łazienki i toalety. Na ścianie po prawej stronie wąskiego korytarza były drzwi do mniejszych pokoi, a dalej wejście do kuchni. Na lewo zaś wchodziło się do dziennego pokoju. Do mieszkania przynależał niewielki balkon, z którego rozpościerał się widok na boisko szkolne i plac zabaw.

W mieszkaniu było czysto i pachniało przygotowywanym obiadem. Wolski poczuł głód. Miał świadomość, że w ciągu najbliższych godzin nie będzie czasu na zjedzenie jakiegokolwiek posiłku. Zapowiadał się długi dzień. Nieprędko wróci do hotelowego pokoju.

W salonie wykorzystano każdą wolną przestrzeń. Nowoczesna meblościanka, ława, kanapa i dwa fotele na pałkach. W rogu kwietnik i lampa z fikuśnym abażurem. Telewizor z włączonym programem edukacyjnym dla dzieci. Na górnej półce nad telewizorem oprawione w ramki zdjęcia. Rodzice i dwie dziewczynki – jedna w wieku około siedmiu lat, druga może trzy, cztery lata starsza. Jedna z córek była podobna do matki, druga do ojca.

– Sabinka już do panów idzie – powiedziała Krystyna Nowakowska, matka Sabiny. Nie zdążyła zmienić ubrań po powrocie z pracy. Miała na sobie marynarkę i dopasowane materiałowe spodnie. – A powiecie, panowie, o co chodzi? Widziałam przez okno, że przed szkołą jest dużo policji...

Marcel spojrzął na Tymona. Prędzej czy później i tak będą musieli powiedzieć Nowakowskiej, że zniknęło kolejne dziecko. Najlepsza przyjaciółka jej córki.

– Antonina Grabowska – powiedział Wolski. – Zna ją pani, prawda?

– Oczywiście. Sabinka i Tosia się przyjaźnią.

Wolski spuścił głowę.

– Zaginęła – poinformował.

Kobieta cofnęła się o krok.

– Jak to zaginęła?

– Ostatni raz widziana była z Sabiną, kiedy obie wysiadły z autokaru – ciągnął Marcel. – Po Tosię miała przyjechać matka, ale pani Grabowska spóźniła się dwadzieścia minut. Tosi już nie było. Nie odnalazła się do tej pory. Policjanci znaleźli jej telefon kilkadziesiąt metrów od szkoły.

– O Boże. – Nowakowska zakryła dłońmi usta. – Przecież...

– Wiem – przerwał jej Wolski. – Czasem wydaje nam się, że nigdy nie spotka nas nic złego, a potem tragedia rozgrywa się tuż pod naszym nosem. Oczywiście mamy nadzieję, że Tosi nic się nie stało. Wciąż istnieje szansa, że po prostu zgubiła komórkę...

– Ale nie wierzy pan w to, prawda?

Na twarzy kobiety malowało się przerażenie. Dotarło do niej, że to mogła być jej córka. Wystarczyło tak niewiele...

– Mam nadzieję, pani Nowakowska, że Tosia jest cała i zdrowa – odparł. – Wszyscy musimy mieć nadzieję. Dlatego chcielibyśmy zamienić słowo z pani córką.

– Może Tosia mówiła Sabinie, dokąd wybiera się po wycieczce – dodał Tymon.

– Oczywiście. Sabinko!

– Czy chce pani, żebyśmy poinformowali córkę o... o tym, że jej koleżanka jest poszukiwana?

Nowakowska spojrzała na policjantów. Jej oczy się zaszklily. Otarła spływającą po policzku łzę i pokiwała głową.

– Myślę, że nie ma sensu jej okłamywać – odparła. – Wiem, że bardzo to przeżyje, ale wystarczy, że wejdzie w internet. I tak się dowie.

– Rozumiem.

Sabina Nowakowska była drobną dziewczynką. Miała spięte włosy w kolorze pszenicy i intensywnie niebieskie oczy.

Wolski poprosił, by usiadła obok na kanapie. Najdelikatniej, jak potrafił, wyjaśnił Sabinie sytuację. Kiedy skończył mówić, dziewczynka popatrzyła na niego i przez chwilę analizowała zasłyszane informacje.

– Tosi nie ma? – zapytała. – Umówiłam się z nią na jutro. Miała przyjść się ze mną pobawić.

– Kochanie? – Matka przykucnęła naprzeciwko Sabiny i pogłaskała ją po głowie. – Musisz porozmawiać z panami policjantami, dobrze? Pomożesz im znaleźć Tosię?

– Nie wiem, gdzie ona jest. Ale mogę do niej zadzwonić.

– Niestety Tosia zgubiła telefon – poinformował Wolski.

– O nie. Jej mama ją zabije.

– Sabinko – upomniała ją matka.

– Rodzice niedawno kupili jej komórkę. Tosia dbała o nią jak o największy skarb. To był iPhone, mamó. One są drogie.

Marcel odchrząknął.

Sabina sprawiała wrażenie rezolutnej. Jeśli coś wzbudziło jej niepokój, z pewnością by o tym poinformowała.

– Policjanci widzieli nagrania z kamery zawieszanej na szkole, wiesz? – zapytał.

– Tam jest kamera?

– Mhm.

– Ekstra.

– Widzieliśmy, że stałaś z Tosią przy autokarze, a potem poszłyście gdzieś razem. – Tuż przed wejściem do Nowakowskich Marcel dostał od Rudnickiej wiadomość o nagraniach z monitoringu. – Powiesz, dokąd?

– Do domu.

– A Tosia?

– Chciałam, żeby przysłała do mnie, ale nie chciała. – Sabina wyduła dolną wargę, a potem przetarła dłonią twarz.

– Mówiła, że jedzie z mamą na zakupy.

– Jej mama nie przyjechała.

– No... Nie było jej.

– A więc gdzie poszłyście?

Dziewczynka milczała.

– Sabinko? – Nowakowska ponagliła córkę.

– Nigdzie, naprawdę!

– Powiedz panom policjantom, dokąd poszłaś z Tosią.

Sabina się zawahała. Być może sądziła, że zrobiła coś złego i spotka ją za to kara. Szlaban na komputer albo zakaz wychodzenia z domu.

– Tosia odprowadziła mnie do bloku – odparła Sabina. – A potem miała wrócić do szkoły.

– Widziałaś, jak wracała? – zapytał Tymon.

– Nie do końca.

– Sabino, musisz powiedzieć, co pamiętasz.

– Mamy Tosi nie było, więc powiedziała, że mnie odprowadzi, a kiedy wróci, to mama pewnie już będzie na nią czekać. Powiedziała, że nie chce jej się stać przed szkołą. No i poszłyśmy w stronę naszego bloku. – Sabina spojrzała na matkę, jakby szukała u niej potwierdzenia. – Ale...

– Ale co?

– Szedł za nami jeden pan.

Wolski poczuł, jak krew w jego żyłach przyspiesza.

– Jaki pan? – zapytał.

– Nie wiem. Nie znam go. Ale dziwnie się na nas patrzył.

– To znaczy?

– No... Po prostu dziwnie. Nie umiem tego wyjaśnić. I pan miał chorą nogę.

– Utykał?

Dziewczynka przytaknęła.

– Chciałam, żeby Tosia przyszła do mnie i poczekała na mamę u mnie w domu.

– Ale się nie zgodziła?

– Nie, mówiła, że mama się wkurzy.

Jeśli Sabina widziała tego mężczyznę, będzie mogła potwierdzić, czy to ten sam, który kręcił się w pobliżu szkoły. I czy to ten sam facet, którego portret pamięciowy został sporządzony po zniknięciu pierwszego dziecka.

– Pojedziesz z nami, Sabino? – zapytał Wolski i zwrócił się do Nowakowskiej: – Pani również. Chcielibyśmy pokazać córce kilka zdjęć. Może rozpozna tego mężczyznę.

Nowakowska skinęła głową.

– Tylko wyłączę gaz pod ziemniakami – odparła.

Wolski poczuł wibracje telefonu w prawej kieszeni spodni. Odszedł na bok. Przesunął palcem po ekranie, odbierając połączenie.

– Dario?

– Cześć, kochanie.

– Coś się stało? – zapytał, oglądając się przez ramię. – Nie mogę rozmawiać.

– Tak.

– Co takiego?

Daria milczała.

– Dario, co się dzieje?

– Tęsknimy za tobą.

Marcel miał ochotę się rozłączyć. Powstrzymał się i zacisnął nerwowo wargi. Wiedział, że rozłąka będzie dla Darii bolesna. Kochała go, ale jednocześnie bała się, że kiedy wróci do Łodzi, zapragnie zostać tam na stałe. Obawiała się, że nudne i przewidywalne życie, jakie prowadzili, stanie się dla niego niewystarczające. Wolski wiedział, że Daria nie opuściłaby Białych Brzegów. Na wsi miała wszystko – przyjaciół, pracę i matkę.

Ale to był kiepski moment na takie rozmowy.

– Też za wami tęsknię – skłamał. – Ale...

– Przyjedziesz dzisiaj?

– Dzisiaj?

– Chcę cię zobaczyć.

– Nie dam rady. Mam masę roboty.

– Ach, tak.

– Dario, zaginęła kolejna dziewczynka...

– No tak, tak.

Daria sprawiała wrażenie, jakby zaginięcie nieznanego dziecka w ogóle jej nie obchodziło.

– Miałam zabiegany dzień – odparła. – Nie oglądałam telewizji. Nie wiedziałam.

– Rozumiem.

– Czyli nie przyjedziesz?

– Nie dam rady.

– Oczywiście. Wybacz, że ci przeszkadzam.

Rozłączyła się.

## 17

Czekoladowy labrador krążył wokół przewodnika, machając ogonem. Mlasnął przeciągle i zaskomlał podekscytowany. Mężczyzna położył dłoń na jego łbie.

– Potrzebujemy przedmiotu, który należał do zaginionej – powiedział.

Rudnicka spojrzała na Dominikę Grabowską.

– Ma pani coś, co należało do córki? – zapytała.

Kobieta nie odpowiedziała. Objęła się ramionami.

– Pani Dominiko?

Rudnicka przeniosła wzrok na ojca dziewczynki. Mężczyzna stał nieruchomo z rękoma zwieszonymi wzdłuż ciała. Pustym wzrokiem patrzył w przestrzeń. Wczoraj czytał córce do snu, a dziś nie miał pojęcia, gdzie jest jego ukochana Antosia. Nie zdołał ochronić własnego dziecka. Obiecywał Antosi, że zrobi wszystko, żeby była bezpieczna. Nie dotrzymał słowa. Jego ukochana córeczka została porwana. Nie miał pojęcia, czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy.

Labrador podszedł do Grabowskiej i trącił ją nosem.

– Tak – odparła. – Oczywiście. Powinnam mieć coś w samochodzie.

Czekali na nią w milczeniu. Pełną napięcia ciszę przerywało dyszenie kręcącego się labradora. Zerkał na przewodnika, czekając na sygnał do działania.

Grabowska wróciła, trzymając w ręku kremowy szalik.

– Należał do Tosi – wyjaśniła. – Nosiła go całą zimę. Któregoś dnia było ciepło i zostawiła go w samochodzie.

– Świetnie.

Przewodnik psa ujął szalik w rękę. Przyklęknął, pozwalając labradorowi zapoznać się z zapachem. W chwili gdy pies przytknął nos do dziecięcego szalika, zmienił swoje zachowanie. W skupieniu obwąchał przedmiot.

– Berta – powiedział przewodnik.

Labrador machnął ogonem. Był gotowy. Uniósł pysk wyżej, jakby szukał w powietrzu znajomego zapachu, a potem przytknął nos do ziemi.

– Szukaj, Berta.

Czworonogi są najlepszymi poszukiwaczami. Żaden człowiek nie wykonuje zadań z takim zapałem. Kochają swoją pracę.

– Potrafi znaleźć Antosię? – zapytał Grabowski.

– Pójdzie po zostawionym przez waszą córkę zapachu – wyjaśniła Rudnicka. – Ale jeśli wsiadła do autobusu lub samochodu, trop się urwie.

Ruszyli za labradorem.

Suka z nosem przy ziemi powoli szła wzdłuż ogrodzenia szkoły. Rudnicka nie wiązała z tym wielkich nadziei. Przypuszczała, że człowiek, który porwał Antosię, poruszał się samochodem. Chodzenie z porwanym dzieckiem było zbyt ryzykowne. Ktoś mógłby ich rozpoznać i wskazać policji trop. Porywacz najprawdopodobniej zaparkował w pewnej odległości od szkoły. Nie chciał wzbudzać podejrzeń ani rzucić się w oczy.

Gdy labrador minął sklep, przystanął na skrzyżowaniu. Znajdowali się w miejscu, gdzie kilkadziesiąt minut temu policjanci znaleźli telefon dziewczynki. Ślad się urywał, co wskazywało na to, że Antosia wsiadła z kimś do samochodu i odjechała.

Rudnicka nie czuła ulgi.

– Dobry pies!

Zadowolona Berta zakręciła się wokół nóg przewodnika.

– Przecież niczego nie znalazła – zauważył Grabowski.

Rudnicka puściła uwagę mimo uszu.

– Gdzie jest moja córeczka? – zapytała matka Antosi.

Mąż stanął za nią i położył dłoń na jej ramieniu.

– Sądziłem, że pies ją odnajdzie – mruknął.

– Teraz mamy pewność, że Tosia wsiadła do samochodu – odparła Rudnicka.

– Świetnie. – Rozłożył ręce. – I co nam to daje?

– Boże... Znajdźcie naszą córkę. – Grabowska patrzyła ufnie na komisarz. – Nie wybaczę sobie, jeśli... jeśli cokolwiek jej się stanie.

– Proszę tak nie myśleć.

– To moja wina.

– Nieprawda – wtrącił Grabowski, lecz w jego głosie pojawił się chłód. Nadchodził moment, gdy mężczyzna winą za zaginięcie córki obarczył jej matkę.

– Oddałabym wszystko, żeby Antosia wróciła do domu cała i zdrowa.

– Wiem, kochanie.

Rudnicka wstrzymała oddech. Bardzo współczuła tym ludziom.

– Pojedziemy z państwem do domu – powiedziała.

– Do domu? – zdziwił się Grabowski.

– Tak będzie lepiej. Zajmiemy się poszukiwaniami, a państwo...

– Nigdzie nie jadę.

Mężczyzna zacisnął wargi. Nie chciał czekać beczynnym w pustym domu. Chciał szukać córki. Był gotowy stać do skutku przed budynkiem szkoły, dopóki nie zobaczy Antosi. Nie byłby na nią zły. Przyjąłby przeprosiny i nie wracał do tematu samowolnej wycieczki. Jak wiele dałby, by Tosia poszła do którejś z koleżanek!

W końcu przystali na propozycję Rudnickiej i wrócili do domu. Mieszkali w bloku na Janowie przy ulicy Jagienki, jakieś sześć minut jazdy samochodem do szkoły córki. Dziesięć, biorąc pod uwagę poranny tłok na drodze. Zaprosili policjantów do środka. Mieszkanie urządzone było w angielskim stylu. Otwarty salon połączony z kuchnią, dwie przylegające do siebie sypialnie i spora, jak na mieszkanie w bloku, łazienka. Na ścianach w korytarzu wisiły zdjęcia małżeństwa z czasów, gdy byli studentami, fotografie ze znajomymi, rodziną i córką.

Grabowska przysiadła na skraju kanapy. Płakała, ale mąż przestał ją pocieszać. Siedział w odpowiedniej odległości, pogrążony we własnych myślach.

– Sądzi pani, że to on? – zapytał. – Facet, który porwał resztę dzieci, wprowadził także naszą córkę?

– Nie sposób tego wykluczyć, ale nie zakładamy, że to ten sam mężczyzna – odparła Lena.

Przypomniała sobie nagranie ze szkolnych kamer monitoringu. Nie chciała okłamywać rodziców Tosi, ale prawda była taka, że w przypadku rodzin zaginionych osób należy zachować ostrożność. Dopiero kiedy będzie pewna, że

dziewczynkę porwał ten sam mężczyzna, podzieli się tą informacją z Grabowskimi.

– Kto, jeśli nie on?

– Macie państwo jakichś wrogów?

– Wrogów?

– Kogoś, kto źle wam życzy.

– Ależ skąd! – zaprzeczyła gwałtownie Grabowska.

Rudnicka odchrząknęła.

– Proszę się zastanović – powiedziała. – Nie możemy zakładać, że za zniknięciem państwa córki stoi seryjny porwawcz. Każda sprawa jest inna i traktujemy ją osobno. Istnieje możliwość, że mamy do czynienia z naśladowcą.

– O czym pani mówi?

– Jeśli pokłócił się pan z kimś, kto panu źle życzył, ten ktoś mógł się na panu zemścić. Mówię oczywiście czysto hipotetycznie.

– Sądzi pani, że pokłóciłem się z kimś, a ta osoba porwała moją córkę?

Dominika podniosła wzrok, jakby usiłowała zmusić się do myślenia. Ale tylko bezsilnie zwiesiła ramiona.

– Pokłócił się pan z kimś? – zapytała komisarz.

– Oczywiście, że nie!

– A pani? – Spojrzała na Grabowską.

Kobieta otworzyła usta, lecz mąż nie pozwolił jej dojść do słowa.

– To jakiś absurd! Uważacie, że ktoś z naszej rodziny albo znajomych mógłby porwać nam dziecko?!

– Nie powiedziałam, że...

– Maglujecie nas, zamiast szukać sukinsyna, który porywa dzieci!

– Panie Grabowski. – Rudnicka rzuciła mu ostre spojrzenie. – Pozwoli pan żonie odpowiedzieć na pytanie?

Mężczyzna machnął ręką, wstał i nerwowo przeszedł się po pokoju.

– Pani Dominiko? Proszę odpowiedzieć.

Kobieta ścisnęła w dłoni mokrą chusteczkę.

– Nie wiem – odparła. – Musiałabym się zastanović.

– Spokojnie. Proszę pomyśleć.

Grabowska ściągnęła barki i przyłożyła dłonie do rozgrzanych policzków. Była ładną kobietą. Mężczyźni z pewnością nie przechodzili obok niej obojętnie. Jej naturalna uroda przyciągała wzrok.

– Nie, chyba nie – odparła. – Nie pokłóciłam się z nikim w ostatnim czasie.

– Czym się państwo zajmujecie?

– Jestem lekarzem, a mój mąż pracuje jako...

– Menedżer.

– Tak – potwierdziła Grabowska.

– W sieci drogerii.

Lena przekrzywiła głowę.

– Czy żaden z kontrahentów nie życzył panu źle? – zapytała.

Grabowski wsunął ręce w kieszenie spodni. Powoli docierało do niego to, że gdyby żona nie spóźniła się po córkę, nic by się nie stało. Ich życie wyglądałoby tak jak wcześniej. Byliby szczęśliwą rodziną.

– Nie sądzę – odparł.

– A pani w jakiej dziedzinie medycyny się specjalizuje?

Grabowska nabrała powietrza do płuc.

– Jestem pediatrą – odparła. – I właścicielką przychodni dla dzieci, którą otworzyliśmy razem ze znajomym ze studiów. Mamy lekarzy niemal wszystkich specjalizacji, od pediatrów po neurologów i dermatologów. Przyjmujemy pacjentów prywatnych, jak i z NFZ, więc nie możemy narzekać na brak zainteresowania.

– Przypomina sobie pani coś podejrzanego w ostatnim czasie?

Mama Tosi pokręciła głową.

Grabowscy byli zamożnymi ludźmi, choć nie obnosili się z tym. Jeśli w grę wchodziłoby porwanie dla okupu, sprawca musiałby znać ich osobiście, by wiedzieć, jak wygląda ich sytuacja materialna.

– Prosiłabym, żebyście zostali państwo w domu – powiedziała Rudnicka, wstając. – Nie możemy wykluczyć, że porwawcz będzie chciał się z państwem skontaktować.

– Wcześniej tego nie robił – zauważył Grabowski. – Kiedy zniknęły tamte dzieci, w mediach mówiono, że porwawcz nie kontaktował się z rodzinami. Wykluczano więc porwanie dla okupu. Sądzi pani, że w naszym przypadku może być inaczej? – Zaśmiał się gorzko.

– Nie mogę tego obiecać. Ale nie możemy wykluczyć takiej możliwości. Policjanci nadal szukają Antosi. Jeśli dowiem się czegokolwiek, zawiadomię państwa.

Rodzice Tosi spojrzeli na siebie, jakby szykowali się do walki. Kiedy zostaną tylko we dwoje, sytuacja może wymknąć się spod kontroli.

Dwie godziny później policyjny rzecznik prasowy skończył konferencję. Podziękował wszystkim za przybycie i pożegnał się z dziennikarzami. Kiedy odsunął się od mikrofonu, rozległy się protesty reporterów. Mieli jeszcze wiele pytań. Kim jest porywacz? Dlaczego policja wciąż nie ustaliła miejsca pobytu Wiktora, Amelii ani Pawła? Czy w zaginięcie dzieci zamieszani są ich rodzice?

Rudnicka ze złością wyłączyła radio. W zaparkowanym na chodniku samochodzie zapadła cisza. Z niepokojem obserwowała przejeżdżające samochody. Sięgnęła po telefon i wybrała numer do siostry. Rozmowa trwała zaledwie trzydzieści sekund. Lena upewniła się, że Basia jest cała i zdrowa. Musiała wiedzieć, że jej córka jest bezpieczna. Odłożyła telefon do samochodowego schowka.

Zaginięciom ludzi zawsze towarzyszą duże emocje. Jednak policjanta prowadzącego śledztwo ogarniają zupełnie inne uczucia, gdy w grę wchodzi dzieci. Na widok dziecięcych zwłok nawet najtwardszym policjantom ściska się żołądek. W przypadku osoby dorosłej śmierć można wyjaśnić na wiele sposobów – zabójstwo w afekcie, kłótnia, długi albo zemsta. Ale dzieci... Dzieci są niewinne. Lena przepracowała w policji wiele lat, ale dopiero teraz poczuła, że bierze udział w czymś, co nigdy nie powinno się wydarzyć. W najważniejszej sprawie w jej policyjnej karierze.

Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi. Obróciła głowę. Wolski usadowił się w fotelu pasażera.

– Mamy adres miejscówki Mieczkowskiego – powiedział. Widząc zdziwienie na twarzy komisarz, wyjaśnił: – Miejsca, w którym często łowił ryby.

– Aha.

– Mundurowi przycisnęli jego kumpla. Facet twierdzi, że w okolicy jest domek letniskowy, w którym czasem nocowali.

– Gdzie?

W odpowiedzi Marcel podał jej karteczkę z zapisanym adresem.

– Jedziemy tam.

Ciosenka zasilala trzy łowiska na terenie powiatu zgierskiego. Przystań była chętnie odwiedzany przez wędkarzy miejscem, ale wzdłuż rzeki znajdowało się kilka mniej obleganych stawów, które wybierali wędkarze. Z dala od tłumów spacerowiczów. Na lewym brzegu stał drewniany domek letniskowy. Jego właściciel, Stefan Dula, był zapalonym wędkarzem. Z chęcią udostępniał miejscówkę kolegom.

Rudnicka zjechała z asfaltówki w polną drogę, która kilometr dalej przeszła w wyboistą ścieżkę pośród drzew. Tuż za Leną i Marceliem jechali Tymon z Iwanem. Na wszelki wypadek, gdyby okazało się, że Mieczkowski przygotował się na wizytę policjantów.

Lena zaparkowała w odpowiedniej odległości od ogrodzenia. Drzwi domku były otwarte.

– Ktoś tam jest – powiedziała, wyciągając pistolet.

– Ciekawe, czy ten, kogo szukamy – mruknął Marcel.

Wysiedli z samochodu. Wolski odbezpieczył broń i zerknął na Tymona. Milewski kiwnął głową. Rozeszli się dwójkami. Marcel i Lena ruszyli prawą stroną, zaś Tymon i Iwan trzymali się lewej. Chcieli wejść do domku od tyłu, żeby odciąć ewentualną drogę ucieczki.

Rudnicka czuła, jak dłonie zaciśnięte na rękojeści pistoletu zaczynają się pocić. Dawno nie trzymała w rękach naładowanego glocka. Przyjemny ciężar sprawiał, że serce biło jej coraz szybciej.

Weszli na podwórkę. Wolski wskazał werandę. Co oznaczało, że pójdzie pierwszy, a Lena ma go ubezpieczać. Nastąpił na pierwszy z drewnianych schodów. Pod ciężarem buta drewno zaskrzypiało. Marcel kontrolnie spojrzał na Rudnicką. Idziemy, powiedziała bezgłośnie.

Odchylił się, by zajrzeć do wnętrza domu, kiedy zza ich pleców dobiegł jakiś dźwięk. Rudnicka zareagowała błyskawicznie.

Odwróciła się. Mężczyzna w lewej ręce trzymał wiaderko wypełnione drewnem. Po jego twarzy przemknął cień niepokoju. Miał na sobie przybrudzoną oliwkową koszulę i bezrękawnik. Spojrzał na Rudnicką, a potem przeniósł wzrok na Wolskiego. Lena miała wrażenie, że mężczyzna się waha, jednak nim zdążyła zareagować, Mieczkowski puścił się pędem przed siebie.

– Stój!

Mieczkowski biegł na tyły domu w kierunku furki wychodzącej na las. Nie oglądał się za siebie. Nie wiedział, że z drugiej strony czekali na niego Tymon i Iwan. Na ich widok zmienił kierunek biegu, ale trenujący na siłowni Iwan okazał się godnym rywalem. Przyspieszył i dogonił mężczyznę, zanim ten zdążył dobiec do ogrodzenia. Powalił go na ziemię i wygiął mu ręce do tyłu.

– Biegać się zachciało, co? – warknął. Wstał i uśmiechnął się szydlerczo. – Pieprzony zboczeniec. – Zamachnął się i uderzył Mieczkowskiego w tył głowy. – Zasnany sukinyś, który lubi pieprzyć małe dzieci. Taki z ciebie chojrak, co? – Kopnął leżącego w brzuch. Mężczyzna zakasłał, a Iwan powtórzył cios. Chwytał Mieczkowskiego za kołnierzyk kurtki i się zamachnął.

– Dość – powiedziała Rudnicka.

Szewko się zawałał, ale uderzył mężczyznę w twarz.



– Zwariowałeś? – Lena spojrzała na ciężko oddychającego Iwana.  
 – Stawiał opór przy zatrzymaniu i zaatakował policjanta.  
 – Przestań pieprzyć.  
 – Wszyscy widzieliście, jak na mnie napadł, prawda?  
 Odpowiedziało mu milczeniem.  
 Arkadiusz Mieczkowski uniósł głowę. Spojrzał błagalnym wzrokiem na Rudnicką. Krew leciała z rozciętego czoła, spływała pomiędzy brwiami, wzdłuż nosa i zatrzymała się u jego nasady.  
 Iwan chwycił go za kołnier bezrękawnika. Przytknął twarz do jego twarzy.  
 – Podoba ci się? – zapytał. – A może nie, co? Ty się bierzesz za słabszych, ale kiedyś w końcu znajdzie się taki, który okaże się silniejszy.  
 Mieczkowski splunął śliną zmieszaną z krwią.  
 – Masz dość, śmieciu? – Szewko zacisnął palce i potrząsnął mężczyzną, jakby ten był szmacianą lalką.  
 Lena chwyciła Iwana za ramię.  
 – Wystarczy – powiedziała.  
 – Dopiero się rozkręcam.  
 – Wystarczy.  
 Iwan rzucił mężczyznę na ziemię.  
 – Jeszcze sobie pogadamy – warknęła, odchodząc na bok. Z tylnej kieszeni spodni wyjął paczkę papierosów i zapalił jednego.  
 – Dziękuję pani – wychrypiał Mieczkowski. – On by mnie zabił.  
 – Stul pysk. I wstawaj. No już, kurwa, bo nie mam całego dnia.  
 Mieczkowski potrzebował pomocy, więc Wolski chwycił go za ramię i pomógł wstać.  
 – Zaprowadź go do samochodu – poleciała Lena. – I skuj, żeby nie zachciało mu się kolejnej przebieżki.  
 – Przepraszam za Iwana – odezwał się Tymon.  
 – Kolega ma problem z emocjami.  
 – Jest porywczy.  
 – Zauważyłam.  
 – Nie powinien się tak zachować, ale... Chyba musiał odreagować wszystkie tygodnie poszukiwań tego sukinsyna.  
 Lena zmierzyła Tymona wzrokiem.  
 – Odreagować? – zapytała, robiąc krok naprzód. – To, kurwa, niech kupi sobie worek bokserski. Wszyscy chcemy go dopaść! Ale spójrz, jak załatwił faceta! Rozkwasił mu gębę!  
 Tymon wrzucił ramionami, jakby chciał powiedzieć, że mimo wszystko rozumie złość Iwana.  
 – Jesteście pojebani – warknęła Rudnicka. – Sprowadź tu ludzi. Musimy przeszukać teren.

## 19

Każda rodzina ma swoje tajemnice. Nie inaczej sprawa wyglądała w przypadku Grabowskich. Udawali zgodne małżeństwo. Podczas wizyt znajomych odgrywali szczęśliwą parę. Przyjaciółki powtarzały Dominice, że zazdroszczą jej takiego męża jak Bartosz. Nie wiedziały, że ich małżeństwo praktycznie przestało istnieć.

Po wyjściu policjantów dwoje pozornie kochających się ludzi patrzyło na siebie z wrogością. Dominika zamknęła drzwi na zamek i wróciła do pokoju. Mąż z rękami w kieszeniach wyglądał przez balkonowe okno. Dominika włączyła telewizor na kanał informacyjny. Nastawiła głośniej, lecz Bartosz ze złością zabrał jej pilota i wyłączył odbiornik.

– Nie oglądaj tych bzdur – rzucił.  
 – Dlaczego?  
 – To nam nie pomoże.  
 – Oddaj pilota.  
 – Nie ma mowy.  
 – Chciałabym posłuchać komentarzy...  
 – Po co?

Dominika nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie wiedziała, dlaczego miałyby oglądać w telewizji relację ze zniknięcia córki. Dlaczego chciała słuchać wypowiedzi ekspertów i relacji dziennikarzy? W niczym by jej to nie pomogło. Mąż miał rację, ale nie przyznała tego na głos.

– Gdzie byłeś, kiedy do ciebie dzwoniłam? – zapytała.  
 Bartosz głośno wypuścił powietrze z płuc.  
 – W pracy – odparł. – Mówiłem już.  
 W oczach Dominiki dostrzegł złość. Nie wierzyła mu.

– Dzwoniłam do ciebie dwa razy – powiedziała. – Dopiero za trzecim razem odebrałeś telefon.

– Chryste. Nawet w takiej sytuacji nie odpuszczisz?

– Gdzie byłeś?

– Mam dość ciągłych podejrzeń.

Dominika ścisnęła trzymaną w ręce paczkę chusteczek. Kilkakrotnie odbywali podobną rozmowę. Za każdym razem kończyła się kłótnią. Dziś Dominika nie miała siły się kłócić, ale wściekłość na męża okazała się silniejsza.

– Jeśli skłamałeś policji, prędzej czy później się dowiedzą – stwierdziła. – Sprawdzą twoje alibi. Wtedy wyjdzie, że byłeś u tej szmaty.

– Sprawdzą moje alibi? – zdziwił się Bartosz. Wyszedł na korytarz i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął paczkę cameli. Przeszedł przez pokój do balkonowego okna. Otworzył je i zapalił papierosa. – Dlaczego miałiby mnie sprawdzać? A może chcesz, żeby mnie podejrzewali?

– Nie odwracaj kota ogonem.

– Może taka sytuacja byłaby ci na rękę?

Dominika prychnęła.

– Nie wierzę, że to mówisz – odparła.

– Mógłbym powiedzieć to samo.

– Po prostu nie chciałabym, żebyś mnie okłamywał. Szczególnie... w takich okolicznościach. Jesteś moim mężem. Powinam ci ufać...

– Nie ufasz mi?

Pokręciła głową.

– Nie dałeś mi podstaw, żebym ci ufała.

– Policja będzie sprawdzała każdego. My jako rodzice siłą rzeczy jesteśmy na liście podejrzanych.

Dominika nie pomyślała o tym, że ktokolwiek mógłby podejrzewać, że zrobiła krzywdę własnej córce. Podeszała do męża i wzięła od niego papierosa. Wciągnęła dym do płuc i kaszląc, wypuściła go w kierunku otwartego okna.

– Byłem w pracy – powiedział Bartosz. – Jeśli mi nie wierzysz, to trudno, ale mogą mnie sprawdzić. Nie mam nic do ukrycia.

– Wiem, co widziałam.

– Co? – Odwrócił się do żony. – Co takiego widziałas?

Zacisnęła usta. Dlaczego ciągle się kłócili? Jakiś czas temu w jej głowie pojawiła się myśl o rozwodzie. Nie układało im się. Rozstanie byłoby najrozsądniejszym rozwiązaniem. Każde poszłoby w swoją stronę. Przestaliby przeskakać sobie nawzajem. Ale co z Tosią? Dominika nie chciała, aby córka wychowywała się w niepełnej rodzinie.

Poznali się na studiach. Bartosz już pierwszego dnia poprosił Dominikę o rękę. Tylko na nią spojrzął i już wiedział, że ta dziewczyna zostanie jego żoną. Dominika uznała deklarację nowo poznanego chłopaka za żart, ale on nie odpuszczał. Był inny niż reszta chłopaków, z którymi się spotykała. Przy nim czuła się wyjątkowa. Swoją błędą uświadomiła sobie po kilku latach małżeństwa. Otaczał atencją każdą kobietę, która znajdowała się w pobliżu, komplementował i nadszkiwał z uśmiechem. Szarmancki przystojniak dostrzegał zmianę fryzury i był dobrym słuchaczem. Wszystkie czuły się przy nim wyjątkowe. Z łatwością zyskiwał ich sympatię. Owijał je sobie wokół małego palca, żeby robiły to, co zechciał.

Dwa lata temu Dominika dowiedziała się o jego romansie. Relacja z koleżanką z pracy trwała cztery miesiące. Żona najczęściej dowiaduje się ostatnia.

Bartosz miał sporo do stracenia. Rodzinę, szacunek ludzi, nawet pracę. Ale pewnego dnia poczuł się zbyt pewnie. Zapomniał wyjąć z kieszeni reklamę pewnego hotelu. W pierwszej chwili Dominika zignorowała znalezisko. Wyjęła reklamę, wrzuciła ją do kosza, a spodnie do pralki. Dopiero potem coś ją tknęło. Odnalazła ulotkę i przyjrzała się dokładniej. Hotel w Toruniu oferował bogate menu śniadaniowe z możliwością zamówienia do pokoju. Teoretycznie nie było w tym niczego złego. Dwa tygodnie wcześniej Bartosz rzeczywiście był w podróży służbowej w Toruniu, ale wewnętrzny głos podpowiadał Dominice, że powinna przyrzeć się sprawie. Mówi się, że kobieca intuicja jest niezawodna. Zadzwoiła do firmy męża, podając się za pracownicę hotelu. Udała zrozpaczoną studentkę, która pogmatwała coś w systemie.

– Pomoże mi pani? – zapytała. – Muszę to odkręcić, bo inaczej szef mnie wywali. Ledwo wiązę koniec z końcem. Dorabiam w hotelu na nocki. Jeśli stracę tę pracę, będę zmuszona rzucić studia.

Sekretarka ulitowała się nad studentką i podała dane, których dawać nie powinna.

– W tym terminie zamawialiśmy pokój dwuosobowy na nazwisko Grabowski i Kraszewska – poinformowała.

– Dwuosobowy?

– Tak mam zapisane.

– Dobrze. Bardzo pani dziękuję. Uratowała mi pani życie.

– Nie ma sprawy. Ale dla odmiany proszę nie mówić o tym mojemu szefowi.

Jawny dowód zdrady sprawił, że była zrozpaczona. Tamtego dnia zjawiała się w firmie męża.

– Szukam pani Kraszewskiej – powiedziała.

– Julii?

– A jest jakaś inna?

- Nie.
- A więc Julii.
- Proszę chwilkę zaczekać.

Sekretarka podniosła słuchawkę i przez chwilę cicho rozmawiała. Sekretarki wiedzą niemal wszystko. Dlatego ta domyśliła się, z jakiego powodu żona szefa zjawiała się w firmie.

Julia Kraszewska zajmowała pokój nr 2. Dominika nie zapukała. Na widok żony Bartosza Kraszewska wstała z biurka. Obie kobiety zmierzyły się wzrokiem. Spotkały się już wcześniej na imprezie firmowej z okazji zakończenia jednej z inwestycji.

- Cześć – powiedziała Dominika.
- Julia spuściła wzrok.
- Wiesz po co przyszedłam, prawda?
- Mogę się tylko domyślać.
- Odpieprz się od mojego męża.

Głos Grabowskiej brzmiał pewnie i stanowczo, choć zbierało się jej na płacz. Młoda kobieta była piękna. Miała delikatną, dziewczęcą twarz, długie blond włosy i pełne usta. Mogła się podobać.

Oczywiście wieść o wizycie żony szybko dotarła do Bartosza, który niespodziewanie wrócił wcześniej z pracy. Przepraszał. Płakał i obiecywał, że romans z Julią nic dla niego nie znaczył. To tylko seks, mówił, wiesz, że to ciebie kocham. Dominika uwierzyła, ale ich małżeństwo nigdy nie było takie jak wcześniej.

- Ostrzegam cię – odezwała się Grabowska. – Jeśli kłamiesz, policja się o tym dowie.

Po twarzy Bartosza przebiegł cień.

– Byłem w pracy – powtórzył, jakby chciał przekonać samego siebie. – I przestań drążyć. Mamy inne sprawy na głowie.

## 20

Naczelnik Barwicki wymierzył palec w Rudnicką.

– Zwariowałaś? – zapytał. – Czy wyście wszyscy powariowali? Dlaczego zatrzymany wygląda, jakby dostał porządny wpierdol?

– Zapytaj Iwana – odparła Rudnicka, wymijając naczelnika.

– Ty za to odpowiadasz!

– Ja? – Przystanęła i powolnym ruchem obróciła się w stronę przełożonego. – Nie wydaje mi się – dodała. – Nie odpowiadam za wybuch niekontrolowanej agresji twojego policjanta. To ty przydzieliłeś mi go do zespołu.

– Mogłaś go powstrzymać.

– Próbowałam.

– Facet złożył na was skargę.

– Nie on pierwszy – burknęła. – Nalegałeś, by Iwan do nas dołączył, więc przyznam szczerze, że nie wiem, czy jestem osobą, którą powinienesz opierać w tej sprawie.

Naczelnik pochylił głowę. Oddychał ciężko, usiłując się uspokoić. Widział podejrzanego w pokoju przesłuchań. Rudnicka była pierwszą osobą, którą napotkał. Niepotrzebnie dał ponieść się emocjom. Miała rację. To Iwan pobił Mieczkowskiego. I to on powinien ponieść odpowiedzialność. Znęcanie się nad świadkami czy podejrzanymi było nieakceptowalne.

– Dobra – mruknął pojednawczo. – Pogadam z Iwanem.

– Świetnie. Mogę już iść?

Barwicki machnął ręką. Rudnicka ruszyła korytarzem. Ona również była wściekła na Iwana. Przekroczył granicę, której nie powinien był przekraczać. Postanowiła z nim porozmawiać. Ale później. Teraz nie miała czasu. Zerknęła na zegarek. Kilka minut po dziewiętnastej. Zostało jej najwyżej pół godziny na rozmowę z Mieczkowskim. Później musiała pędzić do Marii, by uspić Basię. Maria zamieniła się dyżurami z kolegą. Dzisiejszej nocy Lena chciała popracować, a Maria zgodziła się, by siostrzenica została na noc.

Mieczkowski siedział za stołem w sali przesłuchań. Dłonie trzymał na kolanach. Wyglądał źle. Na ubraniu miał ślady krwi, spuchnięte lewe oko i zakrwawioną dłoń. Kiedy komisarz weszła do pomieszczenia, podniósł głowę.

– Dzień dobry – powiedziała, lecz mężczyzna nie zareagował.

Obeszła stół i usiadła naprzeciwko. Mieczkowski poruszył się na krześle, a potem nieśmiało się uśmiechnął.

– Jak się pan czuje? – zapytała.

– Świetnie. Nigdy nie czułem się lepiej.

Komisarz kiwnęła głową, doceniając jego poczucie humoru.

Na policyjnym zdjęciu, którym dysponowała, Mieczkowski był łyсы i miał spiętą twarz. Facet siedzący teraz naprzeciwko niej przypominał zalężnione zwierzę. Nie dała jednak się zwieść pozorom. Wampir z Bytowa, Leszek

Pękalski, również wyglądali niepozornie.

Arkadiusz przez chwilę wpatrywał się w Rudnicką, jakby zadawał sobie pytanie, czy kobieta będzie po jego stronie. Otworzył usta, lecz zanim cokolwiek zdążył powiedzieć, drzwi do pokoju przesłuchań się otworzyły i do środka wszedł Iwan Szewko. Na widok Mieczkowskiego szeroko się uśmiechnął. Zajął miejsce obok Rudnickiej, rozsiadł się na krześle i skrzyżował ramiona.

Mieczkowski spojrzał na komisarz.

– Co on tu robi? – zapytał.

Lena zacisnęła wargi. Sama chętnie zadałaby podobne pytanie.

– Barwicki mnie przysłał – wyjaśnił Iwan, zwracając się do Rudnickiej. – Pogadamy ze skurwielem razem. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

Wzrok Leny powędrował w kierunku lustra fenickiego, za którym z pewnością stał naczelnik Barwicki. Nie zamierzała spierać się z Iwanem przy podejrzanym, ale jego obecność była jej nie na rękę.

Odchrząknęła.

– Wiesz, dlaczego się tutaj znalazłeś? – zapytała Mieczkowskiego.

– Nie.

– Nie domyślasz się?

– Nie.

Komisarz rozłożyła na stole cztery fotografie zaginionych dzieci. Mieczkowski nachylił się, żeby przyjrzeć się zdjęciom.

– Nadal nic ci nie świta? – zapytała Lena.

– Co to za dzieci?

Na twarzy mężczyzny pojawił się niepokój. Wiedział, kim są dzieci ze zdjęć. Mieszkał w mieście. Na pewno słyszał o zaginięciach, ale zamiast zagrać w otwarte karty, wybrał inną drogę.

Lena podjęła grę.

– Od października zeszłego roku do dziś zniknęło w Łodzi czworo dzieci – wyjaśniła. – To Wiktor Wachowiak, Amelia Gadomska, Paweł Abramowski i Antonina Grabowska.

– A co ja mam z nimi wspólnego?

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że nie słyszałeś o tych zaginięciach?

– Nic nie wiem na ten temat.

– Ale masz radio? Albo telewizję? A może internet?

– Mam telewizor.

– Witamy w dwudziestym pierwszym wieku.

Mieczkowski uniósł błagalnie wzrok i rozłożył ręce.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego zostałem zatrzymany – odparł.

– Zapytam po raz kolejny. Czy słyszałeś o zaginionych dzieciach?

– Nie.

Rudnicka uderzyła otwartą dłonią w blat stołu.

– Przestań pieprzyć – warknęła. – Wystarczy, że przejdiesz się po mieście. Twarze tych dzieci wiszą na każdym słupie.

Mieczkowski rzucił okiem na zdjęcia.

– Dobrze – odparł. – Coś tam słyszałem.

– Coś tam słyszałeś... Świetnie. A więc jedną sprawę mamy załatwioną. Przed nami wiele innych.

– Złożę na was skargę. Szczególnie na tego tutaj.

Kiwnął głową w kierunku Iwana. Szewko nachylił się nad blatem.

– Nie mogę się doczekać – odparł. – Ale wiesz co? Mam troje świadków będących policjantami, którzy potwierdzą, że na mnie napadłeś i stawiałeś opór podczas zatrzymania.

Rudnickiej nie spodobała się pewność w głosie Iwana. Był w błędzie, jeśli sądził, że będzie go kryła.

– Nie stawiałem oporu – zaprotestował Mieczkowski.

– Uciekałeś – zauważył Iwan, opadając na krzesło. Wciąż się uśmiechał.

– Uciekałem, okej. Ale nic panu nie zrobiłem.

– Nie? Wybacz, wydawało mi się, że zamierzałeś mnie zaatakować.

– W co wy mnie próbujecie wrobić?

Szewko nabrał powietrza do płuc, opadł na oparcie i przecesał dłonią włosy.

– Widzisz twarze tych dzieci? – zapytał. – Zaginęły. I liczę, że powiesz nam, gdzie ukryłeś ich ciała.

– Zwariowaliście? – Mieczkowski spojrzał na Lenę, a później przeniósł wzrok na Iwana. – O czym wy mówicie?

– Porwałeś te dzieci. Nie mam pojęcia, co z nimi robiłeś. Może się zabawiałeś. A potem je zabiłeś. I ukryłeś ciała. Gdzie?

– Nie porwałem żadnych dzieci.

Iwan zaśmiał się głośno. W jego oczach pojawił się gniew.

– Chcesz ode mnie radę? – zapytał. – Lepiej zacznij mówić. Bo jeśli nie, pogadamy w inny sposób. A możesz być pewien, że to ci się nie spodoba.

– Pobijesz mnie? Takie macie metody? – Mieczkowski rozejrzał się. – Myślicie, że to ja porwałem te dzieci? Po co? Nie jestem mordercą! Chcecie mnie zrobić, tak? O to wam chodzi?

Rudnicka uniosła otwartą dłoń.

– Tak się składa, że zostałeś zwolniony z więzienia na krótko przed zaginięciem pierwszego z tych dzieci – powiedziała. Podsunęła mu zdjęcie. – To Wiktor Wachowiak. Ma osiem lat. Wyszedł z domu do szkoły, ale tam nie dotarł. Poznajesz go?

– Nigdy w życiu nie widziałem tego chłopaka.

– To Amelia Gadomska. – Podsunęła mu kolejną fotografię, a potem następną. – A to Paweł Abramowski. Dziewczynka ma siedem lat, a chłopiec cztery. Jak myślisz, co czuły te dzieci, kiedy obcy człowiek zabrał ich od rodziców?

– Bały się. To tylko małe dzieci.

– Owszem.

– Ale ja nie mam nic wspólnego z ich zaginięciem.

– Przecież lubisz dzieci, prawda?

Mieczkowski się zaczerwienił. Nie ze złości, ale ze wstydu.

– To nie tak – odparł. – Nie jestem pedofilem.

– Tak?

– Posłuchajcie. Wiem, co znalazła policja w moim komputerze. Wtedy, kiedy napadłem na tamtego chłopaka. Miałem tam różne filmy...

– Miałeś dziecięce porno – przerwał mu Iwan.

– Dziecięce porno, tak – powtórzył cicho, jakby mówił do siebie. – Miałem takie filmy na komputerze. Nie wypieram się tego, że je oglądałem.

– Podniecało cię to, sukinyś?

– Może.

Iwan pokręcił głową. Gdyby mógł, zastrzeliłby Mieczkowskiego tu i teraz. Nienawidził kłamliwych skurwysynów.

– Oglądałem takie filmy – przyznał Mieczkowski łamiącym się głosem. – Ale nie zrobiłbym krzywdy dziecku.

Nigdy, przysięgam.

Wyglądał tak, jakby na samą myśl o dotykaniu kilkuletnich dzieci robiło mu się niedobrze.

– Mam ci przypomnieć, za co siedziałeś? – zapytała Lena.

– Wiem, za co siedziałem, pani komisarz.

– I nadal usiłujesz nam wmówić, że jesteś niewinny?

– Och, to nie tak. Nikt mi nie wierzy.

– Jasne.

– Powtarzam: nie jestem pedofilem. Nigdy nie dotknąłem dziecka.

– Chłopak, którego usiłowałeś zgwałcić, ma czternaście lat.

– Tak – przyznał Mieczkowski. – Podobają mi się młodzi chłopcy. Ich ciała... Ale nie jestem gejem. Podobają mi się również kobiety. Ten chłopak, który mnie oskarżył, był w gejowskim klubie. Nie wiedziałem, że ma czternaście lat. Wyglądał na więcej. A skoro był w klubie, uznałem, że ochrona go sprawdziła. Zaczepiał mnie. Ewidentnie czegoś chciał, a gdy wyszliśmy razem z klubu i zaczęliśmy... nagle mu się odwidziało. A potem powiedział policji, że chciałem go zgwałcić. To absurd.

– Nie mógł zmienić zdania? – zapytała Lena.

– Mógł. Oczywiście, że mógł.

– Pobiłeś go.

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo mnie wkurzył. Byłem pijany, więc go uderzyłem. Poniosło mnie, ale nie chciałem go zgwałcić. Okej, coś od niego chciałem, ale kiedy powiedział, że bym spieprzał, coś we mnie pękło. Dlatego mu przywaliłem.

– Kilka razy.

– To prawda. Mój błąd. Ale nie wiedziałem, że to dzieciak.

– Gdyby był pełnoletni, można byłoby go bezkarnie pobić?

– Gdybym wiedział, że jest czternastolatkiem, nawet bym na niego nie spojrział. Nie chciałem mu zrobić krzywdy! Ale potem wszystko potoczyło się tak szybko...

– Nie spojrziałbyś... Chyba że na filmie porno, prawda?

Mieczkowski ukrył twarz w dłoniach.

– Lubilem patrzeć – odparł. – Ale nigdy nie dotknąłbym dziecka. Nigdy w życiu nie zrobiłbym krzywdy czterolatki.

– A jednak kręciły cię małe dzieci. Nie chciałeś sam spróbować, jak to jest?

– Nie.

– Nie wierzę ci.

– Nie wiem, jak mam panią przekonać.

– Sugerujesz, że lubiłeś oglądać filmy z dziećmi, ale nigdy nie miałeś ochoty spróbować?

– Wiem, jak to brzmi.  
 – Absurdalnie.  
 – Oglądałem te filmy, ale nie skrzywdziłbym dziecka. Chodziłem do cholernych gejowskich klubów. Uprawiałem seks z kilkoma mężczyznami w swoim życiu, ale każdy z nich był dorosły. Okej – uniósł dłonie – to byli młodzi chłopcy. Mieli osiemnaście lat, ale w świetle prawa byli pełnoletni. I godzili się na to, czego od nich oczekiwałem. Ale uprawiałem seks również z kobietami. Nie jestem gejem ani pedofilem. To wszystko, co wydarzyło się z tym chłopakiem. – Zawiesił głos. – Nie wiem, dlaczego poszedł z tym na policję. Może ze wstydu?  
 – Ciekawe.  
 – Ktoś go widział.  
 – Słucham?  
 – Któryś z kolegów widział go ze mną w tamtym parku. Dlatego dzieciak się wystraszył i rozdmuchał całą sprawę.  
 – Wiesz, na czym polega twój problem? – Iwan pokręcił głową. – Twoja historia nawet brzmiałaby wiarygodnie, gdyby nie jeden szczegół.  
 – Jaki?  
 – Nikt w tym twoim klubie nie widział chłopaka, na którego napadłeś w parku.  
 – Oni wszyscy działali w zмовie.  
 – Pewnie, że tak. – Szewko się zaśmiał. – Wszyscy przeciwko tobie.  
 Mieczkowski potarł skronie.  
 – Chciałbym napić się wody – poprosił.  
 – Jeszcze nie zasłużyłeś.  
 – Mam prawo...  
 – Stul pysk.  
 – Iwan! – upomniała go Rudnicka.  
 – On kłamie, nie widzisz?  
 Lena zignorowała jego słowa. Opadła na oparcie i przez chwilę przyglądała się Mieczkowskiemu.  
 – Założmy, że ci wierzę – powiedziała.  
 – O Boże – jęknął Iwan.  
 – Ale oprócz zeznań ludzi w gejowskim klubie, którzy, jak zauważył podkomisarz Szewko, zeznali, że nie widzieli chłopaka w środku, mamy jeszcze jeden problem. – Wyjęła z torby laptopa i wybudziła go ze stanu uśpienia. Odnalazła odpowiedni plik i obróciła ekran laptopa w stronę Mieczkowskiego.  
 Mężczyzna obserwował nagranie z rosnącą paniką. Wskazała mężczyznę utykającego na jedną nogę.  
 – Ten facet kręcił się w miejscach, gdzie zniknęły dzieci. I dziwnym trafem tak jak ty ma problem z nogą.  
 – Nie, nie.  
 – Możesz powiedzieć, czy twoja lewa noga jest sprawna?  
 Wiedziała, że nie. Kiedy prowadzili go do pokoju przesłuchań, utykał na nogę w taki sam sposób jak mężczyzna na nagraniu.  
 – To nie ja – odparł.  
 – Odpowiedz na pytanie.  
 Mieczkowski z przerażeniem w oczach patrzył na policjantów.  
 – Nie – odpowiedział. – Mam uszkodzoną lewą nogę. Staram się utrzymać ją w dobrej formie. Mogę biegać i uprawiać sport, ale bywają dni, gdy ból jest zbyt silny...  
 – Mhm.  
 – Prawda jest taka, pani komisarz, że na nagraniu to nie jestem ja.

## 21

Nadszedł wieczór, a wraz z nim chłód. Temperatura spadła do dwóch stopni. Ulice tonęły w pomarańczowym świetle lamp. Z uchylonego okna dobiegał dźwięk sunących po mokrym asfalcie samochodów. Do pomieszczenia wpadało rześkie powietrze. Pachniało deszczem.

Wolski przysiadł na parapecie i zapalił papierosa.

– Gdzie są wszyscy? – zapytał Tymon. Wszedł do pomieszczenia i usiadł przy biurku Rudnickiej. Splótł dłonie na karku, odetchnął głęboko i przymknął oczy.

Marcel nie odpowiedział od razu. Wyjrzał przez szybę. Przez ostatnie minuty udało mu się nie myśleć o dochodzeniu. Wrócił wspomnieniami do dnia, kiedy zaczął pracę w łódzkiej komendzie. Od tamtego czasu minęło kilka lat, lecz nadal miał poczucie, że nie spełnia oczekiwań ojca. Całe życie udawał Andrzejowi Wolskiemu, że jest dobrym policjantem. Chciał, by ojciec go docenił, lecz nigdy nie usłyszał od niego słowa pochwały.

– Pojechali do domu – odparł, przerywając ciszę.

– Rudnicka pojechała do domu?

– Dwadzieścia minut temu.

Odkąd pamiętał, Lena nie opuszczała placu boju. Pracowała do późna, a raniem zjawiała się jako pierwsza. Służba w policji była sensem jej życia. Prowadzonej sprawie poświęcała cały swój czas. Nie liczyło się nic poza śledstwem. Pomyślał, że w życiu Leny musiało się coś zmienić. Być może wreszcie ma do kogo wracać.

– A co z Iwanem? – zapytał Tymon.

– Był u Barwickiego, a potem zabrał się do domu.

– Dostał opieprz?

– Nie wyglądał na zadowolonego, więc chyba tak. – Wolski zgasił papierosa. – Przydałoby mu się kilka dni wolnego.

– Czyli zostaliśmy tylko my.

– Na to wychodzi.

– Dwóch kowbojów. – Tymon się zaśmiał i napił się wody z butelki. Wierzchem dłoni otarł usta. – Co powiesz na piwo?

– Teraz?

– A masz inne plany?

Wolski się zastanowił. Powinien odwiedzić matkę, ale wizyta o tej godzinie nie wchodziła w grę. W gruncie rzeczy nie miał ochoty na spotkanie z matką. Od śmierci ojca ich kontakty mocno się rozluźniły. Często się kłócili. Matka chciała, by Marcel zrezygnował z pracy w policji. Mówiła, że służba jest zbyt niebezpieczna. Po tragicznej śmierci męża bała się, że podobny los spotka syna.

Dlatego nie palił się do odwiedzin.

– Właściwie, czemu nie? – zapytał. – Chętnie napiłbym się zimnego piwa.

Tymon wstał i wsunął dłonie do kieszeni spodni.

– Co o nim myślisz? – zmienił temat.

– O Iwanie?

– O Mieczkowskim.

– Siedział w więzieniu za próbę gwałtu i dziecięce porno. Twierdzi, że nie ma nic wspólnego z zaginięciem dzieci, ale czy komuś takiemu można wierzyć?

– Nie daje mi to spokoju.

– Uważasz, że mówi prawdę?

– Sam nie wiem. – Tymon pokręcił głową. – Jeśli jest winny, wiadomo, że będzie się wypierał. Ale oprócz nagrań nic na niego nie mamy. W domu, w którym przebywał, nie ma żadnych śladów obecności dzieci.

– Dlaczego uciekał?

– Niedawno wyszedł z więzienia. Nie znosi policji. Myślę, że ucieczka była naturalnym odruchem. Mieczkowski ma sporo za uszami i się przestraszył. Tacy ludzie jak on zawsze mają się czego bać.

– Masz rację – przyznał Wolski. – Tacy ludzie jak on zawsze mają się czego bać.

Pojechali do Manufaktury samochodem Wolskiego. Marcel zaproponował, że zostawi auto na parkingu, a do hotelu wróci taksówką. Na rynku było dość tłoczno. Na szczęście w restauracji szybko znaleźli wolny stolik.

Lokal znajdował się w dawnej tkalni Poznańskiego. Surowe, lecz przytulne wnętrze było utrzymane w industrialnym klimacie. Sufit z czerwonej cegły. Wysokie okna ze szprosami. Zwisające z sufitu lampy przywodziły na myśl przedwojenne restauracje.

Policjanci złożyli zamówienie. Kiedy kelnerka oddaliła się do kolejnego stolika, Tymon skrzyżował ramiona.

– Dobra – powiedział. – Dość rozmów o pracy. Opowiadaj, co u ciebie?

– U mnie?

– No, no. Nie pamiętam, kiedy ostatnio rozmawialiśmy. Jak ci się żyje na tej wsi? Pytam poważnie. I nie wciskaj mi banałów o ciszy i spokoju, bo to już słyszałem.

Wolski westchnął ciężko. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Czy na wsi czuł się szczęśliwy? Czy praca w Białych Brzegach go satysfakcjonowała? Nie był pewien, czy potrafi szczerze porozmawiać z kimś o swoich odczuciach.

Mimo wszystko nie chciał okłamywać Tymona. Tylko z nim tak naprawdę mógł porozmawiać o dręczących go problemach. Zbyt długo udawał, że wszystko jest w porządku. Matka i Daria nie miały pojęcia, że od dłuższego czasu Marcel nie może znaleźć sobie miejsca. Wydawało mu się, że coś stracił.

– Z Darią wszystko w porządku? – zagadnął Milewski. – Wyglądacie na dobraną parę.

– Dzięki.

– Słyszałem, że to całkiem dobra policjantka. Aplikowała kiedyś do nas, na Sienkiewicza, ale nie mieliśmy wakatów.

– Tak?

Wolski uniósł brwi. Daria jakoś mu nie wspominała, że starała się o przeniesienie do komendy w Łodzi.

– No wiesz. – Tymon potarł podbródek. – Nie dla każdego znajduje się miejsce od ręki. Niektórzy muszą trochę poczekać. Poza tym wiesz, jak jest w kadrach. Czasem wolą przyjąć nowego gliniarza zaraz po szkoleniu niż kogoś z wiejskiego posterunku.

– Komisarjatu.

– Świeżaka można wyszkolić pod siebie. Pod sprawy, z jakimi mamy do czynienia. A policjant z pipidowy nie jest nauczony ciężkiej pracy. – Uniósł przepaszając dłoń. – Wybacz, że to mówię, ale to prawda. Wszyscy, którzy przyszli z małych miejscowości, nauczeni są pracy od ósmej do szesnastej. A potem fajrant... No, niestety, u nas tak to nie wygląda.

– Wiesz, kiedy składała podanie?

– Jakies dwa lata temu.

Marcel i Daria byli już wtedy parą. Dlaczego to przed nim zataiła? Odkąd Wolski pamiętał, Daria powtarzała, że nie wyobraża sobie życia w dużym mieście. Nie znosiła tłoku i korków. Ceniła ciszę i spokój, jakie zapewniało mieszkanie na wsi. Ale była również ambitna. Mierzyła wyżej niż komisariat w Białych Brzegach. Kiedyś wspominała, że złożyła podanie o przeniesienie na komendę do pobliskiego miasta, ale nie mieli wówczas wolnego miejsca. Dziś, zważywszy na braki w kadrach, pewnie miałyby większą szansę.

Marcel zastanowił się, czy powinien podzielić się z Tymonem swoimi przemyśleniami.

– Nie wiedziałem, że chciała się przenieść – przyznał.

Kolega posłał mu pełne skruchy spojrzenie.

– No to chyba się wygadałem – odparł. – Mam za długi jęzor. Myślałem, że wiesz.

– Nie. – Marcel pokręcił głową. – I nie wiem, dlaczego mi nie powiedziała.

– Może chciała zrobić ci niespodziankę?

– Ustaliliśmy, że zostajemy w Białych Brzegach.

Marcel zmilczał to, że niespodzianka byłaby w stylu Darii Sobczak. Lubiła sprawiać mu przyjemność, czasem nieco na siłę. Przygotowywała ulubione dania, piła piwo, które jemu smakowało, ostatnio zaczęła słuchać muzyki, której słuchał Wolski. Robiła wszystko, by sprawić mu przyjemność, ale Marcel nie był przekonany, czy właśnie o to chodzi w prawdziwym związku. Czasem zachowanie Darii działało mu na nerwy. Stawało się męczące. Na przykład kiedy bez konsultacji kupowała bilety do kina i rezerwowała noclegi na weekend. Nie pytała, czy Marcel miałby ochotę wybrać się nad morze. Z góry zakładała, że właśnie w taki sposób pragnie spędzić weekend. Miał wrażenie, że Daria powoli zapominała o własnych potrzebach.

Kilka miesięcy temu, tydzień przed Bożym Narodzeniem, zarezerwowała hotel w Mikołajkach. Wyjazd wydał się świetnym pomysłem, lecz w tamtym czasie Wolski nie miał ochoty na długą jazdę samochodem. Wolał zostać w domu. Odpocząć, posiedzieć na kanapie i obejrzeć film.

Darii nie spodobała się odmowa.

– Myślałam, że się ucieszysz – powiedziała z wyrzutem.

– Ucieszyłbym się, gdybyś zapytała mnie o zdanie.

– Chciałam zrobić ci niespodziankę.

– Mówiłem, że jestem zmęczony. Dlaczego pomyślałaś, że kilka godzin za kierownicą miałoby mnie odprężyć?

Daria poczuła się śmiertelnie urażona. Właśnie taka była, kiedy coś nie szło po jej myśli. Przez kilka dni nie odzywała się do niego, jakby zrobił jej krzywdę. Ignorowała go w domu i w pracy.

Wolski powiódł wzrokiem po sali restauracyjnej.

– Kiepski pomysł – powiedział. – Jeśli Daria przeniosłaby się do Łodzi, ja zostałbym na wsi. Kilka razy rozmawialiśmy o moich przenosinach, ale ona nie chciała słyszeć o wyprowadzce do miasta. W końcu odpuściłem, bo w Białych Brzegach żyje mi się całkiem nieźle.

– Może się bała?

– Czego?

– W Łodzi wszyscy czekają na ciebie z otwartymi ramionami.

– Bzdury.

– Czyżby? – prychnął Tymon. – Z dnia na dzień dostajesz przydział do najważniejszej sprawy w tym kraju. Naprawdę sądzisz, że to nic takiego? Uważasz, że pierwszy lepszy gliniarz mógłby dostać taki przydział?

Marcel położył otwarte dłonie na blacie stołu, walcząc z chęcią zapalenia papierosa.

– Powiem ci coś. – Tymon nachylił się ku niemu. – Marnujesz się na wsi. – Rozłożył ręce. – Stary, wiem, że wiele przeszedłeś. I pewnie przez jakiś czas nie miałeś ochoty wracać do Łodzi. Ale minęło sporo czasu. Powinieneś się otrząsnąć i pójść dalej. Twój ojciec nie zginął z twojej winy.

– Nie...

– Daj spokój. Mam wrażenie, że masz jakiś cel, obwiniając się o jego śmierć.

– Chyba żartujesz.

– Karzesz samego siebie, ale zapewniam cię, że nie masz powodów. Twój ojciec pojechał na akcję. Podjął taką decyzję. To nie ty pociągnęłaś za spust.

Marcel zacisnął dłonie w pięści.

– Ale mogłem ochronić ojca – odparł. – Nie zrobiłem tego. I jeśli twierdzisz, że obwiniam się o jego śmierć, masz rację. Uważam, że to moja wina, bo mogłem coś zrobić, żeby go ochronić.

– Na przykład dać się zabić? Myślisz, że twoja matka wtedy byłaby z ciebie dumna?

Tymon trafił w sedno. Wolski przełknął ślinę. Nie był gotowy na podobną rozmowę. Wydawało mu się, że uporał się z traumą po stracie ojca. Ale gdy wchodził do rodzinnego domu i patrzył swojej matce w oczy, wiedział, że Andrzej Wolski zginął przez niego. W oczach matki dostrzegał wyrzut, który nie dawał mu spokoju.



– Marnujesz się na wsi – odezwał się Tymon. – Jeśli miałbym ci cokolwiek poradzić, to czym prędzej wynieś się z tej wiochy. Inaczej stracisz swoją szansę. Jesteś dobrym policjantem. Potrzebujemy cię tutaj, a nie w leśniczówce pod lasem.

Wolski nie odpowiedział.

– Widziałem błysk w twoich oczach, kiedy zjawiłem się u ciebie i zaproponowałem współpracę. Nie wmówisz mi, że spełniasz się w łapaniu pijanych rowerzystów. Przestań się oszukiwać. Obaj wiemy, że powinieneś pójść naprzód. Mówisz, że lubisz Białe Brzegi. Jasne. – Tymon się uśmiechnął. – To piękne miejsce. I wierzę, że na początku było ci tam dobrze. A jak jest teraz? Nadal uważasz, że nie brakuje ci wyzwania?

– Może potrzebuję kogoś, kto pomoże mi zdecydować.

– A Daria?

– Daria – powtórzył Marcel. – Daria to osobna historia.

– Nie wnikać w waszą relację. Ale jeśli powrót do miasta miałby na ciebie dobry wpływ, Daria powinna cię wspierać.

– To nie takie proste.

– Domyślam się.

Wolski sapnął głośno. Zdążył zapomnieć, jak wiele daje rozmowa z przyjacielem.

– Nie układa nam się – wyznał i w tym momencie w prawej kieszeni jego spodni zawibrował telefon. Spojrzał na ekran i przeniósł wzrok na Tymona. – O wilku mowa – dodał, zawieszając palec nad zieloną słuchawką.

– Odbierz. Ja skoczę zapytać, co z naszymi piwami.

– Okej. – Marcel odczekał, aż kolega się oddali, i odebrał połączenie.

– Cześć – odezwała się niepewnym głosem Daria.

– Cześć.

Do uszu Wolskiego dobiegał jedynie szum rozmów gości w restauracji.

– Halo? – zapytał.

– Co robisz?

– Jestem w knajpie.

Cisza.

– Z kim?

Marcel wyczuł zdenerwowanie w głosie Sobczak.

– Z Tymonem – odparł. – Wyszliśmy coś przekąsić i napić się piwa. Jestem wykończony dzisiejszym dniem.

– Sprawdziłam wiadomości. Rzeczywiście zniknęło kolejne dziecko.

– Mówiłem ci.

Słowa Darii zabrzmiały jak wyrzut. A może mu się wydawało?

– Mógłbyś przyjechać? – zapytała.

– Teraz?

– Igor jest chory. Dostał gorączki. Jest cały czerwony i ma trudności z oddychaniem.

– Dzwoniłaś do lekarza?

– Nie odbiera.

– Wezwij karetkę albo jedźcie na pogotowie.

– Sama nie wiem. Może to nic poważnego?

– Jak wysoką ma gorączkę?

– Trzydzieści osiem.

Igor nie był chorowitym dzieckiem, ale za każdym razem gdy się przeziębził, Daria zaczynała wariować. Bała się o zdrowie syna, ale dziś Marcel czuł, że nie chodzi tylko o to. Gdyby sprawa była poważna, Daria nie czekałaby na rozmowę z Wolskim, tylko od razu pojechałaby do szpitala.

– Nie jestem lekarzem, Dario – powiedział.

– Wiem. Ale strasznie się boję.

Odsunął telefon od ucha i spojrzął na zegar. Dochodziła dziewiąta. Do Białych Brzegów dotrze za godzinę. A potem będzie musiał jeszcze wrócić do Łodzi. Nie uśmiechała mu się taka podróż.

– Dobrze – westchnął. – Przyjadę. Ale zadzwoń do lekarza.

– Będę na ciebie czekać.

– Wypiję za zdrowie młodego – powiedział, unosząc kufel piwa ku górze. – I zjem twoją kolację. Skoro już zamówiona. Szkoda, żeby się zmarnowała.

Wolski pożegnał się z kolegą i przeciskając się przez tłum na rynku Manufaktury, pobiegł do samochodu. Był głodny, ale nie chciał tracić czasu na czekanie w restauracji. Na stacji benzynowej przy wyjeździe z miasta kupił dwa hot dogi. Powinny wystarczyć.

Podróż do Białych Brzegów zajęła Wolskiemu mniej niż godzinę. Na ulicy nie było ruchu, więc udało mu się przyjechać szybciej, niż zakładał. Kiedy parkował pod leśniczówką, dostrzegł, że światła w pokoju Igora są zgaszone. Wysiadł, wdychając zapach igliwia i lasu, który był tuż za płotem leśniczówki. Poczł ukłucie w sercu. Kochał to miejsce, ale miał wrażenie, że czas, który tutaj spędził, dobiega końca.

Pchnął furtkę i wszedł po schodach na ganek. Szarpnął za klamkę, lecz drzwi nie ustąpiły. Zapukał cicho, aby nie obudzić Igora. Po kilku sekundach szczęknęły zamki. Daria ostrożnie uchyliła drzwi. Miała na sobie krótką koszulę nocną. Spięte w kok włosy odsłaniały bladą skórę na szyi.

– Cześć, kochanie – powiedziała z uśmiechem.

Wolski potrzebował kilku sekund, żeby zrozumieć sytuację. Cofnął się o krok.

– Co z Igorem? – zapytał, chociaż wiedział, że wykorzystwała syna, żeby ściągnąć Marcela do domu.

– Czuje się lepiej.

Daria była piękną kobietą, która podobała się mężczyznom. Czasem zdawała się nie doceniać własnej urody, ale dziś sprawiała wrażenie pewnej siebie i zdecydowanej. Powinna wzbudzać w Marcelu pożądanie, lecz on czuł narastającą złość.

Czekała na ruch z jego strony. Jak wyobrażała sobie ich spotkanie? Czy oczekiwała, że Marcel niczym filmowy aktor przestąpi próg i chwyci ją w ramiona? Dostrzegł w jej oczach nadzieję. Zakładała, że Wolski doceni przygotowania, strój i staranny makijaż. Ale przeciągające się milczenie sprawiło, że straciła rezon.

– Igor nie jest chory, prawda? – zapytał.

Daria cofnęła się w głąb domu. Sięgnęła do wieszaka w korytarzu i założyła sweter.

– Tak czy nie?

– Chciałam...

– Igor jest w domu?

– Zawiozłam go do matki.

Wolski westchnął. Nerwowym ruchem zapalił papierosa i oparł się plecami o barierkę. Daria była bliska płaczu.

– Nie patrz tak na mnie – powiedziała.

– Jak?

– Jak na idiotkę. Wiesz, jak się teraz czuję?

– A jak ja się czuję?

Daria spojrzała na niego, jakby nie rozumiała pytania.

– Byłem w pracy, Dario – odezwał się. – Biorę udział w cholernie trudnym śledztwie. Zaginęło kolejne dziecko. Dziewczynka. Widziałaś ją w telewizji, prawda?

– Tak.

– Myślisz, że dobrze się tam bawię? – Pokręcił głową, zaciągając się papierosem. – Nawet nie wiesz, ile mnie to kosztuje. Jutro czeka mnie ciężki dzień. Chciałem odpocząć. Wypaść się.

– Nie dzwoniś do mnie.

– Bo nie mam czasu, Dario. Mam nadzieję, że to tylko kilka dni. Zamkniemy tego sukinsyna i wrócę do domu. Dlaczego nie potrafisz odpuścić?

– Byłeś w knajpie.

– I co z tego?

Zmierzyli się wzrokiem.

– Sądzisz, że pojechałem do Łodzi, żeby włączyć się po barach? – zapytał. – Poszedłem coś zjeść. Zwyczajnie. Jak normalny człowiek!

– Wystroiłam się i czekałam na ciebie. Myślałam, że się ucieszysz.

Marcel zacisnął palce na ustniku papierosa. Zgasił niedopałek i wyrzucił na podwórkę. Daria kłamała. Znał tę grę. Usiłowała wzbudzić w nim poczucie winy, chociaż to ona zagrała nie fair.

– Nie powinnaś mnie okłamywać – powiedział.

– To nie było kłamstwo.

– Nie chciałem, żebyś kiedykolwiek robiła coś takiego.

Zagryzła wargę.

– Może to ty mnie oszukujesz.

Wolski prychnął.

– Z kim byłeś w restauracji? – zapytała, naciągając rękawy swetra na nadgarstki.

– A z kim miałbym być?

– Może z Leną Rudnicką?

Marcel znieruchomiał.

– Pieprzysz się z nią?

- O czym ty mówisz?
- Odpowiedz.
- Nie, nie pieprzę się z Leną.

Daria oddychała szybko.

Pomyślał, że najrozsądniejszym rozwiązaniem byłby powrót do Łodzi. Rozmowa w emocjach nigdy nie przynosiła dobrych rezultatów. Porozmawiają następnego dnia, gdy oboje ochłoną.

Daria weszła do mieszkania. Instykt samozachowawczy Wolskiego kazał mu odejść, lecz zamiast iść do samochodu, poszedł za Darią. Odnalazł ją w sypialni. Zmieniła ubranie na szare dresy i pleciony sweter. Rozpuściła włosy i przeczesała je dłońmi. Jej ruchy były impulsywne i gwałtowne. Szybkim krokiem przeszła do połączonej z salonem kuchni. Z górnej półki wzięła kieliszek do wina.

- Porozmawiajmy – zaproponował.

Daria zignorowała go. Wprawnym ruchem odkorkowała butelkę białego wina. Nalała kieliszek i wypila jednym haustem.

– Wiem, że ona jest w Łodzi – powiedziała. Odstawiła kieliszek na kuchenny blat i otarła usta. Zastanowiła się, a potem sięgnęła po butelkę i przytknęła usta do szyjki. – Myślałeś, że się nie dowiem? – zapytała.

- Sprawa jest medialna. I tak byś się dowiedziała.

– Szkoda, że nie od ciebie. Zobaczyłam ją w telewizji, kiedy wychodziła z budynku komendy.

To Lena Rudnicka była prawdziwym powodem, dla którego Daria ściągnęła go do leśniczówki.

- Pracujecie razem?

– Tak.

– Ona kieruje śledztwem?

– Tak.

– Wiedziałaś, kiedy godziłeś się pomóc Tymonowi?

– Nie miałem pojęcia.

Daria prychnęła. Napiła się wina.

– Nie masz prawa mówić, że cię okłamuję – stwierdziła.

– Nie okłamałem cię. Okej? – Uniósł otwarte dłonie. – Powinienem powiedzieć ci prawdę, ale wybrałem milczenie. Nie oszukałem cię, ale zataiłem fakt. To spora różnica.

Zaśmiała się.

– Nie dla mnie – odparła.

– Nie powiedziałem ci, bo wiedziałem, jak zareagujesz.

– Jak?

– Właśnie tak. Wiedziałem, że się wściekniesz. Zawsze reagujesz w taki sposób, gdy ktokolwiek wspomina o Lenie Rudnickiej.

Wolski nie miał pojęcia, z czego wynikała jej nienawiść do Leny. Wręcz przeciwnie. Chociaż początki nie były łatwe, to gdy Lena pracowała w Białych Brzegach, miał wrażenie, że kobiety nieźle się dogadywały.

Czy niechęć Darii wynikała z tego, że związała się z Wolskim? Większość ludzi nie przepada za byłymi partnerami swoich połówek, ale ona reagowała alergicznie na każdą wzmiankę o Rudnickiej. Zachowywała się, jakby chciała wymazać ją z pamięci nie tylko swojej, ale również Marcela. Nie miał prawa o niej wspominać.

Na początku jej zachowanie nie wzbudzało podejrzeń Marcela, ale z czasem uświadomił sobie, że Daria przesadza. Któregoś lata Dawid Sadowski, kolega z komisariatu, zaprosił ich na grilla. Na imprezie miała pojawić się nowa dziewczyna Dawida. Wieczór przebiegał w miłej atmosferze. Igor został na noc u babci. Oboje mieli okazję wypić coś mocniejszego. Wszystko było w porządku do chwili, gdy Dawid wspomniiał o śledztwie w sprawie śmierci Bogusława Konopki.

Trzydzieści lat wcześniej w Białych Brzegach doszło do tragedii. W pobliskiej kopalni piachu zginęła dwójka nastolatków. Dzieciaki wybrały się na niezabezpieczony teren kopalni. Naruszony piach osunął się, dwoje z nich wpadło do wyrwy i zostało przysypane tonami piachu. Troje przeżyło. Jednym z ocalałych był Konopka.

Daria również brała udział w tamtym śledztwie. Wróciła po urlopie macierzyńskim i była gotowa na nowe wyzwania. Przekonała się, że nowa policjantka, Lena Rudnicka, zyskała sobie sympatię kolegów, co było Darii nie w smak. Rozdawała karty, chociaż zdaniem Darii nie zasłużyła, by dowodzić. Przecież miała sporo za uszami. Między innymi śmierć komendanta Wolskiego.

Tamtego wieczoru Dawid streścił swojej dziewczynie przebieg śledztwa w sprawie śmierci Konopki. Wolski czuł, że to nie był dobry pomysł, ale nie protestował.

Daria urządziła wszystkim awanturę. Była pijana. Krzyczała, że nie ma zamiaru słuchać o Rudnickiej. Wyszła, rozbijając butelkę piwa o brukowaną ścieżkę prowadzącą do furtki. Marcel poszedł ją uspokoić, ale próby załagodzenia konfliktu tylko rozsierdziły Darię. Kłócili się całą drogę do domu.

Po tamtych wydarzeniach zaczął się zastanawiać, czy Daria jest odpowiednią kobietą. Im bardziej się od niej odsuwał, tym silniej próbowała zatrzymać go przy sobie. Nie zamierzał wymazywać swojej przeszłości. A z tym Daria nie mogła się pogodzić.

Między innymi dlatego nie powiedział jej o pracy z Leną.

– Zrezygnuj – powiedziała, wyrывая Marcela z zamyślenia.

– Nie mówisz poważnie.  
– Nie chcę, żebyś z nią pracował. To się źle skończy. Twoja matka też tak uważa.  
– Moja matka? – Wolski miał nadzieję, że się przesłyszał. – Rozmawiałaś z moją matką?!

– Tak.  
– Kurwa mać.  
– Rudnicka zawsze pakuje się w kłopoty. Nie inaczej będzie tym razem. Zrozum, że chcemy dla ciebie jak najlepiej. Masz dla kogo żyć. Masz mnie i Igorka.  
Marcel czuł, że zaraz puszcza mu nerwy.  
– Nie waż się mieszać w te sprawy mojej matki – warknął.  
– Kochanie, przecież...  
– Zrozumiałaś?  
– Lena cię skrzywdziła.  
– Przestań!  
Darii zaszkliły się oczy.  
– Nie rozumiesz, jak mnie to boli? – zapytała. – Jak bardzo cierpię, gdy o niej mówisz? Kochałeś ją! A może nadal kochasz? Zawsze będę tą drugą, rozumiesz? Nie chcę się tak czuć, ale to silniejsze ode mnie. Nienawidzę Rudnickiej za to, co ci zrobiła. Kocham cię, Marcelu, ale boję się, że cię stracę.  
Zaskoczony wyznaniem Wolski uciekł wzrokiem. Daria po raz pierwszy powiedziała mu, co tak naprawdę czuła.  
– Nie musisz czuć się zagrożona z jej powodu – mruknął bez przekonania.  
Pokręciła głową.  
– Nie kłam – odparła. – Pamiętasz, w jakim stanie byłeś, gdy cię zostawiła? Nie pozwolę, by to się powtórzyło.

## 23

Dochodziła północ, kiedy w mieszkaniu Rudnickiej rozległo się pukanie do drzwi. Podniosła wzrok nad dokumentów. Czekala, sądząc, że któryś z sąsiadów pomylił mieszkania. Nie spodziewała się gości. W gruncie rzeczy odwiedzała ją tylko siostra. Ale Maria już dawno spała, razem z dziećmi i Basią, która została u niej na noc. Po zaginięciu Antosi Grabowskiej zaproponowała, że zajmie się Basią, aby Lena mogła pracować. Dziewczynka nie protestowała. Lubiła spędzać czas z cicią.

Rudnicka zyskała czas na analizę szczegółów sprawy. Po wyjściu z komendy wpadła do mieszkania, zabrała dla Basi ubrania na zmianę i ulubionego pluszaka. Pojechała do siostry. Posiedziała z córką, dopóki mała nie zasnęła, a potem wróciła do mieszkania na Narutowicza.

Pukanie rozległo się ponownie. Lena dźwignęła się z kanapy. Zajrzała przez wizjer i na widok stojącego po drugiej stronie drzwi Wolskiego zakłęła pod nosem. Z pewnością słyszała odgłosy dobiegające z mieszkania. Udawanie, że nikogo nie ma, było bez sensu.

Przekręciła zamki.  
– Zdurniałeś? – burknęła.  
– Ciebie również miło widzieć – odparł.  
– Co tutaj robisz? I skąd miałeś mój adres?  
Wolski miał zarumienione policzki. Oddychał szybko. Oczy mu się szklily. Przeciągnął otwartą dłoń po twarzy. Sprawiał wrażenie zmęczonego, ale na widok Leny nie mógł przestać się uśmiechać.

– Od Tymona.  
– To kiepska pora na odwiedziny, nie sądzisz?  
Wzruszył ramionami.  
– Obudziłem cię?  
– Nie.  
– Nigdy nie chodziłaś wcześniej spać.  
– Piłeś?  
Zaprzeczył.  
– Przecież widzę – upierała się. – Chyba nie przyjechałeś samochodem?  
– Zostawiłem samochód na parkingu przed sklepem.  
– Rozsądne.  
– Przyszedłem pieszo. – Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął upitą do połowy dwustumililitrową butelkę smakowej wódki. – Pokłóciłem się z dziewczyną – wyjaśnił.  
Lena uniosła brwi. Chciała o coś zapytać, lecz ostatecznie ugryzła się w język.  
– Wiesz, o co się pokłóciliśmy?  
– Nie obchodzi mnie to.

Wolski cmoknął.

– O ciebie – wyjaśnił.

– Nie interesują mnie twoje sprzeczki.

– Jest o ciebie zazdrosna.

– Jeśli szukasz kogoś, komu mógłbyś się wyzalić z problemów w związku, trafiłeś pod zły adres.

– Sam nie wiem, dlaczego ona nie rozumie, że od dawna nic nas nie łączy.

Rudnicka westchnęła.

– Zamów taksówkę i jedź do hotelu – powiedziała. – Pogadamy rano.

– Bo nic nas nie łączy, prawda?

Marcel podrapał się po głowie i spojrzał na Lenę. Ubrana była w szorty i bluzę z kapturem. Przesunął wzrokiem po jej udach.

– Marcel, daj spokój – odezwała się. – Dochodzi północ. To nie jest najlepsza pora na takie rozmowy.

– Mam sobie iść?

– Tak będzie lepiej.

– Dla kogo?

– Dla ciebie.

Piętro niżej rozległ się dźwięk zamykanych drzwi. Stukot pazurów stąpających po posadzce. Dyszenie trzydziestokilogramowego owczarka niosło się po pustym korytarzu. Sąsiad przekręcił zamki, przywołał psa i wyszedł na zewnątrz. Główne drzwi zamknęły się z cichym kliknięciem.

– To jak będzie? – zapytał Wolski. – Wpuścisz mnie?

– Nie.

– Mhm.

Zmierzyli się wzrokiem.

– Jezu – stęknęła. – Wchodź.

Wolski zachichotał i wszedł do mieszkania.

– Nieźle – ocenił, rozglądając się po wnętrzu. – Wynajmujesz?

– Nie twoja sprawa.

– Czyli je kupiłaś. Kto by pomyślał?

Marcel odłożył butelkę wódki na stół. Z rękoma w kieszeniach przeszedł się po salonie. Lena podążyła za nim wzrokiem i odetchnęła z ulgą, gdy uświadomiła sobie, że pudełko z zabawkami Basi znajduje się u niej w pokoju. Zerknęła na korytarz. Drzwi do pokoju Basi były zamknięte. Wolski nie powinien się tam zapuszczać.

– Pułkownik zostawił mi trochę kasy – wyjaśniła. – No i po rozwodzie podzieliliśmy się majątkiem z Krzysztofem. Nie wiedziałam, co zrobić z pieniędzmi, więc uznałam, że najwyższy czas kupić własne mieszkanie. Nie wiem, czy to był dobry pomysł, ale na razie nie narzekam.

– Trochę kasy? – Zaśmiał się. – Nie chcę wiedzieć, ile kosztowało mieszkanie w tym miejscu.

– To nieistotne.

– Nie wolałaś mieszkania na spokojnym osiedlu? – Wyrzał przez tarasowe okno. – Tutaj jest chyba spory ruch?

– To prawda – przyznała. – Ale mi to pasuje.

Marcel uniósł otwarte dłonie.

– Okej – odparł.

– Chcesz coś do picia?

– Whisky.

– Nie mam.

– Wiem, że masz.

Rudnicka mimowolnie się uśmiechnęła. Zimowe wieczory w leśniczówce spędzali, popijając whisky. To był ich ulubiony alkohol. Na wspomnienie minionych czasów poczuła nieprzyjemne ukłucie. Tęsknotę? A może żal, że wszystko potoczyło się nie tak, jak powinno?

Kiedy Marcel podszedł bliżej, cofnęła się, jakby wyczuwała zagrożenie. Milczeli kilka sekund. Lena poruszyła się jako pierwsza. Sięgnęła do sekretarzyka po szklanki do whisky.

– Jim beam? – zapytała.

– Perfekcyjnie.

Napełniła szklankę i podała Wolskiemu. Posłał jej pytające spojrzenie. Zrozumiała go bez słów.

– Na tarasie – odparła.

Wyszła za Marcelem. Noc była chłodna. Bezgwiazdne niebo wisało nad miastem. Ulice były puste. Co jakiś czas ciszę zakłócał przejeżdżający samochód.

Wolski zapalił papierosa i się zaciągnął.

– Jesteś szczęśliwa? – zapytał.

– Zamieniłeś się w psychoterapeutę?

– Jestem ciekaw.

Lena zastanowiła się nad odpowiedzią. Były w jej życiu chwile, gdy mogła powiedzieć, że czuje się szczęśliwa. Na co dzień starała się o tym nie myśleć. Kochała swoją córkę. Dzieciństwo Rudnickiej nie należało do

najłatwiejszych, dlatego postanowiła zapewnić Basi spokojny i szczęśliwy okres dorastania. Chciała, aby córka miała poczucie, że nie jest sama. Chciała, by Basia mogła na nią liczyć.

– Masz kogoś? – zapytał Marcel.

Rudnicka obrzuciła go wrogim spojrzeniem.

– Przepraszam. – Uniósł dłonie. – Nie powinienem pytać.

– Nie powinieneś.

Napiła się whisky. Alkohol zapiekł w język i powędrował do żołądka, rozprowadzając po organizmie przyjemne ciepło.

Oparła się o barierkę i popatrzyła na ulicę.

– Dlaczego twoja dziewczyna jest o mnie zazdrosna? – zapytała.

– Podobno cię to nie interesuje.

– Sam zacząłeś.

– Twierdzi, że o prawdziwej miłości się nie zapomina.

Lena wzięła od Marcela papierosa i wciągnęła dym do płuc.

– Mówią, że czas leczy rany – odparła. – Nie widzieliśmy się kilka lat. To chyba dość dużo czasu, by zapomnieć?

– Nie wiem. A ty jak sądzisz?

Rudnicka przechyliła lekko głowę.

Pomyślała, że powinna przerwać tę rozmowę. Zaprowadzić Wolskiego do drzwi i pożegnać się. Pozostawić znajomość na stopie zawodowej. Tak byłoby lepiej dla nich obojga. Zaproszenie Marcela do mieszkania równało się z wpuszczeniem go do swojego życia. Lena nie chciała wracać do przeszłości, ale w obecności Wolskiego czasem traciła zdolność logicznego myślenia. Na przykład teraz.

Nadał go kochała. Nie zapomiała o ich wspólnej przeszłości. Ale stchórzyła. Zostawiła Wolskiego, ponieważ w tamtym momencie tak było jej wygodniej. Marcel nie miał pojęcia o istnieniu Basi. Teraz było za późno, by wszystko naprawić.

Oparł się o barierkę. Znalazł się zbyt blisko. Poczula ciepło jego ciała i zapach perfum.

– Zostawiłaś mnie – odezwał się. – Nadal nie wiem, dlaczego.

– Nieprawda. Wyjaśniłam ci, dlaczego powinniśmy się rozstać.

– Nie. – Pokręcił głową. – To wyjaśnienie było dla ciebie, nie dla mnie. Bałaś się ze mną związać, więc uciekałaś, kiedy zaczęło robić się poważnie. Samej sobie wmawiałaś, że tak będzie lepiej.

Lena nie odpowiedziała.

– Między nami było za dużo tajemnic – stwierdził Wolski.

W duchu przyznała mu rację. Ich związek opierał się na sekretach. Gdyby od początku byli ze sobą szczerzy, ich życie mogło wyglądać teraz zupełnie inaczej. Rudnicka żałowała, że tak się nie stało. Marcel był dla niej najbliższą osobą, ale nawet jego nie dopuszczała do siebie w stu procentach. Życie nauczyło ją, że zawsze powinna radzić sobie sama. Nie przywykła do dzielenia się sekretami z innymi ludźmi. Ale ich związek nie zawsze był zły. Kochali się. Przeżyli razem wiele pięknych chwil. Poza tym nadal coś ich łączyło.

Wolski posmutniał. Dopił whisky i odstawił szklankę na zewnętrzny parapet. Spojrzał na Lenę z tęsknotą.

– Nie zawalczyliśmy o siebie – stwierdził. – Nie dałaś nam szansy.

– Minęło dużo czasu. Nie wracajmy do przeszłości.

– Wiesz, o czym marzę?

– Hm?

– Chciałbym z tobą porozmawiać. Tak zwyczajnie. Jak kiedyś.

– To nie...

– Wiem, że to niemożliwe – przerwał. – Między nami nie będzie tak jak kiedyś. Każde z nas ułożyło sobie życie. Lepiej tego nie zmieniać.

Lena poczuła ukłucie w żołądku.

– Żałowałam podjętej decyzji – powiedziała, zanim zdążyła pomyśleć. Alkohol zaczynał działać. Poczula przyjemne odprężenie. – Cholernie żałowałam, że od ciebie odeszłam. To chciałeś usłyszeć?

Wolski nie wyglądał na zaskoczonego.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś?

– Nie mogłam.

– Dlaczego?

Odwróciła głowę.

– Byłaś zbyt dumna, by to zrobić? – zapytał.

– Trudno przyznać się do błędu.

– Zawsze byłaś uparta.

Marcel podszedł bliżej.

– Wiedziałaś, że Tymon poprosi mnie o pomoc w sprawie zaginięcia dzieci? – zapytał.

– Nie.

– A gdybyś wiedziała, co byś zrobiła?

– Nie wzięłabym udziału w sprawie.

Głos Leny nie brzmiał przekonująco. Odwróciła się od niego i odstawiła szklanę na parapet, aby ukryć zmieszanie.

– Tak myślałem – odparł.

– A gdybyś wiedział, że kieruję zespołem, zgodziłbyś się przyjechać do Łodzi?

Zastanowił się.

– Rozum podpowiadałby mi, żeby nie przyjeżdżać, ale i tak bym przyjechał.

– Po co?

– Żeby cię zobaczyć.

Lena podniosła głowę. Ich spojrzenia się spotkały. Zalała ją fala gorąca. Żaden mężczyzna nie patrzył na nią w taki sposób.

Marcel zmarszczył czoło. Uśmiechał się. Chwila zdawała się trwać zbyt długo. Rudnicka wiele by dała, żeby nigdy się nie skończyła. Odsunęła się, a Wolski przyciągnął ją do siebie. Przyłgnął wargami do jej ust. Smakowała karmelizowanym alkoholem. Pogłębiła pocałunek. Wolski objął ją w pasie.

Lena drżała z emocji. Nie chciała, by przestał. Pragnęła więcej. Zsunęła mu z ramion kurtkę i nie przerywając pocałunku, poprowadziła go do sypialni. Straciła kontrolę. Straciła ją w chwili, gdy Wolski stanął w progu mieszkania. Oboje wiedzieli, że to musiało się tak skończyć.

Ciało Wolskiego się zmieniło. Zapamiętała jego chłopięce rysy i delikatnie zarysowaną linię brzucha. Teraz dotknęła muskularnych ramion. Czuła napięte pod skórą mięśnie. Chwytał ją za pośladki, gdy opadali na łóżko.

Kochali się intensywnie, jakby usiłowali nadrobić stracony czas. Ich ciała lepiły się od potu. Lena nie zastanawiała się nad konsekwencjami. Dawno nie była z mężczyzną. Potrzebowała bliskości. Ich oddechy powoli się uspokajały. A kiedy Marcel oplótł ją ramionami i przyciągnął do siebie, po raz pierwszy od dawna poczuła się szczęśliwa. Powoli ogarniała ją senność. Przytuliła się do Marcela i zasnęła.

## 24

Kobieta stojąca przed kamienicą przy Narutowicza patrzyła w górę. Dwoje ludzi rozmawiało na tarasie. Palili wspólnego papierosa. Widziała strużkę dymu rozmywającą się w powietrzu. Rozmawiali. Nie słyszeli, jak płakała. Była zbyt daleko. A oni byli zajęci sobą.

Kiedy w tym mieszkaniu zgasły wszystkie światła, mogła odejść. Robiło się zimno, jednak ona wciąż nieruchomo wpatrywała się w zasnute czernią okna.

Czekała.

## Rozdział IV

### Piątek, 8 kwietnia

#### 1

Kawa powoli przelewała się do dzbanka. Rudnicka wsłuchiwała się w odgłosy pracy ekspresu, który sycząc, wypływał ciemny płyn. Gdy dzbanek się napełnił, urządzenie cicho kliknęło.

Nalała kawy do kubka. Usiadła przy stole w chwili, gdy Wolski wyszedł z łazienki. Zmierzył dłonią wilgotne włosy.

– Użyłem twojego żelu pod prysznic – powiedział, wchodząc do kuchni. – Pachnę pomarańczą z migdałami. – Lena podała mu pusty kubek. Nalał kawy z dzbanka i upił łyk. – Często nocują u ciebie dzieci Marii?

Rudnicka spojrzała na niego pytająco.

– W mieszkaniu jest dużo dziecięcych rzeczy – wyjaśnił.

– Ach, tak. Miałam ostatnio trochę wolnego czasu. Kiedy ojciec nie mógł wziąć dzieciaków na noc, Maria przywoziła je do mnie.

– Cieszę się, że wasze relacje się poprawiły.

– Tak – przyznała. – Dobrze mieć siostrę.

Marcel oparł się plecami o blat. Odstawił kubek z kawą i potarł oczy. Przez jego twarz przemknął uśmiech. Lena bała się niezręczności, jaka mogła pojawić się po wspólnie spędzonej nocy. Ale oboje czuli się swobodnie w swoim towarzystwie.

– Skoczę do hotelu po ciuchy na zmianę – powiedział.

– Nie zatrzymuję cię.

– Jasne, że nie.

– Co?

– Możemy sobie oszczędzić?

– Czego?

Podszedł bliżej.

– Wczorajsza noc to był błąd, którego nigdy nie powinniśmy popełnić – powiedział. – Najlepszym wyjściem z sytuacji będzie zapomnieć o wszystkim i udawać, że nic się nie stało.

Lena nie mogła się nie uśmiechnąć.

– Bo w gruncie rzeczy to był błąd – przyznała.

– Uhm.

– I powinniśmy o tym zapomnieć. Wróć do swojej dziewczyny. Kup jej kwiatki albo zaproś na kolację. I nie wspominaj o tym, co między nami zaszło.

– Niezłe to wykombinowałaś.

Zaśmiała się.

– Niczego nie żałuję – stwierdziła.

– I co z tym zrobimy?

Lena kiedyś obiecała sobie, że nie pozwoli, aby jakikolwiek mężczyzna zawrócił jej w głowie. Nie chciała się zakochać. Ale wystarczyło, by Marcel pojawił się na horyzoncie, a wszystkie postanowienia wzięły w łeb. Po raz pierwszy od trzech lat poczuła się szczęśliwa.

– Dajmy sobie czas – zaproponował. – Zamknijmy śledztwo, a potem pomyślimy, co dalej, okej?

– Lepiej już idź. Za dużo myślisz.

– Mówię poważnie.

– To tylko jedna wspólna noc. A poza tym masz dziewczynę...

– Nie układa nam się.

– Każdy facet tak mówi.

Wolski udał obrażonego.



– Uwierz mi, że nie czuję się z tym komfortowo – odparł. – Myślałem, że nie jestem takim facetem. Ale chyba jakiś czas temu popełniłem błąd i coraz trudniej mi się z tego wplątać.

Lena uniosła głowę.

– To nie moja sprawa – powiedziała. – Nie musisz mi się tłumaczyć.

– Chcę, żebyś wiedziała.

– Zbieraj się. Spotkamy się na komendzie.

Pokiwał głową.

– Okej. Rozumiem, że potrzebujesz czasu.

– A ty nowych ciuchów.

Marcel się zawahał, a potem wyszedł z mieszkania. Kurtkę założył na klatce schodowej. Zasunął suwak i zapalił papierosa, idąc w kierunku sklepu, przy którym wczoraj zostawił samochód. Szedł powoli, myśląc o minionej nocy. Czego oczekiwał? Znał Lenę wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że będzie trzymała go na dystans. Wczoraj uświadomił sobie, jak bardzo za nią tęsknił.

A gdzie w tym wszystkim była Daria? Nie chciał jej zranić. Był pewien, że decyzja o rozstaniu będzie dla niej ogromnym ciosem. Wczorajszy dzień jednak utwierdził go w przekonaniu, że nie mogą być razem. Nie pasowali do siebie. Zachowanie Darii stawało się irytujące. Marcel nie powinien robić jej nadziei na wspólną przyszłość, ale nie spodziewał się, że ich relacja tak szybko przerodzi się w poważny związek. Wydawało mu się, że jest gotowy, ale się pomylił. Jej obsesyjna zazdrość była dla niego zbyt dużym ciężarem. Mimo wszystko nie chciał więcej jej okłamywać. Nie zasłużyła na takie traktowanie.

Wyjął telefon. Na ekranie wyświetliło się szesnaście nieodebranych połączeń od Darii. Zaczęła dzwonić krótko po jego wyjeździe z Białych Brzegów. Wyszedł, trzaskając drzwiami. Daria płakała. Błagała go, by wrócił do domu. Nie chciała, żeby jechał do Łodzi. Namawiała, by zrezygnował z udziału w śledztwie.

Oddzwonił. Odebrała niemal natychmiast.

– Dzwoniłaś – powiedział.

– Dlaczego nie odbierałaś telefonu?

– Miałem swoje sprawy.

– Czym są twoje sprawy? – zapytała.

– Po co dzwoniłaś?

– Chciałam się pogodzić.

Wolski głośno wypuścił powietrze z płuc.

– Skończę sprawę, wrócę i porozmawiamy, dobrze? – zaproponował.

– Nie wiesz, jak długo to potrwa.

– Nie wiem.

– Nie chcę czekać na ciebie tygodniami.

– Wolałbym nie rozmawiać o takich sprawach przez telefon.

– Mianowicie?

Wolski obserwował, jak miasto powoli budzi się do życia. Przysiadł na ceglany murku nieopodal przystanku. Kilka metrów dalej stali czekający na tramwaj pasażerowie.

– Coś się stało? – zapytała Daria.

– Wszystko w porządku.

– Jesteś jakiś inny.

– Jaki?

– Nieswój.

– Wszystko w porządku – zapewnił ją. – Zadzwoń do ciebie wieczorem.

Chwila milczenia.

– Kocham cię – powiedziała Daria, a on poczuł się jak ostatni drań.

Rozłączył się.

## 2

Wpadające przez okno promienie słońca kładły się jasnymi plamami na podłodze. Po raz pierwszy od tygodnia poranek zapowiadał ładną pogodę. Po niebie sunęły pierzaste chmury. Lena podeszła do balkonowego okna. Poczula na twarzy przyjemne ciepło.

Zadzwoiła do Marii. Rozmawiały kilka minut. Upewniła się, że Basia przespała całą noc. Kiedy zadzwoniła, akurat szykowały śniadanie.

– Uważaj na siebie – poprosiła Maria.

– Jasne.

– Obiecuj, że będziesz ostrożna.

Lena westchnęła.

– Obiecuję.

Chociaż Maria nie pochwalała szybszego powrotu siostry do pracy, Lena czuła jej wsparcie. Rozłączyła się. Czy właśnie tym jest rodzina? Niezależnie od podjętych decyzji bliscy pomagają sobie wzajemnie. Bez oceniania i krytycznych komentarzy.

Ich ojciec był toksyczny. Pił i bywał agresywny. W rodzinie Zalewskich brakowało miłości. Matka robiła wszystko, co mogła, aby uchronić je przed złem. Ale one pamiętały. Strach towarzyszył im od najmłodszych lat.

Lena chroniła Basię. Chciała zapewnić córce spokojne dzieciństwo. Czy właśnie z tego powodu nie powiedziała Wolskiemu o ciąży? Bała się, że ich związek nie przetrwa, a Basia będzie dorastać pomiędzy matką i weekendowym ojcem? Ale czy tak było lepiej? Miała prawo poznać ojca. A Marcel miał prawo wiedzieć, że ma córkę.

Lena dopiła kawę, zebrała materiały ze śledztwa do płóciennej torby i wyszła z mieszkania.

### 3

Zanim Lena udała się na komendę, pojechała do siostry, by zabrać Basię i odprowadzić ją do przedszkola.

– Jak było u cici? – zapytała, zapinając małą w foteliku.

– Fajnie.

– Fajnie? – Pocałowała córkę w czoło. – A co robiliście?

– Bawiłam się klockami. – Basia wsunęła wskazujący palec do ust. – No a potem jedliśmy pizzę. Ciocia powiedziała, że mogę zjeść dwa kawałki.

– I co? Dałaś radę?

– Prawie. – Basia wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Trochę mi zostało, ale mało.

– Duże dziewczynki muszą dużo jeść, żeby mieć dużo siły.

– No. Ciocia Marysia mówi, że jestem dzielna.

– Bo jesteś, kochanie. Jesteś bardzo dzielna.

Rozstanie z matką, z którą wcześniej spędzała każdą wolną chwilę, z pewnością było dla Basi trudne. Ale dziewczynka radziła sobie nadzwyczaj dobrze. Dzielnie znosiła kilka godzin w przedszkolu. Rudnicka miała wrażenie, że coraz chętniej zostaje z Zuzą i rówieśnikami. Była dumna z córki. I cieszyła się, że przełamała niechęć do zabawy z dziećmi.

– Ciocia mówi, że łapiasz pana, który zabiera dzieci od mamy i taty.

– To prawda.

– Są smutne.

– Kto?

– Dzieci. Mnie też jest smutno, kiedy zostaję sama, ale wiem, że po mnie przyjedziesz. Czy ich mamusie przyjadą i zabiorą je do domu?

Rudnicka spojrzała w tylne lustro. Basia wpatrywała się w splecione na kolanach rączki. Lena poczuła w żołądku przyjemne ciepło. Kochała tę dziewczynkę całym sercem.

– Mam nadzieję, że tak – odparła. – Każda mamusia kocha swoje dziecko.

– Ale ktoś zabiera je mamusiom. Ja bym płakała.

Odprowadziła Basię do przedszkola, uważnie obserwując córkę wchodzącą na salę zabaw. Blondynka z dwoma kucykami wyraźnie ucieszyła się na jej widok. Podbiegła i złapała Basię za rękę.

– Pobawimy się? – zaproponowała.

Basia z lekką rezerwą spojrzała na koleżankę. Przeniosła wzrok na matkę. Lena przykucnęła i pocałowała córkę w czoło.

– Leć – zachęciła ją. – Dziś postaram się przyjechać po ciebie od razu po pracy.

Mała z wahaniem poszła za koleżanką. Skierowały się do plastikowego basenu z kolorowymi piłkami. Basia jeszcze pomachała na pożegnanie matce, która pomyślała, że nie ma piękniejszego widoku od dziecka przełamującego własne lęki.

Pojechała na komendę. Było kilka minut po ósmej, gdy weszła do pokoju. Na jej widok naczelnik Barwicki wstał i po żołniersku kiwnął głową.

– Cześć. Mamy problem – oznajmił, siadając na krześle Wolskiego. Zakręcił się dookoła i klapnął dłonią w blat. – Dziennikarze zaraz się do nas dobiorą. Oglądaliście wczoraj telewizję?

Do pokoju wszedł Marcel. Uśmiechnął się do Leny i podał rękę naczelnikowi.

– Zaginięcie Antosi pokazywali we wszystkich serwisach – odparła Lena, gdy Wolski zajął się przygotowywaniem kawy.

Naczelnik machnął ręką.

– Nie o tym mówię – powiedział. – Szlag by trafił pieprzonych redaktorków. Odrąbili sukces. Wywęszyli, że zatrzymaliśmy Mieczkowskiego.

Rudnicka zmarszczyła brwi. Niedobrze. Nie doceniła mediów. Policjantom przydałoby się chociaż kilka godzin więcej. Przycisnęliby Mieczkowskiego, żeby przyznał się do winy. Ale teraz, gdy opinia publiczna dowiedziała się o zatrzymaniu, dziennikarze będą patrzeć im na ręce. Rudnicka powinna być ostrożna. Jeśli okaże się, że Mieczkowski jest niewinny, mogą mieć problem. Szczególnie jeśli media wydadzą na niego wyrok.

Wsunęła dłonie do kieszeni.

– Ktoś puścił farbę – stwierdziła. – Kto?

Barwicki zmarszczył brwi, odchrząknął i potarł otwartą dłonią twarz. Mieczkowski był zatrzymany, ale nie został oskarżony. Jeśli sprawą zainteresowały się media i okrzykną go porywaczem dzieci, ludzie stracą czujność. Wierzą w to, co zobaczą w telewizji.

– Nie podawaliśmy tej informacji do wiadomości publicznej, więc możemy założyć, że sypanął ktoś z komendy – powiedziała Lena.

– Hieny wszędzie mają dojścia – skwitował naczelnik.

– Ilu policjantów wiedziało o zatrzymaniu Mieczkowskiego?

Barwicki chciał powiedzieć, że żaden z jego ludzi nie poinformowałby mediów, lecz w porę ugryzł się w język. Nie mógł mieć takiej pewności. Ufał im, ale wiedział, że na każdego można znaleźć sposób.

– Mleko się rozlało – stwierdził. – Teraz powinniśmy pomyśleć, w jaki sposób przedstawić sprawę w mediach.

– Wyślij rzecznika. Niech uspokoi sytuację.

Barwicki pokręcił głową.

– Może wstrzymamy się z komentarzem?

– Śledztwo jest w toku. Nie możemy ujawniać informacji. Bla, bla, bla.

– Postaram się jakoś to załatwić. – Naczelnik wstał i pomasaował kark. – Podobno coś znalazłaś?

– Tak.

Rudnicka włączyła komputer.

– Spójrzcie. – Przesunęła laptop w stronę naczelnika. Barwicki i Marcel pochylili się nad ekranem i patrzyli na idącego chodnikiem mężczyznę. – To nagranie sprzed szkoły Antosi. Przeanalizowałam pozostałe i moim zdaniem na wszystkich widać tego kulejącego faceta.

– To już wiemy.

– Ale teraz mam pewność, że tym facetem nie jest Arkadiusz Mieczkowski.

#### 4

Dominika Grabowska zaczęła dzień od tabletek przeciwbólowych. Wysypała kilka pigułek na dłoń, bez zastanowienia wrzuciła je do ust i popiła wodą. Odchyliła głowę do tyłu. Chłodna woda przyjemnie spływała do żołądka.

– Nie śpisz? – zapytał Bartosz.

– Nie spałam całą noc – odparła.

– Ja też nie zmrzyłem oka.

Milczeli przez chwilę.

– Nie mogłam spać, wiedząc, że... że nasza Tosia...

– Przed domem stoi policja?

– Byli całą noc.

Bartosz Grabowski wetknął nos za firankę.

– Dzwoniłaś do tej policjantki? – zapytał.

– Od wczoraj nie.

– Zadzwoń. Może znaleźli jakiś ślad.

– Daliby znać.

Bartosz zmarszczył brwi.

– To ja zadzwonię.

– Jak chcesz.

Od wczoraj się kłócili i obwiniali nawzajem. Zamknęli się w osobnych pokojach. Dominika chciała porozmawiać z mężem, ale zabrakło jej odwagi. Potrzebowała jego wsparcia, lecz była zbyt dumna, by poprosić o pomoc.

Grabowski wybrał numer i przyłożył telefon do ucha. Dominika pomyślała, że mąż jest naiwny. Wciąż ma nadzieję, że Tosia po prostu się zgubiła. Gdyby policja cokolwiek znalazła, poinformowaliby ich. Ale nikt nie zadzwonił. Nie mieli niczego, co posunęłoby sprawę naprzód. Kazali czekać. Policjanci przeczesywali kolejne rejony miasta, a Dominice i Bartoszowi kazali siedzieć w domu. I czekać. Na co?

- Jej już nie ma – powiedziała cicho.
- Co mówisz?
- Tosi już nie ma.
- Przestań.
- Czuję, że do nas nie wróci.
- Jezu, możesz przestać?! Nie mogę tego słuchać.
- To on ją porwał. Ten sukinsyn porwał naszą córkę.
- Złapali go, pamiętasz?

Dominika pokiwała głową.

Jeden z policjantów, Tymon Milewski, zadzwonił do nich wczoraj z informacją, że zatrzymali podejrzanego. Ale nie mieli na niego wystarczających dowodów. Dominika cały czas myślała o zaginionej córce. Jeśli złapali porywacza, może nie zdążył zrobić Antosi krzywdy?

Wczorajszego wieczora zadzwoniła do komisarz Rudnickiej, która obiecała, że przyjdzie do nich jutro, kiedy będzie miała więcej informacji. Zapewniła, że patrolę szukają Antosi w całym mieście. Dominiki wcale to nie uspokoiło.

Kiedy usiadła na kanapie, mąż odłożył telefon.

- Nie odbiera – powiedział.
- Oddzwoni.
- Jak możesz być tak spokojna?

Dominika spojrzała na męża z wrogością. Nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż rozległo się pukanie do drzwi.

Grabowska poderwała się z kanapy i popędziła na korytarz. Spodziewała się wizyty policjantów, ale w progu stało dwoje ludzi. Kojarzyła ich twarze z telewizji. To byli Abramowscy.

## 5

Dominika była zaskoczona wizytą Abramowskich. Przez krótką chwilę zastygła w bezruchu, jakby nie wiedziała, czy powinna zaprosić ich do środka. Szybko się jednak zreflektowała. Odsunęła się od drzwi, by wpuścić gości. Odwiesiła ich płaszcze. Kobieta ubrana była w granatową sukienkę. Wyglądała skromnie, lecz elegancko. Dominika z pewną zazdrością dostrzegła, że Kamila Abramowska może pochwalić się świetną figurą. Jej mąż zaś miał na sobie niemodną oliwkową koszulę z szerokimi rękawami. Już na pierwszy rzut oka było widać, że tych dwoje nie pasuje do siebie. Kamila dbała o siebie. Z pewnością długo wybierała strój na dzisiejszą wizytę. On sprawiał wrażenie, jakby założył na siebie pierwszą koszulę, która wpadła mu w ręce, gdy otworzył szafę. Ona była kobietą z klasą, on zaś prostym mężczyzną, który nie wymaga od życia zbyt wiele.

Grabowska zdawała sobie sprawę, że nie powinna oceniać ich po wyglądzie. Podczas pracy w przychodni miała do czynienia z wieloma ludźmi. Cierpliwie wysłuchiwała historii matek, które przychodziły z dziećmi na wizytę. Czasem miała wrażenie, że choroba dziecka jest tylko pretekstem, by przyjść i opowiedzieć o swoich nieszczęściach, nieudanym małżeństwie, kłopotach z teściową czy niepowodzeniach w życiu zawodowym.

– Przepraszamy za najście – odezwała się Abramowska, a potem przedstawiła siebie i męża. – Nie wiem, czy to odpowiedni moment na wizytę. Jeśli przeszkadzamy, proszę powiedzieć, a wpadniemy w innym terminie... Widzieliśmy, że państwa córeczka... – Abramowska zawiesiła głos, jakby nie wiedziała, w jaki sposób powiedzieć, że ich dziecko zaginęło i być może już nigdy go nie zobaczą.

– Proszę wejść – powiedziała Dominika.

– To nie najlepszy moment – odezwał się Bartosz. – Zaraz wybieramy się na komendę.

– W takim razie przyjdziemy innym razem... – zaczął Ryszard Abramowski. Zwiesił ręce wzdłuż ciała. Całym sobą mówił, że najchętniej wróciłby do domu.

– Proszę wejść – powtórzyła Dominika. – Myślę, że rozmowa z państwem może nam pomóc.

Poprowadziła gości do salonu. Kamila Abramowska dokładnie oglądała każdy element wystroju mieszkania. Wodziła wzrokiem po ścianach i regałach, a potem zerknęła w kierunku korytarza. Dominika nie była pewna, czy kobiecie spodobało się mieszkanie, czy wręcz przeciwnie.

– Napijcie się czegoś? – zapytała, by przerwać niezręczną ciszę.

– Chętnie napiłabym się kawy, a ty kochanie? – Abramowska uśmiechnęła się do męża i chwyciła go za rękę.

– Też – odparł. – Jeśli to nie problem.

Dominika wyszła do kuchni, a kiedy wróciła do pokoju, wyczuła pewną niezręczność. Bartosz wpatrywał się pustym wzrokiem w splecione na kolanach dłonie, podczas gdy Abramowscy milczeli, wyraźnie skrepowani.

Dominika obrzuciła męża karcącym spojrzeniem, lecz Bartosz nie zwrócił na nią uwagi. W obecnej sytuacji przeciągająca się cisza była zrozumiała. Dominika również nie wiedziała, co powiedzieć rodzicom Pawła ani w jaki sposób z nimi rozmawiać.

Postawiła na stoliku cztery kawy i porcelanową cukiernicę.

– Przyszliśmy do państwa – powiedziała Abramowska. – Och, sama nie wiem. To był impuls. W telewizji pokazywali poszukiwania państwa córeczki. Taka piękna dziewczynka! – zachwyciła się. – Myślę, że nikt nie rozumie was lepiej niż my, prawda, kochanie? – Zerknęła przelotnie na męża, który pokiwał głową. – Wiemy, co teraz czujecie. Chyba nie ma nikogo innego na świecie, kto wiedziałby lepiej. Dlatego zaproponowałam Rysiowi, żebyśmy was odwiedzili.

Dominika zastanowiła się, skąd znali ich adres, ale nie chciała być niegrzeczna. Aby zyskać na czasie, posłodziła kawę trzema łyżeczkami cukru i zamieszała.

– Zazwyczaj nie słodzę – wytłumaczyła się. – Ale ze stresu nie mogę jeść, więc chociaż w kawie dostarczę trochę węglowodanów.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, jak absurdalnie zabrzmiały jej słowa.

– Nie spałam całą noc – dodała, by się usprawiedliwić. – Plotę głupstwa.

– Macie państwo jakieś informacje w sprawie córki? – zapytał Ryszard.

Przysunął się do stolika, lecz nie sięgnął po filiżankę z kawą. Utkwił wzrok w Dominice, szczerze zainteresowany odpowiedzią.

– Nie. – Grabowska pokręciła głową. – Antosia przepadła jak kamień w wodę. Przywieźli psa, ale trop się urwał, jakby córka wsiadła do samochodu i odjechała. Niedaleko tego miejsca znaleźli jej telefon. Policja znalazła wiadomości od koleżanek i połączenia głównie od nas i od babci, która dzwoniła do Antosi regularnie i pytała o postępy w szkole. Żadnych wiadomości z nieznanego numeru. – W oczach Dominiki pojawiły się łzy. Odwróciła głowę i przetarła oczy. – Nie wiem, co mamy robić. Policja kazała nam czekać w domu, ale przecież nie mogę siedzieć przy kawie i udawać, że nic się nie stało. Wieczorem dołączyliśmy do poszukiwań, ale to wszystko na nic. Policjant, który kierował akcją, powiedział, że obszukali spory teren, ale nie znaleźli nadal żadnego śladu Antosi.

Kamila położyła dłoń na jej ramieniu.

– Wierzę, że Antosia się odnajdzie – powiedziała.

– Najgorsze... Najgorsze jest to, że... jestem pewna, że szukali jej ciała.

Bartosz aż się wzdrygnął.

– Przestań – warknął.

– Nie powiedzieli nam tego wprost, ale jestem pewna, że szukali ciała Tosi. Wiecie, dlaczego tak myślę? Bo gdyby znaleźli zwłoki, mieliby pewność, że za jej zniknięciem nie stoi seryjny porywacz. Ciała żadnego z dzieci nie odnaleziono, prawda? Jeśli nie znaleźli ciała Antosi, mogliby założyć, że została porwana, a nie zamordowana.

Bartosz poniosł wzrok i spojrzął na Kamilę Abramowską. Kobieta miała poważny wyraz twarzy. Chwycił filiżankę z kawą, aby zająć czymś ręce. Czuł, że na policzki wypływają mu rumieńce, jakby znów był szesnastolatkiem przyłapanym na gorącym uczynku.

– Tosia żyje – powiedział. – Musimy w wierzyć.

– Bardzo byśmy chcieli, żeby tak było – powiedziała Abramowska. – I żeby wszystkie dzieci się odnalazły całe i zdrowe. Razem... Razem z naszym ukochanym synkiem. Gdybyście potrzebowali czegokolwiek, pamiętajcie, że wystarczy słowo...

Grabowska poczuła, że opuszczają ją siły. Pożałowała, że zaprosiła ich do mieszkania. Nie chciała słuchać zapewnień o tym, że ich córka się odnajdzie. Potrzebowała konkretów. Dowodów, które wskazywałyby, dokąd porywacz wywiózł ich dziecko.

Zrobiło się niezręcznie. Abramowscy byli obcymi ludźmi, których spotkała podobna tragedia, ale tylko to łączyło oba małżeństwa. Dominika pomyślała, że zamiast pić kawę, powinni dołączyć do poszukiwań. Wczorajszego wieczoru obdzwonili rodziców koleżanek Antosi, ale policja już dawno z nimi rozmawiała. Oczywiście nie mieli pojęcia, gdzie jest ich córka.

Grabowscy słyszeli o zaginięciach dzieci. Wiedzieli o grasującym w mieście porywacz, ale nie przypuszczali, że tragedia mogłaby dotknąć ich osobiście. Wydawało im się, że Antosi nigdy nie spotka nic złego. Uważali, by nie wracała sama do domu. Odbierali ją od koleżanek i z różnych zajęć. Zdaniem Dominiki zbrodnie przydarzały się innym ludziom.

– Kiedy zaginął Pawełek, nie wiedzieliśmy, co robić – odezwała się Abramowska. – Odchodziłam od zmysłów.

Ryszard poruszył się niespokojnie.

– Nie spałam kilka nocy, czekając na jakikolwiek sygnał od policji – ciągnęła jego żona. – Ale oni milczeli. Wciąż powtarzali, że musimy czekać. Szukali Pawła, ale nie mieli żadnych śladów świadczących o porwaniu. Nikt nic nie widział ani nie słyszał. To okropne uczucie. – Ukryła twarz w dłoniach, szlochając cicho. – Kiedy sobie pomyślę, że mój synek... że zabrał go obcy człowiek. Boże...

– Policja nic nie robi – stwierdził Ryszard, a w jego głosie pojawiła się tłumiona złość. Spojrzął na Dominikę, a potem przeniósł wzrok na Bartosza. – Rozumiecie? Lepiej wynajmijcie detektywa. Zapłacicie mu kupę forsy, ale może on wpadnie na trop małej. Dopóki nie jest za późno. Dobrze wam radzę. Gliny tylko gadają i wypytują, a niczego nie mają. Jakim cudem ktoś w biały dzień może uprowadzić dziecko? I nikt nic nie widział? Dziecko nie płakało? Okej. – Uniósł dłoń. – Może nasz synek był zbyt mały, by cokolwiek zrozumieć. Może ktoś obiecał mu nowy telefon albo konsolę, jeśli wsiądzie do samochodu. Pawełek ma cztery lata. Dzieci w tym wieku są łatwowierne. Nawet jeśli powtarzaliśmy mu, żeby nie rozmawiał z obcymi, co z tego, jeżeli facet obiecał mu

mięciutkiego szczeniaczka, którego trzymał na tylnym siedzeniu samochodu? Paweł mógł wsiąść dobrowolnie, ale wasza córka? Ile ma lat?

– Siedem – odparł Bartosz.

– No właśnie. Siedmiolatka jest bardziej kumata, nie sądzicie?

– Mówiliśmy, żeby nie rozmawiała z obcymi i pod żadnym pozorem nie wsiadała z nikim do samochodu czy autobusu.

– W telewizji mówili, że pani miała odebrać ją ze szkoły? – zwrócił się do Dominiki, która pokiwała głową. – Może porywacz obiecał jej, że zawiezie ją do mamy i taty?

– Może. Ale Tosia nie jest łatwowierna.

– Bała się, że matka po nią nie przyjechała, i nie wiedziała, jak wrócić do domu. – Ryszard się zastanowił. Na dźwięk oskarżycielskiego tonu Dominika się wyprostowała. – A facet podjechał i oznajmił, że rozmawiał z mamusią, która prosiła go, by odebrał Tosię, bo musiała zostać dłużej w pracy?

– Tosia nie wsiadałaby z obcym człowiekiem do samochodu – oznajmiła Grabowska.

– Nie byłbym tego taki pewien – wtrącił Bartosz. – Może faktycznie się wystraszyła, że nie wróci do domu?

– Nie. Ona nie jest takim dzieckiem.

– Daj spokój. Nie masz pojęcia, jak zachowałyby się w sytuacji, kiedy bałaby się, że matka zapomniała odebrać ją ze szkoły.

– Zapomniała odebrać ze szkoły? – Dominika podniosła głos. – Co ty wygadujesz?

– Mówię tylko, że Tosia mogła tak pomyśleć – wyjaśnił Bartosz, wzruszając ramionami.

– Tosia nigdy by tak nie pomyślała. Zawsze po nią przyjeżdżałam. Owszem – spojrzała przelotnie na Abramowskich – czasem coś mi wypadło. Zdarzyło się, że się spóźniłam, ale zawsze po nią przyjeżdżałam. W przeciwnieństwie do jej ojca, który był wiecznie zapracowany i wracał do domu, kiedy ona już spała. Kiedy ostatni raz odebrałeś ją ze szkoły, co?

– Nie zaczynaj.

– Dlaczego?

Bartosz wstał, by uniknąć kłótni.

– Nie masz prawa mnie oceniać – wyszczała Dominika. – Rozumiesz? Nie masz cholernego prawa mnie oceniać, bo gdybyś chociaż trochę poczuwał się do obowiązków, nie musiałabym wszystkiego robić sama. Zakupy, dom, praca, wywiadówki Tosi, odbieranie jej ze szkoły, wożenie na angielski. Czy ty w ogóle masz świadomość, ile czasu to wszystko zajmuje?

– Ja pracuję.

– Pracujesz? Wszyscy, kurwa, pracujemy.

– Dobrze wiesz, że...

– Nie pierdol, Bartosz! Miałeś nas w dupie. I nadal masz.

– Nie będę rozmawiał w taki sposób.

– No pewnie. – Dominika z ironią klasnęła w dłonie. – Najlepiej podkulić ogon i uciec. Jak to masz w zwyczaju!

Bartosz założył buty. Trzymając przerzucony przez ramię płaszcz, wetknął głowę do pokoju.

– Zadzwoni, kiedy się uspokoisz – rzucił.

– Nie masz prawa oskarżać mnie o zniknięcie Tosi!

– Gdybyś przyjechała na czas, nic by się nie stało! – odkrzyknął, trzaskając drzwiami.

W pomieszczeniu zapadła cisza.

– O Boże – stęknęła Grabowska. – Przepraszam was za to.

– Nie ma sprawy. – Kamila uśmiechnęła się serdecznie. – Emocje biorą górę. To zrozumiałe. Ale proszę nie brać słów męża na poważnie. Musi ochłonać, ale jestem pewna, że tak nie myśli.

– Myli się pani. On właśnie tak myśli. Że Tosia zaginęła z mojej winy, że gdybym przyjechała punktualnie, zabrałabym ją do domu i byłaby bezpieczna. Ale... – Pociągnęła nosem. – Nie wiem. Może on ma rację?

– Proszę tak nie myśleć. Nie może się pani obwiniać.

– Zostałam chwilę dłużej, bo miałam pacjenta. A potem utknęłam na światłach. Spóźniłam się dziesięć, może piętnaście minut. Nie sądziłam... Przecież gdybym wiedziała, że coś się stanie, w ogóle nie puściłabym Tosi na tę cholerną wycieczkę.

– Też się obwinialiśmy – mruknął Ryszard. – Ale to do niczego nie prowadzi. Nie może pani kontrolować córki dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Mogę. I powinnam. Szczególnie gdy wiedziałam, że każde dziecko w tym mieście jest w niebezpieczeństwie.

Bartosz wyszedł na zewnątrz. Oparł dłonie na kolanach, starając się uspokoić oddech. Najchętniej cofnąłby czas. Abramowscy nie powinni być świadkami małżeńskiej kłótni. Zazwyczaj problemy rozwiązywali we dwoje. Klócili się, gdy nikt nie widział. Starali się zachowywać pozory, lecz coraz częściej zdarzała się ostrzejsza wymiana zdań przy świadkach. Zaginięcie jedyne dziecko wywróciło ich świat do góry nogami.

Bartosz podniósł głowę i spojrzął w okna mieszkania.

Nie wierzył w dobre intencje Abramowskich. Niezapowiedziana wizyta była pomysłem Kamili. Ryszard sprawiał wrażenie, jakby nie był świadomy, dlaczego żona zaciągnęła go do obcych ludzi. Tłumaczyła się chęcią pomocy, ale Bartosz wiedział, że to nieprawda. Kamila pragnęła zemsty. Wiedziała, gdzie uderzyć, żeby zabolalo. Była w stanie wiele poświęcić, aby osiągnąć swój cel. A celem Kamili był Bartosz.

Nie kochała swojego męża. Wielokrotnie powtarzała, że jest gotowa się rozwieść. Wystarczyło, by Bartosz zapewnił ją o swoich uczuciach. Nie szanowała Ryszarda. Traktowała go jak życiowy balast. Początkowo Bartosz nie brał jej słów na poważnie. Wydawało mu się, że Kamila szuka usprawiedliwienia dla zdrady i romansu z przełożonym. Bartosz również opowiadał jej o problemach w swoim małżeństwie. Próbował wytłumaczyć się, dlaczego zdradzał żonę, którą jak mu się wydawało, kochał. Ale z czasem uświadomił sobie, że Kamila mówiła poważnie. Naprawdę była gotowa rozwieść się dla niego.

Nigdy nie powiedział Kamili, że chciałby się z nią związać na stałe, nigdy jej niczego nie obiecywał. Sypiali ze sobą, ale dla niego to był tylko seks. Mimo to Abramowska sądziła, że będą parą. W gruncie rzeczy słabo się znali. Ze strony Bartosza to nie było zauroczenie ani zakochanie. Kamila była dla niego sposobem na odreagowanie problemów w domu. Wiedział, że ona również nie ma łatwego życia.

Ich romans rozkwitł krótko po zniknięciu Pawła. Kamila poprosiła o kilka dni urlopu. Bartosz nie protestował i zapewnił ją, że może wziąć tyle wolnego, ile potrzebuje. Spodziewał się, że kobieta nie wróci szybko do pracy, ale wróciła zaledwie po tygodniu. Spotkali się i rozmawiali. Próbował ją pocieszyć. Strata dziecka była dla niego czymś niewyobrażalnym.

Szukała zapomnienia, a on nie potrafił oprzeć się jej wdziękom. Z czasem jednak uświadomił sobie, jak wiele mógłby stracić, gdyby Dominika dowiedziała się o kolejnym romansie. Z trudem podjął decyzję o zakończeniu znajomości z Kamilą. Zapewnił ją, że w relacjach zawodowych nic się nie zmieni. Długo układał w głowie, co powiedzieć, ale kiedy się spotkali, Kamila kolejny raz go uwiodła. Wieczór nie potoczył się tak, jak zaplanował. Rozstali się w kłótni. Ona nie rozumiała, dlaczego Bartosz chce zakończyć relację, która daje im tyle satysfakcji.

– Przecież jest nam dobrze razem – powiedziała.

– Mam żonę. A ty męża.

– Nagle przypomniałeś sobie o żonie?

– Nie przeinaczaj moich słów.

– Mówiłeś, że jest do niczego.

– Chcę naprawić swoje małżeństwo.

– Dlaczego akurat teraz?

Na to pytanie Bartosz nie miał odpowiedzi.

– Chcę spróbować – odparł po namyśle.

– Przystań pieprzyć. Nagle zapragnąłeś być przykładowym mężem i ojcem?

– Za dużo pracuję. Zaniedbałem rodzinę. Kocham Dominikę, przecież wiesz, że nigdy bym jej nie zostawił.

– A co, gdyby ona cię zostawiła?

Groziła mu? Wiedział, że jeśli Dominika zobaczyłaby pikantne wiadomości, jakie wysyłał do Kamili, oznaczałoby to koniec małżeństwa. Popęłnił wiele błędów, ale naprawdę chciał je naprawić. Wszystko przemyślał. Postanowił porozmawiać z szefową o zatrudnieniu kogoś do pomocy. Zamierzał mniej pracować. Spędzać więcej czasu z rodziną i odbudować relację z żoną. Wydawało mu się, że skoro się kochają, wszystko się ułoży.

Dzisiejszą wizytę Abramowskich potraktował jak ostrzeżenie. Bał się, że Kamila w zemście będzie chciała zbliżyć się do Dominiki, zyskać jej zaufanie i przyjaźń, by potem zadać niespodziewany cios.

I była jeszcze jedna sprawa, która nie dawała mu spokoju. A co, jeśli Antosię porwała Kamila? Czy w zemście byłaby zdolna uprowadzić dziecko?

Bartosz wyciągnął z kieszeni puszka papierosy, usiadł na ławce za blokiem i zwiesił głowę. Zacisnął dłoń na paczce. Nie, pomyślał, to niemożliwe. Kamila sama straciła dziecko, więc dlaczego miałyby wyrządzać Tosi krzywdę? Nie zrobiłaby tego, powtarzała sobie, choć bez przekonania.

Zapalił papierosa i wtłoczył dym do płuc. Nie mógł powiedzieć o swoich podejrzeniach policji, bo wtedy Dominika dowiedziała się o romansie. Z drugiej strony, jeśli Tosia się nie odnajdzie, ich małżeństwo i tak się rozpadnie.

Wciągając dym do płuc, postanowił najpierw porozmawiać z Kamilą. Dopiero potem podejmie decyzję. Jeśli to ona porwała mu córkę, dowie się, gdzie ją przetrzymuje, i uratuje swoje dziecko.

Stenia weszła do pokoju brata i zamknęła za sobą drzwi. Powiodła wzrokiem po ścianach oklejonych plakatami hiszpańskiego klubu piłkarskiego. Na łóżku leżały zwinięta w kłębek kołdra i ładowarka do telefonu. Po przeciwnej stronie stało biurko, przy którym siedział Michał. Grał w szelankę ze słuchawkami na uszach. Na drzwiach od szafy wisiał strój do treningu. Jeszcze niedawno po szkole Michał chodził na zajęcia z piłki nożnej, ale ostatnio przestał. Kiedy Stenia pytała o powód, odparł, że mu się znudziło i jest za duży na bieganie po boisku. Stenia jednak była pewna, że coś się musiało wydarzyć. Uwielbiał te treningi.

Stuknęła brata w ramię. Wzdrygnął się, odwrócił, a potem szybko wcisnął pauzę. Żołnierz sił specjalnych zastygł w bezruchu na tle pomazanych sprayem ścian pustego magazynu.

– Co mnie straszysz? – mruknął, ściągając słuchawki.

– Nie idziesz dzisiaj do szkoły?

– Matka powiedziała, że mogą zostać w domu.

Stenia nie pytała, dlaczego brat dostał pozwolenie, by opuścić lekcje. W Łodzi porwano kolejne dziecko. Fakt, że porywacz zabierał młodsze dzieci, a Michał miał dziesięć lat, niczego nie zmieniał. Rankiem przy kawie rodzice rozmawiali o tym, aby na wszelki wypadek dzieci przez najbliższe dni zostały w domu. Oczywiście nie dotyczyło to Steni, która skończyła piętnaście lat i według rodziców była bezpieczna.

– I zamierzasz cały dzień grać na kompie? – zapytała.

– Nie wiem. Może. A co innego miałbym robić?

Stenia wzruszyła ramionami. Odsunęła kołdrę i przysiadła na skraju łóżka.

– Możemy pogadać? – zapytała.

– Niby o czym?

– Wiem, że rodzicom nie mówisz wszystkiego.

Michał odwrócił się tak, że Stenia nie widziała jego twarzy.

– Pogadasz ze mną? – naciskała.

– Nie mam o czym.

– Jestem twoją siostrą. Możesz mi zaufać.

Michał nie był złym chłopakiem. Rodzice nie dostrzegali, że to chłopcy, z którymi Michał się koleguje, wywierają na niego zły wpływ. Popalał papierosy, po szkole nie wracał do domu, kręcił się po mieście niczym mały złodziejasek. W domu zjawiał się wieczorem. Był zbyt zmęczony, żeby odrabiać lekcje, więc szybko zaczął mieć problemy w szkole. Nigdy nie był wzorowym uczniem, ale od czasu gdy znikał na całe dni, ledwo udawało mu się zaliczać sprawdziany. Zamiast nauki miał inne rozrywki. Poza tym niczego od niego nie wymagano. Matka nie interesowała się szkolnymi sprawami dzieci. Chodziła z głową w chmurach. Wystarczyły jej proste odpowiedzi, że wszystko w porządku. Kiwała wówczas głową, zadowolona, że nie wymagają od niej uwagi. Stenia przypuszczała, że nie znała nawet nazwisk ich wychowawców. Każde z rodzeństwa radziło sobie na własny sposób. Ojciec zaś... cóż. Odkąd stracił pracę, nie interesowało go nic poza meczami piłki nożnej w telewizji.

– Powiesz, kto cię uderzył? – zapytała.

– Nikt. Mówiłem już, że się wywaliłem.

– Tak powiedziałaś rodzicom. A mnie możesz powiedzieć prawdę. Moim zdaniem oberwałeś. I kogoś kryjesz.

– Daj mi spokój.

– Powiedz prawdę.

– Pierdol się, Steńka.

Stenia wstała i pacnęła młodszego brata w tył głowy.

– Wyrażaj się! – warknęła.

– Bo co? Powiesz starym? Oni i tak mają nas gdzieś.

– To nieprawda.

Michał zaśmiał się pogardliwie i poczerwieniał. Kiedy się czymś denerwował, rumienił się niczym kalkuletek.

– Mają dużo na głowie – zauważyła Stenia. – Wiesz, Paweł zaginął... Policja nie ma żadnych nowych tropów.

Oni... po prostu się martwią.

– Paweł zaginął i wszyscy za nim tęsknimy – powtórzył monotonnym głosem Michał. – Wiem, co mówić, gdyby ktoś pytał. Rodzice powiedzieli, jakich słów mam używać, gdyby zagadnęła mnie wścibska sąsiadka.

– Słucham?

– Nie mów, że ciebie nie.

– Nie!

Michał parsknął niewesołym śmiechem.

– Trudno – mruknął.

– Powiedzieli ci, co masz mówić?

– Mhm. Policji albo sąsiadom.

– Dlaczego?

Chłopak przygryzł policzek od wewnątrz. Zastanawiał się, czy może zaufać siostrze.

– Nie wiedziałem, co mówić gliniarzom – odparł. – Zapytałem ojca, a on powiedział, co mógłbym mówić.

– Tak nie można.

– Dzieci też nie można porywać.



Stenia nie wierzyła własnym uszom. Gdyby Michał był nieśmiałym dzieckiem, mogłaby uwierzyć, że nie wiedział, co odpowiadać policjantom. Ale on był bardzo pewny siebie. Nie sądziła, by kiedykolwiek zapomniał języka w gębie.

– Stresowałeś się, kiedy policjanci wypytywali o Pawła? – zapytała.

Zdenerwowanie wiele by wyjaśniało. W końcu Michał wciąż był dzieckiem. Może wśród kolegów i w domu zgrywał odważniaka, a podczas rozmów z policją zwyczajnie się zestresował. Dlatego rodzice zasugerowali mu, co powinien mówić.

Stenia miała nadzieję, że to prawda.

– Nigdy nie wiesz, czego użyją przeciwko tobie – odparł.

– Nic złego nie zrobisz.

– Nie.

Mimo wszystko rodzice nie powinni instruować Michała, co powinien mówić. Stenia pomyślała, że to nie w porządku.

– Kto cię pobił? – zmieniła temat.

– Nikt.

– Nie rób mnie w konia.

– Mówię poważnie.

– Nie powiem starym. No, dawaj. Kto cię uderzył?

Michał się zawahał.

– Serio im nie powiesz? – zapytał.

– Słowo honoru.

– Wachowiak.

Tego Stenia się nie spodziewała.

– Uderzył cię Artur Wachowiak? – upewniła się. – Ojciec zaginionego Wiktora?

– Tak.

## 8

Rudnicka zwołała swój zespół do pokoju przydzielonego im przez naczelnika. Odczekała chwilę, a potem odchrząknęła, by skupić uwagę zebranych. Podłączyła laptop do monitora i wyszukała odpowiedni plik.

Barwicki podejrzliwie przyglądał się podwładnej. Pomyślał, że jeśli Rudnicka odnajdzie dzieciaki, on również zbierze laury za sukces śledztwa. Chociaż miał obiekcje, pozwolił, by Lena kierowała zespołem. Zaufał Tymonowi, który twierdził, że jeżeli ktokolwiek wpadnie na trop dzieciaków, to tylko ona. Pracowali razem wiele lat. Tymon zapewniał, że jest świetną policjantką. Nie pomylił się.

Naczelnik podszedł bliżej. Wolski usunął się na bok, by ustąpić mu miejsca, lecz Barwicki położył mu dłoń na ramieniu.

– Zmieścimy się – zapewnił.

Marcel skinął głową. Wpatrywał się w monitor, ale myślami odpłynął gdzieś daleko.

Rudnicka uruchomiła nagranie.

– Oglądaliśmy je wiele razy – zauważył Iwan.

– Skup się – odparła Lena, nie szczytując Szewki spojrzeniem. Napięcie między tą dwójką było wyczuwalne. Lena się nie skarżyła, ale Barwicki czuł, że wołałaby się pozbyć Iwana. Po ostatnim incydencie z pobiciem Mieczkowskiego miała podstawy, by odsunąć Szewkę od śledztwa. Owszem, był impulsywny, ale zdaniem naczelnika był dobrym gliną. Miał policyjnego nosa, a jego atletyczna postura sprawiała, że wielu podejrzanym szybko rozwiązywał się język. Barwicki pokładał w Iwanie nadzieję. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zamierzał postarać się o stanowisko komendanta, Iwana zaś widział na swoim miejscu. Ale jeśli ten nie nauczy się panować nad emocjami, nie ma szans.

Kilka dni wcześniej opowiedział mu o swoich planach. Szewko był zachwycony. Lubił rządzić, a stanowisko naczelnika wydziału zapewniało władzę. Barwicki jeszcze nie konsultował swoich planów z przełożonymi, ale wiedział, że liczą się z jego zdaniem. Jeśli zarekomenduje Iwana na stanowisko naczelnika, Szewko będzie miał dużą szansę.

Rzecz w tym, że przez kilka dni wiele się zmieniło. Barwicki nie był już przekonany co do swojej decyzji, a Iwan musiał wyczuć pewną zmianę w zachowaniu przełożonego. Spoglądał na niego podejrzliwie. Obserwował jego każdy ruch, jakby wiedział, że szef nabrał wątpliwości. Musiał dostrzec, że Rudnicka zrobiła na nim duże wrażenie. Bał się, że obecność Leny przekreśli jego szanse na awans.

Tymczasem Rudnicka obróciła monitor w stronę policjantów. Naczelnik zastanawiał się, co na tym nagraniu, które wielokrotnie oglądali, dostrzegła komisarz. Obserwował faceta idącego chodnikiem. Usiłował wychwycić jakiś

szczegół, lecz na próżno. Zatrzymała nagranie w chwili, gdy mężczyzna znajdował się pośrodku ekranu.

– Zobaczcie – powiedziała, a policjanci pochylili się w skupieniu. – Widzicie? Mężczyzna na nagraniu kuleje, tak jak na poprzednich.

– Też mi odkrycie – prychnął Szewko, odsuwając się od monitora.

Naczelnik podrapał się w głowę.

– Powiesz, o co chodzi? – zapytał.

– To nie jest Mieczkowski.

Iwan zaśmiał się szyderczo.

– To ma sens – mruknął. – Dlatego zatrzymaliśmy Mieczkowskiego, żeby stwierdzić, że to jednak nie on?

– Przyjrzyj się – poleciła Lena.

– Widziałem to nagranie setki razy.

– I co?

Iwan zmierzył ją wrogim spojrzeniem.

– Mieczkowski idealnie pasuje na sprawcę – odparł. – Po co szukasz dziury w całym? Musimy go jedynie przycisnąć, a przyzna się do winy.

– Nie zamierzam tego robić.

– Czyżby?

– Nie chodzi o to, żeby kogokolwiek wsadzić za kratki, zamknąć sprawę i odtrąbić sukces.

– Chyba pani komisarz miała za długą przerwę, bo zapomniała, że każdy podejrzany zazwyczaj twierdzi, że jest niewinny.

Lena przez kilka sekund nie odrywała wzroku od Iwana. Znała takich jak on. Podpuszczał ją. Chciał, by puściły jej nerwy. Wtedy on by pokazał, że jest tym, który nad sobą panuje. Lena jednak nie dała się sprowokować.

– Może tak – odparła. – Ale to ty, oglądając nagrania z monitoringu, nie zauważyłeś, że wokół szkoły kręcił się utykający mężczyzna.

Iwan zacisnął wargi. Po twarzy Rudnickiej przemknął cień uśmiechu. Odchrząknęła i wróciła do nagrania.

– Zobaczcie – powiedziała. – Moim zdaniem to nie jest Mieczkowski. Widzieliście go, prawda? To wielki facet. Z pewnością waży więcej niż dziewięćdziesiąt kilogramów. Obstawiałabym około setki. A ten tutaj? – Zerknęła na ekran. – Jest dość chudy. Może ważyć maksymalnie siedemdziesiąt pięć. W odwrotnej sytuacji moglibyśmy założyć, że Mieczkowski usiłował zamaskować swoją posturę. Gdyby Mieczkowski był szczupłym mężczyzną, a na nagraniu mielibyśmy otęłego gościa. Optyczne dołożenie kilku kilogramów nie stanowiłoby problemu. Ale w drugą stronę byłoby ciężko.

– Masz na myśli, że wypchałby sobie brzuch? – zapytał Tymon, odsuwając się od monitora.

– Na przykład. Gdyby pogrubiał się w sztuczny sposób, nie zobaczylibyśmy tego na nagraniu. Nie jest najlepsze.

Rzeczywiście nie oferowało jakości HD, chociaż policjanci miewali do czynienia z jeszcze gorszymi nagraniami z przestarzałego sprzętu. Ostrość szkolnej kamery była znośna, ale mężczyzna znajdował się w pewnej odległości, co sprawiało, że trudno było dojrzeć chociażby zarys jego twarzy.

– Chcesz powiedzieć, że mamy nie tego faceta? – zapytał naczelnik.

– Tak jakby.

Szewko prychnął. Usiadł na krześle, krzyżując ramiona.

– To niemożliwe – ocenił. – Nie wierzę, że spudłowaliśmy. Wszystko wskazywało na Mieczkowskiego i mówię wam, że on jest winny. Nie ma innej opcji.

– Widzę, że kolega wydał już wyrok – wtrącił Wolski. – To ciekawe, bo biorąc pod uwagę słowa Leny, gość z nagrania rzeczywiście jest szczuplejszy niż nasz zatrzymany.

Lena uśmiechnęła się, wdzięczna Wolskiemu za wsparcie.

– Mieczkowski pasuje na sprawcę – upierał się twardo Iwan.

– Ale czy nim jest? – zapytała Rudnicka.

– Mamy nagrania, na których widać, że facet ma problem z lewą nogą. Arkadiusz Mieczkowski też ma. Czy potrzeba nam czegoś więcej?

– Otwartego umysłu.

– Pieprzenie.

– Iwan twierdzi, że Mieczkowski jest sprawcą – powiedziała Lena. – To chyba możemy zamykać sprawę. Oskarżymy i zamknijemy gościa. Po kłopotcie. Dawajcie następne śledztwo.

Szewko pokręcił głową. Nadal uważał, że Mieczkowski jest porywaczem, a Rudnicka szuka dziury w całym. Nie zdołała przekonać Iwana, że jest inaczej, skoro wszystko wskazywało na winę zatrzymanego mężczyzny.

– Powinniśmy docisnąć Mieczkowskiego – odparł. – Gwarantuję, że przyzna się do winy.

– Jasne, że go dociśniemy, ale w innej sprawie.

– Mhm, jakiej?

– Nie bardzo rozumiem – odezwał się Tymon. – Szukaliśmy faceta, który kuleje. I znaleźliśmy. Mieczkowski wyszedł na wolność niedługo przed pierwszym porwaniem dziecka. Pasowałby na sprawcę. Został skazany za materiały pedofilskie i usiłowanie gwałtu na nastolatku.

– Masz rację. – Rudnicka się wyprostowała, przeszła pod okno i oparła o parapet. – Ale na nagraniu to nie Mieczkowski.

– Pokaż jeszcze raz.

Rudnicka ponownie włączyła zapis z kamer. Obejrzelili w milczeniu.

– Przejrzałam wszystkie nagrania, na których się pojawia – powiedziała. – Ten facet jest szczuplejszy niż Mieczkowski. Jestem pewna, że to nie on.

Naczelnik rozłożył ręce.

– Co proponujesz? – zapytał.

Lena się uśmiechnęła.

– Ilu facetów w tym mieście kuleje na lewą nogę? – zapytała. – I wykazuje niezdrowe zainteresowania dziećmi?

– Pewnie niewielu.

– Właśnie.

Naczelnik posłał jej pytające spojrzenie.

– A co, jeśli sprawca zna Mieczkowskiego? – zapytała.

W pomieszczeniu zapadło milczenie, jakby policjanci potrzebowali chwili na przyswojenie słów komisarz.

– Nie wiem, czy nadążam, ale sugerujesz, że ktoś celowo naśladuje Mieczkowskiego? – Marcel podrapał się w głowę.

– Czemu nie?

– Nie twierdzę, że to niemożliwe.

– Jeśli sprawca zna Mieczkowskiego osobiście, wie, że kuleje na lewą nogę. I wie, z jakiego powodu siedział w więzieniu.

– Brzmi logicznie.

– Gdybym chciała, żeby przestępstwo takie jak porwanie dzieci uszło mi na sucho, postąpiłabym podobnie. Szczególnie że zaczęły znikać niedługo po tym, jak Mieczkowski wyszedł z pudła.

– Mieczkowski pasowałby idealnie na naszego porywacza.

Lena pokiwała głową.

– Nawet nasz kolega dał się nabrać – odparła, spoglądając na Iwana.

Marcel i Tymon zaśmiali się cicho.

– Kto mógłby być tak przebiegły? – zapytał Tymon.

– Ktoś, kto wie o Mieczkowskim.

– I ma skłonności pedofilskie?

– Myślę, że możemy tak założyć, chociaż nie wiemy, co porywacz robi z dziećmi.

Marcel wsadził ręce do kieszeni.

– Właściwie to miałyby sens – przyznał. – Znajomy Mieczkowskiego porywa dzieci niedługo po tym, jak tamten wychodzi z więzienia. Facet, który pojawia się na nagraniach, wie, że Mieczkowski utyka na lewą nogę i jeśli policja zainteresuje się nagraniami z kamer monitoringu, w końcu doda dwa do dwóch.

Naczelnik mimowolnie spojrział na Iwana, jakby chciał powiedzieć, że spodziewał się po nim czegoś więcej. Szewko wstał i wsunął dłonie w kieszenie spodni.

– Moim zdaniem popełnicie błąd – powiedział. – Ale nie ja tutaj dowodzę, prawda? Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, pamiętajmy, że komisarz Rudnicka podejmuje decyzje.

– Nie możemy oskarżyć człowieka, jeśli mamy wątpliwości – odparł Barwicki.

– Jasne, szefie.

– Nawaliliśmy – rzucił pod nosem Tymon. – Cholernie nawaliliśmy.

Iwan pokręcił głową. Nie wyglądał na takiego, który czuje się winny. Biły od niego pewność siebie i duma. Nigdy nie przyznałby się do błędu. I nie przyznałby racji komisarz Rudnickiej. Atmosfera zrobiła się jeszcze bardziej napięta.

– Znajomy Mieczkowskiego celowo skierował podejrzenie na niego – ciągnął Wolski. – Wiedział, że jeśli będzie kulał, prędzej czy później pomyślimy właśnie o nim, wsadzimy go za kratki, a sprawca pozostanie na wolności.

– Do roboty – poleciał Barwicki. – Zróbcie wszystko, żeby go znaleźć.

– Pogadajcie z Mieczkowskim. – Lena spojrziała na Tymona. – Ja i Wolski pojedziemy do Grabowskich.

– Myślisz, że powie nam, kto uprowadził dzieci?

– Nie wiem, czy zdaje sobie sprawę, że ktoś go wrabia. I jeszcze jedno. – Zastanowiła się. – Musimy skupić się na tym, co łączy te porwania. Ciągłe coś nam umyka, ale za cholerę nie wiem co. Czuję, że jesteśmy blisko. Musimy się zastanowić, w jaki sposób porywacz typuje dzieci.

– Sprawdzaliśmy – odparł Tymon. – Chodziły do różnych szkół. Nie znalazły się.

– Może wybiera przypadkowe? – podsunął Iwan.

– Wątpię – ucięła Rudnicka. – Zapytajcie Mieczkowskiego.

– O co?

– W jaki sposób typowałby ofiary.

– To absurd. Jeśli nie jest sprawcą...

– Czysto hipotetycznie, oczywiście.

Stenia z niedowierzaniem patrzyła na brata. Michał miał trudny charakter. Był najodważniejszy z rodzeństwa, butny i uparty jak osioł, ale też bardzo samodzielny jak na swój wiek, choć przecież miał dopiero dziesięć lat. Teraz jednak sprawiał wrażenie bezbronnego dziecka, które potrzebuje pomocy i wsparcia.

– Jesteś pewien? – zapytała. – To Wachowiak cię uderzył?

– Przecież powiedziałem. Jak mi nie wierzysz, to trudno.

– Wierzę ci.

Michał spuścił wzrok. Drżała mu dolna warga. Splótł dłonie na kolanach i wpatrywał się w obgryzione paznokcie.

– Dlaczego nie powiedziałeś rodzicom?

– Po co? – Wzruszył ramionami. – Ich to nie obchodzi.

– Nie mów tak.

– Ale to prawda. Mają nas gdzieś. Ojciec ciągle łoś piwsko, a matka szlaja się po mieście. Widziałem ją z jakimś gościem.

– Michał!

– Mówię poważnie. Steniu. Nasza matka się puszcza, a ojciec udaje ślepego.

Stenia poczuła ukłucie w żołądku. Michał był dzieckiem i nie powinien zajmować się takimi rzeczami. Powinien spędzać czas na zabawie z kolegami, a nie zamartwiać się o małżeństwo rodziców.

– Zresztą może tak będzie lepiej – dodał. – Rozwiodą się i będzie spokój.

– Nie możesz tak mówić.

– Będziemy musieli wybrać, czy zostać z ojcem, czy z matką, wiesz? – Michał zakołysał się na krześle. – Rodzice moich kumpli już dawno się rozwiedli. To nic strasznego. A nasi starzy i tak się nie dogadują. Matka źle traktuje ojca. Słyszałem, jak kiedyś się kłócili. Myśleli, że są sami, ale ja byłem tutaj. I wszystko słyszałem. Na szczęście Cyryl był na podwórku. Wiesz, jaki on jest... Zaraz zaczęłyby płakać.

– O co się kłócili?

– O robotę ojca.

Stenia wiedziała, że między rodzicami nie układa się najlepiej, ale nie pomyślałaby, że matka mogłaby mieć romans. Ale właściwie, dlaczego nie? Michał miał rację, mówiąc, że ojciec niczego by nie zauważył. Zajmowało go szukanie pracy i rozpaczanie nad brakiem ofert. Całymi dniami popijał piwo. Rzadko wychodził. Nie miał znajomych ani kumpli, z którymi mógłby spędzać czas.

Matka oczekiwała od życia czegoś więcej. Stenia wiele razy słyszała, jak opowiadała o zagranicznych wakacjach, wyjeździe do SPA albo wyjściu do restauracji. Prawda była jednak taka, że nie było ich stać na drogie wyjazdy. Zarobione pieniądze pochłaniało utrzymanie mieszkania, dzieci i zakup jedzenia. Matka wielokrotnie powtarzała ojcu, że za mało się stara, ale Stenia miała wrażenie, że ojciec zwyczajnie ma to gdzieś. Pasowało mu życie, jakie prowadził, i nie zamierzał niczego zmieniać.

– Z kim ją widziałeś? – zapytała, przelękając ślinę.

– Nie znam gościa.

– Gdzie?

– W drogerii.

Stenia zmarszczyła brwi.

– Kiedyś odwiedziłem ją w pracy – wyjaśnił. – Potrzebowałem trochę kasy, a byliśmy z kolegami niedaleko jej sklepu, więc zaszedłem. Nikogo nie było na sali. Zajrzałem na zaplecze. Była tam z jakimś facetem.

– Co robili?

– Obściskiwali się.

– Jak wyglądał?

Zaśmiał się.

– Nie przyglądałem się – odparł. – Uciekłem. I matce się nie przyznałem. Co niby miałem jej powiedzieć?

Stenia była ciekawa, kim był kochanek matki, ale rozumiała brata. Sama by nie wiedziała, co zrobić w takiej sytuacji. Na pewno nie powiedziała by ojcu, żeby go nie martwić. Ale z drugiej strony powinna zareagować. Tylko jak? Rozmowa z matką skończyłaby się awanturą. Według niej dzieci nie mają prawa wtrącać się w sprawy dorosłych.

– Babcia wiedziałaby, co zrobić – powiedziała.

– Babcia? – zdziwił się Michał. – Ona jest stara. Lepiej jej nie martwić. I tak wystarczająco przejmuje się bezrobociem taty.

– Masz rację.

– Poza tym wściekłyby się na mamę. Wiesz, że nie przepadają za sobą.

Fakt, pomyślała Stenia. Matka i babcia to niebo i ziemia. Czują i dobra babcia na pierwszym miejscu stawiała rodzinę. Wnukom nieba by przychyliła. Matka natomiast była surowa i apodyktyczna. Chociaż Stenia wiedziała, że kocha ich na swój sposób, musiała przyznać, że nie zaznała od niej czułości.

Nie dogadywały się od początku. Ojciec opowiadał kiedyś historię o awanturze w święta Bożego Narodzenia. Znała charakter matki, Stenia była gotowa w to uwierzyć. Babcia nie chciała rozmawiać na ten temat. Zbyła Stenię, jakby nie chciała mówić źle o kobiecie, która urodziła jej wnuki.

– Matka nie znosi ojca – odezwał się Michał. – Posłuchaj ich czasem. Ona uważa, że jest nieudacznikiem. Zmarnował jej życie. I my też.

– Wcale tak nie uważa.

– Daj spokój. Sama w to nie wierzysz.

Stenia się stropiła. Nie chciała, by rodzice się rozwiedli, ale może tak byłoby lepiej? Ale babcia powtarzała, że jeśli się kogoś kocha, można przezwyciężyć wszystkie problemy. Tylko że matka najwyraźniej nie kochała ojca.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś, że ma romans?

– A po co?

– Porozmawiałabym z nią.

– I co potem?

– Nie wiem. Może powiedziałabym ojcu.

– Nic by nie zrobił, bo jest nieudacznikiem.

– Powtarzasz słowa matki?

Michał spojrzął na siostrę obojętnym wzrokiem. To prawda, że ojciec był bierny. Gdyby dowiedział się o romansie żony, pewnie wzsuszyłby ramionami i powiedział, że czasem tak bywa. Stenia nadal była dzieckiem i nie mogła wtrącać się w sprawy rodziców. Na wiele rzeczy nie miała wpływu.

Dopiero zaginięcie Pawła postawiło ojca na nogi. Ryszard uświadomił sobie, że stracił coś cennego. Brał udział w poszukiwaniach syna, wspólnie ze Stenią rozklejali plakaty, rozmawiali z sąsiadami i ludźmi pracującymi w pobliżu ich kamienicy. Miał nadzieję, że ktoś, może pracownik pobliskiego sklepu, widział czterolatka z podejrzanym mężczyzną. Zaangażował się w poszukiwania, ale kiedy nie przynosiły skutku, jego nadzieja powoli gasła.

Stenia westchnęła ciężko. Palily ją policzki. Zaciśnęła dłoń w pięść.

– Chciałbym się stąd wyrwać – powiedział Michał. – Nic nas tutaj nie czeka.

– Musisz poprawić oceny w szkole.

– To nie ma znaczenia.

– Jeśli chcesz coś osiągnąć, powinieneś się dobrze uczyć.

– Kto ci nakładł takich bzdur do głowy?

Irytacja w głosie brata zaskoczyła Stenię.

– Musisz być sprytna – oznajmił Michał. – Spryt pozwoli ci osiągnąć to, co chcesz. No i musisz mieć głowę na karku. Wymyślić jakiś biznes, a potem go rozwinąć. Do tego nie potrzeba piątek na świadectwie.

– A studia?

– Komu potrzebne studia?

Stenia zwiesiła głowę. Chciała studiować, choć jeszcze nie wiedziała co.

– Jak całe życie chcesz pracować na kogoś, to proszę bardzo. – Michał rozłożył ręce. – Ja nie zamierzam.

– A skąd ty to wszystko wiesz, młody, co?

– Z internetu.

– No tak.

– Możesz się wyrwać z największej dupy. Jeśli chcesz, oczywiście. Ja chcę. Nie pasuję do nich. Wolałbym mieszkać u babci.

Babcia była dla nich najbliższą osobą. Opiekowała się nimi, gdy byli mali. Odprowadzała do przedszkola i szkoły, a potem odbierała. Kiedy rodzice pracowali, rodzeństwo jadło obiady u babci i odrabiało z nią lekcje. Około osiemnastej odprowadzała ich do domu.

To był piękny czas, pomyślała Stenia, ale odkąd ojciec jest w domu, matka postanowiła zdjąć z babci ciężar opieki nad wnuczkami. Stenia była pewna, że babcia przyjęła tę wiadomość ze smutkiem. Lubiła spędzać czas z wnukami. I nie była wtedy sama w domu. Doskwierała jej samotność, dlatego Stenia odwiedzała ją kilka razy w tygodniu.

Rodzeństwo miało świetny kontakt z babcią, ale kobieta nie młodziła. Nie miała już tyle siły, co kiedyś. Poza tym opieka nad Pawłem była wyczerpująca. Czterolatek był dobrym dzieckiem, ale miał humor i zachcianki, którym starsza kobieta nie zawsze potrafiła sprostać.

– Myślisz, że on wróci? – zapytała Stenia.

– Paweł?

– No.

– Nie wiem.

– Minęło tyle czasu.

Stenia poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Potrząsnęła głową, żeby nie rozklejać się przy bracie.

– Dobra – odezwała się. – A teraz powiedz, dlaczego cię uderzył?

– Twierdzi, że maczałem palce w zniknięciu jego syna.

– Jak to?

– Rozpoznał mnie.

Stenia przekrzywiła głowę. Michał potrafił kłamać. Zdolności aktorskie odziedziczył po matce, ale Stenia potrafiła rozpoznać, kiedy brat konfabuluje. Teraz była przekonana, że mówi prawdę.

– On uważa, że Wiktor zaginął przeze mnie – dodał.

– Dlaczego?

– Bo znałem Wiktora. I jego ojca.

– Ale przecież... przecież policja cię pytała, a ty powiedziałeś, że Wachowiak kłamie.

– Matka kazała mi mówić, że go nie znam.

## 10

Twarze siedzących w telewizyjnym studiu osób wydawały się nierzeczywiste. Długowłosa blondynka rozmawiała o poważnej i delikatnej sprawie, więc nie mogła pozwolić sobie na więcej niż dyskretny uśmiech. Dłonie oparła na kolanach, dając widzom czytelny sygnał, że nie ma niczego do ukrycia. Naprzeciwko dziennikarki siedział gość, rozparty na krześle ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Zamknięte ramiona zdradzały, że nie mówi widzom całej prawdy. Nie patrzył w oko kamery. Wzrokiem uciekał w bok, jakby szukał możliwości wyjścia z telewizyjnego studia. Wydawało się, że mężczyzna wie więcej, niż postanowił zdradzić.

W tle wyświetlano zdjęcie zaginionej Antoniny Grabowskiej.

Kiedy dziennikarka zapytała go, co sądzi o Grabowskich, rodzicach Antosi, i jak ocenia ich postawę podczas telewizyjnego apelu do porywacza, Dominika wyłączyła telewizor.

– Nie wiem, dlaczego to oglądam – przyznała. – Ale kiedy słucham wszystkich analiz i wypowiedzi ekspertów, liczę na to, że dowiem się czegoś nowego w sprawie Antosi.

– Gdybyśmy mieli jakąkolwiek nową informację, dowiedzieliby się państwo jako pierwsi – zapewniła Lena.

Siedzieli przy stoliku kawowym. Wolski zajął miejsce obok. Przez kilka sekund stykali się udami, aż Rudnicka szybko przesunęła się w lewą stronę.

– Między innymi dlatego tutaj jesteśmy – dodała nieco zmieszana.

– Macie nowe informacje? – zapytał nerwowo Bartosz. Pocierał dłonie i oddychał nierówno, jakby wizyta policjantów nie była mu na rękę.

– Dojdziemy do tego – odparła Rudnicka. – Proszę powiedzieć, jak się państwo czują. Rozmawiałam z oficerem, który pilnował waszego domu. Nikt podejrzany nie pojawił się w okolicy.

– A jak mamy się czuć, pani komisarz? – zapytała Grabowska.

– Niepotrzebnie go fatygowaliście – wtrącił jej mąż. – Porywacz raczej nie krążyłby w pobliżu.

– Skąd taka pewność, panie Grabowski? – Lena przekrzywiła głowę.

– Po co miałby to robić?

– Sądzi pan, że człowiek, który porywa siedmiolatkę, myśli racjonalnie?

Bartosz nabrał powietrza do płuc. Spojrzał na żonę, szukając u niej wsparcia, ale Dominika, skupiona na własnych myślach, nie zwróciła na niego uwagi.

Grabowscy wyglądali na wyczerpanych. Kobieta miała podkrążone oczy i bladą twarz. Bartosz zaś sprawiał wrażenie podenerwowanego. Rudnicka była przekonana, że oboje mieli za sobą nieprzespaną noc. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co czuli rodzice, którzy nie mieli pojęcia, co dzieje się z ich dzieckiem. Nie powinna ich pytać o samopoczucie. Co mieliby odpowiedzieć? Ale naprawdę im współczuła. Bardzo chciała im pomóc, lecz potrzebowała więcej czasu. Wątpiła, by porywacz zaryzykował i pojawił się pod domem Grabowskich, ale byłaby naiwna, gdyby nie postawiła policjantów pod ich domem. Nigdy nie wiadomo, co mogłoby się wydarzyć. Przewidywania nigdy za wiele.

– Nie było żadnych telefonów z żądaniem okupu – oznajmiła.

Małżeństwo potwierdziło skinieniem głowy.

– To nam wiele mówi – dodała Rudnicka, widząc, że Grabowscy oczekują od niej czegoś więcej niż suchych faktów.

Grabowscy należeli do klasy średniej. Mieli pieniądze. Mogli pozwolić sobie na nowy samochód, zagraniczne wakacje i wypadki do restauracji. Jeżeli ktoś porwałby Antosię dla okupu, musiałyby wiedzieć o ich sytuacji materialnej, ponieważ nie obnosili się przesadnie ze swoją zamożnością. Wówczas można by założyć, że porywaczem jest ktoś z rodziny lub znajomych.

Ale na nagraniu pojawił się tajemniczy mężczyzna, co potencjalnie wykluczało telefon z żądaniem okupu. Do tej pory nie odezwał się do żadnej z rodzin. Oczywiście nie można było przyjąć tego za regułę.

Rudnicka wyjęła z teczki zdjęcia Arkadiusza Mieczkowskiego. Położyła na stole i przesunęła w stronę małżeństwa. Oboje pochylili się nad fotografią. Wpatrywali się przez chwilę, a potem niemal w tym samym momencie podnieśli głowy.

– Znacnie państwo tego człowieka? – zapytała.

– Nie – odparła niepewnie Grabowska. – Nie wydaje mi się. A ty? – zwróciła się do męża.  
Bartosz pokręcił głową.  
– Nigdy go nie widziałem.  
– Kim on jest?  
– To Arkadiusz Mieczkowski – wyjaśniła Lena. – Skazany za napaść na młodego chłopaka i próbę gwałtu. Podczas zatrzymania w jego komputerze znaleziono materiały pedofilskie, za które również dostał wyrok.  
– Dlaczego pokazuje nam pani jego zdjęcie?  
Wolski odchrząknął.  
– Arkadiusz Mieczkowski wyszedł z więzienia na krótko przed zniknięciem pierwszego dziecka – odparł. – Podejrzewaliśmy go.  
– Ale? – Bartosz zmarszczył brwi.  
– Czy to on porwał naszą córkę? – zapytała Grabowska. – Dlaczego nie możecie go złapać?  
– Mieczkowski przebywa w areszcie. Zatrzymaliśmy go wczoraj, ale nie przyznaje się do winy.  
– I co z tego?! – warknął Grabowski. Wstał i nerwowo krążył po pokoju. – Powiedział, gdzie przetrzymuje naszą córkę?  
– Mieczkowski nie ma mocnego alibi – odezwała się Lena. – Twierdzi, że wczoraj przebywał nad jeziorem i łowił ryby.  
– Kurwa mać... To sprawdźcie dom tego popaprańca! Nie wiem, zajrzyjcie, gdziekolwiek się da. Przecież gdzieś musiał ukryć moją córkę!  
– Mógłby pan usiąść?  
– Nie mam zamiaru...  
– Proszę usiąść.  
Grabowski niechętnie spełnił prośbę komisarz.  
– U Mieczkowskiego nie znaleźliśmy żadnych śladów obecności dzieci – oznajmiła, uważnie obserwując reakcję ojca Antosi. Już wcześniej był zdenerwowany, a zasłyszane informacje podsyciły jego wściekłość. – Sprawdziliśmy dom rodzinny, gdzie mieszkał z matką, oraz domek letniskowy nad jeziorem.  
– Może przetrzymywał dzieci w innym miejscu? – wtrąciła Dominika z nadzieją. Zerknęła przelotnie na męża. Bartosz oddychał ciężko. Wpatrywał się w fotografię Mieczkowskiego leżącą na stole.  
– To niewykлучzone.  
– Czyli ten facet porwał moje dziecko? – zapytał Grabowski.  
Rudnicka wzięła głęboki oddech.  
– Nie – odparła. – Według mnie Mieczkowski jest niewinny, choć część moich kolegów się ze mną nie zgadza.  
– Już nic z tego nie rozumiem. To dlaczego go zatrzymaliście?  
Lena skinęła głową na Wolskiego. Wyjął laptop i wpisał hasło. Kliknął przycisk „play” i obrócił ekran w kierunku Grabowskich. Dominika obserwowała nagranie z wypiekami na twarzy.  
– Ten mężczyzna kręcił się przed szkołą waszej córki – powiedziała Lena. – Na nagraniu nie widać jego twarzy. Gość wie, że na budynku znajduje się kamera, ponieważ gdy ją mija, odwraca głowę. Zwróćcie państwo uwagę na sposób, w jaki się porusza. Przyjrzyjcie się jego sylwetce.  
Grabowscy skupili się na nagraniu.  
– Utyka – mruknął Bartosz.  
– Powiedzmy. – Lena przysunęła laptopa i zamknęła klawisz.  
– Co to znaczy?  
– Mieczkowski miał uraz lewej nogi, przez co utyka.  
Grabowski się zamyślił.  
– Czyli to on? – zapytał.  
– Mężczyzna na nagraniu jest szczupłej postury. – Lena wyjęła z teczki ziarniste zdjęcie mężczyzny pojawiającego się na nagraniu i położyła obok fotografii Mieczkowskiego. – Nasz zatrzymany to kawał faceta.  
– Może schudł?  
– I przytył w jeden dzień?  
– Czyli to dwóch różnych gości? – zastanowił się Bartosz. – Współpracują ze sobą?  
– Brałam pod uwagę taką ewentualność. Oczywiście nie mogę tego wykluczyć, ale moim zdaniem działa sam.  
– Dlaczego?  
– Wspólnik oznaczałby kłopoty. Pedofile często wstydzą się swoich zainteresowań. Zdarza się, że sami siebie uważają za potwory. Przyjrzyjcie się wycinkowi nagrania. Zastanówcie się, czy znacie człowieka z filmu. To musi być bliski znajomy ani sąsiad. Pomyślcie, czy kiedykolwiek spotkaliście podobnego faceta.  
Grabowska wsunęła kosmyk włosów za ucho.  
– Wygląda znajomo – powiedziała niepewnie.  
Lena utkwiała w niej spojrzenie.  
– Ale nie wiem – dodała. – Nie mam pojęcia, gdzie mogłabym go spotkać.  
– Proszę pomyśleć.  
– Boże... Nie wiem!

- Ale wydaje się pani znajomy?
- Tak. Tak pomyślałam w pierwszej chwili. Teraz już nie jestem taka pewna.
- Zostawię wam to zdjęcie.

Grabowska ukryła twarz w dłoniach.

- Przepraszam – wyszeptwała. – Chciałabym pomóc.
- Spokojnie. Może coś sobie pani przypomni.

Grabowska w jednej chwili postarzała się o kilka lat. Potarła przekrwione oczy.

- Możemy zajrzeć do pokoju Antosi? – zapytała Lena.
- Proszę.

Zaprowadziła policjantów do pokoju dziewczynki. Ściany w kolorze pudrowego różu, łóżko księżniczki i zamek dla lalek. Na regale z książkami Rudnicka odnalazła wiele tytułów, które czytała Basi przed snem. Na drugiej półce stały atlasy polskich ruin zamkowych, historyczne książki dla dzieci i fotoalbumy.

- Antosia interesuje się historią – wyjaśniła Grabowska. – A w zasadzie zamkami.

– Widzę.

– Z zapalem przegląda atlasy i ogląda filmy.

– Dobrze, że już w tym wieku znalazła swoją pasję.

– Oj, tak. Kupiliśmy jej zamek dla lalek, żeby mogła się pobawić, ale i tak największą radość sprawia jej budowanie własnego z krzeseł i koców.

Rudnicka się uśmiechnęła.

Łóżko dziewczynki było zaścielone i przykryte narzutą z postaciami z bajek. Nad białym biurkiem na wąskich nóżkach i dziecięcą toaletką, jakiej nie powstydziliby się żadna księżniczka, wisiała mapa Polski, obrazki z wórkami oraz kalendarz.

– Tosia sama robi tam notatki – powiedziała Grabowska, dołączając do Leny. – Zapisywała lekcje, godziny treningów i wizyty u lekarza. Przywiązywała dużą wagę do harmonogramu. Uważała, że to ważne, żeby zapisywać pewne rzeczy. Wtedy się o nich nie zapomni.

– Ma bardzo ładne pismo.

Większość dzieci w wieku Tosi stawiała koślawe litery, lecz pismo Antosi było zgrabne. Dziewczynka rzadko przekraczała linię. Było widać, że bardzo się starała.

– Szybko nauczyła się czytać i pisać. Teściowa twierdzi, że odziedziczyła tę umiejętność po Bartoszu, bo on również szybko się nauczył. W moim przypadku było z tym trochę gorzej. No cóż. – Grabowska wzruszyła ramionami, uśmiechając się ponuro. – Nadal nie potrafie ładnie pisać, więc może dlatego zostałam lekarzem?

Rudnicka pokiwała głową. Zerknęła na kalendarz, usiłując połączyć w głowie kilka faktów. Miała wrażenie, że wizyta w pokoju Antosi przybliżyła ją do rozwiązania zagadki.

– Tosia leczyła się u pani przychodni? – zapytała.

– Niedawno dostała dziwnych plam na skórze. Poprosiłam naszą dermatolog, żeby zerknęła i oceniła, czy plamy mogą mieć podłoże alergiczne.

– Ta dermatolog pracuje w przychodni?

– Tak.

– Czy Antosia często tam bywała?

– Hm.

– Również w dniach, kiedy nie miała wizyt?

– Czasem gdy miałam więcej pacjentów, odbierałam ją ze szkoły i zostawiałam u dziewczyn w rejestracji. Tosia grała tam na telefonie albo odrabiała lekcje. Ja mogłam przyjąć pacjentów, a po pracy zabierałam ją do domu. Nigdy nie czekała długo. Godzinę, czasem dwie. Była cierpliwa i się nie skarżyła. Mąż dużo pracuje, więc nie mógł się nią zająć. Dawniej prosiłam go, żeby wziął wolne, ale zawsze było coś ważniejszego od Antosi.

Bartosz odchrząknął.

– Rozumiem – odparła Lena.

– Dlaczego pani pyta? Czy wizyty Antosi w przychodni mają znaczenie?

– Jeszcze nie wiem. – Rudnicka posłała jej uspokajający uśmiech.

Grabowscy odprowadzili policjantów do drzwi. Rudnicka podziękowała za poświęcony czas i kolejny raz zapewniła, że jeśli będą mieć jakiegokolwiek informacje w sprawie Antosi, natychmiast się z nimi skontaktują. Wolski przepuścił Lenę w drzwiach i wyszli na klatkę schodową.

Dominika zamknęła drzwi.

– Co o tym myślisz? – zapytała męża.

– O czym?

– Widziałeś komisarz? Ona coś wie.

– Czyżby? – Pokręcił głową. – Nie sądzę.

Grabowska zmrugała oczyma. Była pewna, że komisarz wpadła na jakiś trop, którym nie chciała dzielić się z rodzicami zaginionych dzieci. Dominika nie naciskała, ale w jej sercu pojawiła się nadzieja, że jej córka się odnajdzie, żywa.

Bartosz chwycił kurtkę.



- Dokąd idziesz? – zapytała zdezorientowana.
- Muszę coś załatwić.
- Poczekaj!
- Potem ci wyjaśnię.

## 11

Iwan huśtał się na krześle.

– Chłopie, dobrze ci radzę – powiedział. – Zaczniј gadać, a utniemy sobie miłą pogawędkę bez niepotrzebnego stresu.

– Nic nie zrobiłem.

– Słyszałem, słyszałem – powtórzył Szewko znudzonym tonem. – Mówiłeś już, że jesteś niewinny.

– A pan nadal mi nie wierzy?

Iwan stanowczo pokręcił głową.

– Nie – odparł. – Wybacz, ale nie budzisz zaufania.

Arkadiusz Mieczkowski westchnął bezsilnie. Doskonale wiedział, że jest na słabszej pozycji. Przymknął oczy i odchylił głowę do tyłu. Przyzwyczał się do podobnego traktowania. W więzieniu inni skazani traktowali go jak śmiecia. Pedofile byli osadzonymi najniższej kategorii.

Oczywiście policjant nie powinien pozwolić sobie na przemoc wobec zatrzymanego, ale Arkadiusz wiedział, że służby rządzą się swoimi prawami. W więzieniu strażnicy przymykali oko na wiele rzeczy.

– Nie byłem pod szkołą – odezwał się Mieczkowski. – Nikogo nie uprowadziłem. Jestem niewinny. Nie wrobiecie mnie w żadne porwanie. Nie dam się drugi raz zamknąć w więzieniu.

– Gdzie przetrzymujesz dzieci?

Mieczkowski cmoknął nerwowo.

– Nie pogrywaj ze mną.

– Ile razy mam powtarzać, że jestem niewinny?

Iwan poderwał się z krzesła. Mieczkowski odchylił głowę, przygotowując się na uderzenie, ale otwarta dłoń policjanta wylądowała na blacie.

– W pierdlu nie miałem łatwo – szepnęła Arkadiusz. – Nie pakowałbym się drugi raz w takie gówno. Nigdy więcej, rozumie pan?

– Czyżby?

– Nikomu nie życzę takiego koszmaru.

– Nie bez powodu wylądowałeś w pierdlu.

– Może tak, a może nie? Wiem, że pana nie przekonam.

Iwan pochylił się ponad blatem.

– Zabawny jesteś – warknął.

– Hm.

– Ale uważaj, żebym ci nie starł tego uśmiešku z twojej parszywej gęby.

Mieczkowski wiedział, że nie ma żadnych świadków, którzy potwierdziłiby, że w czasie gdy zaginęły dzieci, był w innym miejscu. Ten cholerny gliniarz może go zrobić w ich porwanie.

Ale on był niewinny. Nie chciał odsiadywać kary za coś, czego nie zrobił.

– Wiem, że źle to wygląda – odezwał się. – Nie mam alibi.

– Ano nie masz.

– Naprawdę nie porwałem tych dzieciaków.

– Okej. Powiedzmy, że ci wierzę. Jak wyjaśnisz więc to, że przed szkołą zaginionej Antosi kręcił się kulawy. Hm.

– Iwan potarł podbródek. – Dziwny zbieg okoliczności, prawda? Przypomnij mi, z którą nogą masz problem?

– Z lewą.

– Bingo.

– Nie kłamię, przysięgam.

Iwan resztkami sił powstrzymywał się, by nie uderzyć Mieczkowskiego. Nienawidził takich zasranych sukinsynów, którzy krzywdzą niewinne dzieci. Gdyby mógł, nie rozmawiałby z nim, ale od razu wsadził do pudła na wiele lat. Należało mu się. Nawet jeżeli był niewinny, powinien odsiedzieć karę za swoje obrzydliwe myśli.

Rudnicka się ulotniła. Kazała mu wykonać najgorszą robotę. Ale Iwan miał inny plan. Zamierzał przycisnąć Mieczkowskiego, żeby się przyznał. Chciał, by naczelnik go docenił. Musiał udowodnić, że zasłużył na awans. Miał zamiar dowieść pomyłkę Rudnickiej.

Od początku był przeciwny włączeniu Rudnickiej do śledztwa. Usiłował przekonać naczelnika, że wspólnie z Tymonem raz jeszcze przeanalizują całą sprawę i wreszcie trafią na trop porywacza. Naczelnik jednak się uparł, że

potrzebny jest ktoś ze świeżym spojrzeniem.

Pech chciał, że trafiło na Rudnicką.

– Posłuchaj, śmieci. Skup się i odpowiedz na pytanie, kto, jeśli nie ty, mógłby być na tym nagraniu?

– Nie wiem.

– Skup się, kurwa!

Mieczkowski odwrócił wzrok, zdając sobie sprawę, że po raz pierwszy gliniarz dopuszcza możliwość, że na nagraniu jest ktoś inny. Dawał mu szansę? Nie wierzył w dobre intencje policjanta.

– Musi się pan zastanowić, Mieczkowski – powiedział z satysfakcją policjant. – Twierdzisz, że na nagraniu jest ktoś inny. Pytam więc, kto?

– Nie wiem.

– Ktoś, kto bardzo chciałby, żebyśmy myśleli, że to właśnie ty?

– Uważa pan, że ten człowiek udaje, że jest mną?

– Na przykład. Przyznasz, że pasujesz na sprawcę. Dzieci zaczęły znikać na krótko po tym, jak wyszedłeś z pudła. Są więc dwie możliwości: albo to ty jesteś na nagraniach, albo ktoś, kto usiłuje cię wrobić. Rozpoznajesz człowieka ze zdjęcia? – Iwan przesunął mu kadr z nagrania sprzed szkoły. – Dobrze się przypatrz.

Mężczyzna pochylił się nad fotografią.

– Nie – odparł. – Boże, chciałbym wam powiedzieć coś więcej, ale...

– Spójrz raz jeszcze.

– Przykro mi.

Iwan wstał, dysząc ciężko. Tymon, który właśnie wszedł do pokoju, nie zdążył zareagować, gdy Szewko chwycił aresztanta za kark i uderzył jego głową w blat stołu. Wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi.

## 12

Bartosz zadzwonił do Kamili i poprosił o rozmowę. Początkowo odmówiła, wymawiając się obowiązkami. Przed popołudniową zmianą w pracy zamierzała ponoć załatwić kilka spraw. Nalegał tak długo, aż zgodziła się spotkać w parku niedaleko kamienicy, w której mieszkała.

Zniecierpliwiony Bartosz zjawił się piętnaście minut wcześniej. Czekać na Kamilę, wypalił kilka papierosów. Gardło z nerwów miało suche, a język kleił się do podniebienia. Rozejrzał się w poszukiwaniu sklepu, ale ostatecznie uznał, że poczeka. Nie chciał, aby się minęli.

Przyszła spóźniona. Kiedy dostrzegł ją w sąsiedniej alejce, poderwał się z ławki i ruszył w jej stronę. Uśmiechnęła się na jego widok.

– Cześć – powiedziała słodkim głosem.

Bartosz zastanowił się, dlaczego taka kobieta jak Kamila zawróciła mu w głowie? Była ładna, ale nic poza tym.

– W co ty pogrywasz? – zapytał, wymierzając w nią palec wskazujący. – Nie mam pojęcia, co chcesz osiągnąć, ale na pewno ci się to nie uda.

– Jezu – stęknęła. – O co ci chodzi?

Zaśmiał się ironicznie.

– Nie ze mną takie numery – odparł.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Dobrze wiesz, o czym! Co ci wpadło do głowy, żeby przyjść do mojego domu i... Boże! I zgrywać zatroskaną matkę, oferować pomoc mojej żonie i na dodatek przyprowadzać ze sobą męża!

– Wolałbyś, żebym przyszła sama?

– Nie o to mi chodzi!

– Wzięłam Ryśka, żeby twoja żona nie nabrała podejrzeń.

– Kurwa, mam to gdzieś! Nie powinnaś zjawiać się w moim mieszkaniu, rozumiesz?

Kamila aż się cofnęła.

– Przepraszam – powiedziała. – Zaginęło ci dziecko... Myślałam... Dlaczego uważasz, że to jakaś gra z mojej strony?

– Po co przyszłaś? Chciałaś mnie pogryźć?

– Niby w jaki sposób?

– Zamierzałaś powiedzieć mojej żonie, tak?

– Przecież o niczym jej nie powiedziałam.

Bartosz kipiał z wściekłości. Zaciśnął dłonie w pięści, a potem z tylnej kieszeni spodni wyjął ostatniego papierosa. Zapalił go, a paczkę zgniótł i rzucił na trawnik. Zmierzył byłą kochankę wrogim spojrzeniem.

– Jeśli zrobiłaś coś mojemu dziecku... – warknął. – Nie rękę za siebie. Przysięgam, pożałujesz, że mnie spotkałaś.

– Jesteś nienormalny.

– Po co to robisz? Dlatego że cię nie chciałem? Chciałaś się zemścić?

Pewnego razu, kiedy leżeli w hotelowym łóżku, Kamila wyznała Bartoszowi, że nie kocha męża. Ryszard był tylko dodatkiem do mieszkania i dzieci. Nie sypiali ze sobą. Nie rozmawiali. Przyznała, że od dawna im się nie układa, ale po zaginięciu Pawła ich związek przestał istnieć. Bartosz przytulił ją, a potem opowiedział swoją historię. Dominika stała się zrzędliva i nerwowa. Coraz dłużej zostawał w pracy, żeby się z nią nie widywać. Przychodził do domu, by się przespać, i wychodził, zanim żona i córka się obudziły.

Bartosz uznał wówczas, że to zwykła rozmowa. Narzekanie kochanków, szukających usprawiedliwienia dla zdrady małżonka.

Dopiero po jakimś czasie uświadomił sobie, że Abramowska naprawdę byłaby gotowa rozwieść się z mężem.

– Za co miałabym się mścić? – zapytała, wyciągając paczkę cienkich papierosów. Wyjęła jednego. Wsunęła pomiędzy wargi, lecz zanim zapaliła, spojrzała pytająco na Bartosza. – Naprawdę sądzisz, że mogłabym zrobić krzywdę twojej córce?

– Nie spodobało ci się, że postanowiłem wrócić do żony.

– To prawda – przyznała. – Ale nie jestem wariatką.

– Chciałaś zostawić dla mnie męża.

– Powiedzmy.

– Ale ja wybrałem żonę. Nie mogłaś sobie poradzić z odrzuceniem i postanowiłaś mnie ukarać?

– Człowieku, czy ty siebie słyszysz? – Kamila zapaliła papierosa i wciągnęła dym do płuc. – Widzę, że ułożyłaś sobie w głowie całą historię. Szkoda, że nie zapytałeś mnie, czy w ogóle zdecydowałabym się z tobą związać. Bo jeśli nie, dlaczego miałabym szukać zemsty?

– Kochasz mnie.

Kamila zaśmiała się gorzko.

– Trochę przesadzasz – odparła.

– Chciałaś zostawić męża...

– Chcę się z nim rozwieść bez względu na to, czy pieprzę się na boku z szefem.

Bartosz nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Wydawało mi się, że mówisz poważnie.

– Przeceniasz się.

– Kiedy powiedziałem, że to koniec, nie byłaś zadowolona.

– Ale już mi przeszło. Naprawdę sądzisz, że z tego powodu porwałabym twoją córkę? Jezu, zastanów się. Przecież to niewinne dziecko!

Bartosz odsunął się na dwa kroki. Wyrzucił niedopałek i spojrzał na przejeżdżające ulicą samochody.

– Okej – odezwała się. – Nie byłam zadowolona, bo w gruncie rzeczy nasz romans mi pasował. Było całkiem przyjemnie, prawda? Nie rozumiałam, po co kończyć coś, co dawało nam obojgu satysfakcję.

– Muszę naprawić moje małżeństwo.

– Może ja swoje też powinnam?

– Może.

Wciągnęła kolejną porcję dymu i zakaszała, gdy wdarł się do płuc.

– Cholera, nie powinnam palić – mruknęła, rzucając niedopałek na ziemię. Zgasiła go butem. – Możesz mi wierzyć, że nie mam nic wspólnego ze zniknięciem twojej córki. Nie zrobiłabym jej krzywdy. Poza tym nie wiem, czy pamiętasz, ale mój syn wciąż nie wrócił do domu. Sądzisz, że jestem suką, której nie obchodzi los niewinnych dzieci?

– Nie byłaś przesadnie zmartwiona, kiedy twój syn zaginął.

– Tak? A ty jesteś? Bo wygląda na to, że wolisz biegać po parku i oskarżać mnie o porwanie Antosi, niż siedzieć z żoną i czekać na jakiekolwiek informacje od policji.

– Nie, to nie tak. Musiałem cię zapytać o...

– No właśnie – przerwała. – Widzimy tylko to, co na zewnątrz. Ty widzisz we mnie zimną sukę, która po zaginięciu syna uprawiała z szefem seks w schowku na szczotki. A czy chociaż raz pomyślałaś, że prawda jest zupełnie inna? Zastanowiłaś się, dlaczego nie układa mi się z mężem? Pomyślałaś, co czuję, gdy wracam do domu i patrzę na człowieka, który nie upilnował własnego dziecka? To przez niego Paweł zaginął, rozumiesz? Ryszard jest cholernym leniem. Przez alkohol, który wlewa w siebie litrami, nie upilnował naszego syna. A teraz go nie ma. Wiesz, że wracając do domu, nie wiem, co zrobić? Ciągle myślę, co się dzieje z moim synkiem. Seks z tobą był jedynie odskocznią od problemów. Nigdy nie zapytałaś, co naprawdę czuję.

Zaskoczony spojrzał na Kamilę i poczuł się jak ostatni dureń.

W oczach Kamili pojawiły się łzy. Ze złością potrząsnęła głową.

Bartosz pomylił się. Sądził, że to Kamila była jego odskocznią od problemów. Tymczasem to on był zabawką Abramowskiej. Nie myślał o jej uczuciach. Skupił się na sobie. Wydawało mu się, że ona się w nim zakochała, ale dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo się mylił.

W sąsiedniej alejce spacerowała kobieta z wózkiem. Rozmawiała przez telefon, ale znajdowała się na tyle daleko, że do milczących kochanków docierały jedynie strzępy rozmowy.

– Przepraszam – bąknął Grabowski. – Zdenerwowała mnie wasza wizyta. Bałem się, że próbujesz zrobić mi na złość.  
– Przyszliśmy do was, żeby wam pomóc.  
– Po prostu nie wiem, co mam robić. Antosia... Ona jest całym moim światem.  
– Wiem.  
– Oszaleję, jeśli coś złego się jej stanie. – Podeszedł do Kamili i spojrzął jej w oczy. – Dlaczego to spotkało nasze dzieci?  
– Przypadek?  
Bartosz ukrył twarz w dłoniach.  
Rozpląkał się.

## 13

Po wyjściu policjantów Dominika wzięła prysznic. Z mokrymi włosami usiadła na dywanie w pokoju córki. Wpatrywała się w migający ekran komórki. Od wczoraj dzwonili wszyscy – przyjaciółki, znajomi z pracy, koleżanki z jogi, ciocie i wujkowie, których nie widziała od kilku lat. Nie ustalali w próbach, chociaż nie odbierała połączeń od nikogo. Miała jednak świadomość, że nie dzwonią ze złej woli. Chcieli pomóc, porozmawiać i zapewnić o wsparciu, ale nie miała ochoty ich słuchać. Nie potrzebowała pocieszenia, tylko konkretów. Poza tym nie wiedziała, co odpowiadać na płynące zewsząd słowa wsparcia. Kiedy rozmawiała wczoraj z sąsiadami, pragnęła uciec jak najdalej stąd. Odnaleźć córkę, przytulić ją i zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

Jedynymi osobami, z którymi się kontaktowała, byli teściowie. Rodzice Bartosza zawsze stanowili dla niej ogromne wsparcie. Mieli świadomość, że ich syn nie postępuje tak, jak powinien. Matka Bartosza dostrzegała jego wady. Kilkakrotnie z nim rozmawiała, usiłując przemówić do rozsądku, lecz bez skutku. Teściowie poprzedniego ranka wylecieli do Hiszpanii na wakacje. Poza sezonem było taniej, a nie przepadali za opalaniem. Spędzali czas na pieszych wędrówkach. Kiedy dowiedzieli się o zaginięciu wnuczki, natychmiast zamówili bilety powrotne na następny dzień. Dominika była im wdzięczna. W takich chwilach wiele by dała, by cofnąć czas. Cieszyła się, że ma wsparcie w teściach. Jej rodzice nie żyli.

Telefon ucichł.

Dominika podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami. Przytłaczała ją przeraźliwa cisza panująca w mieszkaniu. Potrzebowała kogoś, kto by jej powiedział, co powinna zrobić. Zdawała sobie sprawę z własnej bezsilności. Płakała. Ciepłe łzy tworzyły na jej policzkach wilgotne ślady.

Tosia była wyczekanyim dzieckiem. Z Bartoszem długo starali się o potomstwo. Zwrócili się o pomoc do lekarzy. Przeprowadzili wiele badań, które wykazały, że z obojgiem wszystko w porządku i teoretycznie nie powinno być problemu z zająciem w ciąży.

Kiedy wreszcie test ciążowy pokazał pozytywny wynik, byli najszczęśliwymi osobami na świecie. Dominika była pewna, że mąż okaże się najlepszym ojcem pod słońcem. Bardzo się starał, pomagał jej w zakupach dla dziecka, wspólnie chodzili na badania. Kochali się i wspierali. Nalegał, by zrezygnowała z pracy. Obawiał się, że kontakt z chorymi jest zbyt niebezpieczny i mógłby zagrozić ciąży. Dominika chciała pracować, ale w końcu mu uległa. Wzięła urlop, a Bartosz zaczął więcej pracować. Awansował, co wiązało się z większą ilością obowiązków. Zostawał dłużej w firmie, a Dominika przyzwyczajała się do samotnie spędzanych dni. Gdyby wiedziała, jak to wszystko się skończy, pracowałyby do porodu. Wierzyła, że kiedy Antosia się urodzi, Bartosz zwolni tempo i więcej czasu poświęci rodzinie, ale nowe stanowisko pochłaniało go coraz bardziej.

Nie potrafiła wskazać momentu w ich życiu, gdy wszystko się popsło. Stopniowo oddalali się od siebie. Dominika spędzała czas z córką, a Bartosza nigdy nie było w domu. Razem z Antosią jeździli do jego rodziców na weekend. Czasem do nich dołączał, ale najczęściej wykręcał się zmęczeniem. Powtarzał, że gdy nie ma w domu dziecka wymagającego uwagi, wreszcie się wyśpi.

Słowa męża bolały Dominikę, ale milczała. Zbyt długo nikomu nie mówiła o problemach. Żal i smutek dusiła w sobie, aż pewnego jesiennego dnia coś w niej pękło. Opowiedziała o wszystkim matce Bartosza. Kiedy jednak wyrzuciła z siebie wszystkie pretensje, wcale nie poczuła się lepiej. Teściowa była zaskoczona. Nigdy się nie kłóciliście, powiedziała, a Dominika przyznała jej rację. Nie kłócili się, bo rzadko ze sobą rozmawiali. Tylko udawali szczęśliwą parę, żeby nikt nie domyślił się, że dręczą ich problemy.

Spojrzała na telefon. Walczyła z chęcią zadzwonienia do męża. Gdzie on się podziewał? Dlaczego nie powiedział, dokąd idzie?

Pobiegła do drugiego pokoju, położyła na kolanach laptop i odnalazła zdjęcie Antosi. Wkleiła je do dokumentu tekstowego, a potem napisała ogłoszenie o zaginionej córce. Warto spróbować, upewniła samą siebie i postanowiła, że rozwiesi ogłoszenia w najważniejszych punktach w mieście – na przystankach, przy galeriach handlowych i dworcach.

Stenia Abramowska weszła do budynku komendy i poprosiła o spotkanie z komisarz Rudnicką. Kobieta obrzuciła dziewczynę nieprzychylnym spojrzeniem i kazała czekać. Stenia nie mogła usiedzieć w miejscu, więc przystanąła przed drzwiami i obserwowała pracę dwóch kobiet siedzących w holu.

Nie mogła przestać myśleć o tym, czego dowiedziała się od Michała. Dlatego tu przysłała. Obiecała, że nikomu nie powie, ale przecież nie mogła tego tak zostawić. A jeśli Wachowiak ma związek ze zniknięciem Pawełka? Miała nadzieję, że Michał nie będzie długo się na nią gniewał.

– Pani komisarz zaraz przyjedzie! – zawołała jedna z kobiet. – Poczekaj tutaj, dobrze?

– Tak, oczywiście.

Stenia odchrząknęła. Z nerwów jej głos zabrzmiał słabo, pokiwała więc głową, aby dać znać kobiecie, że rozumiała. Odsunęła się od drzwi i wpatrywała się w czubki własnych butów. Wszystko potoczyło się nie tak, jak powinno, pomyślała i poczuła, że zaraz się rozpłaczę. Zagryzła wargę, usiłując powstrzymać łzy.

Komisarz zjawiła się po dwudziestu minutach. Weszła i omiotła pomieszczenie wzrokiem. Uśmiechnęła się na widok Steni.

– Chodź – powiedziała. – Pogadamy u mnie.

Dziewczyna poszła za nią. Komisarz przyłożyła kartę magnetyczną do czytnika. Rozległo się kliknięcie. Lena pociągnęła drzwi i wpuściła Stenię jako pierwszą.

– Tutaj. – Wskazała kierunek.

Ruszyły korytarzem, a potem weszły na piętro. Stenia obserwowała pewne i stanowcze ruchy Rudnickiej. Była szczupłą i drobną kobietą, ale biła od niej odwaga, której Stenia nigdy w sobie nie czuła. Komisarz wykonywała trudną pracę pośród mężczyzn. Stenia pomyślała, że kiedy dorośnie, chciałaby być taka jak ona.

Lena otworzyła drzwi do jednego z pokoi. Wpuściła dziewczynę do środka, posadziła na krześle, a sama zajęła miejsce naprzeciwko.

– Chcesz coś do picia? – zapytała.

– Nie, dziękuję.

– W sumie nie mam niczego oprócz kawy.

Stenia uśmiechnęła się nieśmiało.

– Dlaczego nie jesteś w szkole? – zapytała komisarz.

– Mama pozwoliła mi zostać w domu.

– Fajnie mieć taką wyrozumiałą mamę.

– Ze względu... no, wie pani. Zaginęła kolejna dziewczynka.

– Antosia.

Stenia ściągnęła brwi ze smutkiem.

– Myśli pani, że dziewczynka się odnajdzie? – zapytała. – Jeśli zabrał ją ten sam człowiek, który porwał mojego brata...

– Mam nadzieję, że wszystkie dzieci odnajdą się całe i zdrowe.

Stenia spojrzała na komisarz. Nie wierzyła w szczęśliwe zakończenie tej historii. Pawła nie było w domu od kilku tygodni. Z każdym dniem malała nadzieja na odnalezienie go żywego.

– Nie powinnaś jeździć sama po mieście – upomniała ją komisarz. – Poproszę kogoś, żeby cię odwiózł.

– Nie ma potrzeby.

– Nie pozwolę ci wracać samej do domu.

Dziewczyna zastanowiła się, czy to możliwe, by groziło jej niebezpieczeństwo. Do tej pory ginęły młodsze dzieci, a Stenia uważała, że nastolatki w jej wieku nie są zagrożone. Ale słowa komisarz sprawiły, że poczuła się jak nieodpowiedzialna gówniara. Decyzja o samodzielnej wyprawie na komendę była niezbyt rozsądna. Pomyślała, co zuliby rodzice, gdyby stracili kolejne dziecko.

– Ma pani rację – przyznała. – Wezmę taksówkę.

– Odwieziemy cię.

– Mam pieniądze.

– A więc zachowaj je na inną okazję.

Zegar ścienny odmierzał kolejne sekundy nerwowego milczenia.

– Zatem o co chodzi? – zapytała Rudnicka.

Nie chciała zbywać dziewczyny, ale czekało na nią mnóstwo pilnych spraw. Zerknęła wymownie na zegarek, a potem przeniosła wzrok na przygnębioną nastolatkę.

– Przyszłam, bo... rozmawiałam z moim bratem.

– Którym?

– Z Michałem. Wczoraj wrócił pobity do domu. Ktoś go uderzył, ale udawał, że nic się nie stało. Dzisiaj z nim rozmawiałam. W końcu mi powiedział, kto podbił mu oko.

– Michał to ten mały łobuz?

Stenia mimowolnie się uśmiechnęła.

– To dobry chłopak – odparła. – Ale ma trudny charakter.  
– No pewnie. I co z nim?  
– Początkowo myślałam, że pobił się z kolegami, ale gdyby tak było, przyznałby się, a potem chełpił, że ten drugi wygląda gorzej. Ale tym razem był dziwnie tajemniczy. Zamknął się w pokoju. Pomyślałam, że wprawdzie rodzicom nie chce powiedzieć prawdy, ale może porozmawia ze mną.  
– Udało się?  
– Przycisnęłam go i przyznał, że... że to pan Wachowiak go uderzył.  
– Ojciec zaginionego Wiktora?  
Stenia pokiwała głową. Ścisnęła mocniej plecak leżący na kolanach. Oddychała niespokojnie. Sądziła, że policjantka jej nie uwierzy, ale komisarz wyglądała na zaintrygowaną.  
– Dlaczego go uderzył? – zapytała.  
– Wachowiak myśli, że Michał coś ukrywa.  
– A ukrywa?  
– Skąd!  
Lena bacznie przyglądała się dziewczynie.  
– Dlaczego Wachowiak tak sądzi?  
– Nie wiem. Uważa, że Michał wie, gdzie są zaginione dzieci.  
– Skąd miały to wiedzieć?  
– Wachowiak twierdził, że widział swojego syna Wiktora w towarzystwie Michała. I dlatego jest przekonany, że Michał wie więcej, niż mówi policji.  
Dziewczyna martwiła się o brata. Wprawdzie obiecała mu, że dochowa tajemnicy, ale musiała porozmawiać z komisarz. Wierzyła, że zależy jej na rozwiązaniu sprawy. Zaufała tej policjantce i miała nadzieję, że odnajdzie jej brata.  
Rudnicka zauważyła zmianę, jaka zaszła na twarzy nastolatki.  
– Steniu? – zagadnęła. – Wiesz coś o tym?  
Młoda Abramowska wzięła głęboki oddech.  
– Bo... – zaczęła z wahaniem. – Chodzi o to, że oni naprawdę się znali.  
Komisarz odchyliła się na krzesle.  
– Skąd?  
– Z klubu piłkarskiego. Wiktor trenował razem z Michałem. Ale jakieś pół roku temu mój brat zrezygnował z treningów.  
– Jaki podał powód?  
– Twierdził, że już nie chce mu się grać, ale moim zdaniem nie dogadywał się z trenerem.  
– Kto był trenerem?  
– Pan Wachowiak.  
Rudnicka gwizdnęła.  
– Kilka razy Michał skarżył się na niego, a w końcu zrezygnował. Właśnie w klubie Michał poznał Wiktora.  
– Michał lubił grać w piłkę?  
– Nie zrezygnowałby, gdyby nie miał poważnego powodu. On naprawdę uwielbia grać. Lubił też kolegów. Michał od zawsze lubił gry zespołowe, więc kiedy pan Wachowiak spotkał kiedyś naszych rodziców, jakoś tak się dogadali, że zaprosił Michała na trening. Odkąd przestał trenować, zakolegował się z chłopakami, którzy mają na niego zły wpływ.  
– Czekaj, czekaj. Wachowiak znał twoich rodziców wcześniej?  
– Poznali się przypadkiem.  
– Gdzie?  
– W przychodni.  
Lena wybudziła ekran telefonu, wpisała odpowiednie hasło w wyszukiwarkę i odwróciła komórkę w stronę Steni.  
– W tej przychodni? – zapytała.  
– Tak. Chyba tata był tam z Pawełkiem i Michałem. A w zasadzie z Pawełkiem, kiedy dostał silnej alergii. Michał był z nimi tylko dlatego, że ojciec zgarnął go po lekcjach ze szkoły i nie było czasu odwieźć go do domu.  
Na ekranie wyświetlała się nazwa przychodni Dominiki Grabowskiej.

makaron z plastikowego opakowania na wynos. Zastygł zaskoczony z uniesionym widelcem, a potem puścił go, jakby całkiem stracił apetyt. Makaron spadł z powrotem do pudełka.

Tymon i Iwan zamknęli za sobą drzwi. Iwan stanął w lekkim rozroku. Omiótł wzrokiem wnętrze. Wachowiak otworzył usta, jak gdyby chciał się wytłumaczyć z bałaganu, ale ostatecznie bezradnie rozłożył ręce.

– Dzień dobry – powiedział, wstał i uściśniętą policjantom dłonie. – Jakież wieści w... wiadomej sprawie?

– Oglądał pan wczoraj wiadomości? – zapytał Tymon.

– Tak.

– Czyli wie pan, że zaginęło kolejne dziecko?

Wachowiak złożył dłonie jak do modlitwy.

– Niestety – odparł. – Nie wiem, co powiedzieć.

– Nie musi pan nic mówić. Można? – Tymon wskazał krzesło stojące po drugiej stronie biurka. Wachowiak skinął głową. – Mamy do pana kilka pytań.

– Sądziłem, że powiedziałem wam już wszystko.

– Też tak sądziliśmy – wtrącił Iwan, który z rękoma splecionymi z tyłu przechadzał się po pomieszczeniu niczym gospodarz doglądający obejścia.

Wachowiak patrzył na gości pytająco. Wskazujący palec wsunął za kołnierz koszuli i odchylił go lekko. Zaczynał się pocić. Na jego twarzy pojawiły się rumieńce.

– Zna pan Michała Abramowskiego? – zapytał Tymon.

– Tak. Mówiłem, że go znam.

– Jak dobrze?

– Widziałem go z moim synem.

– A kiedy spotkał się pan z nim po raz ostatni?

– Nie pamiętam – odparł po namyśle. – Dawno.

– Jak dawno?

– Nie wiem. Przykro mi.

Tymon przekrzywił głowę. Westchnął, jakby ogarnęło go zmęczenie. W tym czasie Iwan obszedł biurko i stanął za plecami wykładowcy. Wachowiak obejrzał się przez ramię. Nikt nie czuje się komfortowo, mając kogoś za plecami, tym bardziej że Wachowiak nie znał zamiarów policjanta. Miał wrażenie, że wizyta nie przebiega tak, jak powinna.

– Uderzył pan Michała? – odezwał się Iwan beznamiętnym tonem.

– Ja? – zdziwił się Wachowiak. – Ależ nie! Skąd ten pomysł?

– Czemu się pan denerwuje?

– Nie denerwuję się.

Zapadło milczenie.

– O co chodzi? – zapytał wykładowca.

– Dlaczego go pan uderzył?

– Ja nie...

Wachowiak zerknął w kierunku drzwi. Z korytarza dobiegały głosy studentów wychodzących z zajęć.

– Panowie wybaczą, ale zaraz zaczynam zajęcia – powiedział.

– Studenci poczekają. – Iwan oparł się o biurko i skrzyżował ramiona. – Zaczniemy od początku. Jeśli powie nam pan wszystko, co wie, obiecuję, że pójdzie całkiem szybko.

– Moglibyśmy przełożyć rozmowę na inny termin? Naprawdę się spieszę.

– Był pan trenerem w dziecięcym klubie piłkarskim?

Wachowiak uniósł brwi.

– Tak – przyznał. – Piłka nożna to moje hobby. Ale od pół roku nie trenuję dzieci.

– Dlaczego?

– Zrezygnowałem.

– Okłamuje nas pan.

Wachowiak zwiesił głowę. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby miał się rozplakać, ale gdy się wyprostował, na jego twarzy odmalował się upór.

– Panowie, co jest? – zapytał. – Oskarżacie mnie o kłamstwo? Zapomnieliście, że mój syn... mój syn zaginał? Dlaczego, do cholery, go nie znaleźliście?

– Dlaczego odszedł pan z klubu? – zapytał Tymon.

– O Boże... Dobrze! Wyrzucili mnie! Czy to takie ważne?

– Wiemy, że pana wyrzucili. Rozmawialiśmy z pana przełożonym.

– Więc po co te pytania?

– Próbujemy ustalić, czy nadal pan kłamie.

Sądził, że Wachowiak szybciej przyzna się do porażki. Szedł w zaparte, chociaż od początku był na straconej pozycji.

– Nie chciałem... – zaczął. – To było pół roku temu. Nie sądziłem, że może to mieć znaczenie w sprawie mojego syna.

– Czy mniej więcej wtedy zaginał Wiktor?

Wachowiak przyglądał się policjantowi.

– To nie ma związku – odparł.

– Skąd ta pewność? – Iwan obszedł biurko. – Dlaczego pana wyrzucili?

– Nie miałem cierpliwości do dzieci.

– Mhm.

Wachowiak odpuścił. Wziął głęboki oddech.

– W młodości trenowałem piłkę nożną, ale rodzice uznali, że sport nie jest przyszłościowy, i wysłali mnie na studia – powiedział. – Tam grałem w drużynie studenckiej, jednak szybko okazało się, że doba nie jest z gumy. Musiałem wybrać – albo nauka, albo piłka. Wiedziałem, że na karierę sportową jestem już za stary, wybrałem więc naukę. Przyłożyłem się i udało mi się napisać doktorat, ale nadal kochałem piłkę nożną. Kolega z drużyny dostał pracę przy trenowaniu młodzieży na stadionie na Stokach i zapytał, czy nie objąłbym jednej z grup dzieciaków. Zgodziłem się. Dlaczego nie? Lubiłem to robić. Treningi sprawiały mi radość, ale kiedy okazało się, że na zawodach moja drużyna jest najsłabsza, postanowiłem przycisnąć chłopaków.

– To amatorska drużyna, prawda?

– Tak. Zawody nie były znaczące, ale koledzy podśmiewali się ze mnie. Szło mi najgorzej ze wszystkich trenerów. Prawdopodobnie wymagałem od chłopców więcej, niż powinienem. W drużynie był też mój syn. Zaproponowałem, że go zapiszę na zajęcia i będziemy jeździć na treningi razem. Zgodził się, choć niezbyt chętnie. Chciałem, żeby pokochał piłkę, ale Wiktor tego nie lubił.

– W klubie Wiktor poznał Michała?

– Zaraz po objęciu funkcji trenera spotkałem Abramowskich u lekarza. Od słowa do słowa ustaliliśmy, że ich syn uwielbia piłkę nożną, więc zaproponowałem, żeby wpadł na trening i spróbował swoich sił. Abramowscy się zgodzili. Michał okazał się zdolnym dzieckiem, szło mu nieźle, ale moim zdaniem za mało się starał. Gdyby się przyłożył, osiągnąłby znacznie więcej. Poświęcałem mu więcej uwagi niż innym dzieciom, z czasem chyba poczuł się przytłoczony. Chciałem od niego więcej i więcej, a dzieciak miał swoje życie. W końcu oznajmił, że chce odejść, ale mu zabroniłem. Był moim najlepszym napastnikiem. Bez niego nie było sensu stawać do zawodów. Kiedy odmówił, popchnąłem go.

– Popchnął pan dziesięciolatka?

– Strasznie mi wstyd. Zachowałem się nieprofesjonalnie. Michał upadł na barierkę oddzielającą trybuny. Uderzył głową i rozciął łuk brwiowy tak mocno, że wymagał szycia. Wtedy wywalili mnie z klubu. I tak mi nie szło, więc trafił im się solidny argument. Abramowscy zdecydowali się nie zawiadamiać policji. Całe szczęście, bo mógłbym mieć problemy w pracy.

– Dlaczego nie złożyli zawiadomienia? – zdziwił się Iwan.

– Dogadaliśmy się.

– Zapłacił im pan?

– Niedużo. – Wachowiak się zmieszał. – Pokryłem koszty leczenia Michała.

– Dlaczego nie powiedział pan o tym na początku śledztwa?

Wachowiak odetchnął z ulgą, jakby zrzucił z ramion wielki ciężar.

– Bałem się – wyjaśnił. – Gdybyście się dowiedzieli, że stosowałem przemoc wobec dziesięciolatka, co byście pomyśleli?

– Ja bym pomyślał, że jest pan skłonny do przemocy wobec dzieci, a ty, Tymonie?

– Pomyślałbym, że mógł pan zrobić krzywdę również własnemu synowi.

– No właśnie – przyznał Wachowiak. – Nic nie zrobiłem Wiktorowi, ale wolałem uniknąć podejrzeń.

– Dlaczego uderzył pan Michała przed kilkoma dniami?

– Jestem pewien, że widziałem go z Wiktorem. Coś kombinowali. A on ciągle zaprzeczał. Chciałem trochę potrzęsnać dzieciakiem, żeby powiedział prawdę.

– Ale już powiedział prawdę. Że nie ma nic wspólnego ze zniknięciem Wiktora.

– Po prostu zacząłem wariować. Nie wiem, co robić.

Milewski odchrząknął.

– Dlaczego Abramowscy nie przyznali się, że pana znają?

– Z tego samego powodu, dla którego skłamałem.

– Czyli?

– Kiedy Ryszard Abramowski dowiedział się, co zrobiłem jego synowi, dowiedział się, gdzie mieszkam, przyszedł do mojego domu i mnie pobił, a potem zażądał więcej pieniędzy.

– Szantażował pana?

Wachowiak nie odpowiedział.

– Abramowski bał się, że opowiem policji o jego wybuchu agresji – odparł. – I o tym, że wyłudzał ode mnie pieniądze.



Grabowscy spoglądali na siebie nerwowo. Dominika ścisnęła w dłoni plik wydrukowanych ogłoszeń ze zdjęciem zaginionej córki. Kiedy policjanci przyjechali, żeby ich zabrać na komendę, Dominika rozwieszała ogłoszenia na pobliskim przystanku.

– Nie wiedziałam, co robić – tłumaczyła się teraz Rudnickiej. – Potrzebowałam zająć czymś myśli, chociaż na chwilę.

– To zrozumiałe – odparła komisarz, zajmując miejsce naprzeciwko Grabowskich. Spojrzała na Bartosza. – Chciałby pan o czymś powiedzieć?

Mężczyzna rozchylił usta, a Rudnicka pomyślała, że za kilka minut Grabowska otrzyma kolejny cios.

– Panie Grabowski, dlaczego nas pan okłamuje? – zapytała.

Dominika drgnęła. Bartosz milczał. Nie wiedział, co powiedzieć. Nie miał pojęcia, co Rudnicka wie ani w jaki sposób zareaguje żona. Zastanawiał się, czy powinien brnąć w kłamstwo, czy powiedzieć prawdę. Wybrał pośrednią drogę.

– Nie rozumiem – odparł.

– Zna pan Abramowskich?

– Tak, byli dzisiaj u nas.

– Znał pan ich wcześniej?

– Nie.

– Kamila Abramowska pracuje w sieci drogerii, której jest pan kierownikiem.

– Być może. Nie znam wszystkich pracowników niższego szczebla.

Lena się uśmiechnęła.

– Na czym polega pańska praca? – zapytała.

– Jaki to ma związek z zaginięciem mojej córki?

– Proszę odpowiedzieć.

Grabowski westchnął.

– Zarządzam kilkoma drogeriami – odparł. – Zajmuję się właściwie wszystkim, co jest z nimi związane.

– Jest pan bezpośrednim kierownikiem pracowników tych drogerii?

– Niezupełnie. Mają jeszcze kierownika sklepu. Ja jestem o stopień wyżej. Sprawy związane z daną placówką załatwiam z kierownikiem danej placówki.

– Czyli co pan robi?

– Akceptuję dostawy, sprawdzam, czy sklepy realizują promocje, robię kontrole.

– I przez cały okres pracy nie poznał pan Kamili Abramowskiej?

Grabowski wbijał spojrzenie w czubki swoich butów.

– Może kiedyś – odparł. – Nie pamiętam.

– Powiedzmy, że panu wierzę. Wiedział pan, że syn Abramowskiej również zaginął?

– Tak. Słyszałem.

– I nadal uważa pan, że tylko „kojarzy” panią Abramowską?

– Pytała pani, czy byłem jej bezpośrednim przełożonym. Moja odpowiedź brzmi: nie, nie byłem.

– Pańskiej podwładnej zaginęło dziecko – ciągnęła Lena. – Być może zostało porwane. Nie wiadomo, co się dzieje z chłopcem. O sprawie mówią wszystkie media w kraju. A pan mów mi, że tylko kojarzył Kamilę Abramowską?

Bartosz zacisnął wargi. Wsunął palec za miękki materiał koszuli i odchylił kołnierz.

– Co to za przesłuchanie? – zapytał. – Do czego ono prowadzi?

Podczas wymiany zdań Grabowska uważnie obserwowała męża. Na jej twarzy malowała się narastająca złość. Siedziała z wyprostowanymi plecami i czujnym wzrokiem, jakby czekała na potwierdzenie swoich przypuszczeń.

– Spróbujemy z innej strony. – Rudnicka zarzuciła ramię na oparcie krzesła. – Sprawdziliśmy, że w ostatnich tygodniach często odwiedzał pan placówkę, w której pracowała Kamila Abramowska. Zważywszy, że niedługo po zaginięciu Pawła Abramowskiego zaginął także pański syn, wydaje się to nieco podejrzane.

– Bywałem w tamtej placówce, owszem, ale...

– Bywał pan często – przerwała mu. – Za często, jak twierdziła druga z pracujących tam kobiet.

– Ale...

– Co ciekawe, dziś również spotkał się pan z Kamilą Abramowską. I to nie w waszym mieszkaniu, jak pan twierdził, ale też później.

Dominika wbiła paznokcie w przedramię.

– Śledziliście mnie? – zapytał Grabowski z niedowierzaniem.

– Myślę, że teraz to pański najmniejszy problem – odparła Lena. – O czym rozmawiał pan z Abramowską?

Grabowski milczał ze spuszczoną głową.

– Myślałem, że...

– Coś ty zrobił? – weszła mu w słowo żona. – Coś ty najlepszego narobił?

– Nic, przysięgam!

– Wiedziałam! – Grabowska poderwała się gwałtownie z krzesła. – Ja... Boże... Wiedziałam, że coś tu nie gra. Czułam, że ta kobieta... Widziałam, jak na ciebie patrzy!

Podniósł głowę. Cokolwiek by powiedział, zabrzmiałoby nieszczerze. Nabrał powietrza w płuca, a potem wypuścił z ciężkim westchnieniem.

– Posłuchaj mnie, proszę – wyszeptał. – Sądziłem, że Kamila... że to ona zabrała Antosię.

– Skąd taki pomysł? – zapytała Lena.

– Pomyliłem się. Nie miała z tym nic wspólnego.

– Dlaczego Abramowska miałaby porywać pańską córkę?

– Bo...

– Lepiej, żeby powiedział to pan, a nie ja.

Spojrzał z nadzieją na żonę.

– Miałem z nią romans.

Kobieta zakręciła się wokół własnej osi. Do oczu napłynęły jej łzy. Odchyliła głowę do tyłu, by uspokoić oddech. Odsunęła się na dwa kroki. Potrzebowała kilku sekund, by przyswoić słowa męża. Podejrzewała, że Bartosz miał kochankę, ale prawda wypowiedziana na głos boli jeszcze mocniej.

– Kochanie, nie wiem, jak mógłbym ci to wynagrodzić, ale pamiętaj, że...

– Dzisiaj się spakujesz.

– Nie, Domi...

– Podejrzewałam, że mnie zdradzasz. Pytałam, a ty zaprzeczałeś. – Podeszła bliżej. – Gdybyś się przyznał... Gdybyś powiedział mi prawdę, zastanowiłabym się, jak ratować nasze małżeństwo. Ale wolałeś kłamać, więc teraz to koniec, rozumiesz?

Bartosz ukrył twarz w dłoniach.

– Wszystko ci wyjaśnię.

– Czas na wyjaśnienia już minął. Mam dość.

– Dlaczego pan nas okłamał? – zapytała Rudnicka. – Rozumiem, że trudno przyznać się przed żoną do zdrady, ale kiedy w grę wchodziło zaginięcie pańskiej córki, pan nadal nie powiedział prawdy.

– Bo to zwykły oszust – odpowiedziała Dominika. – Zwykły, pieprzony kłamca.

– Dominiko...

– Wyjdź stąd.

– Panie Bartoszu?

– Bałem się! – krzyknął. – Dałem dupy, okej? Nie angażowałem się w życie rodzinne. Dużo pracowałem. Żona ciągle robiła mi awantury, a ja nie miałem siły! Nie wiem, dlaczego wdałem się w romans, ale poszedłem w końcu po rozum do głowy i to zakończyłem. Powiedziałem Kamili, że to koniec. Nie przyjęła najlepiej tej informacji. Dlatego myślałem, że może to ona... że chciała zrobić mi na złość. Widziałem w jej oczach, kiedy przyszła do nas z mężem. Byłem pewien, że ta wizyta to zemsta. Chciała, żebym się bał. Zapytałem ją dzisiaj, w parku, czy to ona zabrała Tosię, ale zaprzeczyła.

– A ty jej uwierzyłeś? – zadrwiła Grabowska.

– Mówiła prawdę. Nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego.

– Widzę, że świetnie się znacie. – Pokręciła głową. – To jakiś absurd. Cholerny żart. Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę.

– Chciałem cię odzyskać, kochanie, dlatego zerwałem z Kamilą.

– Lepiej będzie, jeśli stąd wyjdiesz.

Bartosz się zawahał. Ponieważ Dominika milczała, wstał i podszedł do drzwi. Położył dłoń na klamce, raz jeszcze zerknął na żonę, aż w końcu opuścił pokój.

Kiedy zostały same, Grabowska poprosiła komisarz o papierosa. Lena sięgnęła po paczkę leżącą na biurku Wolskiego. Dominika drżącymi dłońmi przytknęła zapalniczkę do papierosa i wciągnęła dym.

– Wiedziałam, że mnie zdradza – przyznała. – Czułam to. Kobiety czują takie rzeczy. Pytałam. Chciałam, żeby się przyznał. W gruncie rzeczy byłam na to gotowa, ale zaprzeczał. Cholerny skurwysyn. Boże, a ja patrzyłam tej kobiecie w oczy! Co za tupet, żeby do nas przyjść i... udawać, że chcą nam pomóc! Ciekawe, czy jej mąż wie o tej zdradzie. I to jeszcze w takim momencie.

Lena zastanawiała się, czy Grabowska ma kogoś, kto mógłby jej pomóc w tej sytuacji? Kogoś, kto ją wesprze? Wiedziała, że rodzice Dominiki nie żyją, ale może miała przyjaciółkę albo dobrą sąsiadkę, z którą mogłaby porozmawiać?

Lena wypowiedziała swoje pytanie na głos.

– Zadzwoń do przyjaciółki – odparła Grabowska. – Jakoś dam radę.

– Nie chcieliśmy tego załatwiać w ten sposób.

– Lepiej, że wreszcie poznałam prawdę.

Jak się czuje oszukiwana kobieta? Jak się czuje dziewczyna Wolskiego? Co robi, kiedy się dowie, że Marcel zdradził ją z dawną przełożoną?

– Jeszcze jedna sprawa – powiedziała Lena.

– Tak?

– Wystąpiliśmy o wykaz pracowników przychodni.  
 – Dlaczego?  
 Lena zagryzła wargę, zastanawiając się, w jaki sposób odpowiedzieć na pytanie, nie dokładając tej kobiecie zmartwień.  
 – Pani przychodnia okazuje się punktem łączącym zaginione dzieci – odparła.  
 Grabowska zamrugała kilkakrotnie.  
 – Przychodnia? – powtórzyła z niedowierzaniem.  
 – Dwoje dzieci tam się leczyło. Również pani córka tam bywała, prawda?  
 – Tak. Czasem ją zabierałam.  
 – Proszę się zastanowić, czy któryś z pracowników mógłby... mógłby zrobić dzieciom krzywdę?  
 – Skądże!  
 – Czy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy przyszedł do pracy ktoś nowy?  
 – Dwoje lekarzy i ochroniarz.  
 – Ochroniarz?  
 – Zatrudniliśmy człowieka, który pilnuje budynku i zajmuje się terenem wokół przychodni. Zamiatą liście i tak dalej.  
 – Jak się nazywa?  
 Grabowska zgasiła papierosa.  
 – Romek... Nie pamiętam nazwiska. Zwracałam się do niego „panie Romku”. Na pewno w kadrach są jego dokumenty.  
 – Czy był karany?  
 – Nie! Nie zatrudniamy byłych więźniów!  
 Lena podrapała się w skroń.  
 – Czy ten człowiek wykazywał nadmierne zainteresowanie dziećmi?  
 – Nie, był miły. Lubił dzieci i miał do nich dobre podejście.  
 – Co to znaczy?  
 – Potrafił je rozśmieszyć. – Dominika przytknęła dłoń do rozchylonych ust, jakby dopiero teraz dotarło do niej, co to oznacza. – Mam dużo spraw na głowie. Proszę porozmawiać z Kasią Stewską. To ona u nas odpowiadała za rekrutację. Na pewno poda państwu adres tego człowieka.  
 Rudnicka wstała w chwili, gdy zadzwonił jej telefon. Wyjęła komórkę z kieszeni.  
 – Tak?  
 – Mam trafienie – powiedziała Natalia.  
 – Mów.  
 – Dostałam listę pracowników i jeden człowiek idealnie pasuje na naszego sprawcę.  
 – Pan Roman?  
 – Skąd wiesz?  
 – Właśnie rozmawiałam z Dominiką Grabowską.  
 – Roman Paczutkowski to były nauczyciel w szkole podstawowej. Odsiadywał wyrok za pedofilię. Wysłałam ci jego adres.

## 17

Komisarz Rudnicka poczuła, jak ktoś niechcący trąca ją w żebro. Dziennikarze tłoczyli się przy głównym wejściu do komendy przy Lutomińskiej. Sprawa zaginięcia Antosi Grabowskiej trafiła na pierwsze strony ogólnopolskich gazet i nagłówki serwisów internetowych. Zdjęcie siedmioletki pojawiała w kanałach informacyjnych we wszystkich stacjach telewizyjnych. Zadaniem komisarz było odnalezienie dziewczynki. Starła się nie śledzić doniesień prasowych, ale siłą rzeczy część docierała również do niej. Ludzie się niecierpliwi. Oczekiwano rezultatów. Wszyscy czekali, aż policja złapie porywacza dzieci, a mieszkańcy Łodzi odzyskają poczucie bezpieczeństwa.

Rudnicka przez chwilę obserwowała konferencję z udziałem policyjnego rzecznika, a potem wróciła do komendy, kartą magnetyczną otworzyła drzwi i odetchnęła z ulgą. W głowie szumiały jej pytania wykrzykiwane przez reporterów.

– Najchętniej rozszarpaliby nas na kawałki.  
 Rudnicka obróciła głowę. Iwan stał oparty o ścianę. W prawej ręce trzymał papierowy kubek kawy z automatu.  
 – Dziwisz im się? – zapytała. Podeszła do blaszanego pudła i nacisnęła odpowiedni przycisk. Automat zabrzączał, wydając czarną kawę z cukrem. – Śledztwo trwa zbyt długo. Ludzie boją się o własne dzieci.  
 Iwan przekrzywił głowę, jakby uznał słowa Leny za przytyk.  
 – Ale na szczęście nasze miasto ma wspaniałą komisarz Rudnicką.

– Daruj sobie.

Upił łyk kawy i uśmiechnął się krzywo.

– Wiele o tobie słyszałem – powiedział. – Wszystko, co mówili, okazało się prawdą.

Odwróciła się i skrzyżowała ramiona.

– A co takiego słyszałeś, hm?

– Mówi się, że jesteś najlepsza. Wątpiłem, że podołasz tej sprawie. Wydawało mi się to niemożliwe.

– Opuść. Nie mam ochoty na tego typu rozmowy.

– Dlaczego? Nie lubisz komplementów?

Rudnicka zaśmiała się cicho.

– Nie lubię zbędnego gładzenia.

Automat zadzwieczał. Wzięła do ręki kubek z napisem „Miłego dnia” i ruszyła schodami na piętro. Iwan szedł tuż za nią.

– Paczutkowskiego nie było w mieszkaniu – powiedział.

– Wiem.

– Jego żona nie ma pojęcia, gdzie mógłby być.

Lena się nie odezwała. Wiedziała, że policjanci nie zastali Romana Paczutkowskiego w domu. Rozmawiała z Tymonem, który pojechał do jego mieszkania.

– Gdzie on może być? – zastanawiał się Szewko.

– Dorwę go.

Prychnął lekceważąco. Gdyby tylko Lena wiedziała, że w zachowaniu Iwana kryje się drugie dno... Czy została urażona męska duma Szewki? A może policyjna ambicja? Iwan i Tymon przez kilka miesięcy nie zdołali wpaść na trop sprawcy. Rudnicka i Wolski patrzyli na zaginięcia dzieci z dystansu, a co za tym idzie, widzieli znacznie więcej niż ich poprzednicy, którzy od miesięcy rozkładali na czynniki pierwsze każdy szczegół.

Rudnicka pchnęła drzwi do pokoju i usiadła na krześle. Siedzący za biurkiem Wolski obrzucił ją zaniepokojonym spojrzeniem. Położył dłonie na blacie.

– Wszystko się pieprzy – powiedział. – Cholera. Myślałem, że mamy tego sukinsyna.

– Też tak sądziłam.

– Jeśli żona okaże się na tyle głupia i poinformuje Paczutkowskiego, że go szukamy, możemy mieć problem.

– Znajdziemy go – odparła Rudnicka, lecz bez pewności w głosie. Napiła się kawy i zapatrzyła się na parę ulatującą z kubka. – Facet nie może być tak cwany. Wciąż nam umyka.

Wolski pokiwał głową.

– Chodźmy – odezwał się. – Mieczkowski na nas czeka. Może uda się coś z niego wyciągnąć.

Lena nie ruszyła się z miejsca. Dopiła kawę.

– Idziesz? – zapytał.

– Tak, tak.

Podniosła się z ociąganiem. Dopadło ją zniechęcenie. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że musi liczyć się z tym, że nigdy nie odnajdą zaginionych dzieci. A ona zawiedzie kolejny raz.

W milczeniu przeszli korytarzem. Przed wejściem do pokoju przesłuchań położyła dłoń na klamce i spojrzała na Wolskiego. Podeszedł bliżej i położył rękę na jej przedramieniu. Przez krótką chwilę trwali w tej pozycji, a potem pchnęła drzwi.

Arkadiusz Mieczkowski rozcierał nadgarstki, z których przed chwilą zdjęto mu kajdanki.

– Dzień dobry, panie Mieczkowski – rzuciła Rudnicka. – Jak mija dzień?

– Cudownie.

– Cieszę się.

– Chcę złożyć skargę.

– Mhm.

– Na tamtego gliniarza.

– Którego?

– Agresywnego przystojniaczka.

– Nie ma sprawy.

– Teraz. Chciałbym zrobić to teraz.

– Teraz mamy na głowie inne sprawy, panie Mieczkowski.

Twarz miał zaczerwienioną, strupy na czole i rozbity nos. Rudnicka nie miałaby nic przeciwko temu, żeby Iwan został pociągnięty do odpowiedzialności.

– Złoży pan skargę po naszej rozmowie, dobrze? – zaproponowała.

Mężczyzna się zastanowił.

– Niech będzie – odparł niechętnie.

Wolski usiadł obok Rudnickiej.

– Mam do pana parę pytań – powiedział.

– Nie mam nic wspólnego z tymi dziećmi.

– Wiem.

Odpowiedź zaskoczyła mężczyznę. Odchylił się na oparcie i z uwagą zerknął na siedzących przed nim policjantów. Spodziewał się, że kolejny raz będą chcieli wymusić na nim przyznanie się do winy.

Marcel wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

– Zapali pan? – zapytał.

Mieczkowski niepewnie kiwnął głową. Pozostawał nieufny, lecz w jego oczach pojawiła się nadzieja. Wolski wyciągnął z paczki jednego papierosa i podał mężczyźnie. Po chwili przysunął w jego stronę zapalniczkę. Mieczkowski zaciągnął się zachłannie. Wyraźnie się uspokoił. Wydmuchał dym i odetchnął głęboko.

– Możemy zacząć? – zapytała Lena. Mieczkowski rozłożył ręce. – Siedziałeś w więzieniu. To specyficzne miejsce, prawda?

– Nie da się ukryć. Wolałbym tam nie wracać.

– Domyślam się.

– Oskarżacie mnie o porwania dzieci, ale nie zrobiłbym tego. Nigdy więcej nie chciałbym siedzieć w pierdłu. To były najgorsze lata mojego życia.

– Ale poznałeś tam paru znajomych?

– Znajomych? Sądzi pani, że ta banda kryminalistów to moi znajomi? – prychnął lekceważąco.

– Poznałeś ich, prawda?

– Paru popaprańców.

– Za co siedzieli?

Papierosowy dym krążył nad ich głowami.

Mieczkowski wzruszył ramionami. To jasne, że wszyscy siedzieli za niewinność.

– Okej, spróbuję inaczej. – Rudnicka odnalazła w telefonie zdjęcie, a potem podsunęła Mieczkowskiemu. – Znasz go, prawda?

– Jasne.

– Kto to?

– Romuś Paczutek.

– Roman Paczutkowski.

– No.

Lena schowała telefon. Znali się bardzo dobrze. Natalia dowiedziała się, że przez krótki czas dzielili jedną celę. Z pewnością nie brakowało im tematów do rozmów, szczególnie że Paczutkowski odsiadywał wyrok za pedofilię.

Nie powinni byli trafić do jednej celi, ale przeludnienie w zakładach karnych miało smutne konsekwencje. Z pewnością ktoś za to odpowie, ale to już nie był problem Leny Rudnickiej.

– Wiesz, za co siedział? – zapytała.

– Tak.

– Za co?

– Lubił podotykać uczniów.

– Powiedział ci o tym?

– Taaak... Miał lepkie rączki.

– Był nauczycielem wychowania fizycznego.

– Obmacał parę dzieciaków, ale nic złego im nie zrobił.

Paczutkowski molestował siedmioletnie i ośmioletnie dzieci. Dotykał ich, kiedy przebierały się w szatni. Zostawał dłużej po lekcjach, by przyłapać uczniów, kiedy przebierali się po treningu, a szkoła była pusta.

– Twoim zdaniem nie powinien zostać skazany? – zapytał Wolski.

– Nie no.

– Czyli?

– Chyba powinien. Sam nie wiem. To takie zabawy były tylko.

Marcel odchylił się na oparcie i skrzyżował ramiona.

– Kiedy Roman wyszedł na wolność? – zapytał.

– Jakiś rok przede mną.

– Widzieliście się poza więzieniem?

– Raz.

– Opowiedz o tym.

Mieczkowski zgasił papierosa i zwiesił ramiona.

– Przyszedł do mnie z flaszką. Chciał pogadać, ale najpierw nie wpuściłem go do domu. Gdyby matka się dowiedziała, że spotykam się z kumplami z więzienia, miałbym przerąbane. Nie chciałem jej denerwować, ale Romuś naciskał, więc w końcu poszliśmy do garażu. Wypiliśmy, trochę pogadaliśmy.

– O czym?

– O życiu na wolności. Mówił, że cały czas myśli o dzieciach i o tym, że chciałby je dotykać. Ale bał się kolejnej odsiadki. Za nic nie chciał wracać do pierdła.

Jeśli Paczutkowski rzeczywiście porwał dzieci, był ostrożniejszy niż za pierwszym razem. Za to by wylądował za kratkami na znacznie dłużej, a jeśli wierzyć Mieczkowskiemu, za wszelką cenę chciał tego uniknąć. Wpadł więc na

pomysł, który w teorii był planem idealnym. Postanowił porwać dziecko z ulicy i wykorzystać z dala od ciekawskich oczu nauczycieli i innych uczniów.

Ale co dalej?

Nie mógłby wyrzucić dziecka na ulicę, bo prędzej czy później ktoś by je znalazł, powiadomiłby policję, a dziecko rozpoznaloby twarz sprawcy. Z perspektywy Paczutkowskiego najlepszym rozwiązaniem byłoby pozbycie się świadka.

– To on je porywał? – zapytał Mieczkowski.

– Twoim zdaniem byłby do tego zdolny? – zapytała Lena.

– To szaleniec.

– Czyli mam rozumieć, że tak?

– Był napalony na dzieci. Jeśli on je porywał, możecie być pewni, że nie poprzestał tylko na dotykaniu. Ale co z nimi robił? Gdzie je trzymał? Przecież ma żonę... Podobno nie wierzyła, że on mógłby krzywdzić dzieci. Wmówił jej, że jacyś rodzice go wrobili i kazali dziecku powiedzieć, że zachowywał się niestosownie. Jej zdaniem został niesłusznie skazany.

– Twoja matka też uważa, że jesteś niewinny.

– Ze mną jest inaczej. Ja naprawdę nic nie zrobiłem.

– Jasne.

– Tylko oglądałem. Wiem, że to złe, ale nie zrobiłem nikomu krzywdy. Romuś to zbrojeniec. Trzeba go leczyć. Sam z tym nie wygra.

– Miał terapię w więzieniu.

Mieczkowski uśmiechnął się z ironią.

– To prowizorka – odparł. – Ważne, żeby wszystko zgadzało się w papierach. Romuś potrzebuje prawdziwego leczenia. On... On się pogubił. Skąd wiecie, że porwał dzieci?

– Znalazł pracę w przychodni pediatrycznej. Tam je typował, potem śledził.

– To ma sens.

– Uprowadził córkę lekarki.

– Przykro mi.

– Próbował cię zrobić.

Mieczkowski uniósł brwi, jakby nie zrozumiał.

– Masz uraz lewej nogi – wyjaśniła Lena. – Widziałeś nagranie, prawda?

– Mówiłem, że to nie ja na nim jestem.

– Właśnie. Paczutkowski utykał, żeby skierować podejrzenia na ciebie. A my szukaliśmy kogoś, kto wyszedł na wolność niedługo przed pierwszym porwaniem. Nie wiemy, czy celowo czekał na twoje wyjście, czy po waszym spotkaniu wpadł mu do głowy ten pomysł, ale fakt jest taki, że facet próbował cię zrobić.

– I prawie mu się udało – dorzucił Wolski.

– Wiesz, gdzie możemy go znaleźć?

Mieczkowski pokręcił głową.

– Nie znamy się aż tak dobrze.

– Zastanów się. Policjanci byli u niego w mieszkaniu, ale go nie zastali. Facet przepadł jak kamień w wodę.

– Jego żona nie wie, gdzie jest?

– Może wie, ale nie chce nam powiedzieć.

– Pewnie tak. Ona bardzo go kocha.

Lena na końcu języka miała pytanie, jak można kochać zwyrodnialca, ale w porę się powstrzymała. Mieczkowski wydawał się skory do rozmowy. Nie chciała stracić szansy na wyciągnięcie od niego istotnych informacji. Wyraźnie poprawił mu się humor na wieść, że już nie jest głównym podejrzanym w sprawie zaginięcia dzieci.

– Kiedyś wspominał o domu swojego brata – powiedział.

– Wiesz coś więcej?

– Brat wyjechał do pracy w Norwegii i dał Romusiowi klucze, żeby czasem do niego zaglądał. To gdzieś pod Łodzią, ale nie znam adresu. Zapytajcie jego żonę. Przecież musi wiedzieć, gdzie mieszka szwagier, prawda?

Lena spojrzała na Wolskiego. Skinął głową i wyszedł z pokoju.

W ciasnym dwupokojowym mieszkaniu Izabeli Paczutkowskiej unosiła się silna woń orientalnych przypraw. Wszystkie okna były szczelnie zamknięte. Kobieta poprowadziła policjantów do pokoju dziennego. Tymon zauważył z korytarza, że na kuchni stoi patelnia z solidną porcją jedzenia co najmniej dla dwóch osób.

Pacutkowska dobiegała pięćdziesiątki. Miała nadwagę, spięte w kucyk włosy i przyjazną piegową twarz. Uśmiechała się do policjantów, ale jej uśmiech był wymuszony. Zasłaniała dłonią usta, jakby chciała coś ukryć.

Pokój dzienny był wąski i zagracony. Półki niemodnej meblościanki ugięły się pod ciężarem szkatulek, figurek i gazet, stosów krzyżówek i sudoku. Książki stojące na najwyższej półce miały przetarte grzbiety, a ustawione obok zdjęcia popękane ramki. Na środku pokoju stał niski stolik, a przy nim kanapa przykryta kocem. Policjanci spojrzeli na kartonowe pudła pod oknem.

Kobieta podążyła za ich wzrokiem.

– Planujemy mały remont – wyjaśniła. – Wyrzucam niepotrzebne rzeczy. Mieszkamy tutaj z mężem ponad piętnaście lat. Przez ten czas nagromadziliśmy mnóstwo szpargałów.

– Czy mąż kontaktował się z panią? – zapytał Iwan.

Tymon spojrzał na niego z wyrzutem. Przed wejściem do mieszkania ustalili, że nie będą naciskać. Nie chciał, by się wystraszyła i uznała policjantów za intruzów. Był zdania, że jeśli zdobędą jej zaufanie, Pacutkowska chętniej opowie im o mężu.

– Nie – odparła.

– Dzwoniła pani do niego?

– Nie.

Tymon odchrząknął.

– Zdaje sobie pani sprawę, o co podejrzewamy pani męża? – zapytał.

– On nic złego nie zrobił.

– Pani Izabelo...

– Wiem, że był w więzieniu, ale on się zmienił. Naprawdę. Stał się innym człowiekiem.

Dlaczego nadal wątpiła w winę męża? Z miłości? A może po prostu chciała wierzyć, że poślubiła dobrego człowieka?

– Macie państwo dzieci? – zapytał Tymon.

Kobieta podniosła na niego smutny wzrok.

– Syna. Jest dorosły i nie mieszka już z nami.

W policyjnych aktach, które przeglądali, były między innymi zeznania żony Pacutkowskiego, która twierdziła, że mąż nigdy nie zrobił krzywdy ich dziecku.

Tymon zapytał o to po raz kolejny.

– Romek nigdy nie zrobiłby krzywdy naszemu dziecku – zapewniała. – Nigdy.

– A innym dzieciom?

– To człowiek o złotym sercu. Wszystkim by nieba przychylił. Nikomu pomocy nie odmówił.

– Był nauczycielem. Wykorzystywał swoją pozycję, by molestować dzieci w szatni.

– Bzdury!

– Pani mąż został skazany.

– Była tam taka jedna. Grochowska się nazywała, wielka pani z dobrze płatną pracą i bogatym mężem. Ona rozpętała tę burzę, a potem wszyscy poszli za nią.

– Jacy wszyscy?

– Inni rodzice.

– A może było tak, że córka pani Grochowskiej jako pierwsza odważyła się powiedzieć prawdę. A za nią poszła reszta dzieciaków. Wcześniej bali się powiedzieć, że ich nauczyciel je molestuje. Dzieci się wstydzą. Boją się odezwać. Czasem wystarczy, by jedno zaczęło mówić.

– Grochowska wszystkich podburzyła przeciwko Romkowi.

– Naprawdę tak pani sądzi?

W postawie kobiety pojawiła się wątpliwość.

– Romek to dobry mąż i ojciec – powiedziała.

– Pani mąż poznał w więzieniu Arkadiusza Mieczkowskiego – odezwał się Iwan. – Słyszała pani kiedyś to nazwisko? Mąż wspominał o dawnym koledze?

– Nie utrzymywał kontaktów z nikim w więzieniu. Znalazł dobrą pracę w przychodni jako ochroniarz. Siostra mu załatwiła. Ona pracuje w biurze przychodni i powiedziała, że nie będzie problemu. Nie zatrudniali skazańców, ale Roman długo szukał pracy. Siostra obiecała, że jakoś to załatwi.

Najwyraźniej siostra Pacutkowskiego zataiła przeszłość brata.

– Mieczkowski twierdzi, że Roman odwiedził go w domu.

– Mąż nic mi nie mówił.

Nic dziwnego, pomyślał Iwan i skrzyżował ramiona na piersi.

– Chce pani wiedzieć, co myślę o pani mężu? – zapytał.

– Proszę.

– Roman i Arkadiusz poznają się w więzieniu. Od razu łąpią wspólny kontakt i trzymają się razem, ponieważ pedofile w zakładach karnych nie mają łatwego życia. Roman wychodzi z więzienia wcześniej. Wie, kiedy kończy odsiadkę kumpel, i na niego czeka. Kiedy Arkadiusz wychodzi, Roman wdraża w życie swój plan. Porywa kilkuletnie dzieci i podsuwa policji trop, że sprawcą jest Mieczkowski, który utyka na lewą nogę. Roman jest

przebiegły. Wie, że policja prędzej czy później powiąże wyjście Arkadiusza z więzienia i porwania dzieci. Tym sposobem pani mąż uniknie kary.

– Och, Romek nigdy by czegoś takiego nie wymyślił.

– Gdzie pani mąż był wczoraj pomiędzy dwunastą a trzynastą?

Alibi. Paczutkowska mogła zapewnić mężowi alibi. Gdyby byli w restauracji albo w kinie, można byłoby to sprawdzić na kamerach monitoringu. Świadkowie by potwierdzili. Gdyby Paczutkowska powiedziała, że była z mężem w domu, alibi miałyby znacznie mniejszą wagę. Ale mogłaby spróbować zapewnić mężowi bezpieczeństwo. Jeśli naprawdę wierzyła w jego niewinność.

Izabela Paczutkowska wybrała inne rozwiązanie. Podeszła do okna i wyjrzała przez szybę.

– Nie wiem – odparła.

– A pani gdzie była?

– W domu.

– A zatem mąż przebywał poza domem.

– Wyszedł około dziesiątej.

– O której wrócił?

– Pod wieczór. Chwilę po siódmej.

Czyli miał wystarczająco czasu, by obserwować dziewczynkę, porwać ją, przewieźć w inne miejsce, a potem wrócić do mieszkania.

– Macie samochód? – zapytał Iwan.

– Starego opła.

– Jakiego koloru?

– Czarnego.

Tymon i Iwan wymienili spojrzenia. W dniu zaginięcia Amelii Gadomskiej sprzedawczyni w sklepie widziała czarnego opła.

– Gdzie teraz jest pani mąż? – zapytał Milewski.

– Nie wiem.

– Macie państwo jakiś domek na wsi albo działkę?

– Kiedyś chcieliśmy kupić domek letniskowy w Aleksandrowie Łódzkim, ale wiecznie brakowało pieniędzy. Wystarczy nam jeden kredyt, który wzięliśmy dla syna.

Milewski potarł podbródek.

– Podobno pani mąż opiekuje się domem brata?

– A tak.

– Wie pani, gdzie jest ten dom?

– W Kurowicach. To niedaleko.

– Zna pani adres?

Paczutkowska dopiero po chwili uświadomiła sobie, do czego zmierzają policjanci.

## 19

Bartosz wsunął złożone w kostkę ubrania do torby podróżnej. Usiadł na łóżku i ukrył twarz w dłoniach. Co dalej? Popęłnił błąd, a teraz stracił wszystko, na czym mu zależało. Antosia, jego ukochana córeczka, zaginęła, a żona nie chciała go znać. Był na siebie wściekły. Co on sobie myślał? Uświadomił sobie, że rodzina jest dla niego najważniejsza, ale było za późno, by mógł uratować swoje małżeństwo. Nie miał dokąd pójść. Rodzice domyślą się, dlaczego Dominika wyrzuciła go z domu, a Bartosz nie miał dość odwagi, by ponieść konsekwencje swoich błędów. Wstydził się. Dominika nie powinna dowiedzieć się o jego romansie w taki sposób. Był naiwny, sądząc, że zakończenie znajomości z Kamilą sprawi, że problemy znikną. Przez wiele lat był w domu tylko gościem. Odbudowanie relacji z żoną wymagało czasu, a dzisiejszego dnia Bartosz stracił ostatnią szansę.

W kieszeni spodni zawibrował telefon. Bartosz nawet nie spojrzął na ekran. Matka dzwoniła do niego już kilkanaście razy. Dominika z pewnością poinformowała teściową o występku jej syna. Kobiety żyły w dobrych relacjach, co zawsze cieszyło Bartosza, ale w tym momencie był pewien, że rodzice staną po stronie zdradzonej synowej. Kochali ją jak córkę. Powtarzali, że Bartosz miał wielkie szczęście, że spotkał na swojej drodze mądrą, piękną i zaradną Dominikę.

Podniósł głowę i zdał sobie sprawę, że płacze. Przetarł ramieniem oczy, pociągając nosem. Wstał, wrzucił do torby kilka przypadkowych T-shirtów i zasunął suwak. Poczul za plecami obecność żony. Dominika stała w progu sypialni. Milczała. Wolałby, żeby urządziła mu awanturę. Krzyczała i obrzucała go wyzwiskami. Przeciagające się milczenie było nie do zniesienia.



– Kiedy to wszystko się skończy, załatwimy rozwód i podział majątku – odezwała się bezbarwnym głosem. – Mam nadzieję, że nie będziesz robił problemów. Antosia zostanie ze mną, ale będziesz mógł się widywać z nią, kiedy tylko zechcesz.

Bartosz chwycił torbę podróżną, ale po chwili bezradnie opuścił ją na ziemię.

– Wierzysz, że się odnajdzie? – zapytał.

– Jestem tego pewna.

– Powinniśmy być w tym razem.

Dominika zacisnęła wargi.

– Pospiesz się – rzuciła. – I oddaj mi klucze do mieszkania.

– Porozmawiaj ze mną.

Odwrociła się, żeby odejść, ale Bartosz złapał ją za ramię. Zacisnął palce.

– Puść mnie! – warknęła. – To boli.

– Przepraszam.

Ze złością wyrwała ramię. Patrzyła na męża z nienawiścią.

– Wszystko ci wyjaśnię – szepnęła. – Tylko daj mi szansę.

– Porozmawiamy w sądzie.

– To wszystko... – Bartoszowi zaszkliły się oczy. – ...mnie przerasta. Antosia... Kamila... Teraz własna żona wyrzuca mnie z domu. Nie mam już siły...

Dominika oddychała nierówno. Wiedziała, że kłótnie do niczego nie prowadzą. Oboje byli załamani zaginięciem Antosi. Chciała przeprowadzić rozstanie pokojowo. Jednak nie wytrzymała.

– Ty nie masz siły?! – syknęła, podchodząc bliżej. – Ty, kurwa, mówisz mi, że nie masz siły?! Jesteś żaloszny. – Wbiła wskazujący palec w jego pierś. – Nienawidzę cię, rozumiesz? Nienawidzę cię za to, co zrobiłeś! Pieprzyłeś się z kochanką w podrzędnym hotelu, zamiast być ze swoją rodziną. I ty masz czelność mówić mi, że masz dosyć?!

– Nie w podrzędnym...

– Zamknij się wreszcie! – Dominika zmrugała oczy ze złości. – Jeśli sądziłeś, że po tym wszystkim znowu będziemy szczęśliwą rodziną, byłeś w błędzie. A teraz zabieraj swoje graty i wynoś się stąd.

– Nadal cię kocham.

Dominika wybuchnęła głośnym, niekontrolowanym śmiechem. Z trudem udało się jej uspokoić. Rozbawiona przeczesала dłonią włosy.

– Mamy córkę – nie poddawał się. – Naprawdę chcesz przekreślić naszą rodzinę?

– To ty nas przekreśliłeś.

Bartosz zdał sobie sprawę, że jest na przegranej pozycji. Jeśli istnieje jakokolwiek szansa na uratowanie ich małżeństwa, powinien poczekać, aż żona ochłonie. Sięgnął po torbę i zarzucił ją sobie na ramię.

– Skupmy się na odnalezieniu Antosi – powiedział. – A potem załatwimy inne sprawy.

– Oddaj klucze.

Bartosz zaważał się, a potem wyjął pęk kluczy. Odpiął dwa – jeden do klatki schodowej, a drugi do zamka w drzwiach wejściowych. Podał je żonie.

– Nie skreślaj nas, proszę – powiedział, minął żonę i wyszedł z mieszkania.

Kiedy Dominika usłyszała trzaśnięcie drzwi, rozplakała się.

## 20

Dzień powoli ustępował nocy. Niebo poszarzało. Po obu stronach drogi rozciągał się las. Drzewa rosły gęsto. Ich gałęzie pochylały się nad asfaltem i z głuchym dźwiękiem uderzały w maskę samochodu. W szum targanego wiatrem lasu wdzierał się pomruk silnika. Wąska asfaltowa droga niespodziewanie przeszła w nierówny dukt. Samochód podskoczył się na nierównościach. Las się przerzedził, lecz w zapadającym zmroku widoczność ograniczała się do kilku metrów.

Wolski zredukował bieg.

– Nie zwalniam – poleciła Rudnicka. Naczelnik zmusił ją do założenia kulo odpornej kamizelki, która uwierała pod pachami. Lena zakłęła pod nosem i poprawiła zapięcie.

Miała wrażenie, że cofnęła się w przeszłość do czasów, gdy razem jeździli na akcje. Nie sądziła, że jeszcze kiedykolwiek się spotkają i będą współpracować. Spojrzała na skupioną twarz Wolskiego.

– Co jest? – zapytał.

Lena posłała mu pytające spojrzenie.

– Przyglądasz mi się – wyjaśnił.

– Trochę.

– O czym myślisz?

Zawahała się. To nie był najlepszy moment, aby oznajmić Wolskiemu, że kilkanaście kilometrów stąd jego córka najprawdopodobniej kończy jeść kolację. I tęskni za matką i ojcem, którego nigdy nie poznała. Informacja wytrąciłaby go z równowagi. Powinien skupić się na celu. Lena nie chciała, aby popełnił tragiczny w skutkach błąd.

– Jak za dawnych czasów, co? – zagadnął.

– Widzę, że komuś dopisuje humor.

– Będzie jeszcze lepszy, kiedy założę kajdanki temu skurwielowi.

Lena zaśmiała się cicho.

– Zaraz dotrzemy na miejsce – powiedziała. – Bądź ostrożny.

– Nie ucieknie nam.

– Ale na pewno spróbuje.

Dukt zamienił się w polną ścieżkę. Samochód z trudem pokonywał uskoki i dziury. Las ustąpił pogrążonym w ciemności polom uprawnym.

– To tutaj, za zakrętem. – Lena zerknęła na mapę. – Podjedź jeszcze kawałek.

Ścieżka była tak wąska, że dwa samochody nie dałyby rady się minąć. W oddali zobaczyli domek z jasną elewacją i czerwonym dachem. W dwóch oknach paliło się światło.

– Cholera – mruknęła Rudnicka.

Krew w jej żyłach przyspieszyła. Lena poczuła silny niepokój. Obiecała rodzicom, że odnajdzie ich dzieci, ale co, jeśli nie uda jej się dotrzymać danego słowa? Nagle straciła całą pewność siebie.

Wolski zatrzymał samochód. Stał po prawej stronie. Wóz jadący za nimi zaparkował po lewej. Z dwóch kolejnych wyskoczyli policjanci, zanim kierowcy zdążyli się zatrzymać. Zadanie umundurowanych gliniarzy polegało na zapewnieniu ekipie wsparcia.

Działka była ogrodzona drewnianym płotem, wzdłuż którego rosły metrowe tuje. Gospodarz zasadził je zapewne po to, żeby odgradzić się od wścibskich oczu sąsiadów, choć wokół nie było żadnych domów, a tuje nie zdążyły urosnąć na tyle, by spełnić swoje zadanie.

Lena spojrzała na Marcela. Wiedziała, że może liczyć na jego wsparcie. Cokolwiek by się działo, zawsze zapewniał jej poczucie bezpieczeństwa.

– Idziemy? – zapytała.

Iwan i Tymon stanęli tuż za nimi.

– Dorwiemy skurwiela – rzucił Tymon.

Wolski zachichotał.

Ruszyli.

Pchnęli furtkę. Ostrożnie stąpali po wysypanej drobnymi kamieniami ścieżce. Dom wyglądał na nowy. Lena oceeniła go na jakieś osiemdziesiąt metrów kwadratowych. Rzuciła okiem na ozdobne okna ze szprosami i werandę. Rozłożony leżak tarasował wejście. Wolski delikatnie go odsunął i puścił kolegów przodem.

Lena trzymała się z tyłu. Dłonie zaciskała na rękojeści pistoletu. Pozostawała czujna, gotowa w każdej chwili unieść ręce na wysokość ramion i oddać strzał.

Świeże powietrze pachniało lasem i chłodem. Cisza niemal kłuła w uszy. Rudnicka usiłowała stłumić poczucie niepokoju. Rozejrzała się dookoła, ale na podwórku nie odnotowała żadnego ruchu.

Dopiero po chwili zmrzyła oczy i dotarło do niej, że ktoś ich obserwuje. Cofnęła się, dając znak Wolskiemu, by działali zgodnie z planem. Wycofała się na ścieżkę prowadzącą za dom. Szła powoli i ostrożnie. Dłonie miała wilgotne z nerwów. Przełożyła pistolet do prawej ręki, a lewą wytarła o podnie.

To wystarczyło.

Otrzymała silny cios w plecy. Zgięła się wpół, lecz zanim zdążyła się wyprostować, ktoś kopnął ją kolanem w twarz. Poczowała w ustach metaliczny posmak krwi. Dotknęła dłonią bolącego miejsca w okolicach skroni i na palcach zobaczyła krew. Kolejne uderzenie nadeszło niespodziewanie. Odzyskała zdolność logicznego myślenia, dopiero gdy wypuściła z rąk pistolet.

W oddali dostrzegła oddalające się plecy mężczyzny. Krążąca we krwi adrenalina pozwoliła jej zapomnieć o bólu. Poderwała się z ziemi i ruszyła za uciekinierem. Biegł w stronę lasu. Nie wiedziała, czy to Paczutkowski, ale zakładała, że tak. Poruszał się szybko, a jego ruchy były płynne. Był sprawny fizycznie i z pewnością nie miał urazu nogi. Pchnął wychodzącą do lasu furtkę.

Nie mogła pochwalić się tak dobrą kondycją. Plecy mężczyzny oddalały się coraz bardziej. Już po przebiegnięciu krótkiego odcinka ledwo łąpała oddech, a facet zdawał się dopiero rozkręcać. Z łatwością pokonywał wystające konary. Rudnicka czuła, że porusza się coraz wolniej. Starła się nie stracić go z oczu. Głowę trzymała wysoko, przez co nie zauważyła wystającego korzenia. Zahaczyła nogą i runęła na ziemię. Aby zamortyzować upadek, wystawiła ręce i poczuła, że prawy nadgarstek wygina się pod nienaturalnym kątem. Przeszywający ból nadszedł kilka sekund później.

Zobaczyła, że mija ją Iwan Szewko. Przeskoczył nad korzeniem i przemknął obok. Wyprostowane plecy i głowa uniesiona wysoko, równomiernie pracujące ręce.

Lena z trudem się podźwignęła. Na twarzy miała resztki wilgotnej ziemi. Iwan szybko zwiększył dystans i zniknął za zakrętem. Uciekający mężczyzna zboczył ze ścieżki i wbiegł między drzewa.

Ruszyła za nimi. Słyszała trzask łamanych gałęzi. Byli niedaleko. W oddali dostrzegła Iwana. Kiedy od Paczutkowskiego dzieliło go nie więcej niż sto metrów, niespodziewanie Iwan się zatrzymał. Lena chciała krzyknąć, lecz głos uwiązł jej w gardle. Pozwolił mężczyźnie uciec. Nie miał pojęcia, że Rudnicka patrzy prosto na niego. Powoli się obrócił. Zauważył ją.

– Wszystko w porządku? – zapytał, lecz Rudnicka nie odpowiedziała.

Zmierzyli się wzrokiem.

– Nie powinnaś tego widzieć – mruknął.

– Też tak sądzę.

Iwan wzruszył ramionami.

– Prawie go mieliśmy – zauważyła Rudnicka.

– Uciekł.

– Czyżby?

– Straciłem go z oczu.

Wiedziała, że kłamie.

– W którą stronę pobiegł? – zapytała.

– Nie znajdziesz go.

Zacisnęła wargi. Zboczyli z głównej ścieżki, więc jeśli Tymon i Marcel wejdą do lasu, będą mieli problem, żeby ich zlokalizować.

Otworzyła i zamknęła dłoń. Byli tutaj tylko we dwoje, a broń Rudnickiej została za domem.

– Dlaczego mu odpuściłeś? – zapytała.

– Zgubiłem go.

Prychnęła.

– Daruj sobie.

– Był szybszy.

– To oficjalna wersja?

Iwan był wysportowanym policjantem. Mężczyzną regularnie trenującym na siłowni, biorącym udział w biegach z przeszkodami i przywiązującym dużą wagę do sprawności fizycznej. Był znacznie szybszy od Leny. I znacznie sprawniejszy od Paczutkowskiego. To niemożliwe, żeby go nie dogonił.

– Radziłbym ci potrenować biegi – odezwał się.

– Może potrenujemy razem?

– Jeśli chcesz.

– Las się przersedza. Nie zgubiłeś go i oboje o tym wiemy.

– To ty go zgubiłaś.

– O czym ty mówisz?

– Zawsze osiągasz to, co sobie zaplanujesz, prawda?

Rudnicka cofnęła się o krok. Trzasnęła gałąź.

– Po trupach do celu – ciągnął. – Nie zważając na konsekwencje. Musisz odnieść sukces, nawet jeśli ktoś miałby zginąć. To cię napędza, myślę się?

– Nie mam pojęcia, do czego zmierzasz. Właśnie uciekł nam podejrzany...

– Tobie uciekł, Leno.

– Szewko, czego ty chcesz? Dlaczego puściłeś go wolno?

Iwan przełożył broń z jednej ręki do drugiej.

– Jesteś taka jak twój ojciec – stwierdził.

Lena poczuła, jakby ktoś przytknął do jej pleców rozżarzony pogrzebacz. Aż się wzdrygnęła.

– Mój ojciec nie żyje – odparła.

– I bardzo dobrze – prychnął. – O jednego skurwysyna mniej. Powinien był zginąć dawno temu. To był zły człowiek. Kiedy cię zobaczyłem, od razu pomyślałem, że jesteście podobni.

– Kim ty jesteś? – zapytała i głośno wypuściła powietrze z płuc. – Nie mam pojęcia, skąd znałeś mojego ojca, ale jeśli chcesz o tym pogadać, to nie jest najlepszy moment.

Rozejrzała się za Tymonem i Marcelem, ale nikt nie nadchodził.

– Pytasz, kim jestem?

Wzdrygnęła się. Była pewna, że nigdy wcześniej nie spotkała Iwana Szewki.

Patrzył na nią z nienawiścią. Miał problem z emocjami, co wyszło na jaw podczas zatrzymania Mieczkowskiego. Muskulaturą i sprawnością fizyczną maskował brak pewności siebie.

– Szewko. Nic nie mówi ci to nazwisko? – Zaśmiał się nerwowo. – Myślałem, że jesteś bystra, ale cię przeceniłem. Wymazałaś moje nazwisko z pamięci, co? Nie warto pamiętać o kimś, kogo skrzywdził twój zasrany ojciec.

Iwan splunął na ziemię.

– Wracajmy – powiedziała Lena.

Zrobiła krok naprzód, ale dźwięk odbezpieczanej broni zatrzymał ją w pół kroku. Iwan poprawił chwyt i wycelował w Lenę.

– Nigdzie nie pójdziesz – oznajmił.  
 – Opuść broń.  
 – Przykro mi, pani komisarz.  
 Pomyślała, że nie zdążyła pożegnać się z córką.  
 – Twój ojciec zabił mojego – warknął Iwan.  
 Pokręciła głową. To niemożliwe.  
 – Pamiętasz, dlaczego twój stary odszedł ze służby? – zapytał. – Wspólnie z partnerem ścigali podejrzanego. Mieli wypadek. Twój ojciec prowadził. I przeżył.  
 – Potem odszedł ze służby.  
 – Mój ojciec nie dostał takiej szansy.  
 – Jesteś... – Lena urwała, kiedy uświadomiła sobie sens słów Iwana. – Nie wiedziałam.  
 – Domyśliłem się.  
 – Dlaczego nie powiedziałaś?  
 – Co by to zmieniło?  
 Z pewnością byłaby ostrożniejsza. I właśnie z tego powodu Szewko nie powiedział jej prawdy. W gruncie rzeczy dawno wymazała z pamięci tamte wydarzenia. Była dzieckiem. Ojciec krótko po odejściu z pracy zaczął pić. Życie ich rodziny się posypało. Seweryn nie poradził sobie z traumą wywołaną stratą partnera. Jeśli Szewko sądził, że nad śmiercią jego ojca wszyscy przeszli do porządku dziennego, to się mylił.  
 – Ale to nie była moja wina – odezwała się.  
 – Jesteś jego córką. I jesteś współwinna.  
 – Nie – zaprzeczyła. – Byłam dzieckiem.  
 – Twój stary zrujnował mi życie. Moja matka się załamała. Koledzy ojca pomagali nam, ale nie trwało to długo. Szybko zapomnieli. Każdy żył własnym życiem, tylko nie my. Zostaliśmy sami. Musiałem dorosnąć i być głową rodziny. Ale nie uratowałem matki. Nałóg i rozpacz ją zabiły. To ja znalazłem jej ciało. Połknęła tabletki, popiła wódką. Niewiele trzeba, żeby odebrać sobie życie.  
 – Dlaczego to zrobiła? Miała ciebie. Miała dla kogo żyć.  
 – Widocznie kochała ojca bardziej niż mnie. Nie poradziła sobie ze stratą.  
 Prawda była taka, że Lena nigdy nie pomyślała o bliskich tamtego funkcjonariusza. Przez całe życie nie przyszło jej do głowy, że Seweryn zniszczył nie tylko swoją, ale również rodzinę swojego partnera. Czy naprawdę upodobniła się do ojca, którego nienawidziła? Parła po trupach przed siebie, nie zważając na konsekwencje?  
 – To ty informowałeś media, prawda? Zdradziłeś nas i nadawałeś do dziennikarzy? – domyśliła się.  
 – Twój sukces nie był mi na rękę.  
 – Puściłeś Paczutkowskiego z zemsty?  
 – Wszystko mi jedno. Zależało mi na tej pracy. Barwicki obiecał mi awans, ale potem zjawiła się ty i wszystko spięrzyłaś. Nie mam już niczego, rozumiesz?  
 – Chryste... Nie wierzę, że to zrobiłeś. Facet zasłużył na karę.  
 Iwan uniósł broń nieco wyżej.  
 – Wiesz... – zaczął. – Tobie zawsze wszystko się układa.  
 – Gównu o mnie wiesz.  
 Zaśmiała się głośno.  
 – Mój ojciec zapłacił za swoje czyny – powiedziała. – I ty też powinienesz.  
 – A ty? Mimo tego, co zrobiłaś, zawsze spadałaś na cztery łapy.  
 Pokręciła głową.  
 – Pieprz się – rzuciła, a potem, nie zważając na konsekwencje, odwróciła się i wróciła na leśną ścieżkę. Czekając na huk wystrzału, ale w lesie panowała cisza.  
 Iwan opuścił pistolet.  
 Po przejściu kilkunastu metrów dostrzegła sylwetkę Tymona.  
 – Uciekł – oznajmiła.

## 21

Rudnicka siedziała na masce radiowozu. Sprawne palce obleczone lateksową rękawiczką przebiegały po kości nadgarstka, a potem kolistymi ruchami przesunęły po śródreżcu. Poczowała kłujący ból przechodzący od paznokci aż do przedramienia.

Odwróciła głowę.

Ratownik medyczny zmierzył ją badawczym spojrzeniem. Rudnicka udawała twardą, ale nadgarstek musiał cholemie ją boleć.

– Trzeba zrobić prześwietlenie – oznajmił. Z torby wyjął płyn, wstrząsnął i bez uprzedzenia ujął głowę komisarz w obie dłonie. Zaskoczona Rudnicka poddała się zabiegowi, lecz po chwili szarpnęła się, a wtedy mocniej zacisnęła palce. Stał krew z jej policzków, a potem spryskał ranę płynem. Krew zdążyła zaschnąć. Lena poczuła lekkie pieczenie.

– Niech mi to pan czymś obwiąże – stęknęła.

– Mhm.

– Bandażem na przykład.

– Jeśli nadgarstek jest złamany, bandaż nie pomoże. – Ponownie dotknął dłoni Rudnickiej. – Chociaż może to tylko skręcenie. Dowiemy się, kiedy wykonamy prześwietlenie. Powinna pani jechać do szpitala.

– Nie mam czasu. Widzi pan, co tutaj się dzieje?

Ratownik mimowolnie spojrzął w stronę domu, wokół którego kręcili się policjanci i ratownicy medyczni.

– Nalegam – powiedział, choć miał świadomość, że stoi na przegranej pozycji. – Rozcięte czoło i skroń szybko się zagoją, ale nadgarstek...

– Obiecuję, że się tym zajmę, kiedy ten koszmar się skończy.

Mężczyzna po namyśle skinął głową. Powinien zawieźć komisarz do szpitala, ale rozumiał jej postawę. Nie mogła opuścić placu boju. Sprawnymi ruchami założył opatrunek usztywniający na nadgarstku i opatrzył rozcięcia na głowie.

– Proszę na siebie uważać – poinstruował ją. – I jak najszybciej zgłosić się do szpitala.

– Tak, tak.

Lena zeskoczyła z maski radiowozu. Gdy dotknęła stopami ziemi, poczuła ból w skroniach. Zachwiała się, ale ratownik w porę przytrzymał ją za ramię.

– No nie wiem, czy powinienem panią wypuścić – mruknął.

– Dam sobie radę.

Wyjęła z kurtki papierosy. Ustami wysunęła jednego, schowała paczkę i sprawną ręką go zapaliła. Zaciągnęła się i wypuściła dym, usiłując uspokoić nerwy. Wokół domu panowało zamieszanie, które tylko z pozoru wydawało się chaotyczne. Przesunęła wzrok na karetki stojące przed werandą, w których siedziała czwórka zaginionych dzieci. Nie miała odwagi do nich podejść. Potrzebowała kilku minut na uspokojenie myśli.

Podszedł Wolski, który wyjął z jej palców papierosa i zaciągnął się kilka razy.

– Jak ręka? – zapytał, oddając jej papierosa.

Podniosła dłoń na wysokość ramienia.

– Nieźle – odparła. – Chyba.

Marcel zmrużył oczy.

– Nie powinnaś jechać do szpitala? – zapytał.

– Pojadę. Później.

Marcel pokręcił głową. W milczeniu obserwowali podwórko.

– Widziałaś je? – zapytał.

– Jeszcze nie. – Wyrzuciła niedopałek. – Kiedy wróciłam z lasu, były już w karetkach. Nie zaglądałam tam. Nie miałam odwagi.

– Uratowałaś te dzieciaki.

Lena posłała mu pośępny uśmiech.

– Ale skurwiel uciekł – odparła. – I to mnie męczy.

– Dzieci żyją. Tylko to się liczy. Wrócą do rodziców.

– Będą miały traumę na całe życie.

– Ale żyją – powtórzył. – To najważniejsze.

Rudnicka odnalazła dzieci żywe. Były zagubione i wystraszone. Ich rodzice byli już w drodze.

Komisarz poczuła złość. Byli tak blisko. Świadomość, że zwyrodnialec zwiął, nie dawała jej spokoju. Kiedy Lena i Iwan gonili Paczutkowskiego, Marcel i Tymon weszli do środka. Dom był zamknięty, więc wyważyli drzwi. Nowocześnie urządzone, składała się z dwóch przestronnych pokoi, łazienki i kuchni. Na półkach i podłodze walały się butelki po alkoholu i pudełka po jedzeniu na wynos. W mniejszym z pokoi zasłony były zaciągnięte, a satynowa pościel wydzielala nieprzyjemny zapach. Na stojącym pod oknem biurku policjanci znaleźli pornograficzne zdjęcia porwanych dzieci. W komputerze, który był wsunięty pod łóżko, zdjęć i obrzydliwych filmów było jeszcze więcej.

Paczutkowski wymyślił sposób na zarobienie pieniędzy. Pedofile byli skłonni słono zapłacić za dziecięcą pornografię. Dzieci przetrzymywał w piwnicy. Związane i pozbawione dostępu do światła dziennego. Karmił je krakersami i chlebem z mielonką. Nie zamierzał ich zabijać, dopóki działalność przynosiła zyski.

Amelia Gadomska była w najgorszym stanie. Na plecach miała siniaki i zadrapania, co kazało sądzić, że stawiała największy opór. Była sprytną dziewczynką. Być może próbowała przechytrzyć oprawcę i uciec. W najlepszej formie była Antosia Grabowska, ale to nic dziwnego, bo przebywała w domu najkrócej. Kiedy zobaczyła policjantów, rozplakała się ze szczęścia i ulgi. Czteroletni Paweł Abramowski milczał i wyglądał na nieobecny. Miał zaczerwienione oczy i zaschniętą na policzku krew. Tępo wpatrywał się w brudną podłogę, obracając w rączkach kamień. Marzył, by pokazać go ojcu. Wiktor Wachowiak, więziony najdłużej, był osłabiony i przeraźliwie chudy. Na nogach miał siniaki, a na dłoniach stare blizny.

Rudnicka przełamała się i podeszła do jednej z karetek. Paweł Abramowski bezwolnie poddawał się zabiegom medyków. Nie płakał. Nie krzyczał. Na widok tego złkniętego i zniszczonego dziecka Lena poczuła, jakby zaraz miało pęknąć jej serce.

Dostrzegła w oddali mundurowego, który uniósł dłoni. Odetchnęła głęboko i podeszła do mężczyzny.

– Szefowo, zaraz będzie pies – oznajmił. – Dorwiemy skurwysyna.

– Okej. – Wsunęła dłonie w kieszenie spodni. – Na piechotę nie mógł odejść daleko.

– Chyba że złapał okazję.

To był jakiś pomysł. Gdyby Paczutkowski doszedł do głównej drogi, mógłby złapać okazję i odjechać w każdym kierunku. Wiedział, że jest poszukiwany przez policję. W jego interesie byłoby znaleźć się jak najdalej od Łodzi.

– Zadzwoń na komendę i powiedz, żeby nadali komunikat w radiu – powiedziała. – Wszystkie stacje w tym kraju powinny mówić o poszukiwanym mężczyźnie. Podajcie rysopis. Był ubrany w dzinsy i granatową kurtkę z kapturem.

– Tak jest.

Nieoznakowany radiowóz przystanął przed otwartą bramą. Zanim kierowca zaciągnął hamulec ręczny, otworzył się tylny drzwi. Zaraz za nim zatrzymał się drugi. Wachowiakowie i Abramowscy wyskoczyli ze środka i pobiegli do karetek.

Na widok rodziców Wiktor Wachowiak zaniósł się histerycznym płaczem. Matka tuliła go do piersi i głaskała po głowie. Ojciec ścisnął go za rękę, szepcząc mu coś do ucha. Spojrzeli na siebie ponad jego głową, szczęśliwi, że syn żyje. Nie wiedzieli, że jeszcze wiele nieprzespanych nocy wywołanych koszmarami Wiktora przed nimi.

Kiedy Paweł Abramowski zobaczył rodziców, nie poruszył się. Siedział skulony, jakby nie miał siły, aby podnieść głowę. Kamila wymieniła kilka słów z lekarzem, który odsunął się na bok, by wpuścić rodziców do karetki. Matka ostrożnie przykucnęła przed synem, przemawiając do niego łagodnym głosem. Chłopiec podniósł głowę i spojrzał najpierw na matkę, a potem na ojca, który usiadł obok i przytulił go mocno. Malec wczepił się w jego ramiona.

Gabrowscy i Gadomscy zjawili się kilka minut później. Antosia wyrwała się ratownikowi medycznemu i pobiegła do rodziców. Ojciec podniósł ją do góry, wyściskał, a potem oddał matce. Całowała ją w czoło, głowę i tuliła do piersi. Wszyscy płakali.

Gadomscy ujrzeli swoją córkę jako ostatni. Amelia siedziała w karetce pogotowia tyłem. Nie widziała zbliżających się rodziców, a kiedy ratownik postukał w jej ramię i zachęcił, by się obróciła, na jej twarzy odmalowało się przerażenie. Dziewczynka nie wierzyła, że to koniec koszmaru. Wydawało jej się, że śni, lecz gdy rodzice podeszli bliżej, uświadomiła sobie, że nie są wytworem jej wyobraźni. Wyskoczyła z karetki i podbiegła do nich.

Rudnicka ze ściśniętym ze wzruszenia gardłem obserwowała szczęście tych rodzin. Pomyślała o swojej córce, która wychowywała się bez ojca. Dotarło do niej, jak wiele odebrała Basi, nie mówiąc Wolskiemu o jej istnieniu.

Poczuła, że Marcel musnął palcami jej dłoni. Nie cofnęła ręki. Stała nieruchomo, a ciepło bijące od niego dawało jej poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Odwróciła głowę, czując łyzy wzbierające w oczach. Wolski mocniej ścisnął jej rękę.

Było za wcześnie na rozmowę z dziećmi o tym, co działo się w tym domu. Muszą ochłonąć. Potrzebują czasu. Dziecięcego psychologa czeka bardzo trudne zadanie, by pomóc im wrócić do normalności.

Na podwórku zebrała się grupa policjantów. Czwarty zespół wyruszał na poszukiwania Romana Paczutkowskiego. Podpalany owczarek niemiecki podskakiwał wokół przewodnika.

– Ruszamy, pani komisarz – oświadczył jeden z policjantów.

Skinęła głową. Wszyscy policjanci w Łodzi i okolicy szukali tego człowieka. Musi się udać, pomyślała.

## 22

Dziennikarka ubrana w lekką kurtkę zdawała relację na żywo sprzed budynku szpitala. Wiatr rozwiewał jej włosy, które bezskutecznie usiłowała wsunąć za ucho. Z uśmiechem przekazywała widzom radosną wiadomość o tym, że sprawa zaginionych dzieci została rozwiązana. Dzięki komisarz Rudnickiej cała czwórka wróciła do swoich rodziców i po niezbędnych badaniach zostaną wypuszczone do domu. Przeżyły koszmar, lecz komisarz Rudnicka odnalazła je żywe. To było najważniejsze.

Lena odwróciła telefon ekranem do dołu. Komórka dzwoniła nieustannie. Dziennikarze prosili o wywiad lub kilka słów komentarza. Przez kilka kolejnych dni temat nie zejdzie z pierwszych stron gazet i serwisów internetowych.

Naczelnik oparł łokcie o blat biurka i złożył dłonie jak do modlitwy.

– Gratuluję – powiedział. – Udało ci się.

– Powiedzmy.

– Zamartwiasz się Paczutkowskim?

– Uhm.

Pokiwał głową. Rozumiał Rudnicką. Jej celem było odnalezienie dzieci i pociągnięcie do odpowiedzialności człowieka, który wyrządził im krzywdę. Jeden z celów nadal pozostawał niezrealizowany, co dla ambitnej śledczej

było trudne do zniesienia.

Wyłączyła telewizor i odłożyła pilota na biurko.

– Żadnych wieści – oznajmiła. – Komunikaty w radiu nadawane są regularnie, ale na razie nic z tego nie wynika. Facet nie zabrał się z nikim po drodze albo zabrał go człowiek, który nie słucha radia.

– Radio bywa irytującym towarzyszem podróży.

– Prawda.

– Kiedy mam dość kilkuminutowego bloku reklam o upławach, włączam płytę.

Rudnicka odchrząknęła i poklepała się po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów. Zakłęła pod nosem, gdy przypomniała sobie, że zostawiła paczkę w samochodzie.

– Czeka nas mnóstwo pracy – powiedział Barwicki. – Ale mamy dzieciaki z powrotem.

– Rodzicom również przyda się psycholog. Muszą zrozumieć, że dziecko nie odzyska równowagi z dnia na dzień.

– Wszystko załatwione.

Milczeli przez chwilę.

– Jak to się stało, że Paczutkowski wam uciekł? – zapytał Barwicki.

Lena się zawahała.

– Biegł szybciej – odparła.

– Iwan był z tobą, prawda?

– Tak.

Naczelnik obrzucił Rudnicką badawczym spojrzeniem.

– Jakiś czas temu zaproponowałem mu awans – powiedział. – Ale przyznam szczerze, że nie jestem pewny, czy nadaje się na stanowisko naczelnika.

– Nie mnie to oceniać.

– Co o nim myślisz?

– Nie ja decyduję o awansach. Moje zdanie nie ma tu nic do rzeczy.

– Mylisz się, Leno. – Naczelnik dźwignął się z fotela, obszedł biurko i przystanął obok niej. – Iwan jest dobrym śledczym, ale bywa zbyt porywczy. W mojej ocenie ktoś taki nie nadaje się na lidera.

– Pewnie masz rację, szefie.

– Człowiek na stanowisku naczelnika wydziału powinien mieć cechy przywódcze, ale powinien też być rozważny, żeby właściwie ocenić ryzyko i rozłożyć siły. Cierpliwość i umiejętność dotarcia do innych to cenna umiejętność.

– Tak, chyba tak.

– Sądziłem, że Iwan nauczył się nad sobą panować. – Rozłożył bezradnie ręce. – Byłem w błędzie. Wydaje mi się, że przyda mu się dłuższy urlop.

– Co to znaczy?

– Został zawieszony. Przed chwilą zabrał swoje rzeczy i wyszedł.

Przełożony obserwował reakcję Rudnickiej. Skinieniem głowy przyznała mu rację.

– Cieszę się, że powierzyłem tę sprawę właśnie tobie – stwierdził Barwicki. – I cieszę się, że cię poznałem. Wiem, że prosiłaś o pracę biurową, dlatego dziękuję, że przyjęłaś moją propozycję.

– Nie miałam wyjścia.

– Mogłaś odmówić.

– Nie. – Uśmiechnęła się. – Wiesz, szefie, że nie mogłam.

Kiedy przekazał jej akta, sprawa była przesądzona. Oboje wiedzieli, że nie odmówi. Żaden policjant nie odmówiłby pomocy w śledztwie dotyczącym zaginionych dzieci. A Rudnicka była nie tylko ambitna, ale miała również dobre serce.

Naczelnik skrzyżował ramiona.

– Co byś powiedziała, gdybym zarekomendował cię na stanowisko naczelnika? – zapytał.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

– Jestem innego zdania.

– Nie. – Pokręciła głową. – Ale dziękuję za propozycję.

– Zastanów się.

– Sprawa dzieci to był jednorazowy występ.

– Po prostu przemyśl moją ofertę.

Lena nie musiała zastanawiać się nad odpowiedzią. To była ciekawa i ważna propozycja, ale ona nie zamierzała stawiać kariery ponad potrzeby córki. Ten czas w jej życiu minął bezpowrotnie. Obiecała Basi, że będzie dla niej najlepszą matką. I zamierzała dotrzymać słowa.

Mimo to kiwnęła głową.

– Przemyślę – obiecała, postanawiając, że odczeka kilka dni, zanim ponownie odmówi.

Rozległ się dzwonek telefonu. Sięgnęła po komórkę. Nieznany numer rozłączył się, zanim zdążyła odebrać, ale po kilku sekundach zadzwonił ponownie. Policzyła do trzech, przygotowując się na kolejną prośbę o wywiad od któregoś z dziennikarzy.

– Rudnicka, słucham.

– Komisarz Rudnicka? – Po drugiej stronie odezwał się głos przestraszonej kobiety i dźwięk, jakby rozmówca przekładał komórkę do drugiej dłoni.

– Przy telefonie.

Cisza.

– Halo?

– Mówi Paczutkowska.

Tego Rudnicka się nie spodziewała. Przełknęła ślinę, odsunęła telefon od ucha i włączyła tryb głośnomówiący.

– Jestem żoną Romana – wyjaśniła kobieta. – Szukacie go, prawda?

– Zgadza się.

– On... W telewizji mówią, że naprawdę to zrobił. Porywał dzieci i trzymał je w piwnicy. Czy to wszystko prawda?

– Niestety tak.

– Boże...

To nie pierwszy raz, kiedy żona nie ma pojęcia o tym, czym zajmuje się jej druga połówka. Albo nie dopuszcza do siebie myśli, że partner mógłby ją okłamywać.

– Wszystko zrozumiałam – wyszeptła kobieta.

– Co? Co pani zrozumiała?

– Chciałam wiedzieć, czy to prawda. Musiałam wiedzieć, czy mój mąż zrobił dzieciom okropieństwa, o których mówią w telewizji. Chciałam mieć pewność. Przez tyle lat mu ufałam, a on okazał się...

– Halo? Pani Paczutkowska?

– Wiem, gdzie on jest, pani komisarz. Właśnie na niego patrzę.

## 23

Kobieta schowała telefon do kieszeni płaszcza. Wychyliła się zza drzewa. Patrzyła na człowieka, który przez wiele lat był dla niej ukochanym mężem i przyjacielem. Wierzyła w jego niewinność, choć wszyscy dookoła mówili, że Roman to zły człowiek. Dopiero teraz dotarło do niej, że mieli rację. Ależ byłam głupia!, pomyślała.

Roman siedział na wąskiej metalowej ławce i wpatrywał się w nagrobek. Na marmurowej płycie stały świeże kwiaty, które Izabela przyniosła wczoraj. Przychodziła na grób córki kilka razy w tygodniu. Tęskniła za dziewczynką, płakała i modliła się za nią. Była wierzącą kobietą, chociaż miała do Boga ogromny żal. Dzieci nie powinny umierać.

Zimne powietrze zakłuło ją w płuca. Wyszła zza drzewa i wolnym krokiem podeszła do grobu. Kiedy w programie informacyjnym zobaczyła zdjęcie męża, wiedziała, gdzie mógł się ukryć. W miejscu, do którego oboje przychodzili w poszukiwaniu spokoju.

Izabela spojrzała na wygrawerowane w kamieniu litery.

*Wiktoria Paczutkowska*

*lat 12*

*Śpij, Aniołku*

– Wiedziałam, że cię tu znajdę – powiedziała.

Roman się nie odwrócił.

– Policja cię szuka – dodała. – W radiu podają twój rysopis, a w telewizji bez przerwy pokazują twoje zdjęcie.

– Złapałem stopa, zanim podali mój rysopis w radiu. Przyjechałem do miasta.

– Uciekłeś.

Roman przytaknął.

– Nie miałem wyjścia – odparł. – Przepraszam, że przyniosłem ci wstyd.

– Wstyd?

– Wszyscy sąsiedzi będą o mnie mówić.

Izabela poczuła rosnący gniew.

– Nie to jest najważniejsze.

– Tak ci się tylko wydaje.

Cmentarz był pusty i ciemny. Tylko gdzieniegdzie migotały zapalone na grobach znicze.

– Powinieneś oddać się w ręce policji.

– Nie chcę znowu trafić do więzienia.



– Sądziłeś, że uciekniesz?  
– Przez chwilę tak sądziłem. Ale nie wiedziałem, dokąd pójść. Dlatego przyszedłem tutaj, żeby pomyśleć. Wiesz, że nigdy nie składał broni.

Pacutkowska powiedła wzrokiem po wyludnionym cmentarzu.

– To prawda, co mówią? – upewniła się, lecz mąż nie odpowiedział. Siedział nieruchomo z rękoma zwieszonymi pomiędzy udami. – Roman... – stęknęła. – Jak mogłeś... To... To małe dzieci. Jak mogłeś zrobić im taką krzywdę?

– Nie chciałem. Przysięgam, to było silniejsze ode mnie! Zadzwoiłem nawet do tej policjantki. Zapłaciłem bezdomnemu, który miał telefon. Cholera. Chciałem się przyznać, ale zabrakło mi odwagi. Chciałem powiedzieć, gdzie są dzieci, ale... nie dałem rady. Rozłączyłem się i uciekłem.

– Wszystko zaplanowałeś. Podsunąłeś im fałszywy trop, żeby skierować podejrzania na twojego kolegę z celi, ale się zorientowali.

– Nie chciałem zrobić krzywdy dzieciom – upierał się. – To wszystko potoczyło się bez mojej woli.

– Zaplanowałeś każde porwanie.

– Mylisz się.

– Przecież te dzieci śmiertelnie się bały. Płakały, a ty je biłeś. I robiłeś im też inne rzeczy... Nie mogę w to uwierzyć!

– Proszę, bądź ciszej.

Izabela roześmiała się, jakby ją rozbawiły słowa męża.

– W jaki sposób zwabiałeś je do samochodu?

– Mówiłem, że jestem znajomym mamusi lub tatusia, że rodzice nie mogą przyjechać, więc poprosili mnie, żebym odwiózł je do domu. Wsiadały bez zastanowienia. Wierzyły mi, ale potem, kiedy okazało się, że... że nie zawiozłem ich do domu, bardzo się denerwowały. Nie słuchały mnie, dlatego musiałem użyć przemocy – wyjaśnił. – Gdyby były grzeczne, nie stałaby im się krzywda. Jedna z dziewczynek próbowała uciec. Musiałem ją ukarać. Nie chciałem, żeby inne wzięły z niej przykład.

– Dlaczego miałyby słuchać człowieka, który uprowadził ich od rodziców i więził w piwnicy? Pomyślałeś, co czuły? Jak bardzo się bały?

– To dzieci. To tylko dzieci.

Dolna warga Pacutkowskiej zdrząła. Kobieta uniosła wyżej głowę, by ukryć emocje. Powstrzymywała płacz. Nie chciała okazać przy nim słabości. Nie chciała, żeby wiedział, jak bardzo ją zranił. I nie liczyła się dla niej opinia sąsiadów. Bolały ją własna naiwność i łatwowierność. Roman niekiedy zachowywał się podejrzanie, ale ona zawsze znajdowała dla niego usprawiedliwienie.

Była głupia. Tak głupia, że czuła się współwinna cierpienia uprowadzonych przez niego dzieci.

– Zabiłeś Wiktorię – stwierdziła.

– Nie mów głupstw.

Oboje spojrzeli na wyryte w kamieniu imię zmarłej córki.

– Przyznaj się – powiedziała Pacutkowska. – Przyznaj, że doprowadziłeś do śmierci naszej córki. Wiem, że tak było. Nasza dwunastoletnia córka odebrała sobie życie przez ciebie.

– Nie, nie. To nieprawda.

– Dotykałeś ją, prawda?

– Nie. To nie tak.

– Molestowałeś własną córkę.

Roman spojrział żonie w oczy.

– Jesteś potworem – ciągnęła. – Wiktoria nie powiedziała mi o tym, bo się bała, jak zareagujesz. Kochała cię. Byłeś jej tatusiem. Widziałam, że dzieje się z nią coś niedobrego, pamiętasz? Chciałam pójść z nią do psychologa, ale ty mówiłeś, że to nie ma sensu, że Wiktoria wchodzi w wiek nastoletni i miewa humory. To było tylko dziecko! Nasza córka miała tylko dwanaście lat. Przez ciebie się zabiła!

Mężczyzna zwiesił głowę. Płakał.

– Nie chciałem – odparł.

– Boże... Gdybym wiedziała... Byłam taka naiwna. Gdyby Wiktoria opowiedziała mi o wszystkim, byłaby z nami. Zabiłeś ją, rozumiesz? Zabiłeś naszą córkę!

– Kochałem ją. Była moją ukochaną córeczką.

– Jesteś chory.

– Zrób coś, żebym przestał o tym myśleć! – Złapał się za głowę. – Nie mogę się powstrzymać. To silniejsze ode mnie. Nie chciałem nikomu zrobić krzywdy. Nie zabiłem tych dzieci. Chciałem mieć je dla siebie. Chciałem, żeby były moje. Kiedy zabrałem jedno, pomyślałem, że...

– Nie chcę tego słuchać!

– Pomyślałem, że zabiorę kolejne. Pomyślałem, że trochę zarobię, więc robiłem im zdjęcia. Ale przysięgam, że nigdy bym ich nie zabił!

– Niedobrze mi.

– Nie mogę tego powstrzymać. Po prostu nie mogę wyrzucić tych myśli!

Roman wstał, przytrzymując się pomnika.

Izabela dostrzegła światła samochodów wjeżdżających na parking.

– Powiedz, że ją zabiłeś – zwróciła się do męża.

– Nie zabiłem Wikusi.

– Powiedz to.

– Nie.

– Molestowałeś naszą córkę.

– Nie chciałem tego... Pomóż mi.

W chwili gdy Izabela Paczutkowska wyjęła nóż z kieszeni płaszcza, komisarz Rudnicka wraz z Marcelem Wolskim minęli bramę cmentarza.

Ostrze gładko przeszło przez skórę. Zanim dobiegli do kobiety, zdążyła zadać trzy śmiertelne ciosy.

## 24

Rudnicka uznała, że technicy znają się na swojej pracy wystarczająco dobrze, by nie musiała im asystować. Zresztą wszystko było jasne. Izabela Paczutkowska zabiła własnego męża na oczach policjantów. Lena wróciła więc na komendę, aby dopełnić formalności. Skonsultowała się z naczelnikiem w sprawie komunikatu dla mediów, a potem udała do pokoju, który zajmowała z Wolskim. Dochodziło wpół do ósmej. Zadzwoiła do Marii i porozmawiała chwilę z córką. Siostra zaproponowała, żeby Basia została u niej na noc, a Lena w tym czasie zamknęła śledztwo. Tęskniła za córką, ale przystała na propozycję i obiecała sobie, że kiedy zakończy śledztwo, poświęci małej więcej czasu.

– O czym myślisz? – Pytanie Wolskiego wyrwało ją z zamyślenia.

– O wakacjach.

– Tydzień na Malediwach?

– Aż takich ambicji nie mam. – Zaśmiała się. – Weekend na Mazurach też brzmi dobrze. Albo nad morzem. Jak zamkniemy śledztwo, muszę odetchnąć. W zasadzie obojętne, dokąd pojedę, ale potrzebuję wyrwać się z tego miasta.

– Niezły pomysł.

Marcel klapnął zmęczony na krzesło. Położył na biurku komórkę i wymiętą paczkę papierosów. Wyciągnął nogi przed siebie.

– Zabiła go – mruknął.

– Tak sobie myślę, że to kolejny dowód na to, że nie warto okłamywać żony.

Wolski strzelił palcami.

– Racja – przyznał. – Chociaż mało to zabawne.

Mimo wszystko Rudnicka była w całkiem dobrym nastroju. Paczutkowski nie żył. Sprawiedliwość została wymierzona, choć w inny sposób, niż planowała.

– Śmierć Paczutkowskiego niewiele zmienia – odezwała się. – Przyznam, że chciałam spojrzeć mu w twarz, ale niespecjalnie cierpię na myśl, że nie będę miała okazji.

– Cieszy cię jego śmierć?

– Nie powiedziałabym. Ale jeśli czyjaś śmierć miałaby mnie cieszyć, to chyba zwyrodnialca, który porwał i skrzywdził niewinne dzieci.

Wolski potarł policzki.

– Dlaczego ich nie zabił? – zapytał.

– Nie był mordercą. Poza tym ich potrzebował.

Marcel zastanowił się nad słowami Rudnickiej. Sięgnął po paczkę papierosów i przez chwilę obracał ją w dłoniach.

– Dlaczego porywał kolejne? – Wyjął papierosa i wytrząsnął z niego tytoń. – Dziecko spełniło swoją rolę. Paczutkowski robił zdjęcia i wrzucił na pedofilskie strony. Albo sprzedał... No właśnie, komu?

– Ludziom, których kręca takie rzeczy.

Marcel odłożył papierosa.

– Myślę, że nie zastanawiał się nad tym, co dalej – dodała Lena. – Nagabywał dzieci przed szkołą. Szukał tych, które wracają do domu same. Pamiętasz, jak nauczycielka mówiła, że Amelka była zdenerwowana w dniu porwania? Dziewczynka zeznała, że zły pan zaczepiał ją dzień wcześniej. Wystraszyła się, że wróci, ale kiedy do niej podszedł, pokazał wiadomość od mamy. Dziewczynka uwierzyła, że mama go przysłała, żeby odebrał ją ze szkoły. Dzieci są naiwne. Facet działał pod wpływem emocji albo żądz. Nie dowiemy się, co dokładnie nim kierowało, bo nie żyje, ale moim zdaniem porywał dzieci, żeby zapewnić sobie chwilę, hm, szczęścia?

– Chcesz powiedzieć, że był dobrym człowiekiem, ponieważ ich nie zabił?

– Nie. – Pokręciła głową. – On nigdy nie był dobrym człowiekiem. Po prostu nie był mordercą. Paczutkowski był pedofilem. Kręciły go nagie dzieci. Dotykał je, ale nie gwałcił. Zadowalał się dotykiem. Rozmawiałam z lekarzem,

który przeprowadził wstępne oględziny dzieciaków. Nie stwierdził śladów gwałtu. Paczutkowski bił je, kiedy go nie słuchały. Molestował seksualnie. Ale ich nie gwałcił. Czy to w jakikolwiek sposób zmniejsza jego winę? Nie sądzę. Paczutkowski na pewno był wyrachowany. Zaplanował porwania, przetrzymywał dzieci i zarabiał pieniądze, sprzedając pedofilskie filmy na czarnym rynku.

– Sukinsyn!

Lena odwróciła wzrok w stronę okna. Na dole dziennikarze tłoczyli się przed głównym wejściem do komendy.

– Izabela zabiła męża – powiedziała. – Nie spodziewałam się takiego obrotu spraw.

– Mąż okłamywał ją przez wiele lat. Jeśli naprawdę molestował córkę, która przez to popełniła samobójstwo, Izabela miała powód, by się zemścić. Tłumione przez lata emocje znalazły ujście. Postanowiła sama wymierzyć sprawiedliwość.

– Roman zostałby skazany.

– Za molestowanie i porwanie dzieci, a nie za zabójstwo.

– Paczutkowski prędzej czy później wyszedłby na wolność – odezwał się Wolski. – Dostałby tylko parę lat. Myślę, że to był powód, dla którego Izabela postanowiła wymierzyć mu najsurowszą karę.

Lena pokiwała głową, przyznając Wolskiemu rację. Zdaniem Leny matka, która straciła własne dziecko, jest zdolna do wszystkiego. Rudnicka wróciła myślami do tragicznych wydarzeń, które rozegrały się na cmentarzu.

Kiedy dobiegli do Paczutkowskiej, nie stawiała oporu i pozwoliła zaprowadzić się do radiowozu. Wezwali karetkę, a zanim przyjechała, Wolski próbował udzielić pomocy mężczyźnie. Rudnicka obserwowała tę scenę z kamienną twarzą. Nie pomagała Marcelowi. Po prostu stała i patrzyła, aż w pewnej chwili napotkała wzrok Romana Paczutkowskiego. Cierpiał. Był w szoku. Nie spodziewał się ataku. Ufał żonie i wierzył, że zostanie z nim na dobre i na złe. Ale w jego oczach Rudnicka zobaczyła coś jeszcze. To był strach. Strach przed śmiercią.

Kiedy ratownicy usiłowali przywrócić Paczutkowskiemu funkcje życiowe, Rudnicka podeszła do samochodu i otworzyła drzwi. Paczutkowska spojrzała na nią nieobecny wzrokiem. Nie płakała. Dłonie schowała pod udami, jakby usiłowała je ogrzać.

– To potwór – powiedziała. – Przez tyle lat żyłam z potworem.

Lena oparła się plecami o maskę samochodu.

– To grób waszej córki? – upewniła się.

– Wiktorii.

Ciszę przerywały pokrzykiwania ratowników dobiegające zza murów cmentarza.

– Popełniła samobójstwo – wyjaśniła Izabela. – Miała zaledwie dwanaście lat. Była dzieckiem. Niewinną dziewczynką. Miała przed sobą całe życie, a wołała umrzeć. Dlaczego? Całe życie nie mogłam się pogodzić z jej śmiercią. Dlaczego tak postąpiła? Dlaczego nie poprosiła o pomoc? Gdyby zwierzyła mi się z problemów, zrobiłabym wszystko, żeby jej pomóc. A ja o niczym nie wiedziałam. Nie dostrzegałam sygnałów, jakie dawała mi Wiktoria. Dopiero teraz zrozumiałam, jaka byłam głupia. Wierzyłam Romanowi w każde słowo. Nie sądziłam, że byłby zdolny... że mógłby kogokolwiek skrzywdzić. Uwierzyłam, gdy mówił, że jest niewinny. Nie chciałam dopuścić do siebie prawdy.

Rudnicka potarła skronie, usiłując zebrać myśli. Dwunastoletnia dziewczynka odbiera świat inaczej niż dorośli. Jeśli ojciec ją molestował, był to powód do wstydu. Nie szukała pomocy, ponieważ bała się reakcji matki i środowiska. Kochała swojego tatę. Nie chciała, aby trafił do więzienia, chociaż wiedziała, że tatusiowie nie powinni dotykać dzieci w taki sposób.

– Jak odebrała sobie życie? – zapytała Lena.

– Powiesiła się. – Izabela przetarła oczy. – Boże... Moja mała... Moja dziewczynka.

Lena domyślała się dalszej części opowieści, lecz mimo to zapytała:

– Pani mąż był winien śmierci córki?

– Gdybym nie była tak łatwowierna, Wiktoria by żyła.

Rudnicka milczała.

– Wie pani... Wcześniej nigdy nie przyszło mi to do głowy. Mój Roman? W życiu! Kiedy Wiktoria była mała, sadzał ją sobie na kolanach, czytał bajki, a potem oboje usypiali w hotelu. Kochał ją. Był świetnym ojcem. Byłam pewna, że zrobi wszystko, by ją chronić przed złem. Tymczasem... Och. – Izabela pociągnęła nosem. – Kiedy oskarżyli go o molestowanie dzieci w szkole, przekonał mnie, że to pomówienia. Twierdził, że zadarł z kilkoma rodzicami, a oni mszczą się, oskarżając go o molestowanie ich dzieci. Uwierzyłam. Dlaczego miałabym wierzyć obcym ludziom, a nie własnemu mężowi? Wiedziałałam, że jest dobrym człowiekiem, i ufałam mu. Wydawało mi się niemożliwe, żeby mój mąż, którego znam tyle lat, zrobił komukolwiek krzywdę. Czekałam, aż wyjdzie z więzienia, a potem wymusiłam na nim obietnicę, że nigdy więcej nie wpakuje się w tarapaty. Nie chciałam go stracić. Do końca w niego wierzyłam, ale kiedy dzisiaj zobaczyłam w telewizji twarze tych dzieci... Dziennikarze mówili, że Roman je porwał, bił, przetrzymywał i molestował. Pomyślałam sobie, że tym razem to nie może być pomyłka. Dotarło do mnie, jak naiwna byłam.

– Każdy popełnia błędy, pani Paczutkowska.

– Nie. – Izabela nabrała tchu i westchnęła ciężko. – Takich błędów się nie wybacza. Zasluguje na karę, tak jak mój mąż zasługiwał na śmierć. Czuję się współwinna tego, że nie dopilnowałam Romana. Ślepo wierzyłam w jego słowa. Nie dostrzegłam, że krzywdził naszą córkę. W pewnym momencie Wiktoria zaczęła unikać ojca. Wydawało mi się to

dziwne, bo wcześniej uwielbiała spędzać z nim czas. Jeździli na ryby, nocowali pod namiotem nad rzeką, wspólnie bawili się na basenie. Ale nagle zaczęła się przed nim chować. Sądziłam, że zmiana w jej zachowaniu wynika z trudnego wieku. Zaczynała dojrzewać, więc miała prawo mieć humory. Myślałam wtedy, że jest za duża na zabawy z ojcem i woli spędzać czas z koleżankami.

– A co pani wie o jego przeszłości? Zanim się pobraliście?

– Poznaliśmy się na zabawie sylwestrowej. Zakochałam się w nim. Był zabawny i przystojny. Pochodził z biednej rodziny. Nie przelewało im się. Liczyli każdy grosz, ale jego matka była wspaniałą kobietą.

– A ojciec?

– Roman tylko raz po pijaku zasugerował, jakoby... hm... jakoby w dzieciństwie ojciec go molestował. – Kobieta zdrzała, jakby uderzył w nią podmuch chłodnego powietrza. – To nie jest usprawiedliwienie, ale... może nie potrafił inaczej? Może to było silniejsze od niego?

Nie było to wprawdzie usprawiedliwienie, ale z psychologicznego punktu widzenia stanowiło pewne wyjaśnienie postępowania mężczyzny w dorosłym życiu, pomyślała Lena.

– Wiktoria zostawiła krótki list – ciągnęła Izabela. – Zaledwie kilka zdań. Napisła, że kocha mnie i starszego brata. Nie wspomniała o ojcu. Już wtedy powinnam się domyślić, że Roman nie jest człowiekiem, za którego go uważałam.

– Przyznał się do molestowania córki?

– Nie musiał. W jego oczach zobaczyłam potwierdzenie. Wiktoria zabiła się przez niego. Chciałam, żeby zaprzeczył i powiedział, że to nieprawda, że się mylę. Ale on milczał. Wtedy już wiedziałam na pewno.

– Wzięła pani ze sobą nóż.

– Tak.

– Dlaczego?

Kobieta nie odpowiedziała. W gruncie rzeczy nie musiała wyjaśniać powodów, dla których wymierzyła mężowi sprawiedliwość. W pewnym sensie Rudnicka ją rozumiała. Izabela sprawiała wrażenie osoby, która wreszcie zrzuciła z siebie wielki ciężar. Była gotowa ponieść karę, a gdyby miała okazję cofnąć czas, postąpiłaby tak samo.

– Mam nadzieję, że mój syn wybaczy mi to, co zrobiłam – szepnęła. – Nie rozmawiał z ojcem od kilku lat. Nienawidził go.

– Dlaczego?

– Pokłócili się.

– O co?

Izabela wzruszyła ramionami. Teraz powód nienawiści syna do ojca wydawał się jasny.

Rudnicka nasypała sobie kawę. W milczeniu obserwowała czajnik elektryczny. Bąbelki podskakiwały w środku. Rozległo się pstryknięcie, więc odczekała kilka sekund, a potem wlała gorącą wodę do kubka. Usiadła za biurkiem, upiła łyk i spojrzała na Wolskiego.

Kiedy Marcel uniósł głowę, zobaczył, że Lena uśmiecha się szeroko.

– Wiesz co? – Sięgnął po wodę w plastikowej butelce, napił się i odstawił na biurko. – Pieprzyć to. Odwaliliśmy kawał dobrej roboty.

– Przemawia przez ciebie skromność.

– Chodźmy na piwo.

– Zapraszasz mnie na randkę?

Uśmiechnął się.

– Ciebie? – zadrwił. – Nie jestem samobójcą.

– Ehe.

– To był ciężki dzień. Należy nam się chwila relaksu.

– Może innym razem. – Uniosła do góry stos dokumentów. – Mam robotę. Nie wykopię się z papierów przez kilka dni.

– Nie daj się prosić.

– Wypełnisz je za mnie?

Podniósł się zza biurka. Z jego twarzy nie schodził uśmiech.

– Nie zobowiązujące piwo – powiedział.

– Nie spotykam się z zajęętymi facetami. Skończyłam z tym.

– Punkt dla ciebie.

Rudnicka wstała i zerknęła w kierunku zamkniętych drzwi.

– Załatw swoje sprawy – odezwała się.

– I co dalej?

Znajdowali się bardzo blisko siebie. Lena czuła, że traci kontrolę nad oddechem. Serce biło jej coraz szybciej.

Marcel przesunął palcem wskazującym po jej policzku.

– Przestańmy się gonić – zaproponował.

– Masz rację. To staje się nudne.

– I trwa zbyt długo.

– Mhm.

– Dobrze było cię zobaczyć.

Z korytarza dobiegły stłumione głosy policjantów, lecz żadne z nich się nie cofnęło. Lena podniosła głowę, by spojrzeć Marcelowi w oczy.

– Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć – powiedziała.

– Tylko nie mów, że znów masz męża, którego trzeba się pozbyć.

Rudnicka nie zdążyła odpowiedzieć, kiedy zadzwonił leżący na biurku telefon.

– Nie odbieraj – poprosił.

– Muszę.

Odsunęła się od niego i sięgnęła po komórkę. Przeciągnęła zieloną słuchawkę.

– Tak, Marysiu? – Podeszła do okna i wyjrzała przez szybę.

– Lenko, o Boże...

– Halo?

Po drugiej stronie słyszała urywany oddech siostry.

– Hej? – zagadnęła.

– Lenko, Basia zniknęła.

Rudnicka miała wrażenie, jakby ktoś uderzył ją w głowę.

– Poczekaj, jak... – zaczęła, lecz siostra wpadła jej w słowo.

– Nie ma jej. Obszukałam cały dom, ale nigdzie jej nie ma!

– Może wyszła na podwórkę?

– Szukałam na podwórku. Wołałam, ale nie odpowiada!

– Zaraz będę.

Rudnicka wsunęła telefon do kieszeni spodni i ściągnęła z wieszaka kurtkę. Podbiegła do drzwi, lecz zanim nacisnęła klamkę, Wolski pociągnął ją za ramię.

– Co się dzieje?

Lena spojrzała mu w oczy.

– Basia zniknęła – powiedziała łamiącym się głosem.

Nic z tego nie rozumiał.

– Co? – zapytał. – Kim jest Basia?

– Naszą córką.

## 25

Saab ze stuipięćdziesięciokonnym silnikiem sprawnie wymijał samochody i lawirował pomiędzy pasami jezdni. Lena przejechała na czerwonym świetle i odbiła w prawo, unikając zderzenia z nadjeżdżającym dostawczakiem.

Marcel milczał. Wpatrywał się w przednią szybę, jakby nie dowierzał, że jego dziecko, o którego istnieniu dowiedział się przed kilkoma minutami, zniknęło.

- Leno – odezwał się.
- Nie teraz, Marcel.
- Ja... Kurwa mać!
- Proszę cię. Porozmawiamy później, dobrze?
- Dobrze. Cholera jasna... Dobrze.

Rudnicka podziękowała mu skinieniem głowy. Zredukowała bieg i pokonała skrzyżowanie w chwili, gdy włączyły się czerwone światła. Kierowcy zareagowali głośnym trąbieniem, ale ona zdawała się tego nie słyszeć.

- Ile ma lat? – zapytał Wolski.
- Trzy.

Marcel wykonał w głowie szybkie obliczenia, lecz zanim wyraził na głos nasuwający się wniosek, Lena odchrząknęła.

- Byłam w ciąży w Białych Brzegach – oznajmiła.

Wolski miał wrażenie, jakby w głowie miał splątany kłębek wełny. Nie pytając o zgodę, zapalił papierosa i uchylił okno, żeby strząsnąć popiół. Dłonie mu dygotały. W duchu przyznał jej rację. Przyjdzie czas na wyjaśnienia, chociaż najchętniej potrząsnąłby Leną już teraz. Ale jeśli nie kłamała, był ojcem. Mieli razem dziecko. Trzyletnią dziewczynkę. Dlaczego mu nie powiedziała? Dlaczego zdecydowała się uciec? Marcel miał wiele pytań, ale w tym momencie najważniejsze było to, by odnaleźć Basię.

Samochód wtoczył się na boczną drogę, wzdłuż której ciągnęły się wysokie ogrodzenia i nowoczesne wille. Gdy Rudnicka zaparkowała pod bramą, Marcel wyskoczył z samochodu. Zobaczył stojącą przed drzwiami Marię. Poznali się kilka lat temu, ale teraz wyglądała na starszą co najmniej o dziesięć lat. Obrzuciła Wolskiego zaskoczonym spojrzeniem.

– Lenko! – zawołała, biegnąc do siostry. – Lenko, nie wiem, co się stało!  
– Gdzie ona jest?  
– Nie wiem. Bawiła się na dole. Poszłam na chwilę na piętro, a kiedy wróciłam, Basi nie było. Gdzie ona jest?!  
– Może się schowała?  
– To niemożliwe. Szukałam wszędzie, dosłownie wszędzie!  
Rudnicka zakreśliła się wokół własnej osi. Miała wrażenie, jakby jej głowa zaraz miała eksplodować.  
– Okej – powiedziała. – Po kolei. Jak długo nie było cię na parterze?  
– Kilka minut.  
– Ile?  
– Dziesięć?  
– Drzwi były zamknięte?  
– Ja...  
– Mario, czy drzwi były zamknięte na zamek? – powtórzyła z naciskiem Lena.  
– Nie.  
– Jezu.  
Marcel zlustrował wzrokiem ulicę.  
– Widziałas kogoś podejrzanego? – zapytał.  
– Nie, chyba nie.  
– Chyba?  
– To nie mógł być porywacz, prawda? To znaczy mam na myśli faceta, który porywał dzieci, bo przecież w telewizji mówili, że nie żyje.  
– To prawda, Paczutkowski nie żyje. To nie był on.  
Maria przyłożyła dłonie do gorących policzków.  
– Przepraszam – wyszeptała. – Jeśli Basi coś się stanie... Nie wybaczę sobie tego.  
– Zastanów się, czy na pewno nie widziałas niczego podejrzanego?  
Maria milczała.  
– Co zrobiłaś, kiedy zorientowałaś się, że Basi nie ma? – dopytywała Rudnicka.  
– Drzwi były niedomknięte.  
– Co?  
– Drzwi wejściowe były uchylone. Pomyślałam, że wpadła na pomysł, żeby pobawić się na dworze. Wysłałam na podwórko i obszukałam altanę, a potem komórkę, ale nie znalazłam jej. Wróciłam do domu i szukałam w pokojach. Pomyślałam, że może bawi się w chowanego.  
– Nie znalazłaś jej.  
– Nie. I wtedy zadzwoniłam do ciebie.  
– Co widziałas, kiedy wyszłaś na dwór?  
Maria zadrżała.  
– Samochód – powiedziała automatycznie, a po chwili dotarło do niej, co mógł oznaczać odjeżdżający sprzed domu samochód.  
– Jaki?  
– Nie wiem. Chyba niebieski.  
– Niebieski – powtórzyła Lena. – Okej. A model? Marka? Albo typ nadwozia?  
– Nie wiem!  
– Mały samochód czy duży?  
– Normalny. Miejski.  
– Okej. To już coś.  
– Citroen.  
– Jesteś pewna?  
– Tak. Kiedy teraz o tym myślę, jestem niemal pewna, że to był jasnoniebieski citroen.  
Marcel poczuł, jakby zaraz miał zwymiotować.  
– O nie – stęknął.  
Rudnicka zignorowała go.  
– Dzwonię po posiłki – powiedziała. – Znajdziemy ją.  
– Ktoś wszedł do mojego domu i porwał Basię – mówiła Maria. – Jak wszedł? Włamał się? Dlaczego? Dlaczego zabrał Basię? I dlaczego nie płakała?  
– Baśka pójdzie z każdym – rzuciła odruchowo Rudnicka, wybierając numer.  
Wolski położył dłoń na ekranie jej telefonu.  
– Wiem, kto jeździ niebieskim citroenem – powiedział. – I wiem, że ta osoba mogła mieć powód, żeby porwać nasze dziecko.  
Lena opuściła rękę z komórką.  
– Daria – wyszeptał. – To była Daria.

Dziewczynka nie płakała. Daria była zaskoczona, że trzylatka jest tak grzecznym dzieckiem. Siedziała na tylnym siedzeniu w foteliku Igora, jej syna, i bawiła się grubym sznurkiem, który znalazła w przegródce na drzwiach pasażera. Wyciągała sznurek i przykładała go sobie do głowy.

– Gdzie mamusia? – zapytała.

W głosie dziewczynki nie było paniki ani strachu. Wydawała się zadowolona z niespodziewanej wycieczki.

– Zaraz dojedziemy i zobaczysz mamusię.

– Super.

Daria obiecała Basi, że zawiezie ją do mamy. Mała chętnie się zgodziła. Tęskniła. W ostatnich dniach prawie nie widywała mamy.

Porwanie tego dziecka okazało się zaskakująco łatwe. Drzwi nie były zamknięte na klucz, więc Daria bez problemu dostała się do domu Marii. Bogaci ludzie są naiwni, pomyślała, ludzą się, że alarm jest w stanie powstrzymać włamywacza. Zapominają o najprostszych zabezpieczeniach. Adres Dobrzyckiej uzyskała z policyjnej bazy. Zadzwoniła do kolegi z komisariatu. Nie zadawał żadnych pytań. Po prostu spełnił jej prośbę. Nikt nie podejrzewałby porządnej Darii Sobczak o złe zamiary.

Nie miała jednak żadnego planu.

Kiedy wczoraj pokłóciła się z Marcelem, wiedziała, że ją zdradza. Nie mogła znieść myśli, że mógłby od niej odejść i związać się z Leną. Nienawidziła jej. Kiedy Daria zakochała się w Wolskim, wciąż przeżywał rozstanie. Nie mogła tego słuchać. Nie mogła znieść myśli, że Marcel sypiał z inną kobietą. Pocieszała go, starając się do niego zbliżyć i zyskać jego zaufanie. Stała się jego przyjaciółką, chociaż od początku liczyła na coś więcej. Kiedy w końcu udało się jej zaciągnąć Wolskiego do łóżka, była pewna, że z nią zostanie. Ostatnio jednak bardzo się zmienił. Był nieobecny duchem. A im bardziej od niej uciekał, tym bardziej starała się go zatrzymać.

Chciała Marcela tylko dla siebie. Chciała, żeby był ojcem dla jej syna. Wiedziała, że miał dziecko z Leną. Daria była pewna, że gdyby się dowiedział, że jest ojcem Basi, natychmiast by zostawił ją i Igora. Nie mogła do tego dopuścić. Pojechała za nim do Łodzi, aby sprawdzić, czy zameldował się w hotelu. Nie radziła sobie z zazdrością. Potrzeba kontroli okazała się silniejsza.

Przecucie mówiło jej, że tę dwójkę znów coś łączy. Widziała, jak Wolski wchodzi do kamienicy, w której mieszkała Rudnicka. Spędził u niej noc. Patrzyła w okna mieszkania rywalki i planowała zemstę. Postanowiła ukarać Lenę. A dla matki najczulszym punktem zawsze jest dziecko... Dlatego jechała teraz do leśniczówki w Białych Brzegach z dzieckiem Wolskiego i Rudnickiej.

Postanowiła tam na nich poczekać.

Sobczak jest twoją dziewczyną? – Rudnicka nie zdołała ukryć rozczarowania w głosie.

– Myślę, że jesteś ostatnią osobą, która ma prawo, żeby robić mi wyrzuty.

– Twoja, pozał się Boże, dziewczyna porwała nasze dziecko!

– O którym dowiedziałem się pół godziny temu!

Rudnicka dodała gazu.

Daria Sobczak. Poznały się ponad trzy lata temu, kiedy Lena pracowała w Białych Brzegach. Nie polubiły się od razu, ale z czasem Daria zyskała sympatię komisarz. Była pracowita i zaradna. Samotnie wychowywała syna, a macierzyństwo łączyła z pracą w policji. Musiała więc mieć silny charakter, by temu podołać.

Saab zjechał na lewy pas i wyprzedził jadący przed nim samochód.

– Daria nie zrobi jej krzywdy – powiedział Wolski. – Jestem pewny, że...

– Godzinę temu pomyślałbyś, że mogłaby porwać dziecko? – weszła mu w słowo Lena.

– Nie, ale...

– No właśnie, więc lepiej się zamknij.

Westchnął ciężko.

– Przepraszam – bąknęła Rudnicka. – Po prostu...

– Wiem.

– Nie wiem, co myśleć.

– Ja też.

Ciszę zakłócał jedynie szum samochodowego nawiewu. Wolski obrócił głowę w stronę bocznej szyby. Bał się o życie córki. Nie był pewien, czy Daria rzeczywiście nie zrobiłaby krzywdy Basi. W ostatnim czasie zachowywała

się podejrzenie.

– Pokłóciliśmy się wczoraj – powiedział. – Wydaje mi się, że Daria szuka zemsty.

– Kurwa, na dziecku?!

– Głośno myślę.

– Zabiję ją, jeśli choć jeden włos spadnie Basi z głowy.

– Ona cię nienawidzi. Myślę, że chciała zemścić się na tobie.

Rudnicka obrzuciła go niepewnym spojrzeniem.

– Na mnie? – zdziwiła się. – Niby dlaczego?

– Jest o ciebie zazdrosna.

– Przecież nie widzieliśmy się trzy lata.

– A kiedy się spotkaliśmy, poszliśmy do łóżka.

– To nie tak...

– Sama widzisz – przerwał. – Nie możemy funkcjonować osobno.

– Razem też nam kiepsko idzie.

– Nadal cię kocham.

Rudnicka szarpnęła kierownicą. Samochód zatoczył się na bok, ale w porę odzyskała kontrolę i wróciła na właściwy tor jazdy.

– Daria o tym wie – ciągnął Wolski. – Dlatego nasz związek nie wypalił.

– Daj spokój.

– Przecież oboje o tym wiemy. – Wbił w nią uparte spojrzenie. – Oboje wiemy o tym, że nie możemy bez siebie funkcjonować. Kurwa, czy nie możemy żyć jak normalni ludzie?

– Czyli jak?

– Wziąć ślub, kupić dom pod miastem i wspólnie wychowywać córkę.

Rudnicka poczuła ucisk w żołądku.

– Nie jesteśmy normalnymi ludźmi – odparła.

– Gówno prawda! – Podniósł głos. – Mam to gdzieś, rozumiesz? Jedziemy po naszą córkę, zabieramy ją od tej wariatki, a potem wracamy do Łodzi. Zamykamy sprawę zaginionych dzieci, zamieszkamy razem, bierzemy ślub i robimy wszystko, żeby zapewnić Basi dobre życie.

Wolski zdał sobie sprawę, że krzyczy.

– Kiepskie oświadczyzny – skwitowała Lena.

– Byłyby lepsze, gdybyś nie ukrywała przede mną, że mamy dziecko.

– Mógłbyś bardziej się postarać.

– Pieprz się, Leno.

– Już mi lepiej.

Jechali w milczeniu.

– Dopiero się dowiedziałem, że jestem ojcem – powiedział. – Chciałbym wszystko wyprostować.

– Skup się na odebraniu Basi od twojej szalonej kochanki.

– To nie jest moja... Okej, nie będę tego komentował.

– Słusznie. Plotę głupstwa.

– Nie pierwszy raz.

Rudnicka odetchnęła z ulgą, gdy Marcel powiedział jej, że to Daria zabrała Basię. Przynajmniej wiedzieli, gdzie jej szukać. To było najważniejsze. Dotknęła przypiętej do paska służbowej broni. Miała nadzieję, że nie będzie musiała jej użyć.

## 28

Korony drzew wyłaniały się zza ścian leśniczówki. Las, ciemny i milczący, sprawiał przygnębiające wrażenie. Nadjechał samochód. Kierowca mocno szarpnęła hamulec ręczny, a drzwi pasażera zatrzasnęły się z hukiem. Dwoje ludzi na kilka sekund zatrzymało się przed bramą.

– Jest w domu – powiedział Wolski, wskazując na zaparkowanego pod drzewem niebieskiego citroena.

Lena powiodła wzrokiem po okolicy. Trzy lata temu nazywała to miejsce domem. Była tutaj szczęśliwa, ale szczęście komisarz Rudnickiej nigdy nie trwa długo. Zaszła w ciążę, dowiedziała się o chorobie znenawidzonego ojca i poznała prawdę o wydarzeniach z przeszłości. Wszystko, w co wierzyła, było kłamstwem. Człowiek, któremu ufała i którego traktowała jak prawdziwego ojca, przez lata ukrywał prawdę o śmierci jej marki. To on odebrał jej życie. Świat Leny legł w gruzach. Otrzymała kolejny cios. I bała się, że nigdy się po nim nie podźwignie. Na szczęście dzięki wsparciu siostry stanęła na nogi.



A teraz wspomnienia powróciły, lecz tylko na chwilę. Zastąpił je gniew. Nikt nie miał prawa krzywdzić jej córki. Jeśli zajdzie potrzeba, Lena wymierzy sprawiedliwość na własną rękę.

– Lepiej tu zostać – powiedziała.

– Nie ma mowy.

– Ostrzegałam.

– Nie ma mowy, żebym stał z boku.

– Twoja decyzja.

Nie oglądając się za siebie, pchnęła furtkę. Wyjęła broń i ścisnęła ją oburącz. Poczuła przeszywające ukłucie bólu w nadgarstku. Przełożyła pistolet do zdrowej ręki. Pokonała ścieżkę prowadzącą na ganek. W blasku zewnętrznej lampy dostrzegła sylwetkę kobiety trzymającej rękę na ramieniu kilkuletniej dziewczynki, ubranej zbyt lekko na temperaturę, jaka panowała na zewnątrz.

– Witaj, Dario.

– Dobry wieczór, Leno.

Kobiety patrzyły na siebie w milczeniu.

– Mamusia! – Basia szarpnęła się naprzód, ale Daria zacisnęła palce na jej przedramieniu.

Basia pisnęła zaskoczona.

– Puść ją – warknęła Rudnicka.

– Niezły początek.

– Mamo!

– Mamusia zaraz zabierze cię do domu.

– Nie byłabym tego taka pewna – odparła Sobczak. – Opuść broń, Leno. Porozmawiajmy.

– Puść moje dziecko.

– Wiesz, że jeśli będziesz współpracować, nic się jej nie stanie, prawda?

Daria przeniosła wzrok na Wolskiego.

– Cześć, kochanie. – Uśmiechnęła się. – A więc już wiesz, że jesteś tatą.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Jakoś nie było okazji.

– Puść Basię.

– Chcę z wami tylko porozmawiać.

– A więc puść dziecko.

– To moja jedyna karta przetargowa.

– Możesz to rozegrać w cywilizowany sposób, Dario. Nie jesteś taka.

– Jaka? – Sobczak przekrzywiła głowę i popatrzyła na niego z ironią.

– Masz syna.

– Wiedziałam, że mi to wypomnisz.

– Pomyśl o Igorze.

– Powiedz jej, żeby opuściła broń.

– Wiesz, że Lena nigdy mnie nie słucha.

– Powiedz jej.

– Leno? – Wolski zrobił krok w stronę Rudnickiej.

– Jeszcze chwilę, a twoja dziewczyna zarobi kulkę – warknęła Lena. – Moje pokłady cierpliwości powoli się kończą.

– Chyba już nie jest moją dziewczyną.

Basia załkała. Nie ruszała się, czując napiętą sytuację. Marzyła tylko o tym, żeby wrócić do łóżka i przytulić się do Pana Jamnika.

– Opuść broń – powtórzyła Daria. Rudnicka poprawiła chwyt i zaskoczyła wszystkich, kładąc pistolet na ziemi. Kopnęła go w stronę Sobczak. – Widzisz? Jednak umiemy współpracować. Nieźle nam idzie!

– Czego chcesz?

– Porozmawiać.

– Więc mów.

– Chcę usłyszeć, jak ten duppek przyznaje się do zdrady.

– Słyszałeś? – Lena spojrzała na Marcela. – Przyznaj się.

Gdyby ktokolwiek powiedział Wolskiemu, że Daria byłaby zdolna porwać dziecko, nie uwierzyłby. Była kobietą, która osiągała zamierzone cele, ale nigdy kosztem czyjegoś zdrowia lub życia. Kochała syna i pragnęła dla niego jak najlepiej. Dlaczego porwała Basię? Dlaczego naraziła ją na niebezpieczeństwo? Nie była sobą. W oczach dawnej partnerki zobaczył ekscytację, jakby dobrze się bawiła. Ścisnęło go w gardle. Zrobił krok naprzód.

– Stój – upomniała go Daria. – Nie ruszaj się.

Zrobił kolejny krok.

– Słyszysz, co mówię? – Daria ścisnęła mocniej ramię Basi. Dziewczynka zapłakała cicho, jakby nie chciała, żeby ktokolwiek zwrócił na nią uwagę. Drugą dłoń Sobczak trzymała luźno zwieszoną wzdłuż ciała. Marcel uświadomił sobie, że kobieta coś trzyma w dłoni. Pistolet byłby widoczny, lecz nieduży nóż Daria mogłaby schować w rękawie.

– Zostaw moje dziecko.

Sobczak roześmiała się szyderczo.

– A co z nami? – zapytała.

– Nas już nie ma.

– Wiedziałam, że nie powinieneś jechać do tej choliernej Łodzi! Kłamałeś! Mówiłeś, że nic do niej nie czujesz!

– Puść moje dziecko – wycedził.

Basia zapłakała. Daria spojrzała na dziewczynkę.

– Puść ją – powtórzył Marcel. – Zanim zrobisz coś, czego pożałujesz. Pomyśl o Igorze.

– Ja...

– Dario, zastanów się. Chciałabyś, żeby twój syn wychowywał się bez matki?

Sobczak zachwiała się lekko, jakby zakręciło jej się w głowie.

– Jeżeli skrzywdzisz moje dziecko, nie odpuszczę – ciągnął Marcel. – Zrobię wszystko, żebyś trafiła do więzienia. Czesz tego? Chciałabyś, żeby Igor wychowywał się z myślą, że jego matka...

– Dość.

Wolski uniósł otwarte dłonie. Lena wpatrywała się w niego. Milczała, ponieważ wiedziała, że tylko on jest w stanie przemówić zaślepionej zazdrością kobiecie do rozsądku.

– Kocham cię, Marcelu – szepnęła Daria. Policzki miała zaczerwienione, a oczy pełne łez. Zerknęła na Basię, a potem puściła ramię dziewczynki.

Basia pobiegła do matki. Lena chwyciła córkę w objęcia i osłoniła własnym ciałem.

– Przepraszam – stęknęła Sobczak. – Boże. Nie wiem... Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Po prostu... Chciałam, żebyś z nami został... Ona chciała mi ciebie zabrać... Nie mogłam wytrzymać, wiedząc, że ty i ona... Tak bardzo cię kocham. Proszę, nie zostawiaj nas.

Furtka skrzypnęła przeciągle. Na podjeździe rozległy się ciężkie męskie kroki.

– Powiadomiliście policję? – zapytała Daria.

Chwila wahania Sobczak wystarczyła, aby Wolski wykorzystał szansę. Zamachnął się, lecz Daria szybko uskoczyła. Schyliła się, sięgając po pistolet Rudnickiej. Kula przecięła powietrze.

Po wystrzale nastąpiła kłująca w uszy cisza. Wydawało się, że kilka sekund trwa wieczność. Daria upuściła pistolet. Gruchnął na wilgotny beton.

– O Boże – stęknęła.

Aspirant Dawid Sadowski, ich dawny przyjaciel, leżał w kałuży krwi. Sweter, który miał pod kurtką, powoli zabarwił się na czerwono. Trzymał dłoń na klatce piersiowej i ciężko oddychał. Spojrzał Darii w oczy, a potem przeniósł wzrok na Lenę Rudnicką.

– Spokojnie – powiedział. – To tylko draśnięcie.

## Cztery dni później

### Wtorek, 12 kwietnia

Przed bramą leśniczówki stał wysoki mężczyzna. Na widok nadchodzących policjantów poprawił krawat i uśmiechnął się szeroko.

– Dzień dobry – powiedział, wyciągając dłoń.

– Dzień dobry. – Wolski uściśnął mu rękę. – Przepraszamy za spóźnienie.

Agent nieruchomości otaksował ich wzrokiem. Kobieta trzymała na rękach kilkuletnią dziewczynkę.

– Czy leśniczówka jest już pusta? – zapytał.

– Prawie – odparł Marcel. – Zabiorę jeszcze jedno pudło i właściwie możemy się pożegnać.

Agent nieruchomości pokiwał głową.

– Proszę. – Rozłożył ręce. – Byłem już w środku. Wszystko jest w porządku. Kaucję zwrócimy w całości. Nie odnotowałem żadnych strat.

– Świetnie.

Wolski wszedł na ganek i zniknął we wnętrzu domu.

– Piękna dziewczynka. Ile ma lat?

– Ile masz lat, Basiu? – zapytała Lena.

Dziewczynka pokazała pięć palców.

– Ma trzy lata – sprostowała Rudnicka.

Mężczyzna klasnął w dłonie i zaśmiał się głośno. Lena postawiła córkę na ziemi i cofnęła się myślami do niedawnych wydarzeń. Daria została zatrzymana. Dawid nadal przebywał w szpitalu, ale rana postrzałowa nie zagrażała jego życiu.

Wolski wciąż mieszkał w hotelu, choć coraz częściej zjawiał się w mieszkaniu przy Narutowicza. Spędzali wieczory na zabawie z Basią, a gdy mała szła spać, pili wino i oglądali stare filmy.

Lena bała się, jak córka zareaguje na informację, że Marcel jest jej ojcem. Ale niepotrzebnie, bo dziewczynka dogadywała się z nim, jakby znali się od zawsze. Chciała, żeby trzymał ją za rękę, gdy zasypiała, i przytulała się do niego, jakby nadrabiała stracony czas.

– Tato? – zapytała wczorajszego wieczoru, gdy Marcel układał ją do snu. – Obiecasz mi coś?

Wolski usiadł na brzegu łóżka.

– Co takiego? – Poglądził małą po głowie.

– Obiecaj, że będziesz z mamą i ze mną.

Stojąca za uchylonymi drzwiami Rudnicka poczuła, jakby żołądek wywinął jej koziołka.

– Obiecuję, kochanie – odparł Wolski, pocałował córkę w czoło, a potem zerknął na Lenę. – Słyszałaś, pani komisarz? Dałem słowo. Teraz się mnie nie pozbędziesz.

– Mama cię kocha!

– Myślisz?

– Zobacz na nią!

Rudnicka weszła do pokoju córki i usiadła obok Marcela. Basia wcisnęła się pomiędzy rodziców.

– Dotrzymam słowa – powiedział. – Obiecuję, że nigdy was nie opuszczę.

## OD AUTORKI

Za nami już szósta część serii o komisarz Rudnickiej? Ależ ten czas leci!

W życiu Leny i Marcela wiele się zmieniło. Doświadczenia życiowe zmieniły ich oboje. Oboje, choć oddzielnie i w innym czasie, opuścili Białe Brzegi, ale czy na zawsze? Co dalej z ich relacją? Mam nadzieję, że to jeszcze nie koniec!

Chciałabym podziękować Wam, moi drodzy Czytelnicy, za wsparcie, jakie od Was otrzymuję! Za wiadomości, komentarze, recenzje i zdjęcia. Dziękuję! Bez Was historia Marcela i Leny nie miałaby przyszłości!

Szpeciallynie podziękowania należą się Hubertowi Glińskiemu, adminowi najlepszej grupy czytelniczej na Facebooku!:) Hubert jest z Rudnicką od początku, za co bardzo Mu dziękuję!

Dziękuję recenzentom, blogerom i instagramerom – świetna robota!

Dziękuję również całemu zespołowi Prószyński i S-ka, Annie Derengowskiej, Mirze Olejarskiej, Elżbiecie Kwiatkowskiej i Joannie Serockiej. Dziękuję, że uwierzyliście w historię Leny i pozwoliliście, aby trafiła w ręce Czytelników!

Dziękuję Zbigniewowi Zawadzkiemu, bo to dzięki niemu książki o Lenie Rudnickiej mogły trafić do szerszego grona odbiorców.

Dziękuję mojej Rodzinie. Za wszystko. Wsparcie, jakie od Was otrzymuję, jest nieocenione. Bez Was nie byłoby mnie tutaj!

I na koniec podziękowania należą się najważniejszej osobie w moim życiu, Tomkowi, mojemu narzeczonemu, który dzielnie znosi moje pisarskie humory i załamania, zawsze służy radą, pomysłami i konstruktywną krytyką. Dziękuję!

Tomaszów Mazowiecki, 21 lipca 2022

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)  
[Karta redakcyjna](#)

[PROLOG](#)

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Cztery dni później](#)

[Od autorki](#)